

TESS WAKEFIELD



Purple Heart Sercia

FILIA

TESS WAKEFIELD

Purpurowe Serca

Na podstawie historii Kyle'a Jarrowa

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

CHOMIKO_WARNIA

Dla Kim z CC Clubu

CASSIE

Dziś, drugiego sierpnia o siedemnastej trzydzieści cztery na moście South Congress, znanym również jako „lokalny parking”, zaakceptowałam swoją rzeczywistość. Szyby subaru były opuszczone, największe hity Queen płynęły z radia na cały regulator, a ja nie byłam już kobietą skazaną na ciasny boks, ale wokalistką wydzierającą się wraz z Freddie Mercuryem. Samochody jadące przede mną zaczęły hamować. Również zwolniłam i wyciągnęłam rękę, aby przytrzymać pudełko leżące na siedzeniu pasażera. W środku znajdowały się fotografia z dnia, w którym byliśmy z mamą w Disneylandzie, gdy miałam pięć lat, kubek z twarzą Davida Bowiego i trzy niezbyt świeże batoniki zbożowe, które znalazłam zakopane pod jakimiś starymi dokumentami. Wszystkie moje osobiste rzeczy.

Pół godziny wcześniej wezwała mnie do siebie moja szefowa Beth. Wzięła mnie za rękę, przy okazji wcierając w moją skórę nieco swojego kremu o zapachu limonki, i mnie zwolniła. Spojrzałam na swoje uda wystające spod prostej granatowej sukienki oraz tanie baleriny i poczułam dziwną lekkość. To samo uczucie towarzyszyło mi każdego dnia, gdy o siedemnastej szłam przez parking, ale teraz zostało dziesięciokrotnie zwielokrotnione. Jakbym w którymś momencie usłyszała reżyserski klaps, wszystko w gabinecie Beth rozjaśniło się od studyjnych reflektorów i ktoś krzyknął: „Okej, koniec zdjęć do *Kancelarii!* Dobra robota, Cassie”.

I to miało miejsce właśnie dziś. Zeszłam z planu, aby rozpocząć prawdziwe życie, w którym, miejmy nadzieję, będę mogła śpiewać nie tylko w samochodzie. Pomimo tego, że Beth z udawanym współczuciem wyrecytowała mowę zatytułowaną „Bardzo żałuję, że muszę to zrobić”, przez którą jestem spóźniona do mojej drugiej, teraz już jedynej pracy, musiałam zrozumieć, że zwolnienie z kancelarii prawniczej Jimenez, Gustafson & Moriarty i tak było mi przeznaczone. To nie fałszywe błogosławieństwo, nie pobudka, ale słodka, dobra rzecz, której pragnęłam i wyczekiwałam: aby przez długie godziny nie lizać znaczków pocztowych i nie szukać literówek, a także by nie musieć ciągle minimalizować przeglądarki z występami Hiatus Kaiyote na YouTube, gdy wyczuwałam, że Beth stoi za moimi plecami.

Zmieniłam pas, żeby wyprzedzić pathfindera. Oto ten moment. Miałam to ogłosić. Ściszyłam Queen, wybrałam numer, przełączyłam telefon na głośnik i wrzuciłam go do uchwytu na kubek.

– Halo. – W tle słychać było ruch uliczny. Mama musiała wracać z rezydencji Florienów, w której sprzątała w piątki.

– Cześć – powiedziałam. – Zwolnili mnie.

Cisza. Samochody przesuwają się powoli.

– Zwolnili cię?

Wypuściłam wstrzymywane w płucach powietrze i się uśmiechnęłam.

– Tak.

– Zwolnili cię? – powtórzyła.

– Tak, mam – potwierdziłam.

– Za co?

– Powiedzieli, że ruch jest mniejszy, więc połączą moje stanowisko ze stanowiskiem Stephanie, która pracuje u nich dłużej niż ja, więc dupa. – Wydałam z siebie smętnie brzmiące prychnięcie. – Żegnamy, Cassie.

– Przykro mi, *mija*[1]. – Mogłam wyobrazić sobie jej twarz, zaciśnięte sztywno usta, zmarszczone brwi. – Bardzo mi przykro, że do tego doszło. Co teraz zrobisz?

Pomyślałam o zadymionej piwnicy Nory, o Tobym obracającym się na stołku za perkusją, o przyciśnięciu ucha do starego keyboardu, który kupiłam na craigslist[2]. O tym, że nigdy nie będę musiała kończyć prób zespołu o dwudziestej drugiej, żeby na drugi dzień być w miarę przytomną podczas codziennych męczarni przy tworzeniu arkuszy kalkulacyjnych. Mogłabym zostać prawdziwym muzykiem. Mogłabym obudzić się jutro, pojutrze i w kolejne dni, wiedząc, że cały swój czas mogę poświęcić zespołowi The Loyal.

Rozpogodziłam się.

– Jadę do Handle Bar, więc chyba jakoś to będzie.

– Dobrze to znosisz.

– Tak – przyznałam, zmiękczając głos, by wybrzmiał w nim smutek, skoro tego właśnie oczekiwała. – Staram się.

– A co z ubezpieczeniem zdrowotnym?

W pobliżu rozbrzmiał klakson ciężarówki.

– Mamy programy rządowe... – przekrzyczałam hałas.

– A co z czynszem? – przerwała mi. – Martwię się – dodała i, jakby to było jakieś hasło, nastąpiło zwolnienie blokady i zaczęła nawijać. Miałam nadzieję, że nadal jechała powoli. Miała tendencję do żywego gestykulowania. Mówiła o odprawie. Stwierdziła, że minął termin składania wniosków do państwowej opieki zdrowotnej, ale że może zrobić wyjątek.

Czekałam, żeby powiedzieć jej o mojej całkowitej przemianie, gdy paplała, a ja oddychałam głęboko, aby uspokoić przerażoną podświadomość.

Nauczyłam się zwracać na nią większą uwagę niż zapewne większość ludzi. Instynkt i ja musieliśmy grać w tej samej drużynie, bo przez ostatnie miesiące był nie do zniesienia. Wyobrażałam go sobie jako starego mędrca, uosobioną postać z filmu animowanego. Komunikował się ze mną najczęściej przez żołądek i zwykle były to zdania typu: „Nie doceniam tych pikantnych serowych chrupek” albo „Ta zupa fasolowa to dobry wybór, rozciągnę się i będę ją chwilę trawił”.

Teraz wydawało się, że mówi to samo co mama, choć w znacznie miłszy, spokojniejszy sposób. „Cassie, przejrzyj na oczy”, wysapał i wysłał z żołądka falę mdłości. Mama dalej nawijała.

– Przestań panikować! – przerwałam na tyle donośnym głosem, że kobieta siedząca obok w volkswagenie spojrzała na mnie wymownie. – To świetna okazja.

– Masz rację, Cass – wyznała.

I przez cudowną chwilę wszyscy byliśmy zgodni – ja, mama i moja intuicja. Samochody ruszyły się o całe pół metra, a przez otwarte okno powiał wietrzyk.

– Wolny czas będziesz mogła poświęcić na przygotowanie się do egzaminu na studia prawnicze – podsunęła nagle.

Instynkt znów się wystrzył, a ja przyhamowałam, o centymetr unikając najechania na zderzak hondy przede mną. Miałam wielką ochotę walnąć głową w kierownicę.

Przy jej sposobie mówienia zabrzmiało to znacznie gorzej niż zazwyczaj. Oczywiście nie zamierzała rozbić mojego keyboardu Yamahy i, przykładając mi pistolet do głowy, zmusić, bym zapisała się na Uniwersytet Teksański w Austin, ale odkąd cztery lata temu ukończyłam studia licencjackie przygotowujące na prawo, ziarnko zostało zasiane i zapuściło nawet korzenie. Teraz mogła pomóc mu wyjść na słońce, podlewać i namawiać do wzrostu, aż zacznie mnie dusić. Chciałam tworzyć muzykę. I nie jakąś tam pierwszą lepszą, a moją własną, z moim zespołem – Norą i Tobym – coś pomiędzy Eltonem Johnem, Niną Simone i Jamesem Blakiem. Tylko to dawało mi szczęście. *Ale szczęściem się nie najesz.*

Matka przypominała mi o tym przy każdej nadarzającej się okazji, a teraz, gdy straciłam pracę w kancelarii, nie miałam czym odwrócić jej uwagi.

– Egzamin, tak... – rzuciłam i odetchnęłam głęboko.

– Wiesz co? Mam świadomość, że nie będziesz miała teraz za dużo pieniędzy, więc może zapłacę ci za kurs?

Żołądek znów mocno mi się ścisnął.

– Muszę kończyć – powiedziałam.

– Dobrze, zacznę szukać kursów w okolicy.

Przełknęłam ślinę.

– Nie musisz tego robić.

– Dlaczego?

– Dobra, kocham cię, mam. Pa!

Rozstrojone nerwy przyprawiły mnie o zawroty głowy. To miało miejsce dość często. Przeważnie ze dwa razy dziennie. Stąd właśnie dobre współdziałanie reakcji żołądka z instynktem. Zazwyczaj o wszelkie dolegliwości obwiniałam towarzyszący mi niepokój związany z kredytem studenckim i próbowałam ustalić źródło obecnego dyskomfortu mojego ciała. Głód? Przejedzenie? Siku? *Postawmy na głód*, powiedziałam brzuszki. Otworzyłam batonik, wgrzyłam się w nieświeże zboża, próbując powstrzymać zawroty głowy.

Mój telefon zawibrował. Spodziewałam się, że to wiadomość od mamy, ale to był Toby.

Jakieś plany na dziś?

Uśmiechnęłam się. Wiadomość w dniu, w którym nie mieliśmy próby zespołu? I to przed północą? A to ci nowość. Kiedy samochody się zatrzymały, zaczęłam pisać *Może wpadnę po pracę*, ale przerwałam. Dam mu czekać. Toby miał długie włosy, był wysoki, podobny do Cata Stevensa i grał na perkusji. W Austin. Poradzi sobie. Byłam najprawdopodobniej jedną z trzech kobiet, które dostały tę wiadomość.

Telefon ponownie dał o sobie znać. To Nora, która też pracowała w barze. *Gdzie jesteś?*

W korku. Jadę, zaraz będę, odpisałam. Nieważne.

Załatwiłam jej tę pracę, więc nie może udawać, że jest za wszystkich odpowiedzialna. Gdyby nie ja, siedziałyby na kanapie, pociągając z bongo, próbując rozgryźć partię basową w piosence *Psycho Killer*.

Musiałam pokazać mamie, że mówię poważnie. Być może przekonałby ją album naszego zespołu. Jeszcze nienazwany. Toby sugerował, aby nadać mu tytuł *Lorraine*, jak imię jego kotki. Najpierw jednak musieliśmy go nagrać. Reszta – opieka zdrowotna, pieniądze – przyjdą później. Instynkt komunikujący się za pomocą żołądka znów się ze mną nie zgodził.

– A co ty tam możesz wiedzieć? – zapytałam na głos i ponownie puściłam muzykę na

cały regulator. – Traw batonik i się nie wymądrzaj.

[1] Po hiszpańsku – kochanie (przyp. red.).

[2] Craigslist – amerykański internetowy serwis drobnych ogłoszeń (przyp.red.).

LUKE

Baza wojskowa Fort Hood była jak małe miasteczko. Wszędzie warczał i skrzypiał sprzęt. Drogi układające się w sieć prowadziły do wyschniętych trawników, strzelnic, akademików z lat siedemdziesiątych, wielkich, czerwonych bram, przez które wjeżdżały i wyjeżdżały pojazdy o różnych rozmiarach i możliwościach zabijania. Zauważyłem, że podlano trawę. Za nami rodziny i przyjaciele siedzieli na składanych krzesłach, wachlując się ulotkami z logo *STRONG ARMY*.

Wcześniej gdy się pakowaliśmy, uderzyła we mnie pustka na pryzkach wokoło. Zniknęły po nas wszelkie ślady. Posprzątano przed pojawieniem się kolejnej grupy rekrutów. Nie żebyśmy mieli dużo rzeczy – żółty ręcznik wojskowy przewieszony przez krzesło, oprawiona fotografia Eleny, dziewczyny Frankiego, stojąca na jego biurku, mały notatnik, w którym zapisywałem czasy biegów. Ale to nie był obóz szkoleniowy. To nie była nawet unitarka. To szkolenie piechoty. Celem przebywania w bazie Fort Hood było jej opuszczenie. Zaraz miało do tego dojść.

– Odpuście, cieszcie się wolnym czasem – kończyła przemowę kapitan Grayson. – I mądrze go wykorzystajcie. Pamiętajcie, że reprezentujecie 6. batalion 34. Dywizji Piechoty Red Horse i Armię Stanów Zjednoczonych. Kiedy powrócicie do służby, znajdziecie się na polu walki.

– Nie piernicz – mruknął pod nosem stojący obok mnie Frankie.

Za dwa tygodnie nasza kompania ma lecieć do nieokreślonej nam jeszcze bazy w południowo-zachodnim Afganistanie. Misja antyterrorystyczna. Pobyt ma trwać przynajmniej osiem miesięcy, maksymalnego czasu nie określono, więc pewnie z rok. Wyjazd na wojnę był przyczyną całej tej ceremonii, podczas której nam gratulowano i nas żegnano. Zaczęliśmy klaskać.

Po drugiej stronie placu żołnierze witali się z rodzinami. Patrzyłem, jak Clark bierze córeczkę na ręce i kręci się z nią jak w reklamie ubezpieczeń, po czym stawia na ziemi, by mógł objąć twarz żony i pocałować ją w usta. Gomez wskoczyła na męża, otaczając go nogami w pasie. Frankie zniknął.

Obok mnie stanął Davies, trzymając берет. I Armando. Sieroty trzymały się razem.

– Wszyscy macie bliskich w domu? – zapytał Davies. To przyszczaty dzieciak, który niedawno ukończył szkołę średnią, jeden z najmłodszych z nas i głupi jak but. Ledwie mógł rozpoznać litery na badaniu u okulisty. Ma jednak złote serce.

– Najważniejsza dla mnie dziewczyna i moja siostra nie mogły wyrwać się z pracy – wyznał Armando, krzyżując ręce na szerokiej piersi.

– Ja nie mam nikogo – powiedział Davies. – Nienawidzę tego.

Ponad ich głowami dostrzegłem Frankiego, który brał w ramiona piękną kobietę w żółtej sukience. Elenę. Przyniosła kwiaty. *Zuch chłopak, Frankie*. Przyglądali się temu jego obejmujący się rodzice.

Armando przesunął dłonią po krótkich, czarnych włosach, rozprawiając na nich pot.

– Napiłbym się zimnego browarka.

Zwilżyłem językiem wyschnięte wargi, obserwując, jak Gomez śmieje się z mężem, stykając się czołami.

– Też bym łyknął.

– Jedziesz autobusem, Morrow? – zagadnął Armando.

– Chyba tak – odparłem.

Davies położył ręce na naszych ramionach.

– Co robicie wieczorem? Zabawimy się?

– Jasne – rzucił obojętnie Armando. – A teraz puszczaj, Davies. Jest za gorąco.

Davies skinął na mnie głową.

– Chodź, Morrow. Co masz innego do roboty?

Zerknąłem na telefon. Przynajmniej Johnno jeszcze nie dzwonił.

– Nie wiem.

Armando pokręcił głową, patrząc na mnie.

– Jesteś jednym z tych dziwnych, cichych, co?

– Nie – odparłem stanowczo.

Ale może byłem dziwny. No i co z tego? Nie byłem tutaj z tego powodu, że chciałem dać skopać sobie tyłek, przygotowując się do przemierzania Bliskiego Wschodu z kawałkiem śmiertelnie niebezpiecznego metalu w dłoniach, tylko dlatego, że znudziło mi się granie w fantasy futbol.

– Cucciolo! – zawołał Davies.

Elena i Frankie podeszli, za nimi jego rodzice. Matka to piękna kobieta w białych, lnianych spodniach, po której syn odziedziczył duże brązowe oczy. Ojciec to Włoch z kręconymi, czarnymi włosami, gęstymi brwiami i błyszczącą skórą. Elena pocałowała chłopaka w policzek. Klasnął, zbliżając się do nas.

– Ktoś jeszcze wybiera się wieczorem do Austin? Mam ochotę się nachlać.

– Jaha! – rzucił Davies. – Piszę się.

– Powinniśmy jechać? – zapytał Armando.

Frankie spojrzał na mnie.

– Jak chcesz.

– Tym razem odpadam.

– Ej, no weź.

Posłałem mu wymowne spojrzenie.

– Muszę jechać do Budy.

– Dziś? – Kiedy nie odpowiedziałem od razu, Frankie spoważniał. Ściszył głos. – Coś się stało?

– Nic szczególnego – rzuciłem, choć poczułem, jak serce mi się ściska. – Takie tam rodzinne sprawy. Po drodze znajdę jakiś motel.

– Motel? – Frankie mi się przyglądał. – A co z twoim bratem?

Milcząc, odsunąłem się na bok. Frankie poszedł za mną.

– Mam kilka rzeczy do załatwienia. Nie chcę... Tak. – Powinienem być na tym

poprzestać. – Nie dogaduję się z ojcem. A Jake ma żonę i dziecko. Nie chcę sprawiać im kłopotu.

Kiedy po raz ostatni widziałem się z Jakiem, przyniosłem mu list z przeprosinami, który napisałem na papierze firmowym ośrodka imienia Świętego Józefa, w którym spędziłem dziesięć dni na detoksie. Ale zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Rok później wciąż mam tę kartkę w torbie, jakbym już nigdy nie był w stanie napisać tego wszystkiego od nowa.

– Daj spokój, zaraz wyjeżdżasz. Ktoś pozwoli ci spać na kanapie – powiedział Frankie. – Na jakiś czas możesz nawet zostać u mnie.

– Nie trzeba. Znajdę hotel. Ale dzięki.

Wzruszył ramionami.

– Rodzice mają duży dom. Będziesz miał własny pokój.

Serce lekko przyspieszyło. Musiałem podjąć decyzję, czy kolejne dwa tygodnie spędzić w łóżku w domu w Austin, czy może w pokoju motelowym przy autostradzie, gapiąc się w gówniany telewizor, starając się nie wrócić do nałogu, więc łóżko w klimatyzowanym budynku miało swoje zalety. Ale lubiłem Frankiego. Zaprzyjaźniliśmy się, dlatego nie chciałem zabrać swoich problemów do jego domu.

Dużego, wygodnego domu z klimatyzacją.

– Na całe dwa tygodnie? – *Nie wyglądaj na desperata.*

– Na tak długo, jak będzie trzeba – odparł, patrząc na mnie i pokiwał głową.

Luke Morrow nie był osobą, którą tacy ludzie zapraszają do domu. Nawet zanim wszystko się spartaczyło, nie byłem człowiekiem, który uściśnie ci dłoń i pogada o pogodzie. Nie miałem mamy, która nauczyłaby mnie, jak być dżentelmenem, jak zaproponować, że umyję naczynia po obiedzie. Woląłem zapalić na werandzie, czekając, aż wszyscy pójdą spać.

Ale nikt tutaj o tym nie wiedział. Mogłem zmywać naczynia, czemu nie? Mogłem do wszystkich zwracać się „proszę pani” i „proszę pana”, teraz byłem w tym dobry. Atmosfera na chwilę się ochłodziła. Zaczerpnąłem głęboko powietrza.

Uniosłem rękę. Frankie ją uściśnął.

– Doceniam.

– Morrow też się pisze! – wrzasnął.

W kieszeni zawibrował mi telefon. Wyjąłem go i spojrzałem na ekran. Johnno. Wyciszyłem.

Nie wychodziłem na miasto, żeby wciągać wątpliwego pochodzenia prochy. Mieliśmy iść z przyjaciółmi do baru z muzyką i lodem w szklankach. Frankie uśmiechał się szeroko, beztroško. Ruszyliśmy z pozostałymi rodzinami i wszystkimi innymi.

CASSIE

Po północy w Handle Bar nieco się przerzedziło. Przez wysokie okna wpadało powietrze z dymem z tarasu i płynęło ponad stołami bilardowymi. Kilka spoconych sobowtórek Lany Del Rey pozowało do selfie pod mrugającym światłem i plakatami Lone Star, ponad głowami hipsterów grających w scrabble facet z koczkiem balansował z dzbankiem wypełnionym po brzegi piwem. Poza tym do baru nie wpływały żadne pieniądze. Wszyscy pili, ale nikt nie prosił o dolewkę. Zwilżyłam wyschnięte usta resztą napoju gatorade i ponownie zakręciłam gęstą, splątaną masę, która niegdyś była moimi włosami, nim dobrała się do nich wilgoć, następnie przejrzałam listę, którą sporządziłam na serwetce:

Zaklepać miejsce u Peteya podczas wieczorku muzycznego.

Zdobyć kolejny wzmacniacz.

Poprosić o więcej godzin pracy w barze i zarobić więcej kasy.

Nora przeszła obok mnie w dżinsach tak opiętych jak druga skóra oraz w obciętej od dołu koszulce Stonesów i zerknęła na moją listę.

– Wielkie plany?

Postukałam palcem w serwetkę.

– Koniec z graniem na osiedlowych imprezach, za które płacą nam kartami upominkowymi. Musimy występować w prawdziwych lokalach, być suportem na koncertach. W taki właśnie sposób zaczniemy zarabiać prawdziwe pieniądze.

Spojrzała na miejsce, z którego obserwowała nas grupa pracowników biurowych skulonych nad wysokim stołem.

– Nie będę się kłócić! Ale...

– Tak, tak. – Machnęłam ręką. Już wiedziałam, co powie. – Miałam obsesję na punkcie doprowadzenia epki do perfekcji. Teraz to widzę. Musimy to po prostu zrobić. Cały album piosenek jest lepszy niż cztery idealne utwory, prawda?

– Tak! – Ponownie zerknęła na swój stolik. – A teraz, kiedy...

Dokończyłam za nią, czując coraz większe zawroty głowy.

– Teraz kiedy nie pracuję w kancelarii, mogę poświęcić czas na załatwienie nam występów! Prawda?

– Tak, ale... – Wskazała za siebie.

– Żadnych „ale”. – Uniosłam ręce. – Ale co?

– Poproszę trzy giny z tonikiem i Lone Star dla tamtych przy wysokim stole.
– O. – Zaczęłam wsypywać lód do trzech szklanek.
– Dajesz czadu, co? – rzuciła. – Podoba mi się. Bezrobotna Cassie nie czeka na żadnego faceta.

Tak. Sama prawda.

– Myślę, że kilka lat pieprzenia bez zobowiązań wystarczy.
– Tak długo, jak nadal będziemy mogły mieć nasze piątki z Fleetwood.
– Jasne. – Udawałam, że robię znak krzyża. Na każdą piątkową próbę ubierałyśmy się jak wiemy i rozgrzewałyśmy się utworami z albumów *Rumours* i *Fleetwood Mac* nazwanego tak samo jak ich zespół. Biorąc pod uwagę to, że nasz perkusista Toby był w zespole zaledwie od sześciu miesięcy, nie zdecydował się jeszcze dołączyć do naszych przebieranek, choć czasem wkładał kamizelkę.

Przy wejściu eksplodował śmiech, gdy weszła grupa młodych, ogolonych facetów, którzy byli już zdrowo podchmieleni, sądząc po tym, jak dotykali się nawzajem.

– Strażacy? – zapytałam Norę, napełniając kufel bursztynowym płynem.

– Wydaje mi się, że żołnierze – odparła.

– Tak jest – rzuciłam z przesadnym, żołnierskim tonem, ustawiając napoje na jej tacy.

Następnie ściszyłam głos i się do niej przysunęłam: – Zarobię dla nas trochę kasy.

– Dawaj.

– Cześć, chłopcy! – zawołałam, otwierając ramiona. – Co wam podać?

Żołnierze ustawili się rzędem za stołkami barowymi, przenosili spojrzenia ze mnie na zawieszony wyżej telewizor, na którym wyświetlał się kanał sportowy SportsCenter.

– Cassie! – zawołał ktoś.

Rozejrzałam się. Pomiędzy dwoma krótko ostrzyżonymi mięśniakami znajdowała się znajoma twarz, która straciła nieco pulchności na policzkach.

– Znam ją!

Roześmiałam się z niedowierzaniem, patrząc w duże, brązowe oczy.

Frankie Cucciolo, niebieski Power Ranger, gdy ja byłam różowym. Człowiek, który w dzieciństwie był mi jak brat. Mama sprzątała w domu jego sąsiadów, a my strzelaliśmy do siebie pistoletami na wodę i w kółko oglądaliśmy *Uwolnić orkę*.

Wyszłam z za baru, by go uściskać. Pachniał tak samo, jak kiedy sypał mi piasek za koszulę – jak chipsy.

– Co tam u ciebie? – zapytałam. Dawno temu się przyjaźniliśmy, jeszcze zanim wyjechałam na studia. Byliśmy żyłci, ale nie widzieliśmy się przez kilka lat.

– Świetnie! Niedługo wyjeżdżam na misję – odparł.

Chwyciłam go za ramiona.

– Na misję? Jesteś w wojsku?

Frankie został żołnierzem. Ugryzłam się w język, by nie zapytać, czy on tak na poważnie. Wróciłam za bar.

– Tak! – odparł. – Lecimy za dwa tygodnie. – Poklepał po ramionach stojących obok chłopaków. Wszystkich było z piętnastu, więc się porządnie przygotowałam. Ustawili się w rządki przed barem. Nawiązałam rozmowę z każdym, starając się nie brzmieć jak przyjacielski robot:

– Fort Hood, co? Wow, elegancko. – *Nie mam pojęcia, gdzie to jest.* – *Że kim jestem? Portorykanką? – Jestem człowiekiem. A, faktycznie chodziło ci o moją narodowość.* – O, dziękuję! To miłe! – *Jasne, że moja koszulka jest urocza. Zwłaszcza jeśli są w niej moje cycki.*

Na końcu kolejki stał niższy, młodo wyglądający chłopak o szerokiej klatce piersiowej

i z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Wyciągnął rękę.

– *Soy Armando.*

– *Soy Cassandra.* Co pijecie? – zapytałam, przekrzykując hałas, zerkając na stojącego obok niego kolegę.

– Może być budweiser – odparł, ale zdążyłam się już rozproszyć.

Armando był przystojny jak oni wszyscy, ale facet obok niego miał szerokie ramiona i ciemne, ledwo widoczne na ogolonej głowie włosy. Szczupły, z długimi rzęsami, pełnymi ustami oraz opaloną skórą, która była niemal tak ciemna jak moja.

Kiedy połapał się, że na niego patrzę, oderwał wzrok od statystyk Rangersów w telewizorze.

– Cześć – powiedziałam flirciarsko. – Co podać?

– O, eee. Nie piwo.

Parsknęłam śmiechem.

– Jakiego rodzaju „nie piwo”?

– Eee... – Spojrzał na zawieszony ponad moim ramieniem menu, po czym na prawo na nalewaki. – Właściwie to nie wiem. Przepraszam, minęło trochę czasu w trzeźwości.

– A co lubisz?

– Eee... – Wpatrzył się w powierzchnię kontuaru, jakby rozważał, z czego składa się ciemna materia.

– Proszę. – Wzięłam trzy małe szklanki i nalałam różnych napojów. Wskazałam na nie po kolei. – Koktajl ziołowy z wodą i limonką, bezalkoholowy Shirley Temple oraz piwo imbirowe.

Wypił wszystkie, patrząc na mnie sponad brzegów szklanek. Kiedy skończył, machnął ręką na trzy naczynia.

– Wszystkie dobre.

– O, poznałaś Luke’a! – krzyknął Frankie. Podszedł z zaczerwienioną twarzą. – Luke, to Cassie.

Nora wcisnęła się pomiędzy Frankiego a Luke’a i zanurkowała pod barem.

– To moja basistka Nora – powiedziałam do Frankiego i ruchem głowy wskazałam dziewczynę, po czym nasypałam pełno lodu do trzech szklanek.

– Hejo – rzucił podпиты.

– Nora, cześć, wow – wtrącił Armando. Ledwie zauważył, że postawiłam przed nimi piwo. – Jestem Armando.

– A ja jestem w pracy – odparła, rozciągając pomalowane szminką usta w szerokim uśmiechu, przyciskając łokciem wysoką puszkę piwa. Armando odprowadził ją wzrokiem, gdy zanosila napoje. Odszedł od baru w stronę żołnierzy, którzy kołysali się do *This Is How We Do It* przy szafie grającej. Standardowa akcja. Nie znajdują tam nic stworzonego po dwa tysiące piątym.

– Powodzenia – wypowiedziałam bezgłośnie, gdy na mnie spojrzęła. Przewróciła oczami.

Z nieskrywaną przyjemnością zauważyłam, że Luke nie ruszył się z miejsca.

Gadaliśmy z Frankiem o bzdurach, gdy nalewałam następną kolejkę jego kumplom. Luke miał srebrnoniebieskie oczy. Kiedy obróciłam się, żeby nalać Frankiemu whisky old fashioned, usłyszałam, że o coś cicho spytał, na co nasz wspólny znajomy rzucił głośno:

– Cassie? Nie, jest dla mnie jak siostra. Ale żołnierze nie są w jej typie. Przynajmniej tak było w liceum.

Odpaliłam zapałkę. Nadstawiłam uszu. W szkole średniej w moim typie byli idioci.

– Nie wnikałmy w to.

– A jaki jest twój typ? – zapytał Luke.

Przesunęłam płomieniem po skórcie pomarańczy.

– Mitologiczne stworzenia.

– Jakież z nich tu jest? – dociekał, unosząc brwi i się rozglądając.

– Nie – odparłam. Poczułam, że kąciki ust unoszą mi się podobnie jak jemu.

Nora postawiła tacę na barze.

– Mogę prosić następną kolejkę dla tych z wysokiego stolika?

Armando ponownie do nas dołączył, tym razem w towarzystwie rudego faceta w niezbyt pasującej mu koszulce w paski i w okularach.

– Żołnierze nie są w twoim typie, co? – wybełkotał, wskazując na mnie, gdy oparł się o bar. – Możemy bronić twojego tyłka, ale nie możemy go dotknąć?

– Davies – upomniał go Frankie. – Koleś.

Odetchnęłam głęboko. Dupek numer dwa tysiące trzysta siedemdziesiąty piąty w mojej barmańskiej karierze. Napelniłam szklanki.

– Woda dla ciebie, kolego.

– Tylko nie woda, daj spokój! – powiedział rudy i popchnął szklankę tak mocno, że rozlała się jej zawartość.

Czerwieniąc się, wzięłam ścierkę i starłam kałużę.

– Alkoholu już ci chyba wystarczy.

– No weź! – zawołał, po czym nieco ciszej dodał do Frankiego: – Twoja znajoma to suka.

Natychmiast oparłam się brzuchem o kontuar i zbliżyłam do niego twarz.

– Wynocha – poleciłam. Na jego szczupłej twarzy pojawił się krzywy uśmiezek. Wargi miał spierzchnięte, oczy wilgotne i przekrwione.

– Hej, hej, hej... – Wycofał się, unosząc ręce, wciąż się uśmiechając. Zaczął wytrzeszczać oczy. – To tylko... To tylko... No wiesz.

Byłam coraz bardziej wkurzona.

– Wyjdz, inaczej ochrona cię wyprosi – zakomunikowałam z beznamietną miną.

Armando objął rudego w pasie i poprowadził do drzwi. Wzięłam kolejną szklankę i zaczęłam udawać, że ją wycieram, czekając, aż serce mi się uspokoi, a puls wróci do normy. Zdmuchnęłam kilka ciemnych pasm z twarzy, bo przykleiły mi się do ust.

– Czy to naprawdę było konieczne? – zapytał gość przy barze. Luke.

– Słucham?

Wzruszył ramionami.

– Nie musiałś go wyrzucać. Niedługo wyruszy na misję, musi się nieco wyluzować. Może zginać.

– O Boże – mruknęłam. – Nie prosiłam go o to. I to na wojnie, w którą nawet nie wierzę, więc nie, nie zamierzam mu niczego ułatwiać.

Wpatrywał się we mnie, nagle poważniejąc.

– Nie, nie prosiłaś go, ponieważ zgłosił się na ochotnika, by bronić naszego kraju. W którym ty również mieszkasz.

– Nie tylko my potrzebujemy obrony, ale jak chcesz. – Uniosłam ręce w geście poddania i rozejrzałam się po lokalu, wzrokiem szukając Nory. Niech będzie temu patriocie, ja chciałam jedynie wrócić do swojej pracy.

Usłyszałam jego głos wyraźniej, bo mężczyzna opierał się o bar.

– Wiesz, co się tam dzieje? – zapytał, a ja zamarłam i na niego spojrzałam. – Z Państwem Islamskim?

Czy wiem, co się dzieje z Państwem Islamskim? Jakbym nie umiała czytać. Nie powinnam wdawać się w dyskusję, ale nie umiałam się powstrzymać. Był taki arogancki.

– ISIS to fundamentalistyczna odpowiedź na to, że Stany Zjednoczone z chciwości

rozpieprzyły cały tamten region świata. – Z szoku na chwilę opadła mu szczęka. – A wy wszyscy najwyraźniej uważacie, że to dobry pomysł tam wracać i z nimi zadzierać. To się tam właśnie dzieje.

Wyglądał na oburzonego.

– Nie tylko „zadzieramy z nimi”, Cassie.

Dźwięk mojego imienia wydobywający się z jego ust sprawił, że żołądek fiknął mi koziółka.

– Czyżby, Luke?

– Armia buduje również drogi, szpitale, szkoły... Chronimy cywilów. Chronimy pracowników organizacji humanitarnych.

Uniosłam rękę.

– Brawa dla was!

Zesztywniał, wyjął kilka banknotów i rzucił je na blat.

– Wychowywałaś się z Frankiem, prawda? – Ruchem głowy wskazał na naszego wspólnego znajomego, który zawędrował do szafy grającej.

– Tak jakby.

Wyprostował się i dopił wodę.

– W takim razie to logiczne.

– Co takiego? – Byłam zła na siebie, że musiałam na niego spojrzeć, że pomimo tego całego gniewu, wciąż mnie do niego ciągnęło.

Machnął na mnie lekceważąco ręką.

– Tatuże, naklejki na zderzak, niezależny rock, bla, bla, bla. Pewnie jeździsz priusem, za którego zapłacili starzy.

– Dobra. Po pierwsze, nie znasz mnie. Po drugie, nie dosrywałam ci osobiście. Ani nie psioczyłam na to, co postanowiłeś robić w wojsku. Postawiłam się jedynie dlatego, że nie życzę sobie, by twój koleżka nazywał mnie suką.

Luke natychmiast mi odpowiedział:

– Masz rację, nie znamy się, ale wiem, że nie dałaś przerażonemu dzieciakowi szansy, by wytrzeźwiał, przeprosił i spędził tu wieczór z kumplami. Bo co? Chcesz pokoju na świecie? – Postukał w kontuar. – Trafiłem? Tak, żebyśmy mieli jasność.

– Wiem, jak się tu zachował, bez względu na to czy jest żołnierzem, czy też nie – krzyczałam niemal, oddychając pospiesznie. – I ty również możesz stąd wyjść.

– Żaden problem – powiedział, odsuwając się od baru. – Miłego życia.

Kilka minut później wyszła cała grupa, Frankie ze smutkiem pomachał mi przez ramię w drzwiach. Nie było już żadnej możliwości zgarnięcia dodatkowej kasy. Sprawdziłam kieszenie fartucha. Nawet po podaniu im dwóch kolejek, rachunek i napiwki były mizerne.

Frankie wsunął ponownie głowę przez drzwi, uśmiechnął się smętnie i zniknął.

Cholera.

Nora podeszła do mnie, w ręce miała kolorową broszurę. Spojrzała na zostawione przez Luke'a pieniądze.

– Weźmiesz to?

– Tak, ale poza tym nie chcę mieć nic wspólnego z tym dupkiem. – Dokładnie wytarłam miejsce na blacie, przy którym siedział. – Mogłabyś mi podać kolejny gatorade? – poprosiłam.

– Jasne. Ile to już? Pięć?

Wzruszyłam ramionami. Byłam spragniona. Jak zawsze.

– W każdym razie, ja też nie chcę żołnierzy. – Podała mi ulotkę. *Zaciągnij się do wojska. Dostrzeż korzyści.* – Armando dał mi ją, oświadczając się.

- Chciał się z tobą ożenić? Poważnie?
- Tak poważnie, jak może chceć pijany żołnierz w przeddzień bitwy.
- Wsadziłam ulotkę do fartucha i wzięłam zwitek paragonów.
- Ile jeszcze klientów obsłużymy, zanim kupimy kolejny wzmacniacz?
- Sporo. – Westchnęła, nalewając wódki do kieliszków. – Zdrówko!

– Wracaj do pracy – poleciłam, unosząc niewielkie naczynie, aby stuknąć się z nią. Śmiałam się, choć nie czułam wesołości. Alkohol popiłam gatorade i próbowałam stłumić uczucie strachu. Nie wiedziałam, skąd się wzięło. Może powstało przez tego żołnierza, a może dopiero teraz dotarło do mnie, że straciłam etat w kancelarii? Naprawdę musiałam przejrzeć na oczy, przestać pławić się w wolności. Kiedy kończyłam sprzątać kontuar z paragonów, papierków po słomkach, przemoczonych podstawek, ręka wystrzeliła mi nagle po frunący kawałek papieru. Moja serwetka z listą, zmięta i wzgardzona, niemal wylądowała w koszu.

LUKE

Obudziłem się w pokoju gościnnym Frankiego pod pierzyną i z niewidzialnym, siedzącym mi na piersi „słoniem”. Kobieta, która prowadziła grupowe sesje w ośrodku świętego Józefa mówiła, że „wrażenie słonia” może oznaczać niepokój. Myśl o tym sprawiała, że czułem jeszcze większy ucisk w piersi, więc zignorowałem, co powiedziała, ale tak – słoń powodował, że rzeczy, które były dla innych proste, dla mnie były niesamowicie trudne. Bycie miłym, używki i jedzenie w rozsądnych dawkach, wiara w fabułę w filmach, spanie, podejmowanie decyzji. Nigdy nie potrafiłem opanować tych spraw, nawet gdy byłem dzieckiem, i może nigdy mi się to nie uda.

Z drugiej strony niektóre rzeczy, które są trudne dla innych, dla mnie są łatwe, jak wczesna pobudka i przebieżka.

Odnalazłem pokój Frankiego tylko dlatego, że na jego drzwiach wisiała tabliczka z napisem FRNKIE, podobna do teksańskiej rejestracji samochodowej. Uchyliłem je. Przyjaciel głośno stęknął. Spojrzałem na zdjęcia stojące na jego komodzie.

Frankie z rodzicami mrużący oczy nad Wielkim Kanionem.

Frankie jako malec w kowbojskim kapeluszu.

Frankie i dziewczynka w zbliżonym wieku, może kuzynka, siedzący w piaskownicy.

Przyjrzałem się. Twarz dziewczynki wydawała mi się znajoma, mocne brwi, odcień cery nieco ciemniejszy niż mój i Frankiego. Barmanka Cassie. Ha. Nie wiedziałem, że znają się aż tak dobrze.

– Biegasz? – wychrypiął, gdy powiedziałem mu, co zamierzam, wiążąc szaro-zielone brooksy.

– Tak, nie zamykaj na klucz tylnych drzwi, okej? – poprosiłem i wyszedłem. Robiłem dziesięć do dwunastu kilometrów, w zależności od natężenia upału.

Z West Lake Hills w dół wiódł ciemny, gładki chodnik, przy którym stały duże, ale ciche domy.

Byłem również dobry w rozważaniu rzeczy, które niekoniecznie miały jakiegokolwiek znaczenie. I często w głowie miałem mętlik. Myśli rozpoczynały się zazwyczaj od przypadkowego zdania, które gdzieś kiedyś usłyszałem. *Nieżyły strzał, szeregowy. Nieżyły strzał. Nieżyły strzał.*

Dziś było to: *Brawa dla was!*

Cóż, dla mnie. Barmanka mnie wkurzyła. Chociaż raz brawa dla mnie i wszystkich innych. Z Frankiem, Daviesem, Armandem byliśmy tutaj, by się wyluzować, zanim staniemy twarzą w twarz ze śmiercią, a dla niej zupełnie nic to nie znaczyło. Dla takich ludzi jak ona.

Zdałem sobie sprawę, że biegnę środkiem drogi. Wróciłem na chodnik.

Dlaczego w ogóle przejmowałem się tym, co jedna z przyjaciółek Frankiego o mnie myśli? Takie „Cassie” były wszędzie, a zwłaszcza w Austin.

Równy chodnik dzielnicy, w której mieszkał Frankie, wkrótce ustąpił miejsca popękanemu betonowi przy sklepach meblowych, antykwariatach, szkołach publicznych. Pięć kilometrów.

Myśli krążyły w połączeniu z dźwiękiem stóp uderzających o beton na tej mniej ciekawej przestrzeni. Spłowiata żółcie i brązy Budy stanęły mi przed oczami i zacząłem słyszeć głosy tych, którzy zawsze zdawali się ze mną biec.

Twarz ojca pulsująca z każdym moim oddechem, gdy powtarzał: „Ty głupku, ty głupku, ty głupku”. Mimowolnie porównywałem wczorajszy świeży sos do makaronu u rodziny Frankiego z małymi mięsnymi kotletami, które smażył mi ojciec. Były ciepłe i co wieczór pojawiały się na stole o tej samej porze. Precyzyjnie o osiemnastej i ani minuty później. Mogłem włożyć je sobie do zwykłej białej bułki albo nie jeść nic.

Kiedy miałem czternaście lat, zacząłem mówić ojcu, że nie będę nic jadł, wychodząc. *Kupię sobie coś na stacji benzynowej.*

Przy szóstym kilometrze, kiedy słońce stało w zenicie, pomyślałem o Jake’u, który siedział z tatą przy stole, kiedy każdego wieczoru wychodziłem. Pomyślałem o pani June, nauczycielce historii, która mnie zawiodła, o trenerze Porterze, sprzedawcy w Mort’s.

Zastanawiałem się, co by mi powiedzieli, gdyby mnie teraz zobaczyli. *Wow, zmieniłeś się, Morrow. Wziąłeś się w garść.*

Z wyjątkiem Jake’a. Drzwi zatrzaśnięte przed nosem. Mógłbym przyjechać limuzyną, jako wyświęcony ksiądz, a on nie uwierzyłby w moją przemianę. I aż do teraz nie miał ku temu powodu.

Ruszyłem z powrotem w kierunku domu Frankiego, ponownie na wzgórze. Przebiegłem obok włączonych na trawnikach zraszaczy, buldoga francuskiego, retrievera i kobiety w stroju ze spandexu, która je wyprowadzała.

Mięśnie zaczynały piec, ale pracowały w lepkiej aurze. Tygodnie noszenia dodatkowego dwudziestokilogramowego sprzętu, przeskakiwania przez przeszkody, czołgania się pod drutem kolczastym, wielogodzinnych pompek, które kończyłem na ułamek sekundy przed tym, gdy się porzygałem... Po czymś takim bieg pod górę nie stanowił żadnego wyzwania.

Między oddechami wyłożyłem wszystko Jake’owi.

Nie byłem już leniwym, naćpanym samotnikiem, który nocował na kanapie Johnno. Dokładnie wiedziałem, co robię. Ludzie na mnie polegali. Potrafiłem podjąć ryzyko i przedłożyć dobro innych ponad własne. Umiałem stłumić strach i zrobić wszystko, co konieczne, aby wykonać zadanie.

Udowodnij, odpowiedział jego głos.

Zobaczyłem dom w hiszpańskim stylu, w którym mieszkał Frankie. Zwolniłem i, dysząc, popatrzyłem na zegarek. Równo dwanaście kilometrów. Skróciłem swój najlepszy czas o dwie sekundy. Rozpierało mnie zadowolenie.

Musiałem wrócić do Budy tak szybko, jak to możliwe.

CASSIE

Występ w Skylark był jak granie w piwnicy małego, surrealistycznego domu. Cały lokal pomalowano na czerwono. Miękkie dyskotekowe światła tworzyły wzory na niedokończonych podłogach, a przy czarnych sufitach wiły się rury. Zbierałyśmy z Norą napiwki, żeby kupić dla nas używany wzmacniacz, który nie byłby do dupy. Graliśmy u Peteya, a od niego zgarnął nas manager Les RAV – bo odpadł im jeden z suportów i potrzebowali zastępstwa na ostatnią chwilę.

Graliśmy przedostatni utwór, naszą najnowszą piosenkę, pierwszą, którą napisałam do albumu, a ja nie chciałam, żeby to się kiedykolwiek skończyło. Była tu mama. Siedziała z tyłu z kamienną miną, zaciskając palce na torebce, którą trzymała na kolanach, ale jednak była tu.

Na moją piątą gwiazdkę mama kupiła mi mały keyboard Casio, na którym nie przestawałam grać. Po jakimś roku powtarzania mi, żebym już nie grała i nie śpiewała, bo boli ją głowa, przerobiła swoją szwalnię na pokój muzyczny i zostawiła mnie w spokoju. Mocne struny głosowe musiałam odziedziczyć po rodzinie ze strony ojca, bez względu na to z jakiej europejskiej gałęzi pochodziły. Wiedziałam jedynie, że tata wywodził się z Iowy, miał piegi i brązowe włosy jak ja, i zakochał się w Marisol Salazar w kolejce do lady w bibliotece publicznej w San Juan. Poza tymi informacjami na jego temat mama nie chce mi niczego więcej zdradzić, a pytałam, naciskałam, prosiłam...

Nora zagrała niemal niesłyszalny akord, a tłum zaczął krzyczeć, jakby to był koniec, ale kiedy wybrzmiały nuty, ponownie daliśmy czadu.

– Dajesz zbyt wiele, dajesz zbyt wiele, dajesz!

Odsunęłam się od mikrofonu i pozwoliłam, by wybrzmiał łącznik. Światła zapłonęły mocniej, oślepiając mnie. Spojrzałam w bok na Norę.

– Wow – powiedziałam bezgłośnie. Uśmiechałam się szerzej niż przez ostatnie miesiące.

To było dobre, zbyt dobre. Żołądek zaciskał się ostrzegawczo. Dostałam gęsiej skórki i przeszedł mnie dreszcz. Światła jednak mocno grzały. Nie powinnam mieć dreszczy.

– Dajesz zbyt wiele – śpiewałam refren. – Nie prosiłam się o to, jesteś wystarczająco trudny, nie prosiłam się o to. Jestem silna, odpłacę ci za to.

Rozpoczęłam D-dur, czekając na triolę Toby'ego. Nora zmieniła riff i byłam zaraz za nią z niewielkim opóźnieniem, powtarzając jak echo słowa, które napisałam na odwrocie paragonu podczas nudnej nocy w barze.

Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki, opadłam z sił. Ledwie byłam w stanie naciskać

klawisze.

Cholera. Nie jadłam lunchu, rano wcisnęłam w siebie kanapkę. Może to przez to. Miałam zjeść coś w drodze tutaj, ale zajęłam się wciskaniem wzmacniacza i keyboardu na tylne siedzenie subaru.

– Dziękujemy! – zawołałam, oddychając ciężko. Odsunęłam się od mikrofonu, chwyciłam Norę za rękę. – Zaraz wrócę.

Przyjaciółka przełknęła ślinę i stanęła przy mikrofonie obok mnie.

– Mamy epki do sprzedania i dziękujemy Les RAV za to, że...

Dopadła mnie panika. Przed oczami pojawiły mi się mroczki, gdy schodziłam ze sceny, przytrzymując się wszystkiego, czego tylko mogłam, by nie upaść, gdy szukałam drzwi do garderoby.

– Dobrze się czujesz? – zapytał stojący za mną Toby.

Nie odpowiedziałam. Nogi przestały mnie nieść, upadłam na kolana, siniacząc je.

– Ej! – Słyszałam, że się zbliżył. Złapał mnie za ramiona. – Wszystko dobrze?

– Niezbyt, T... – próbowałam powiedzieć, ale wybełkotałam coś niezrozumiałego.

Podczołgałam się do ściany.

– Zawołać twoją mamę? – Klęczał obok mnie w niebieskich dżinsach.

Oblał mnie zimny pot.

– Nie, nie. – Odepchnęłam jego dłoń, wyraźnie zażenowana. – To minie. Wracaj tam.

Otworzyłam oczy. Kiedy je zamknęłam? Zobaczyłam przed sobą zamgloną twarz Toby'ego. *Wygląda jak biały Jezus*, pomyślałam. Jak to się stało, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłam? Brązowe włosy, rudawa broda, niebieskie oczy. *Wcale nie jak Cat Stevens*.

Dotknął mojego czoła, wyjął telefon.

– Powinienem zadzwonić po pogotowie?

– Nie, nie, nie... – mamrotałam. Pomieszczenie znów zaczynało się przechylać. *Nie mam kasy na karetkę*. – Zostań ze mną przez chwilę.

Usiadł obok.

Przez ścianę słyszałam, jak Nora życzy publiczności dobrej nocy. Co się działo? To chyba coś więcej niż niezjedzony lunch. To coś poważnego. Chciało mi się płakać.

– Dzwonię – zdecydował Toby. Widziałam czarny deszcz, czułam, że szyja mi wiotczeje. Nie zdołałam mu odpowiedzieć.

* * *

Mama jechała ze mną w karetce. Traciłam przytomność, to znów ją odzyskiwałam, aż w końcu byłam w stanie wypić trochę soku pomarańczowego. Ratownik powiedział, że to pewnie kwestia poziomu cukru we krwi. Teraz byliśmy w szpitalu Seton Northwest, czekając, aż jakiś lekarz mnie stąd wypisze.

– Kiedyś tak dobrze jadłaś. – Mama siedziała obok mnie na łóżku pomiędzy niebieskimi zasłonkami na izbie przyjęć. Przesunęła kciukiem pod moimi oczami, marszcząc brwi.

– Wciąż dobrze jem. – Byłam wdzięczna, że nie widziała mnie w najcięższym stanie.

Cmoknęła.

– Przez ten makijaż wyglądasz jak ulicznica.

– To nie było miłe.

Biorąc pod uwagę, że matka rzuciła studia, by żyć z ojcem w konkubinacie, i nie była tak zagorzałą katoliczką jak większość Portorykanek, i tak potrafiła być wredna.

Założyła mi kosmyk za ucho.

– Sama sobie robisz krzywdę. Musisz mieć stabilną pracę.

– Chcę działać w muzyce. Właśnie dlatego cię zaprosiłam.

– O rety, Cass. Przestań. Powinnaś leżeć w łóżku – stwierdziła, kręcąc głową. – Nie przebywać na mieście w środku nocy. Jest dwudziesta druga trzydzieści.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – Jakkolwiek dobrze się czułam po interakcji z publicznością oraz po tym, jak pomógł mi Toby, co mnie zaskoczyło, teraz nic już z tego nie pozostało. – Na scenie dałam z siebie wszystko, a ty masz tylko tyle do powiedzenia?

– No już, już. Nie denerwuj się tak.

Pojawiła się pielęgniarka. Obie uniosłyśmy głowy. Poszła dalej. Nie do mnie.

– Twój perkusista był na tyle miły, że do mnie zadzwonił – powiedziała.

– Tak – przyznałam i powstrzymałam się, by czegoś nie dodać. Nie warto było się kłócić.

Już wyrobiła sobie zdanie o moim zespole. Równie dobrze mogła zachować te uwagi o przyjaciółkach z korzyścią dla siebie na inną chwilę. Z Tobym łączyło mnie wiele, również sprawy łóżkowe, ale pomoc przy omdleniu była nowością. Pewnie się wystraszył. Nora też.

– Musisz się oszczędzać. – Wzięła mnie za rękę i pogłaskała po przedramieniu. – Masz umysł. Muzyka jest dobra jako hobby. Nie zapisałaś się na kurs przygotowujący do egzaminów, nie przyjechałaś po książki, które ci kupiłam. Zamiast tego robisz to i przy tym mdlejesz. Nie mogę się nadziwić dlaczego, Cass.

Zabrałam rękę i zaczęłam obgryzać paznokcie, bo gdybym tego nie zrobiła, skrzyczałabym swoją matkę. W końcu mruknęłam:

– Próbowałam ci pokazać dlaczego.

– Przepraszam. – Westchnęła. – Nie rozumiem, dlaczego nie możesz jednocześnie śpiewać i studiować prawa.

Już jej miałam odpowiedzieć, ale weszła lekarka w białym kitlu.

Mama zaczerpnęła tchu i zacisnęła usta. Ponownie wzięłam ją za rękę. Nie gniewaliśmy się długo, po prostu czasem się na siebie wkurzałyśmy. Nauczyłyśmy się tego, dorastając razem – trudno obrażać się na kogoś, kto jednocześnie stanowi twoją jedyną rozrywkę.

– Cassandra? – zapytała lekarka, poprawiając okulary. Spojrzała na podkładkę, którą ze sobą miała.

– Cassie – poprawiłam.

– Doktor Mangigian. Znalazłaś się tu dzisiaj, bo straciłaś przytomność.

– Tak. Miałam dreszcze i pociemniało mi przed oczami.

– Mhm. Tak. Patrzę na twoje wyniki... – urwała i na mnie spojrzała. – Czy często oddajesz mocz?

Pomyślałam o trudnej jeździe w korku czy o próbach zespołu, gdy musiałam wyjść w środku rozmowy i praktycznie biec po schodach w domu Nory.

– Tak. Zawsze miałam mały pęcherz.

– Czy miewasz spore pragnienie i napady głodu? – Przypomniałam sobie, że zeszłego wieczoru wypijałam dwa gatorade'y i chciałam trzeci.

– Czasami. – Do czego zmierzała?

– Czy w waszej rodzinie ktoś miał cukrzycę?

Popatrzyłyśmy na siebie z mamą. Nie wiedziałam o niczym takim. Mama pogłaskała mnie po plecach. Powiedziała lekarce, że jej ojciec cierpiał na tę chorobę. I jego siostra.

– Wciąż czekamy na pełne wyniki badań. – Spojrzała na nas zza okularów. – Ale wydaje mi się, że czeka nas diagnoza mówiąca o cukrzycy typu drugiego.

Cukrzyca. Instykt przemawiający przez żołądek. Spojrzałam w sufit.

– Dobrze. Ale co to oznacza? – zapytałam, starając się powstrzymać powiększający się ucisk w piersi i łzy napływające mi do oczu.

– Zasadniczo polega to na tym, że trzustka nie wie, jak rozłożyć cukier w twojej krwi, więc być może będziesz musiała przyjmować insulinę, która w tym pomoże. Jednak hormon ten może zadziałać aż za dobrze. Musisz więc uważać na to, co jesz, aby nie dostać hipoglikemii. Albo, jak prawdopodobnie stało się dziś wieczorem, nie stracić przytomności z powodu niskiego poziomu cukru we krwi.

– Czy to... – Wypuściłam wstrzymywane w płucach powietrze, starając się zwolnić rozszalały puls. – Czy to będzie tak przez cały czas? – Pomyślałam o uśmiechu, który posłałam Norze, o tym, że waliłam w klawisze z całej siły. O tym, że w końcu sądziłam, że mi się udało, a teraz mi to odbierano.

– Może minąć kilka dni, zanim dostaniemy pełne wyniki badań krwi – ciągnęła doktor Mangigian. – A jeśli diagnoza się potwierdzi, zaczniemy leczenie. Z dietą, ćwiczeniami i odpowiednią dawką insuliny cukrzyca jest całkowicie do opanowania.

Tak naprawdę nigdy nie stosowałam żadnych diet czy ćwiczeń. Dopóki wchodziłam w dzinsy, miałam orgazmy i od czasu do czasu się wysypiałam, pozwalałam ciału zajmować się resztą. Ale hipoglikemia? Trzustka? Nie wiedziałam nawet, gdzie znajduje się ten narząd. Przez cały czas miałam brzuch za przyjaciela, a on próbował mnie zabić.

– Wiążą się z tym igły?

Lekarka parsknęła śmiechem. Mama nie.

– Sporadycznie. Może wystarczy, że będziesz monitorować swój stan. I, jak już mówiłam, nadal nie mamy pewności.

– Ale to przecież cukrzyca. To najbardziej prawdopodobne? – zapytała słabym głosem mama.

Lekarka przytaknęła.

Mama ścisnęła moją rękę.

– Pielęgniarka przyjdzie, by sprawdzić, jak się czujesz, i zapisać numer ubezpieczenia, po czym będziemy mogły stąd wyjść.

Gardło mi się ścisnęło. Nie miałam ubezpieczenia. Oto moja rzeczywistość. Byłam głupia.

– Chyba będę musiała zapłacić z własnej kieszeni.

Mama westchnęła.

– Niech pielęgniarka dopełni formalności, ja się tym zajmę.

Usiadłam na łóżku, wciąż kręciło mi się w głowie.

– Nie, mamo.

– Wszystko w porządku, Cass. Nie jesteś ubezpieczona. Jakie mamy wyjście?

– Nie! – Wciąż odcinała kupony. Z pensji sprzątaczkki nadal spłacała corollę z komisum. Nie stać jej było na jazdę karetką, wizytę na izbie przyjęć. – Nie – powtórzyłam.

Lekarka odchrząknęła.

– Dam wam chwilę. – Wyszła.

– Mam pieniądze – powiedziałam do sufitu. Zastanawiałam się, czy mama zdoła stwierdzić, że kłamię. Miałam dostać ostatnią wypłatę z kancelarii i kasę za dzisiejszy koncert, ale i tak to pewnie nie wystarczy. I tak pieniądze miały iść na opłacenie studia nagrań. Oparłam się i zamknęłam oczy. Wrzało we mnie. Ciało mnie zdradziło. Kiedy popłynęły mi łzy, poczułam, że mama wyciągnęła rękę i mi je otarła.

LUKE

Jechałem autostradą pożyczonym od Frankiego lexusem z zawrotną prędkością sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Nie włączyłem klimatyzacji czy muzyki. Chciałem się czuć, jakbym nigdy wcześniej tam nie był. Im szybciej porozmawiam z Jakiem, tym więcej będę miał czasu na to, żebyśmy się ponownie poznali, zanim zostaną wysłani na misję.

Wjechałem na Old North Loop 4, przejechałem Main Street i minąłem aptekę Bolero. Zdziwiłem się, że Tim, na którego ramieniu wisiała czerwona firmowa kamizelka, nie palił newportsów na tyłach. To on chował oxycontin z zapasów aptecznych, po czym po stałej stawce sprzedawał je Johnno. W miejscu wypożyczalni wideo utworzono AT&T, zmienili szyld, ale inne rzeczy w Budzie pozostały nietknięte. Trawa była brązowa od suszy. Pomijając oczywiście chodniki i parkingi, to skośne dachy i czerwona cegła równie dobrze mogły robić za plan filmowy westernu.

Opuściłem szybę i zaciągnąłem się powietrzem pachnącym kurzem.

Hailey i Jake mieszkali przecznicę od miejsca, w którym wychowywaliśmy się na Arikara Street. Dom był parterowy, kobaltowoniebieski, obsadzony budlejami i penstemonami, rodzimymi roślinami, o których sporo się nauczyliśmy, gdy w wakacje, będąc w szkole średniej, dorabialiśmy w ogrodnictwie. Przy domu stała nowa, drewniana huśtawka. Była niedziela, wiedziałem, że warsztat będzie zamknięty. O ile Hailey i Jake nie zaczęli chodzić do kościoła częściej niż tylko w Boże Narodzenie i Wielkanoc, będą w domu. Mimo to powinienem był wcześniej zadzwonić.

Zaparkowałem, przeszedłem na drugą stronę ulicy, podążyłem chodnikiem do drzwi. Wcześniej się ogoliłem i włożyłem nowe ciuchy. Nic specjalnego, po prostu sztywne, proste dżinsy i koszulę w kratę, która nadal pachniała jak ze szwalni. W dłoni trzymałem stokrotki dla Hailey, a pod pachą zestaw klocków Lego Star Wars dla JJ-a. W kieszeni miałem list dla Jake'a.

Dzieci sąsiadów przeskakiwały przez zraszac. Szczekał pies. Otarłem dłonią twarz i zapukałem.

Cisza.

Ponownie zapukałem. Żadnego szurania w domu. Odsunąłem się od drzwi, zastanawiając się, czy nie włożyć listu pod wycieraczkę, która była zrobiona na wzór logo drużyny Dallas Cowboys, ale usłyszałem śmiech – głośny, piskliwy śmiech JJ-a. Mocniej przytrzymałem prezenty i poszedłem za dźwiękiem na tyły domu. Kiedy dotarłem na skraj podwórza, stanąłem,

bo nie byłem w stanie przejść dalej, jakbym trafił na jakieś pole siłowe. Niebieski przedmiot wzleciał w niebo i zatoczył pętlę. Jacob Junior rósł jak na drożdżach.

Za dzieckiem biegła Hailey w różowej sukience, blond włosy zebrała w kucyk. Trochę przytyła, odkąd się pobrali, miała opaloną, pyzată twarz. Zatrzymała się na mój widok.

Uniosłem kwiaty.

– Cześć, Hailey.

Spojrzała na dom, następnie wróciła do mnie wzrokiem i się uśmiechnęła.

– JJ, uściskaj wujka Luke’a – zawołała do synka.

Mały objął moje nogi, a ja położyłem dłoń na jego jasnej głowie. Na chwilę się rozluźniłem.

– Ile ty masz lat? Trzydzieści pięć? – droczyłem się.

Zachichotał i uciekł.

– Cztery i pół!

Hailey uśmiechnęła się do mnie.

– Cześć, kochany. Chodź tu.

Kiedy się we mnie wtuliła, pomyślałem, że jej ciało jest lekiem. Ofiarowało ciepło i miękkość, o istnieniu których zapomniałem.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytała w moje ramię.

– Byłem w okolicy... – zacząłem, ale dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi sprawił, że umilkłem.

Hailey mnie puściła, na koniec ściskając moje ramię.

Obróciliśmy się oboje do Jake’a, na twarzy którego gościł gniew.

– Co jest, Luke?

Ciemne włosy zaczesał do tyłu i nałożył na nie czapkę z daszkiem drużyny Cowboys, na opalony tors włożył białą koszulkę bez rękawów. Był okrągłszy, włosy miał lekko falowane. Bardziej przypominał naszą mamę, a ja byłem podobny do ojca.

– Przyszedłem porozmawiać... Omówić kilka spraw. Przeprzić. Chciałbym usiąść na chwilę z tobą i Hailey, jeśli macie czas.

Jake skrzyżował ręce na piersi.

– To chyba nie jest dobry pomysł.

Hailey podeszła do niego i odezwała się ściszym głosem:

– Kochanie, chyba...

– Nie powinno go tu być – spierał się Jake. – Tak mówiła terapeutka. Twarde granice.

Miał zapewne na myśli wolontariuszkę z kliniki, która spotkała się z nimi niedługo po tym, jak nie pojawiłem się na ich ślubie kilka lat temu, po którym zorientowali się, jak poważnie jestem uzależniony. Na tym spotkaniu chyba też miałem być.

– Twarde granice, kiedy... – urwała i spojrzała na mnie. – Mówiła, że mamy się z tobą nie kontaktować, jeśli bierzesz. – Spojrzała na męża. – Nawet nie dajesz mu szansy.

Jake spojrzał na synka, który stał nieruchomo, słuchając rozmowy.

– JJ, wejdź do domu, proszę.

– Ale chcę... – Wpatrywał się w klocki, na które pokazał palcem.

Jake podniósł głos:

– JJ, jeden, dwa...

Dziecko sapnęło ze złością, zwiesiło głowę i pobiegło do domu, trzasnęło za sobą drzwiami.

Podszedłem do brata.

– Wstąpiłem do wojska. Nie brałem niczego niemal od roku.

Jake ponownie założył ręce na piersi.

– To dlaczego raz w miesiącu widuję tego skurwiela na naszej ulicy?

Staralem się nie okazać wściekłości, która we mnie zawrzała. Musiał mówić o Johnno. Rozluźniłem zaciśnięte na kwiatach palce i odetchnąłem głęboko.

– Jest stuknięty. Nie wiem, dlaczego tu jest, bo już nic od niego nie kupuję. Od nikogo niczego nie kupuję.

Jake pokręcił głową.

– Ale nadal tkwisz w tym gównie, Luke. Może przestałeś brać prochy, i jeśli rzeczywiście tak jest, to moje gratulacje, ale gdziekolwiek jesteś, ten dupek chodzi za moją żoną i dzieckiem. Nie mogę na to pozwolić.

– Widzisz... – zacząłem, ale urwałem. Pomyślałem o telefonach, wiadomościach na poczcie głosowej, ale nie przyszedłem tu, aby rozmawiać o Johnno. To był inny problem. – Mogę jedynie powiedzieć, że nie biorę i nie jestem w stanie go kontrolować. To, że się tu pojawia, nie jest moją winą.

– To nigdy nie jest twoja wina! – wybuchł Jake. – Właśnie o to chodzi.

Poczułem, jak wszystko we mnie wrze, ale pozostałem spokojny. Wsadziłem rękę do kieszeni po list, który lepiej wytłumaczy sprawę.

– Mogę ci coś przeczytać?

Na twarzy brata odmalował się ból, jakbym go uderzył.

– Jezu, Luke... Nie wiem, stary.

– To zajmie dosłownie chwilę. Nie musisz nic mówić, czy mi wybaczać, ani... Nieważne.

Zanim zdołał ponownie zaprotestować, wyjąłem kartkę. Była pomięta na końcach, bo wiele razy ją rozkładałem i składałem przez ostatni rok. Ślad długopisu niemal wyblakł. Ręce mi drżały.

– Przepraszam, że okradłem warsztat i ciebie. – Spojrzałem na Jake'a, który wpatrywał się w ziemię. Kiedy nie zdałem egzaminów i wylali mnie ze studiów, przestało przychodzić stypendium, zacząłem wyjmować dwudziestki z kasy warsztatu, przed którym siedział Johnno w odpalonym bronco. – Przepraszam, że nie było mnie przy narodzinach waszego syna. – Hailey zaszła w ciążę w wieku dwudziestu jeden lat, gdy Jake ukończył mechanikę pojazdową w technikum w Austin, które ja również miałem skończyć. Głos zaczął mi się łamać, bo wstrzymywałem łzy. – Przepraszam, że byłem naćpany i zepsułem wam ślub, który powinien być najszcześniejszym dniem w waszym życiu.

Pamiętam, że telefon wibrował na szafce nocnej, gdy z dziewczyną o imieniu Jen wciągaliśmy oxy z blatu łazienkowego w jej apartamencie. Ledwo zdążyłem na sesję fotograficzną po ślubie, mając na sobie jedyną czystą koszulę, którą mogłem znaleźć. Nie mówiąc o moich długich, tłustych włosach. Fotograf poprosił, abym przytrzymał maleńkiego JJ-a, żeby Hailey i Jake mogli się objąć na zdjęciu.

Wtedy wkroczył tata.

Nie zgodził się. Powiedział, że nie chce, bym dotykał jego wnuka.

Przełknąłem ślinę, próbując zapanować nad emocjami. Spojrzałem na Jake'a, na jego żonę i wróciłem wzrokiem do brata, po czym dokończyłem czytanie:

– Biorę za tamte wydarzenia pełną odpowiedzialność i nie chcę was znowu zawieść.

– Trochę na to za późno – powiedział Jake.

Zbliżyłem się o krok i wskazałem na dom.

– Możemy usiąść i porozmawiać? Spędzić razem czas? Wyjeżdżam za tydzień.

– Nie jestem gotowy – odparł bez namysłu.

– Co mogę zrobić?

– Nic! – podniósł głos. – Kryłem cię, gdy wyszedłeś i narozrabiałeś. Nie zgłosiłem cię. Poprosiłem, byś był drużbą na moim ślubie, a ty na niego nie przyszedłeś. Nie pojawiłeś się na spotkaniu z terapeutką, gdy chcieliśmy ci pomóc. Skończyłem z dawaniem ci kolejnych szans.

Hailey położyła dłoń na plecach męża i zaczęła je głaskać, by go uspokoić.

– Muszę przyznać, że zgadzam się z Jakiem, Luke – wyznała.

– Przyrzekam, że nie spotykam się z Johnno. Mogę wam to udowodnić. Ojcu również.

Hailey i Jake popatrzyli na siebie.

– Rozmawiałaś z tatą? – zapytał brat.

– Jeszcze nie. – I wątpię, że to zrobię. Jake przynajmniej stał i słuchał. Gdybym zbliżył się do ojca, nie miałbym czasu nawet się przywitać, bo zostałbym wsadzony na tył radiowozu.

Hailey spojrzała na dom.

– Sprawdzę, co tam z JJ-em.

Odsunęła się, po czym zerknęła na mnie przez ramię i smętnie skinęła mi głową.

Zostałem sam na sam z bratem.

– Za tydzień wyjeżdżam na misję. To chyba do zobaczenia po powrocie.

Jake milczał. Po raz pierwszy tego dnia poczułem, że mi się przygląda i widzi we mnie brata, a nie wroga. Obrócił się w stronę domu.

– To ja o tym zdecyduję – powiedział.

Odszedł i zamknął za sobą drzwi. Znowu byłem sam. Zbliżyłem się do budynku, kwiaty i klocki zostawiłem na progu.

Nawet kiedy starałem się wszystko naprawić, nic nie mogło znowu być normalne. Przegapiłem moment, w którym mogłem wpaść na ich podwórko i pogadać o futbolu, o postęпах JJ-a w przedszkolu. Wszystkie moje „dziękuję” i „przepraszam” były niewystarczające. Pochyliłem się za lexusem.

Coś pękło w moim wnętrzu tuż za mostkiem i rozlało się na brzuch.

Z moich ust wydobył się okropny, ochryply szloch. Przypomniałem sobie o nadziei, którą dała mi Hailey, gdy mnie objęła, a także JJ w chwili, gdy czułem na sobie jego małe ręce. To było za dużo dobroci. Pochyliłem się ponownie, chcąc uciec od tego uczucia. Chciałem przestać się starać, żebym nie musiał już ponosić porażek. Chciałem, żeby wszystko się skończyło.

Miałbym to po prochach. Oxycontin dałby mi poczucie przestrzeni ponad tym, co się faktycznie działo, zapewniłby wrażenie, że szybuję w chmurach, byłbym zbyt wysoko, aby moje działania mogły dotknąć kogokolwiek. Mogłem wpadać do życia innych i wypadać z niego, nie pozostawiając po sobie śladów.

Pragnąłem tego teraz.

Pozwoliłem sobie mieć na to ochotę. Pozwoliłem, by uderzyła we mnie wielokrotnie mocniej niż czyjkolwiek pięść. Ciosy odczuwałem głębiej niż tylko na skórze, bo we wnętrzu, nerwach, żyłach. Poczekalem, aż wrażenie minie i obszedłem samochód dookoła.

Na końcu ulicy pojawił się ford bronco i ruszył z piskiem opon spod znaku „stop”. Jednak nie zwróciłem na ten pojazd uwagi, dopóki nie nakręcił i nie ruszył prosto na lexusa.

Serce gwałtownie mi przyspieszyło. Cholera. Znałem ten samochód.

Wyszedłem przed pożyczone auto i stanąłem przed maską. Bronco zatrzymał się, dotykając mnie zderzakiem. Zza kierownicy wyskoczył Johnno. Szczupła sylwetka tonęła w sporej koszulce z nadrukiem zespołu Wu-Tang. Za nim wysiadł Casper, który sam o sobie mówił Kaz. Wielkolud, którego spotkałem kilka razy, wyglądałby jak jeden z różowych cherubinków, gdyby nie był wielkości połowy wieloryba. Johnno zerknął na SUV-a i uniósł koszulkę, by podrapać się po brzuchu, pokazując broń, jaką miał za pasem spodni. Subtelnie.

– Co tam, Morrow?

– Niewiele – odparłem. Krew tętniła mi w uszach. Spojrzałem na dom Jake’a, modląc się, żeby żadne z nich nie podeszło do okna.

– Słyszałem, że wróciłeś – powiedział.

– A skąd?

– Po prostu wiem takie rzeczy, bracie.

– Ktoś oznaczył cię w sieci – rzucił Kaz.

Johnno spiorunował go wzrokiem. Kaz wzruszył ramionami. Pomyślałem o Frankiem i jego telefonie. Musiał wstawić zdjęcie, pewnie informując o wyjeździe. Niech cię szlag, Frankie.

– Mamy sprawy do omówienia. – Johnno zapalił parlamenta, przy czym wciągnął policzki, aż uwydatniły się kości jego czaszki. Ciągle mrużył oczy, wyglądał, jakby miał z piętnaście lat.

– Nie – odparłem. – Nie tutaj.

Johnno skinął głową Kazowi. Zastanawiałem się, o co chodzi, aż ten drugi ruszył ku mnie. Hak, którym wybił mi szczękę z zawiasów, i kolejny cios w skroń były zbyt szybkie, żebym poczuł ból, bo straciłem przytomność.

CASSIE

– Do bani. To jest po prostu do dupy.

Siedziałyśmy z Norą z otwartymi laptopami naprzeciwko siebie na podłodze i przeglądałyśmy rządową stronę służby zdrowia. Dookoła odzianych w legginsy i skarpetki nóg koleżanki walały się jej przekąski: ostre chrupki, ciastka oreo, stało też piwo imbirowe. Wokół mnie znajdowała się moja zagryzka, którą były trzy różne rodzaje orzeszków.

– Mówiłam ci, że nie muszę jeść tego przy tobie! Też mogę wcinać orzeszki – powiedziała Nora, wpatrując się w swoje rozdwojone końcówki.

– Nie chodzi mi o słodycze. – Cóż, częściowo. Ale głównie o formularze. I o niezręczną rozmowę z kancelarią Jimenez, Gustafson & Moriarty, gdy poprosiłam o dostęp do mojego zeznania podatkowego. Sekretarka Elise rozpoznała mnie po głosie i zapytała, co tam u mnie słyszeć. Odparłam, że wszystko świetnie. Sprawa pogorszyła się, gdy musiałam trzykrotnie jechać do Kinko, aby wydrukować rachunki za występy w Handle Bar. Miałam je przesłać jako załącznik do wykazu przewidywanych przyszłych dochodów, nawet jeśli założenia nie były dokładne, ponieważ nie byłam pewna, jaki będę miała zarobek w przyszłym roku, jeśli nie będę nigdzie zatrudniona na pełny etat.

– I ta okropna, beznadziejna muzyczka w słuchawce mnie dobija – dodałam. Leżący na podłodze telefon, który przełączyłam na głośnik, odtwarzał piszczącą, syntezatorową wersję piosenki *Young at Heart*.

Nagle melodia się skończyła.

– Przepraszamy. Próbuje dodzwonić się do nas zbyt wiele osób. Proszę się rozłączyć i wejść na naszą stronę internetową lub pozostać na linii, a konsultant zgłosi się najszybciej, jak...

– Już jesteśmy na waszej stronie! – wykrzyknęłam. Ponownie włączyła się wkurzająca melodyjka.

Nora zjadła chrupki.

– Byłoby łatwiej, gdyby cała sprawa wydarzyła się za dwa miesiące – powiedziała. – Wtedy nie musiałabyś się zapisywać do programu na szczególnych warunkach.

– Kolejny powód, aby w końcu wynaleźć maszynę czasu – mruknęłam.

Nora prychnęła, nadal żując.

– Och, powinnaś zadzwonić do Toby'ego – oznajmiła.

Żołądek fiknął mi nieokreślonego koziołka. Ostatnio często mu się to zdarzało.

– Po co?

– Właśnie do mnie napisał.

– Dlaczego po prostu nie skontaktował się ze mną? – *I skąd ta nagła troska poza próbami zespołu i łóżkowymi ćwiczeniami?*, chciałam zapytać, ale Nora nie lubiła słuchać o naszych eskapadach, bez względu na to jak rzadko miały miejsce.

Wskazała na telefon, wciąż wygrywający durną melodyjkę.

– Pewnie się do ciebie nie dodzwonił.

– No tak – rzuciłam beznamiętnie. – To powiedz mu, jak dobrze się bawimy.

Już od dwóch godzin czekałam na to, żeby ktoś odebrał. Dowiedziałam się, że osoby, które chciały zapisać się do programu zdrowotnego w Teksasie, mogły to zrobić tylko od pierwszego listopada do trzydziestego pierwszego stycznia. Mieliśmy dwudziesty siódmy września. Do tego czasu mogłam wykupić prywatne ubezpieczenie zdrowotne, a mój wniosek do specjalnego programu wisiał od tygodnia nierozpatrzone. Dzwoniłyśmy dziś, żeby zapytać, czy w ogóle go otrzymano.

Tak czy inaczej, nie miałam wątpliwości, że przyjdzie mi z własnej kieszeni zapłacić za przejazd karetką, pobyt na izbie przyjęć oraz godzinną rozmowę z Nancy, specjalistką od diety cukrzycowej, która była niepokojąco wesoła i każde jej zdanie brzmiało jak pytanie.

„Nie wygląda na to, że twój poziom glukozy jest na tyle wysoki, byś musiała brać insulinę?”

„Na razie próbujemy diety i ćwiczeń?”

„Tutaj mamy dobre posiłki na wynos?”

„W ramach przekąski może orzechy?”

Orzeszki nie były takie złe. Nancy również. Po prostu starała się pomóc. Ale żywienie się warzywami i produktami z pełnego ziarna trzykrotnie powiększało rachunek za zakupy w sklepie.

A z czasem mój organizm będzie wytwarzał coraz mniej insuliny. Kiedy w ogóle przestanie, będzie trzeba ją podawać, żeby utrzymać poziom cukru na bezpiecznym poziomie. A to oznaczało zastrzyki, natomiast one wiązały się z płaceniem za wszystkie produkty z listy, jaką przyczepiłam do lodówki, żebym pamiętała, dlaczego żywię się bezsmakowymi, nudnymi produktami jak na przykład soczewica. Na liście znajdowały się fiolki z insuliną, igły, strzykawki, waciki z alkoholem, plastry oraz pojemnik z twardego plastiku, do którego miałabym wyrzucać odpady po zastrzykach.

– Podaj mi długopis, Nor. – Rzuciła mi ten, który trzymała. Upaprany chrupkami. Wytarłam go o spodnie i zaczęłam pisać.

Kupując zdrowe jedzenie, musiałam dodać do wydatków spożywczych jakieś sześćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. To tego dochodziły czynsz i raty kredytu studenckiego. W Handle Bar zarabiałam jakieś dwa tysiące na miesiąc, jeśli miałam szczęście i wpisywali mnie często w grafik.

Byłam w kiepskiej kondycji finansowej. Nawet gdyby zakwalifikowano mnie do ubezpieczenia z niską składką, nie przetrwam przez konieczność uregulowania wcześniejszych rachunków. Dopóki nie dostanę rocznego rozliczenia podatkowego, będę płacić setki dolarów miesięcznie za insulinę, a wszystko po to, by żyć w miarę normalnie. A nawet nie – będę żyć jedynie po to, by spłacać długi.

Położyłam się na plecach na podłodze, starając się nie panikować. Przeczytałam gdzieś, że przeklinanie ma zbawienny wpływ na mózg, bo łagodzi stres.

– Kurwa, kurwa, kurwa – wołałam.

Nora podczołgała się i położyła obok, gdy otaczała nas jęcząca melodyjka.

Podaliśmy jej kartkę, na której zapisałam wydatki.

Przeklinając wraz ze mną, zmięła ją i rzuciła przez pokój.

– Co zrobimy?

– Z czym?

– Ze wszystkim. – Wskazała na mnie, na laptopy, na stojący przy oknie w salonie keyboard.

– Chyba muszę poślubić jakiegoś bogatego klienta – rzuciłam, prostując palec.

– Zdobyć ubezpieczenie zdrowotne – dodała Nora. Miałyśmy już dwa palce.

– Przekształcić jedno pomieszczenie w rezydencję w studio nagrań i napisać piosenkę, która stanie się hitem.

– Zapropionowałabym ci małżeństwo, gdybym była bogata – stwierdziła.

Dotknęłam stopą w skarpecie jej bosej stopy.

– Ja tobie również.

Rozejrzała się.

– Ale musiałybyś zacząć sprzątać.

– Ups! – Leżałyśmy na zakurzonej podłodze. Trzy różne koszulki walały się na sofie. Stare czasopisma spoczywały na regale obok bibelotów. Fartuch z pracy wisiał na keyboardzie, częściowo wypadła zawartość kieszeni. Naprawdę musiałam bardziej o siebie zadbać. Pod każdym względem.

– Staralabym się – dodałam.

– Szkoda, że nie mamy bogatych kolegów, za których mogłybyśmy wyjść, żeby mieć ich ubezpieczenie – stwierdziła.

– No. Potrzebujemy nowych znajomych.

Kiedy tak rozmawialiśmy, mój wzrok spoczął ponownie na fartuchu, z kieszeni którego wystawała kolorowa ulotka.

Broszura z wojska.

LUKE

Otworzyłem oczy i z bolącą głową spojrzałem na podsufitkę bronco. Wnętrze śmierdziało potem i syropem na kaszel.

Poznałem Johnno cztery lata wcześniej na imprezie u niego w domu. Kiedy zostały opróżnione wszystkie butelki z ginem i whisky, zaczął rozdawać tabletki. To jeden z tych dzieciaków, które zawsze można było spotkać na kampusie, ale nigdy nie uczęszczały na zajęcia. Nikt tak naprawdę nie wiedział, ile chłopak miał lat. Dzień po imprezie wróciłem do niego po więcej prochów. I kolejnego dnia.

Nigdy nie prosił o kasę, tylko o to, żebym pojechał z nim do czyjegoś domu, albo grał z nim w *Fallouta*, albo otworzył drzwi, gdy zjawiała się policja. Zaczęło się między nami psuć, gdy próbowałem kontynuować naukę. Wyjął broń i wycelował we mnie, bo powiedziałem, że idę na wykłady, ale później obrócił to w żart, gdy wciągnęliśmy więcej pigułek.

Takim właśnie był dupkiem. Stanowił uosobienie totalnego chaosu. A ja znów byłem w jego epicentrum. Usiadłem.

Zanim zdołałem zarejestrować, że Johnno siedzi obok mnie na tylnej kanapie, ponownie walnął mnie w potylicę. Wpadłem nosem w oparcie przedniego fotela, poplamione tłuszczem i białym proszkiem. Przytrzymał moją głowę.

– Myślisz, że przyczaisz się na kilka miesięcy, po czym wrócisz i nie zapłacisz za całe gówno, które ode mnie wzięłeś? Nie odbierasz telefonu – mruknął, wbijając mi długie paznokcie w kark. – Myślisz, że taki z ciebie mądrała, sukinsynu?

Milczałem, nawet jeśli paznokcie przerywały moją skórę, a z oczu mimowolnie płynęły łzy.

Kątem oka widziałem różową koszulkę Kaza, który jedną rękę trzymał na kierownicy, a drugą przewijał coś na telefonie. Westchnął, znudzony.

Johnno mocniej wcisnął moją twarz w siedzenie.

– Jeśli nie zaczniesz mówić, wywolekę cię na zewnątrz i po tobie poskaczę.

Kaz prychnął, ale nie uniósł wzroku znad ekranu komórki.

– Przeszedłem szkolenie wojskowe – wyznałem, próbując się nie trząść.

– Jednego wieczoru dobrze się bawimy, oglądając *Prawo ulicy*, a drugiego znikasz i wsiadasz na łódź do Afganistanu.

Kaz znowu parsknął.

– Łódź do Afganistanu. Kutafonie, wiesz w ogóle, gdzie leży Afganistan?
– Pierdol się, Kaz – mruknął Johnno i nagle jego usta znalazły się tuż przy moim policzku i wyczułem mentol. – Dziesięć.
– Co? Nie.
– Pięć za całe gówno, które ci dałem, a pięć za odsetki.
Zamrugałem przy siedzeniu, ignorując pulsowanie w skroniach.
– Ile chce Tim?
– Nie, nie rozmawiasz z Timem. Rozmawiasz ze mną. – Kątem oka zauważyłem, że drugą rękę położył na udzie, na którym miał broń.
– Puść mnie – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko potrafiłem. – Niczego nie zrobię, Johnno.
– Nie zadzieraj ze mną – rzucił napiętym, wysokim głosem.
Uniosłem dłoń na znak, że niczego nie mam i nie stanowią zagrożenia. Do głowy przyszła mi myśl, czy dałby mi działkę. Żebym przetrwał.
Nie. Zostaw. Nie bierz.
– Nie mam kasy – powiedziałem.
– Nie pierdol – rzucił. – Masz tydzień, by ją przynieść.
Zacisnąłem dłoń w pięści.
– Co jest, do chuja, koleś?
– Doznałeś olśnienia, gdy byłeś na haju i wywaliłeś mi zapasy, gnoju? Bo pewnego wieczoru poczułeś, że tak należy zrobić?
Spuściłem tabletki w kiblu, gdy był w Orlando. Wrócił i nie znalazł ani towaru, ani moich rzeczy, za to liścik, który mu napisałem. Coś w stylu: „Wszystko gra, ale nigdy mnie już nie zobaczysz”.
Walnął ręką w siedzenie.
– Wróc na ziemię.
– Dobra... Ale tydzień? – wyjąkałem. – Nie możesz dać mi pół roku? Tim cię ściga?
– To nie twoja pierdolona sprawa.
Co oznaczało odpowiedź twierdzącą. To samo powiedział mi, gdy braliśmy na jego kanapie i zapytałem, czy Tasha – dziewczyna, z którą się wtedy spotykał – z nim zerwała. Rzucił wtedy „nie twoja pierdolona sprawa, stary”, przy czym drgała mu górna warga.
Mimo to, coś mi tu nie pasowało. Ponownie uniosłem rękę i spróbowałem zabrzmieć nonszalancko:
– Pięć koła to nic przy tym, co zarabia Tim. Po co ten pośpiech?
Kaz odchrząknął, wciąż wpatrzony w telefon.
I wtedy zrozumiałem.
– Wpakowałeś się w jakieś inne gówno, co? – Ktoś go ścigał, więc wymyślił, że w ten sposób się odkuje.
Zamiast odpowiedzieć, Johnno wziął sprite’a znajdującego się w uchwycie i upił łyk. Zawsze popijał ten napój jak wodę.
Przytrzymał mi głowę, walnął w nią rękojęścią pistoletu, a sprite trysnął w powietrze jak fontanna. Ból przeszył moje nerwy, a nawet zęby i kręgosłup.
– Muszę mieć więcej czasu – wybełkotałem z cytrynowym napojem w oczach. – Poważnie. Możesz mnie zabić, ale nie dostaniesz kasy.
– Jeśli mi jej nie oddasz, dopadnę twoją rodzinę.
Oblał mnie zimny pot.
– Co mam zrobić?

Dopił napój z butelki.

– To nie mój problem.

– Połowa w ciągu trzech miesięcy – powiedziałem, mrugając, bo mocno bolała mnie głowa. – A połowa, gdy wrócę.

– Dobra.

Próbowałem się nie trząść. Johnno splunął przez szparę w oknie. Kaz przycisnął guzik, żeby odblokować drzwi i wysiadłem, ociekając krwią.

Po drugiej stronie skrzypnęły drzwi, a mnie dech uwiązał w gardle. Jake stanął na ganku, zza niego wychynęła jasna główka JJ-a.

Brat dostrzegł mnie i zamarł.

Wróc do domu, prosiłem w duchu. Jake spojrział na Johnno, potem na Kaza. Na jego twarzy odmalowała się złość. Wiedziałem, o czym myśli. Dwa samochody stały pośrodku spokojnej ulicy, przy której mieszkał. Wyglądalibyśmy tak samo, gdybyśmy handlowali towarem. Gdybyśmy byli naćpani. Odwrócił się i wprowadził synka do domu.

Nie taki miałem plan. Chciałem przeprosić, pokazać bratu, że się zmieniłem. Teraz wyglądało to tak, jakbym skłamał mu prosto w twarz. Jakbym był tym samym cholernym kretynem, jakim byłem wcześniej.

CASSIE

Przepociłam koszulkę z zespołem Kinks, obgryzając paznokcie kciuka, chodząc tam i z powrotem po West Lake Hills, przy placu zabaw Gopney. Po wyjściu Nory całą noc rozmyślałam i dlatego wcześniej rano przyjechałam tu, żeby Frankiego. Musiałam się wrócić, bo zapomniałam telefonu – trzykrotnie wysiadałam z auta, zanim odjechałam – ale zaraz zawróciłam i znów tu zaparkowałam. Bawiliśmy się tu niegdyś z Frankiem na drążkach, huśtaliśmy się jednocześnie, graliśmy w berka i inne rzeczy. Wewnątrz plastikowej chatki przy piaskownicy bawiliśmy się w rodzinę. Biegaliśmy też przy ogrodzeniu, udając, że walczymy z kosmitami, chroniąc potomstwo. Kiedy mama sprzątała dom rodziców Frankiego, spędzaliśmy czas razem.

Stałam na chodniku, czekając na niego. Bolały mnie opuszki palców, jakbym grała na pianinie. Ale teraz miałam je pokłute od pomiaru glukozy. Wyglądałam Frankiego, żeby zagrać w zupełnie inną grę. Cały czas w głowie mu się oświadczałam.

Frankie, proszę, ożeń się ze mną dla picu.

Frankie, oboje uwielbiamy przekąski, oboje pochodzimy z Teksasu. Może nam się udać.

Frankie, pamiętasz, gdy nadepnąłeś na mrówkę i zacząłeś płakać? Ja pamiętam. Kto zna cię lepiej niż ja?

Zanim straciliśmy kontakt, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Frankie zaczął później spędzać czas z futbolistami i, choć ignorował mnie na szkolnych korytarzach, tutaj na placu zabaw mówił mi, że jestem lepsza niż wszyscy ci chłopcy, w których się podkochiwałam. Gratulował mi, gdy w pierwszej klasie liceum założyłam zespół jazzowy, słuchał każdej wyolbrzymionej przeze mnie historii i potwierdzał słuszność każdego mglistego pojęcia, jakie miałam na temat muzyki.

Przynajmniej wtedy.

Napisałam do niego: „Mogę do ciebie wpaść?”

Odpisał: „Tak!!! Jem lunch z rodzicami, ale będę wolny o 13”.

Oto, co sobie wymyśliłam: według wojskowej strony internetowej, gdybym wyszła za Frankiego, dostawałby dwa tysiące miesięcznie jako dodatek mieszkaniowy oraz świadczenie rozłąkowe.

Moglibyśmy podzielić się po tysiąku. Dopisałby mnie do swojego ubezpieczenia zdrowotnego. Zwiększając godziny pracy w barze, miałabym kasę, aby opłacić kredyt studencki, zapłacić za leki i badania krwi. Nie musiałabym szukać innej pracy. Mogłabym poświęcić czas

na tworzenie albumu.

A co najważniejsze, gdyby coś poszło nie tak, poziom cukru w mojej krwi byłby za wysoki lub za niski, jazda karetką czy inne rachunki za szpital nie doprowadziłyby mnie do bankructwa.

Udawany ślub też nie mógłby przysporzyć nam problemów. Poszlibyśmy do urzędu stanu cywilnego, twierdząc, że się kochamy, odkąd byliśmy dziećmi. To nie byłoby dalekie od prawdy. I, do licha, wiedziałam, jak wyglądać na zakochaną. Kilka razy mi się to przydarzyło.

Prawdopodobnie Frankie był pierwszym, w którym się zakochałam, choć nasza relacja nie do końca była niewinna. Całowałam go w policzek lub w usta, nim włączyła mi się lampka w głowie. Potem był Andy, który grał na basie w naszym jazzowym zespole. Sobotnie wieczory spędzaliśmy na tylnym siedzeniu samochodu, gdy Charles Mingus leciał z CD, przekonując się, że trzymanie dłoni nawzajem w majtkach podczas słuchania najlepszego basisty na świecie było znacznie lepsze niż normalne macanki. W końcu jak nie zakochać się w pierwszej osobie, która chce dotykać cię w ten sposób? Sądziłam, że to magia. Dwie gwiazdy jazzu splecione w uścisku.

Ale nie byliśmy żadnymi gwiazdami. Byliśmy dzieciakami. A ja tym bardziej. Przeleciałam kiedyś prawie pięćset kilometrów, aby obejrzeć występ Andy'ego na uczelni. Moja obecność nie była dla niego miłą niespodzianką, po występie zobaczyłam, jak za sceną całuje się z piegawatą flecistką.

Było już po wpół do drugiej, a Frankie nic nie napisał, co było dziwne, bo kiedyś oddzwaniał w ciągu kilku sekund. Ale przecież minęły lata.

Zaczęłam się huścić, by zabić jakoś czas. Twarda guma wbijała mi się w biodra. To był naprawdę kiepski pomysł.

Po Andym przestałam grać na pianinie. Ograniczyłam się do słuchania muzyki takich zespołów jak No Wave, Kraftwerk, Bauhaus, Joy Division. Byłam sama, co mi się podobało.

Właśnie dlatego uważałam, że James będzie idealny. Nie wierzył w miłość tak samo jak ja. Wierzył jednak w racjonalny hedonizm, a ja w świecki humanizm. Pieprzyliśmy się jak króliki, jak to określił, łykaliśmy wszystkie prochy, jakie tylko były dostępne na kampusie, aż nasz związek zaczął się stopniowo wypalać – kłóciliśmy się i zaraz godziliśmy. Zapisaliśmy się na te same zajęcia, więc wieczorami porównywaliśmy notatki, redagowaliśmy sobie nawzajem prace, forsując własne poglądy tak mocno, że zaraz zdzieraliśmy z siebie ubrania w salach do nauki albo nawet na czwartym piętrze biblioteki. Nie myśleliśmy o naszej relacji jak o miłości, ale oczywiście nią była.

Postawiłam stopy na ziemi, żeby już się nie huścić. Sprawdziłam telefon. Cisza.

Kiedy ukończyłam studia licencjackie w Pomonie, zdziwiłam się, że nie wpadłam ponownie na Frankiego. Wróciłam do mamy, złożyłam CV w kancelarii. Zaczęłam jeździć na rowerze, piec ciasta, kolorowo się ubierać. Wiele godzin spędzałam na słuchaniu ragtime'owych wersji piosenek Katy Perry i Rihanny. Z moich słuchawek dochodziły dźwięki Eltona Johna, Billy'ego Joela, The Carpenters.

Tylerowi podobało się wszystko. Na trzeciej randce, gdy w kinie Violet Crown oglądaliśmy wieczorem *Sabrinę*, oświadczył mi się. Studiował prawo, dał mamie kwiaty, gdy przyszedł ją poznać. Regularnie strzygł włosy u fryzjera. Kupowałam zabawki na urodziny jego siostrzenic, mieszkanie, które wynajmowaliśmy w North Loop, dekorowałam wazonami z suszoną trzcina. Dostałam pracę w kancelarii na pełny etat i zamierzałam iść na studia prawnicze, gdy tylko Tyler zda egzamin adwokacki. Miałam dwadzieścia trzy lata, dzikość za sobą i poukładaną przyszłość.

Jednak coś zaczęło się rozpadać. Pękła twarda skorupa, co było dobre. Zaczęłam unikać Tylera, chodzić na długie spacer, słuchać albumu za albumem każdego artysty i gatunku

muzycznego, jaki tylko udało mi się znaleźć, a którego jeszcze nie znałam.

Zrozumiałam, że czułam się smutna, zmęczona, wypalona tylko wtedy, kiedy siedziałam w kancelarii lub w sterylnym, pustym mieszkaniu. Kiedy byłam na zewnątrz – i to sama – doświadczałam wolności.

W ciągu tygodnia przeprowadziłam się na poddasze do Rity.

Miało to miejsce rok temu. Od tego czasu spłacałam minimalne raty kredytu studenckiego, próbowałam zadowolić mamę, szlifowałam swój szorstki głos, by dało się go słuchać, zbierałam sprzęt, pracowałam przez pięćdziesiąt do sześćdziesięciu godzin tygodniowo, a teraz uczyłam się gotować coś, co mnie nie zabije.

Oprócz okazjonalnego seksu z perkusistą z mojego zespołu, wszystko inne robiłam jak należy i radziłam sobie sama.

Aż zaczęłam potrzebować pomocy.

Frankie w końcu odpisał: „Przepraszam, już jestem wolny”.

On to rozumie. Wciąż tu był, skłonny przynajmniej się ze mną spotkać. Niedługo wyjedzie, a ja tu zostanę, a do chwili jego powrotu... cóż, będę miała zapewniony byt. Jeśli do tego czasu nie zdołam się utrzymać z tworzenia muzyki, a on wróci z misji i będzie chciał ożenić się z inną kobietą, rozwiedziemy się. Wrócę do głównianych zajęć z kiepskim ubezpieczeniem zdrowotnym i będę musiała coś wymyślić. Jednak do tego czasu mogliśmy być dwiema niezależnymi osobami połączonymi wzajemną umową.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i ruszyłam w kierunku jego domu. Żołądek ścisnął się, ale nie z głodu. Na lunch nakarmiłam go komosą ryżową. To zawsze pomagało.

Kiedy podeszłam do ogromnego domu przyjaciela, usłyszałam trzaśnięcie drzwiami lexusa i śmiech.

Na podjeździe z jego auta wysiadły trzy osoby: Frankie, dupek z baru, który przedstawił się jako Luke, oraz kobieta w turkusowej sukience, być może dziewczyna tego drugiego.

Skinęłam jej głową, udając, że Luke nie istnieje.

– Frankie, mogłabym z tobą chwilę porozmawiać? – zapytałam, trzymając ulotkę wojskową jak broń, uśmiechając się do niego niepewnie.

– Jasne, Cass – odparł, marszcząc brwi. – Zaraz przyjdę – zawołał do Luke’a i kobiety, którzy szli do domu.

– Po pierwsze, cześć – zaczęłam i roześmiałam się bez powodu.

– Cześć – powiedział, śmiejąc się ze mną. – Dobrze cię widzieć po tamtej pełnej wrażeń nocy.

– Tak, jeśli o to chodzi... – Zwinęłam ulotkę w tubkę.

– Jeszcze raz cię przepraszam. Poza tym powiedz, czy przed wyjazdem zdołamy być na twoim występie?

– Tak! – Przełknęłam ślinę. – To znaczy nie, ale też dlatego tu jestem.

– Co się dzieje?

– Dowiedziałam się, że mam cukrzycę i... – Skrzywił się zaniepokojony. Nie dopuściłam go do głosu. – Nie, jest okej. Nic mi nie będzie. Wysłuchaj mnie, dobrze?

– Ale to straszna choroba – powiedział miękko.

– Tak. I straciłam etat w kancelarii. – Zanim zdołał mi współczuć, dodałam pospiesznie: – Więc tak sobie myślałam, że ponieważ jesteś żołnierzem, gdybyś miał żonę, dostawałbyś dodatkowe dwa tysiące i mógłbyś mnie dopisać do swojego ubezpieczenia zdrowotnego. Więc...

– urwałam, uśmiechnęłam się sztywno, gdy mocno skurczył mi się żołądek. – Co jutro robisz?

Zmrużył oczy, ale zaraz na jego twarzy odmalowało się zrozumienie.

– Czekać, czy to oświadczy?

– Nie w tym sensie – zająknęłam się. – Poszlibyśmy do urzędu, dostalibyśmy akt małżeństwa. Byłabym pełnoprawnym członkiem twojej rodziny. Podzielilibyśmy się kasą.

– Cassie! – rzucił.

Podalam mu ulotkę. Rozłożył pognieciony papier.

– To jest takie proste – naciskałam błagalnie. – Nie musielibyśmy zbyt długo udawać, bo byłbyś za granicą.

– Świadczenie dla małżeństw? – Zaśmiał się, nie dowierzając. Wpatrywał się w broszurę.
– Skąd to masz?

– Armando dał Norze wtedy, gdy byliście się napić.

– Pieprzony Armando. – Pokręcił głową. – Cass... Ale dlaczego? Dlaczego w ogóle o czymś takim pomyślałaś?

Już zaczynałam tego żałować. Nie tak to sobie wyobrażałam. Mówiłam jednak dalej:

– Mam gówniane ubezpieczenie zdrowotne, a jeśli mój stan się pogorszy, nie będzie mnie stać na leczenie. Zwłaszcza przy kredycie studenckim, który spłacam.

Frankie westchnął.

– Dlaczego nie poszukasz nowej pracy?

Parsknęłam pustym śmiechem, myśląc o szpitalnej sali. „Muzyka to dobre hobby”, powiedziała mama.

– Powinieneś pogadać z moją matką.

– Po prostu musi istnieć jakiś inny sposób.

– Już próbowałam, Frankie – odparłam. Słyszałam desperację we własnym głosie. – Ale to do bani. Wszystko robiłam jak należy. Poszłam na studia, płaciłam rachunki, zajmowałam się sobą. Miałam karierę. I nawet wtedy wszystko się posypało i nadal będzie się sypać, bo dowiedziałam się, że jestem chora. Zatem równie dobrze mogę poświęcić się pasji, zamiast męczyć się w jakiejś tymczasowej pracy, która i tak zaprowadzi mnie donikąd.

Wpatrując się we mnie, otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale ponownie je zamknął.

Ściszyłam głos.

– Musiałbyś tylko przed wyjazdem podpisać dokumenty. Po twoim powrocie byśmy się rozwiedli, gdybyś tego chciał.

Frankie oddał mi ulotkę i skrzyżował ręce na piersi odzianej w koszulkę z podobizną Kapitana Ameryki. Kiedy mówiłam, nieustannie łypał okiem na dom, jakby obawiał się kogoś w środku.

– Cassie – powiedział, po czym wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze i pokręcił głową. – Chcę ci pomóc. Naprawdę. Jesteś dla mnie jak siostra. Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

– To słowa, które wypowiadają ludzie tuż przed tym, gdy odmówią. – Już to czułam. Zaczęłam nawet wymyślać, jak obrócić całą sytuację w żart. Jednak gdyby to był dowcip, nie miałabym oczu pełnych łez. *Niech to szlag*. Właśnie nakłaniałam chłopaka do popełnienia przestępstwa, aby stać mnie było na chorowanie.

– Gdyby moja sytuacja wyglądała inaczej, zrobiłbym to – wyznał, wyciągając dłoń, aby dotknąć mojej ręki. – Ale muszę myśleć w tej chwili o Elenie.

– Elenie? – zapytałam, z trudem przełykając ślinę.

– To moja dziewczyna – powiedział, ruchem głowy wskazując na dom.

– Oczywiście! – Kobieta w turkusowej sukience. – No jasne.

– Łączy nas coś poważnego.

– Logiczne. Wspaniale – powiedziałam, mając nadzieję, że brzmię, jakbym cieszyła się jego szczęściem.

Za moimi plecami rozbrzmiało stukanie obcasów na chodniku. Obróciłam się

i zobaczyłam kobietę w moim wieku, o czarnych włosach ułożonych w piękne fale. Makijaż miała gustowny, sukienka schlebiała jej figurze.

– Kochanie! – rzuciła radośnie do Frankiego, następnie zwróciła się do mnie: – Cześć, jestem Elena.

– Miło mi cię poznać – skłamałam.

Kiedy uścisnęłam jej miękką dłoń, otworzyła się przede mną dziura i zaczęłam spadać, brzuch ścisnął się tak mocno, jakby otoczył go wielki pyton. Elena wydawała się wspaniała, kochająca, opanowana, a Frankie zapewne nie chciał burzyć ich relacji. Logiczne.

– Jak się poznaliście? – wydusiłam.

Rozpogodził się.

– Przez mamę. Elena przyjechała tu rok temu do pracy. Od razu wpadła mi w oko.

– Po powrocie Frankiego zamierzamy razem zamieszkać – powiedziała i wymienili zakochane, choć nerwowe spojrzenia. – Bardzo się cieszymy.

Czułam, że zapadam się coraz głębiej w przepaść, gdy wzięli się za ręce.

– Cudownie – powtórzyłam. – Moje gratulacje.

– Hej – zaczął. – A może pożyczylbym ci pieniądze?

Zdezorientowana Elena przechyliła głowę na bok.

– Nie, nie, nie. – Zażenowana uniosłam ręce, w jednej nadal ścisnąłam ulotkę. Wsadziłam ją do torebki. – Muszę jechać do pracy. Chciałam jedynie... E, to nic. Jakoś sobie poradzę.

– Hej – rzucił Frankie, otwierając ramiona.

Mocno go przytuliłam, zaciskając powieki, by nie popłynęły łzy.

– Frankie? – szepnęłam. – Czy cała sprawa może pozostać między nami?

Poczułam, że przytakuje. Puściłam go.

– Dobrze było cię widzieć, Cass.

– Wzajemnie. – Naprawdę. – Miło było cię poznać, Eleno.

Pomachała mi, gdy obróciłam się, żeby odejść w kierunku placu zabaw, przy którym zostawiłam samochód. Łzy płynęły cichym, szerokim strumieniem, gasząc wcześniejsze płomienie nerwów. Odebrały również całe moje pozytywne nastawienie, nadzieję, która pozwoliła mi przetrwać ostatni tydzień.

Wszystko było jak dawniej.

Zaczęłam widzieć swoją przyszłość. Naprawdę nie było trudno ją sobie wyobrazić.

Obudziłabym się i zbadałabym poziom cukru we krwi.

Poszłabym do pracy w Handle Bar, zemdlałabym, odzyskałabym przytomność i wróciłabym do swoich obowiązków.

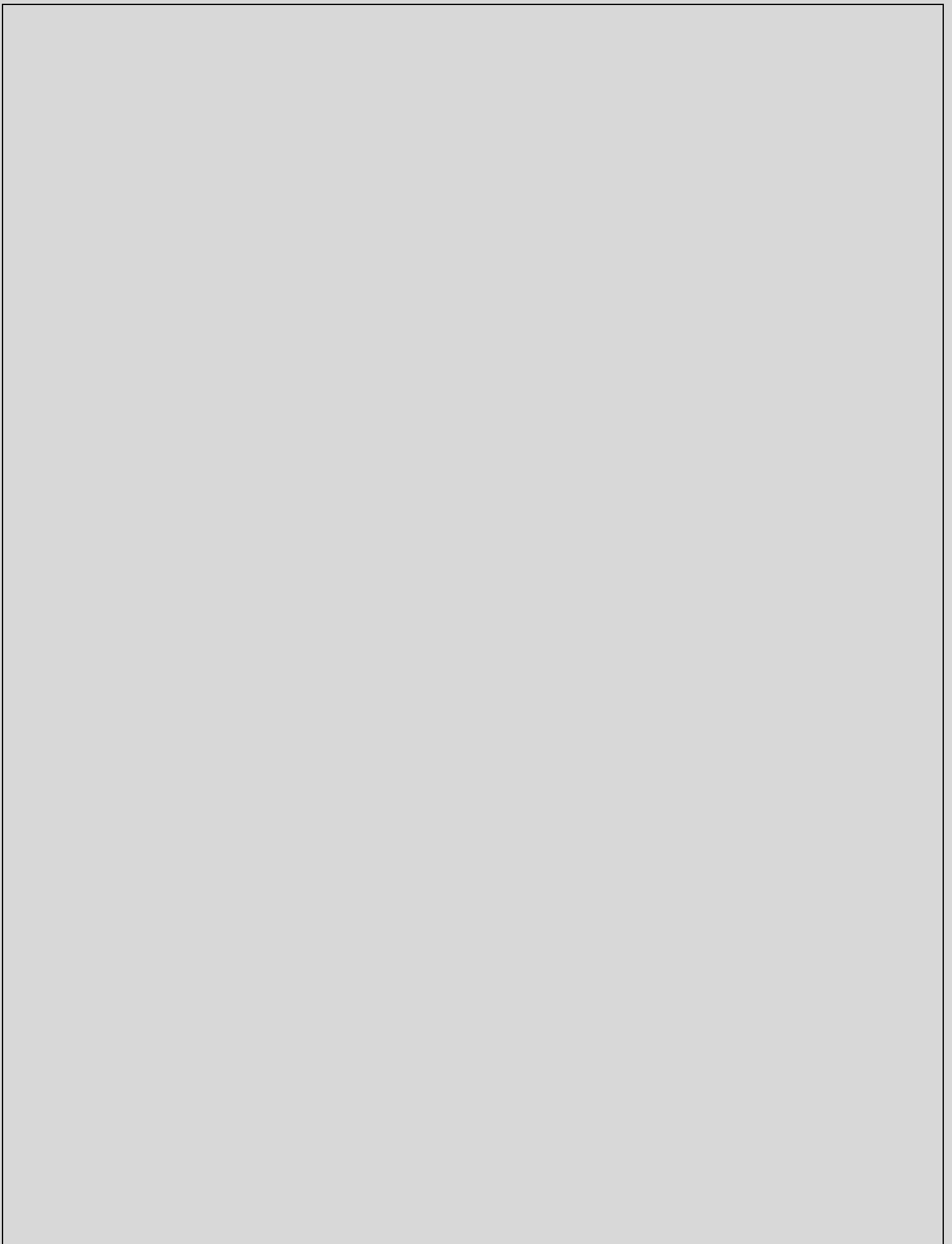
Naciskałabym, by The Loyal stał się prawdziwym zespołem, aż byłabym zbyt zmęczona lub splukana, żeby to ciągnąć. Albo jedno i drugie.

Gdybym miała szczęście, znalazłabym nową bezmyślną pracę biurową i w trakcie dojazdów do niej słuchałabym muzyków, którzy są lepsi ode mnie.

Może gdyby było nieco lepiej, sprawiłabym sobie kota lub psa, a może gdyby było gorzej, przeprowadziłabym się do mamy. Spłacałabym kredyt i rachunki za leczenie do emerytury albo aż bym się poddała i w końcu poszła na studia prawnicze.

I hej, nie wychodząc za mąż dla korzyści finansowych, nie łamałabym prawa. Wszystko byłoby jak dawniej. Żadnych szkód.

Dotarłam do placu zabaw, ale nie mogłam wsiąść do gównianego subaru. Spojrzałam na huśtawki, na których niegdyś bujałam się tak wysoko, że wydawało mi się, że latam. Kiedy obracałam się o sto osiemdziesiąt stopni, w mojej małej głowie tkwiło przeświadczenie, że zaraz wzbiję się do nieba.



LUKE

Kiedy stanęliśmy na podjeździe rodziny Cucciolo, Cassie podeszła w dzinsowych spodenkach, niezasnurowanych trampkach i z rozwianymi włosami. Wpatrywała się we Frankiego. Wyglądała inaczej niż kobieta za barem, którą poznałem. Która dokładnie wiedziała, czego chce, i opieprzyła cię, jeśli jej się nie spodobałeś. Przypominała mi dziewczynę ze zdjęcia znajdującego się u mojego przyjaciela. Tę w zielonym stroju kąpielowym, budującą zamki z piasku. Rzuciła coś o dodatkowych dwóch tysiącach miesięcznie, więc nie potrafiłem się powstrzymać. Zatrzymałem się przy drzwiach od garażu i nasłuchiwałem.

Nadal nie wymyśliłem, w jaki sposób oddać Johnno pięć tysięcy w trzy miesiące, a czas uciekał. Zastanawiałem się, czy nie wziąć pożyczki z banku, odwołując się do ich patriotyzmu, udając, że potrzebuję wpłacić zaliczkę na dom. *Pomóżcie biednemu żołnierzowi*. Do diabła, mógłbym udawać męża, gdybym miał za to dostać tysiąka miesięcznie.

Zacząłem biec za dziewczyną, gdy skręciła w stronę małego placu zabaw. Rozumiałem jej sytuację. Kiedy wyszedłem z detoksu, wiele miesięcy szukałem pracy za minimalną stawkę, dzięki której mógłbym związać koniec z końcem. To jeden z powodów, dla którego zaciągnąłem się do wojska. Miałem do spłacenia dwuletnie chesne. I teraz jeszcze dług u Johnno. Kiedy dogoniłem Cassie, ocierała twarz. Zamierzała wsiąść do poobijanego, białego subaru.

– Hej!

Nie uniosła głowy. Jedną ręką wyjęła kluczyki z torebki, drugą uniosła i wyprostowała środkowy palec. Musiała pomyśleć, że jestem jakimś zaczepiającym ją zbokiem.

Zacząłem więc raz jeszcze:

– Eee, przepraszam, Cassie?

Uniosła wzrok, zmrużyła oczy i wydawało się, że mnie rozpoznaje.

– O, cześć.

Położyłem rękę na sercu.

– Luke.

Oparła wytatuowane ręce na drzwiach auta.

– Tak. – Omiotła mnie wzrokiem z góry na dół i zatrzymała się przy twarzy. – Biegłeś za mną?

Przytaknąłem.

– Chciałem powiedzieć, eee... – urwałem. Teraz, gdy zdołałem się jej przyjrzeć,

dostrzegłem, że płakała. – Przepraszam za to, co wtedy powiedziałem. W barze.

– Dzięki – odparła, wpatrując się w kluczyki.

Zawahałem się. Po co za nią pobiegłem? A, plan. Ślub.

Frankie skupiał się na ryzyku i alternatywach. W ogóle nie brał pod uwagę korzyści. Najwyraźniej tysiaki to mało dla kogoś, komu rodzice opłacali studia prawnicze, kogo dom rodzinny można było sprzedać za siedmiocyfrową kwotę. To nie tak, że Frankie nie współczuł innym, ale dopóki nie musisz się martwić o jedzenie, nie zrozumiesz nikogo, kto znajduje się poza tą granicą.

Ja nadal znajdowałem się poza nią i najwyraźniej nie byłem sam.

– Cóż – rzuciła, pociągając nosem. Próbowwała otrzeć ślady łez. – To pa. Miłego budowania dróg i ratowania życia.

– Chciałem też porozmawiać z tobą o twojej propozycji – dodałem pospiesznie. – O tej, o której właśnie mówiłaś Frankiemu.

Skrzywiona patrzyła pod nogi.

– Słyszałeś?

– Tak jakby...

Patrzyła wszędzie, tylko nie na mnie.

– To szalone. Nie wiem, co sobie tak naprawdę myślałam. – Westchnęła.

– Ale to prawda?

– Tak napisano w twojej pięknej ulotce propagandowej. – Uniosła wojskową broszurę.

– „Propaganda” to trochę przesadne określenie – mruknąłem, kręcąc głową na zawarte w niej pozowane zdjęcia z sieci. Nie mogłem się przed tym powstrzymać. – To tak nieszkodliwe jak instrukcje do skręcania mebli z IKEI.

– Instrukcje mebli z IKEI nie są nieszkodliwe – odpowiedziała z udawaną powagą. Uniosłem wzrok. – Powszechnie wiadomo, że ten mały ludzik jest socjalistą.

Uśmiechnąłem się.

– Dobrze.

Przejrzałem materiał reklamowy, skupiając się na akapicie o świadczeniach małżeńskich. Przy każdej wzmiance o pieniądzech widziałem samego siebie, jak podpisuję czek. Wyobrażałem sobie, że patrzę na tylne światła bronco, by już ich nigdy więcej nie zobaczyć. I Jake’a, który śmiałyby się obok mnie na kanapie, gdy oglądalibyśmy drużynę Cowboys. Tata siedziałby nieopodal na krześle, mając na twarzy uśmiech pełen dumy. Przełknąłem ślinę i oddałem jej ulotkę, zauważając w międzyczasie, że od promieni słońca jej tęcza błyszczały złotymi drobkami.

– To genialny pomysł.

– Tak sądzisz?

– Tak, gdybyś tylko znalazła właściwą osobę. – Znów zobaczyłem swój podpis. *Żegnaj Johnno.*

Staliśmy w ciszy. Serce waliło mi jak młotem. W końcu wskazała na mnie.

– Polecasz samego siebie, czy tylko rzucasz niejasną aluzję?

Zanim zdążyłem przemyśleć sprawę, wypowiedziałem:

– Jestem do usług.

Uniosła brwi. Wyszła zza drzwi auta i zamknęła je. Było widać wszystkie mięśnie jej nóg, od trampek aż po spodenki.

– Mówię o tym pomysłe bardzo poważnie.

– Ja również. – Poczułem ucisk w piersi. Wypowiedziałem słowa, zanim zdołałem pojąć, co oznaczają. Ale czułem się jednocześnie wystraszony i podekscytowany, jak podczas zbiegania

ze wzgórze czy po długim śnie na trzeźwo. Zapędzono nas oboje w kozi róg życia i byliśmy jak dzikie zwierzęta, które warczały i gryzły, próbując się wydostać.

Zamknęła oczy i pokręciła głową.

– No nie wiem.

Pragnąłem, aby ponownie na mnie spojrzała, więc odezwałem się łagodniej:

– Czym się martwisz?

– Po pierwsze, w ogóle cię nie znam. I myślę, że dowiedliśmy tego wtedy w barze.

No jasne, chciałem powiedzieć, ale ugryzłem się w język.

– Mamy tylko kilka dni na poznanie się, chociaż wcale nie musimy się lubić.

Patrzyliśmy sobie w oczy.

Przygryzła paznokieć.

– Nie o to mi chodziło, oczywiście. Cóż, może jednak o to, ale nieważne. To znaczy, skąd mam wiedzieć, że mnie nie wystawisz?

Próbowałem stłumić gniew, który rozpałał się w moim wnętrzu. Wiedziałem, że to nie ona go wywołała. Wkurzałem się na tego siebie, który biegł Arikara Street z dwudziestką w kieszeni.

– A skąd ja mam wiedzieć, że ty mnie nie wystawisz?

Spojrzała na mnie jak na przygłupa.

– Bo to mój pomysł. To ja mam do zapłacenia rachunki za leczenie.

– No tak. – Ruchem głowy wskazałem na dom rodziny Cucciolo. – Powiemy Frankiemu.

On przypieczętuje naszą umowę.

– Tak, ale co potem?

Wzruszyłem ramionami.

– We... – W głowie zobaczyłem Hailey i Jake'a stojących przed kościołem, gdy przyjmowali życzenia od gości. – Weźmiemy ślub.

Cassie zmrużyła oczy.

– Czeka. A co ty na tym zyskasz?

Ponownie zobaczyłem brata i szwagierkę, wibrujący telefon, brzytwę, którą kroilem pigułkę. Próbowałem spojrzeć Cassie w oczy, żeby wiedziała, że mówię bardzo poważnie, żeby zobaczyła, że również potrzebuję pieniędzy. Mniej szczegółów, więcej prawdy.

– Też jestem w dołku. Muszę oddać komuś kasę tak szybko, jak to możliwe.

– Dlaczego znalazłeś się w dołku? – zapytała.

Poczułem, że płuca mi się ściskają. Zrozumie? Nie. Pomyśli, że nie można mi wierzyć. Pomyśli, że wydałem kasę na prochy.

– Nie chcę o tym mówić.

– Eee... – Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się półgębkiem. – To chyba dość ważne, Luke.

Wyzaczyłem granicę, mając nadzieję, że się nie pocę.

– Chyba będziesz mi musiała po prostu zaufać.

– Świetnie. – Posłała mi wymowne spojrzenie.

– Hej – powiedziałem, odsuwając się od niej. – To ty wpadłaś na ten niezbyt legalny pomysł. Jesteśmy w tym razem.

– Tak, to bardzo nielegalne – dodała i westchnęła. – Jeśli ktoś odkryje nasz spis, staniesz przed sądem i zostaniesz wydalony z armii. Oboje możemy skończyć za kratkami.

– Wiem. – Nie miałem o tym pojęcia, ale jeśli uda mi się spłacić Johnno, nim się dowiedzą... Więzienie było lepsze niż diler uganiający się za moją rodziną.

Ruszyła z miejsca, więc poszedłem za nią.

– Będziemy musieli wszystkich przekonać – stwierdziła, znów na mnie patrząc. Serce

podeszło mi do gardła. Wróciła do tematu.

– Tak. – Szliśmy teraz obok siebie.

– Ale to chyba nie będzie trudne – dumiała. – Nie mam zbyt wielu bliskich. A ty niebawem wyjedziesz. Musimy iść do urzędu stanu cywilnego, nie musimy robić z tego wielkiego wydarzenia – mówiła coraz szybciej. – A po twoim powrocie się pokłócimy. To znaczy nie naprawdę, ale wyjdzie na jaw niezgodność charakterów. Tego typu rzeczy.

– Mogłabyś mnie zdradzać, czy coś – podsunałem, zaznaczając palcami cudzysłów.

Zatrzymała się na środku chodnika.

– Wyglądam ci na kogoś, kto zdradza?

Obróciłem się i spojrzałem na nią zdezorientowany.

– Nie? Nie wiem.

– Nie zdradzam – wyznała, jakbym ją o to oskarżył.

– Wow, hej! To był tylko pomysł. Drażliwy temat? – Wyszło bardziej zgryźliwie, niż zamierzałem. Chciałem uspokoić sytuację, a tylko ją zaogniłem.

– Czy ktoś mnie zdradził? Tak – warknęła.

– Zasugerowałem to jedynie dlatego, że to najbardziej oczywisty powód rozstania.

– Ale do tego nie dojdzie – powiedziała, kręcąc głową. – Nie będę czarnym charakterem w historii biednego żołnierza. Jeśli już, to ty ze mną zerwiesz.

– Ale jak niby miałbym cię zdradzać? Z kimś z jednostki? Nie ma mowy.

– Zatem w ogóle nie będzie zdrady – powiedziała głośno.

Również podniosłem głos:

– Ale nie dostaniemy rozwodu, bo tak. Musimy mieć jakiś powód.

– Nie krzycz – skarciła.

– Nie krzycz! – wrzasnąłem. – Nie krzyczę – poprawiłem się ciszej.

– Po co o tym dyskutujemy? Wyprzedzamy wydarzenia – stwierdziła.

Przez chwilę szliśmy dalej w ciszy. Minęły nas dwie rozmawiające kobiety, jedna pchała wózek. Nie odzywałem się. Niezgodność charakterów wydawała się bardziej realna niż samo małżeństwo. Nasz rozwód miał być w tym wszystkim najłatwiejszy.

– Obiecuję, że od tej pory zawsze będę próbował się z tobą dogadać – przyrzekłem.

– Mhm. – Przyspieszyła kroku. – Będziesz musiał się bardziej postarać.

Ponownie poczułem ucisk w piersi. Cassie może i potrafiła być chłodna, ale przynajmniej zawsze bym wiedział, jakie ma poglądy.

– Dobra – stwierdziła, gdy skręciliśmy – kiedy chciałbyś to zrobić?

Nadeszła ulga.

– Wciąż tego chcesz?

– Tak. Nie poddaję się tak łatwo.

Próbowałem stłumić uśmiech.

– Jutro?

– Tak szybko?

– Przed wyjazdem musimy odegrać przedstawienie. Żeby wszystko wyszło prawdziwie w oczach tych, z którymi służę.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – A nie jestem dobrą aktorką.

Zacisnąłem zęby, wciągnąłem przez nie powietrze.

– Tak, ja też nie jestem najlepszym aktorem.

Spojrzała na ekran telefonu i westchnęła.

– Dobra, muszę jechać. Wprowadź Frankiego w sprawę. Jutro cały dzień mam wolny, więc możemy dogadać szczegóły.

– Okej. – Byłem podekscytowany, gotowy do działania. Natychmiast. Chciałem, by Cassie również była gotowa. Wyciągnąłem rękę, żeby podała mi telefon, po czym wpisałem do niego swój numer. Zawahała się, nim wsiadła do samochodu.

– Hej, jak ty się w ogóle nazywasz? – zapytała, przykładając rękę do czoła, żeby osłonić oczy.

– Morrow – odparłem, zerkając na nią. Powiodłem wzrokiem po jej wytatuowanych rękach do pudełka z płytami CD na jej desce rozdzielczej oraz do opakowań po batonikach zbożowych na dywanikach. – A ty?

– Salazar – odparła, uśmiechając się pod słońce.

Cisza była dziwna. Wiatr lekko kołysał jedną z huśtawek za jej plecami. Czułem jakąś wdzięczność. W moim sercu zaistniało coś dużego, przerażonego, drżącego, ale umysł wracał do bronca Johnno, wyobrażał sobie Jake'a wrzuconego do auta i JJ-a, który to widzi.

Nie, Cassie mi pomoże. Była cholernie wkurzająca, ale również zawzięta i miała mi pomóc ich chronić. Miałem ochotę uścisnąć jej dłoń albo ją przytulić. Absurdalne było myśleć, że tak po prostu rozejdziemy się w swoje strony, jakbyśmy do tej pory rozmawiali o pogodzie.

Ale to właśnie zrobiliśmy. Spojrzałem przez ramię, gdy odjeżdżała. Choć nie mogłem być pewien przez popołudniowe słońce, to wydawało mi się, że również na mnie spojrzała, więc pomachałem. Uniosła rękę i odmachnęła.

CASSIE

Ktoś pukał. Podniosłam wzrok znad klawiszy. Resztki trzech jointów leżały na podstawce obok mnie, a na podłodze wałały się rozsypane łupiny pistacji. Odkryłam, że orzeszki te były drogim, aczkolwiek dobrym lekarstwem na cukrzycę typu drugiego. Chodziłam w kółko po pokoju, chrupałam i grałam na keyboardzie, aby ukoić nerwy, bo nie wiedziałam, czy skontaktować się z Lukiem, żeby wszystko potwierdzić, czy raczej odwołać całą sprawę.

Zerknęłam przez wizjer. To Rita, moja gospodyni.

Oho.

Otworzyłam drzwi.

– Tak?

Rita trzymała swojego psa Dantego, który dyszał, zezując. Kobieta ubrana w szlafrok pociągała nosem i miała podpuchnięte oczy.

– Zauważyłam, że światło paliło się u ciebie całą noc. Chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Tak, tak, wszystko dobrze.

Ponownie pociągnęła nosem.

– Paliłeś tu trawkę?

Serce od razu przyspieszyło.

– Nie.

– Paliłeś. – Już przygotowywałam wymówkę o kiepskim kaczidzielku, ale powiedziała: – Zostało ci coś?

Uff.

– Jasne.

Miałyśmy niepisaną umowę, że na poddaszu mogę robić wiele rzeczy, o ile nie wpakuję się w kłopoty. Miałam z nią wiele tego typu ustaleń. Na przykład nie wspominałam o głośnym szlochu. Czy jej okazjonalnych imprezach, z których dochodziły do mnie zwierzęce odgłosy jej gości, a ona nie czepiała się, że od kilku dni zalegam z czynszem, ani że mój subwoofer wprawiał w drżenie cały budynek.

– Buszek z rana jak śmietana – powiedziała, siadając na kanapie.

Co takiego? Spojrzałam na telefon. Szósta. *Cholera.* Nie wiedziałam, że jest tak późno. Eee, to znaczy wcześniej. Za godzinę miałam spotkać się z Lukiem i Frankiem, zanim pójdziemy

do ratusza, w którym mieścił się urząd stanu cywilnego. I miałam napisać swoją „biografię” dla Luke’a. Zebrać podstawowe fakty z mojego życia, które mógłby poznać w ciągu tygodnia, w którym się poznaliśmy i zakochaliśmy w sobie. To dobry pomysł, który zasugerował wczoraj, gdy rozmawiałam z nim przez telefon. Sam miał napisać podobną dla mnie.

Zamiast tego zaczęłam pisać piosenkę. Kiedy czułam coś, co nie do końca byłam w stanie zrozumieć – kiedy czułam się stłamszona, jak przy Tylerze, albo gdy dowiedziałam się, że mam cukrzycę, czy jak na przykład teraz – próbowałam zawrzeć uczucia w nutach.

Pisanie piosenek było jak spacer po lesie, szukanie jedzenia. Zaczynasz na skraju przy dźwięku klawiszy C-dur czy E, a wtedy dostrzegasz kolor pośród drzew, może coś bardziej syntetycznego jak fis, więc go zbierasz, ale nie wydaje się on właściwy. Nie całkiem dobra jagoda do zjedzenia, więc zapuszczasz się dalej i muskasz e-moll w wibrafonie, jakbyś dotykał znajomego liścia, czujesz jego fakturę, grasz wolno lub szybko i masz to. Zbierasz nuty w pobliżu. Znajdujesz orzechowe G, po czym wracasz do F, gdy jest dojrzałe.

Nie znalazłam nut, które byłyby odpowiednie dla: *Zamierzam związać się z kimś, kogo wcale nie znam*. Uczucia poszybowwały w przeróżne strony. Niedowierzania. Strachu. Sceptycyzmu. Ale odnalazłam akordy dla nadziei – jasną, bezkształtną rzecz daleko w lesie. Skupiłam się szczególnie na tym uczuciu. Nadzieja, choć nie wiedziałam, jak wygląda, prowadziła mnie przed siebie.

Granie przez całą noc to jakby ceremonia przed ceremonią. Wielki ukłon w stronę siły, która sprawiła, że zakochałam się w muzyce na tyle, by tworzyć.

Rita wręczyła mi resztę jointa, gdy Dante obwąchiwał pudełko po glukometrze oraz ubrania w przeróżnych odcieniach dżinsu i czerni, które pokrywały każdą możliwą powierzchnię.

– Moje życie się dziś zmieni – powiedziałam, wypuszczając dym.

– Tak? – odparła Rita. Wstała i zagwizdała na psa. – Dobrze. Powtarzam sobie to samo każdego ranka.

Jakąś godzinę później byłam gotowa. Sprawdziłam poziom cukru, zjadłam jajecznicę z ziemniakami i białą fasolą na ostro. Znalazłam telefon, który leżał na stosie ciuchów do prania. Nałożyłam nieco tuszu na rzęsy i pomalowałam usta. Dopiero kiedy wsiadałam do subaru, uświadomiłam sobie, że pójdę do ślubu w koszulce z Kinks i dżinsowych spodenkach, które miałam wczoraj na sobie. Włosy związałam wcześniej w kok, który zapewne zaraz się rozpadnie. I nie zasznurowałam trampek.

Wróciłam biegiem po schodach i znalazłam bawełnianą, czarną sukienkę na ramiączkach z dekoltem w serek. Sporo odślaniała i śmierdziała starym piwem, ale nie miała plam.

– Buty, buty, buty – szepnęłam do siebie. Przypomniałam sobie, że z czasów, gdy na halloween byłam przebrana za Marge Simpson, miałam czerwone szpilki. Włożyłam je i przejrzałam się w dużym lustrze na drzwiach szafy. *Dobra, żadnego koka*, stwierdziłam i rozpuściłam włosy.

Potrzebowałam chwili, żeby przywyknąć do kobiecego wyglądu.

Następnie zobaczyłam, że przy tym dekolcie widać poroże, które miałam wytatuowane nad lewą piersią. Ochrona.

Och, cała ja.

LUKE

Najwyraźniej dla podstarzałej kelnerki z toną lakieru na włosach było zupełnie normalne, że dwaj faceci w garniturach jedzą jajka po benedyktyńsku o siódmej rano, jeden z nich bawi się pudełeczkiem z kupionym w Walmarcie pierścionkiem, drugi wściekle robi zdjęcia swojemu towarzyszowi, biżuterii, pustym boksom, menu oraz samej kelnerce.

Kiedy dotrze tu Cassie, omówimy szczegóły dotyczące nadchodzących dziewięciu miesięcy. Frankie wszystko dokumentował, abyśmy mieli dowody na wypadek, gdybyśmy, nie daj Boże, kiedykolwiek musieli dowieść legalności małżeństwa w sądzie.

– Wyciągną każdy szczegół na światło dzienne – powiedział, pokazując zdjęcia ze znacznikami czasu. – Jak się poznaliście, jak jej się oświadczyłeś, wszystko. Zatem jestem świadkiem. Wyglądaj na podekscytowanego – dokończył, celując we mnie aparatem.

Uniosłem brwi, próbując szerzej otworzyć oczy.

Frankie zrobił zdjęcie, po czym je obejrzał.

– Mówiłem podekscytowanego, nie jakby ci ktoś wsadził palec w tyłek.

– Zamknij się.

– Oto uśmiech. – Pstryknął kolejną fotkę. Z torby wojskowej wyjąłem notes i położyłem obok pustego talerza, gotowy wymienić się życiorysami z Cassie. Albo Cass, jak według przyjaciela powinienem ją nazywać. To wciąż mi jednak nie pasowało.

Drzwi restauracji otworzyły się, weszła Cassie. Spojrzałem na jej mostek, odsłonięty dzięki głębokiemu dekolтови sukienki. Czarne włosy okalały falami jej twarz, kończąc się przy ramionach, a sukienka otulała jej sylwetkę w kształcie klepsydry. Na widok jej piękna zacząłem się denerwować. Piękni ludzie myśleli jednokierunkowo. Uczyli się tego w wieku dojrzewania, gdy wygląd zaczynał mieć znaczenie. Wszyscy schodzili im z drogi, aby móc ich podziwiać. Nie musieli uczyć się, jak poradzić sobie w świecie, jak iść na kompromis, jak znaleźć tylne wejście do przeróżnych miejsc. A zdecydowanie tę sytuację można było nazwać tylnymi drzwiami.

– No co? – powiedziała, podchodząc do naszego boksu. Uświadomiłem sobie, że się w nią wpatruję.

– Nic.

Frankie wstał.

– Cass! – Pocałował ją w oba policzki. Spojrzał na mnie i szarpnął głową.

Również podniosłem się z miejsca, trochę nad nią górując. Pochyliłem się, żeby

pocałować ją w policzek. Przyjaciół pstryknął zdjęcie.

Usiedliśmy. Frankie i ja po jednej stronie, Cassie po drugiej.

– Poproszę tylko kawę. Czarną – powiedziała do kelnerki. Spojrzała na mnie. – Zapisujesz?

Otworzyłem notes, znalazłem puste miejsce, aby to nagryzmolić. Wydało mi się to jednak niedorzeczne.

– Naprawdę sądzisz, że musimy znać aż takie szczegóły?

– Może nie, ale ten ci się przyda – stwierdziła, przysuwając się do mnie. – Mam cukrzycę typu drugiego. Stąd rachunki za leczenie.

Pamiętałem.

– Co to dokładnie oznacza? – zagadnąłem. – Jeśli oczywiście mogę zapytać.

– Zasadniczo to, że moja trzustka nie wie, jak rozłożyć cukier w mojej krwi. Zatem muszę pilnować diety, żeby nie dostać hipoglikemii. Albo, jak mi się wydaje, nie zemdleć z powodu zbyt niskiego poziomu cukru we krwi. Na przykład po zjedzeniu posiłku, który zawierałby zbyt wiele prostych węglowodanów. – Wskazała na kawałek ciasta w jednej z gablot. – Albo jeśli nie będę jadła regularnie, nie zjem pełnego posiłku albo zjem później niż zazwyczaj. – Wyliczała na palcach. – Albo jeśli wypiję alkohol bez zagryzania i tak dalej.

– Wow.

– To wiele do zapamiętania – powiedziała. – Potrzeba trochę czasu, żeby to wszystko ogarnąć.

– Zapisłaś mi to? – zapytałem, unosząc swój notes. – Sporządziłaś biografię?

Umilkliśmy, gdy wróciła kelnerka.

Cassie posłała mi skruszony uśmiech, biorąc do rąk parujący kubek. Poczekała, aż kobieta odejdzie, nim ponownie się odezwała:

– Będę szczerą. – Przeniosła wzrok ze mnie na Frankiego i wróciła nim do mnie. – Trochę kiepsko się przygotowałam.

– Co przez to rozumiesz? – Położyłem dłoń na notesie, w którym przez godziny pisałem na tyle schludnym pismem, aby zdołała przeczytać. Przeczesałem wszystkie wspomnienia i błędy, próbując wyłuskać to, co istotne. Uznaliśmy, że wysłanie tego e-mailem nie będzie najlepszym pomysłem, ponieważ pozostanie ślad.

Cassie wyglądała na prawdziwie skruszoną.

– Po prostu nie napisałam swojego życiorysu. Przepraszam.

Serce mi się ścisnęło.

– No weź. Mamy dziś to zrobić. Co było ważniejsze?

– Przepraszam! – powtórzyła głośniejszym głosem. – Jeszcze godzinę temu nie byłam pewna, czy dam radę tu przyjść.

– Dobra – skwitowałem, czując, jak mocno bije mi serce. Starłem się oddychać. Wkurzyłem się, ale przecież złość nie pomoże w tej sytuacji.

Frankie włożył do ust kęs jedzenia.

– Możecie o tym porozmawiać – stwierdził z pełnymi ustami. – Jak normalni ludzie.

Spojrzeliliśmy po sobie z Cassie. Wyglądała, jakby czuła to samo co ja, a mianowicie: *Nie, dzięki.*

– Może przeczytasz, co tam masz, a ja odpowiem? – zasugerowała, wskazując na długopis i notes. Wyrwałem dla niej kartkę. – Czytaj pierwszy punkt.

Złość zaczęła ustępować. Odchrząknąłem.

– Nazywam się Luke Joseph Morrow.

Cassie zapisała swoją odpowiedź, po czym się odezwała:

– Cassandra Lee Salazar.
– Lee, co? – rzucił Frankie. – Tego nie wiedziałem.
– To chyba było nazwisko panieńskie matki mojego taty. – Spojrzała na mnie poważnymi brązowymi oczami. – O, eee... i nie mam ojca.
– Zamierzasz pozostać przy swoim nazwisku, czy...?
Zmarszczyła brwi, ponownie na mnie patrząc.
– Oczywiście, że zamierzam pozostać przy swoim nazwisku.
Uniosłem dłonie.
– Tylko zapytałem.
Uśmiechnęła się i sarkastycznie zacisnęła czerwone usta.
– Zamierzam udawać, że jestem twoją żoną, ale nie będę siedzieć w domu i dziergać na drutach koca, aż wrócisz z wojny.
– Nigdy nie mówiłem nic o robieniu na drutach.
– Chciał być ostrożny, Cassie – wciął się Frankie znacznie miłszym tonem, niż sam byłem w stanie mówić w tej chwili.
– A może ty przejdziesz moje nazwisko? – wymamrotała.
Nie wiedziałem, czy mówiła poważnie, czy jednak nie.
– Nie, też nie chcę tego robić.
Frankie spojrział na zegarek.
– Powinniście się streszczać, jeśli nie chcemy czekać w długiej kolejce w ratuszu.
Przeczytałem:
– Jestem starszym szeregowym w 6. batalionie 34. Dywizji Piechoty Red Horse Armii Stanów Zjednoczonych Ameryki.
Z tego, co zauważyłem, Cassie zapisała „szeregowy”.
Spojrzała na mnie, popijając kawę.
– Gram na klawiszach i jestem wokalistką w zespole The Loyal, który założyłam tutaj w Austin. – Uśmiechnęła się lekko, zerkając na Frankiego, nim to zapisała.
Popatrzyłem na swoje notatki.
– Moje ulubione danie to krakersy z salami.
Zachichotała.
– Przepraszam. Nie wiem, dlaczego mnie to rozbawiło. Moje to – zapisała – tembleque mojej mamy, czyli deser kokosowy o konsystencji budyniu.
Wymienialiśmy się informacjami.
Biegam dziesięć kilometrów dziennie.
Dwa razy w miesiącu zapisuję się na zajęcia jogi, po czym to odwołuję.
Lubię gry RPG. Fallout i tego typu rzeczy.
Lubię czytać Teorię krytyczną i tandetne czasopisma plotkarskie.
Tak naprawdę nie lubię czytać. Nie byłem dobrym uczniem, chociaż podobały mi się Przygody Hucka Finna i Tam, gdzie rośnie czerwona paproć.
Lubię płyty. Winylowe.
Ja również. Tata miał ich trochę, gdy byłem mały.
Wywzualizowaliśmy z siebie poważne sprawy jak: *moja mama nie żyje* i drobne, które według Cassie zakochani powinni wiedzieć o sobie po jakimś miesiącu razem, jak: *śpię w bokserkach*. Cassie spała w koszulce i majtkach. Wskazała na swoje tatuaże. Na prawym przedramieniu miała lwa ze skrzydłami. *Sfinksa. Według mitów to żeńska postać. Symbol mądrości.* Na lewym ramieniu miała kwiaty, najwyraźniej takie, jakie w ogródku uprawiała jej matka. Na lewym czarną gwiazdę dla Davida Bowiego.

Pokazałem jej bliznę z tyłu głowy. Powiedziałem, że ranę przypadkowo zadał ojciec. Nie rozwodziłem się nad tym.

Postanowiliśmy, że jeśli ktoś będzie coś podejrzewać, zaczniemy zachowywać się jak zakochani. Mieliśmy się dotykać, śmiać się razem, szeptać sobie sekrety na ucho. To z pewnością rozproszy osobę zadającą pytania. Albo uzna, że to urocze, i bardziej zrozumie nasz pośpiech, albo pomyśli, że jesteśmy obrzydliwi, i także lepiej zrozumie nasz pośpiech.

Będziemy łączyć się przez Skype'a co dwa tygodnie, mając nadzieję, że będą przy tym obecni żołnierze z mojej jednostki, w razie gdybyśmy potrzebowali świadków.

Dałem jej do podpisania formularze mojego ubezpieczenia zdrowotnego. Wymieniliśmy się adresami e-mail.

Uzgodniliśmy, że moje czeki z wypłatą będą wpływać na wspólne konto, które założymy dziś w Credit Union w Austin. Cassie będzie wypłacała swoją część pierwszego każdego miesiąca.

Zaczęła nerwowo poruszać nogą pod stołem.

– A teraz – powiedział Frankie, trzymając aparat – mamy idealny moment, żeby nagrać twoje oświadczenia.

Rozejrzałem się.

– Tutaj?

– Dlaczego nie? – zapytał. – Jest idealnie. Mamy publikę. To świadkowie, ale nikt przecież nie słyszał naszej wcześniejszej rozmowy. I będziemy mogli powiedzieć, że czułeś tak wielką miłość, że nalegałeś, byśmy natychmiast udali się do ratusza.

Cassie spojrzała na aksamitne pudełeczko, które kupiliśmy w Walmarcie.

– O Boże – sapnęła i je otworzyła.

– Nie! – krzyknął Frankie, rozglądając się ze strachem w oczach. Cassie natychmiast upuściła pudełko na blat.

Przyjaciół pokiwał do mnie głową, spojrzeniem zachęcając, bym to zrobił. Przypuszczałem, że lepiej, by to nie wyglądało na zainscenizowane. Nie mogliśmy tego powtórzyć. Spojrzałem na Cassie. Dziewczyna zmarszczyła nos.

Wziąłem ją za chłodną rękę i pociągnąłem, by wstała z miejsca. Upewniłem się, że kelnerka obserwuje nas zza lady. *No to lecimy.*

Odchrząknąłem i uklęknąłem na jednym kolanie. Cassie zaśmiała się szczerze, co odzwierciedliło się w mowie jej ciała. Również się roześmiałem.

– Patrz mi w oczy – mruknąłem.

Spojrzała. Zacząłem się uśmiechać, spróbowałem się powstrzymać, ale uświadomiłem sobie, że przecież nie muszę tego robić.

– Cassandro Lee Salazar, wyjdiesz za mnie?

Powiedziała „tak”.

CASSIE

Ratusz wyróżniał się brązową dachówką i sporym przeszkleniem pośród panoramy śródmieścia Austin. Frankie zaparkował na ulicy, ale nie zdawałam sobie sprawy, że stoimy, aż umilkło radio i w samochodzie zapanowała cisza. Obracałam zbyt ciasnym pierścieniem na palcu, próbując przypomnieć sobie akordy, które nad ranem przysły mi do głowy. Odtworzyć rytm, w jakim powinno podążać moje serce, by nieco zwolniło i przestało się szarpać na wszystkie strony.

– Zanim wejdziemy – powiedział Frankie, patrząc na nas z sentymentem, jakbyśmy szli na szkolny bal. – Mam pewien pomysł. Rodzice robią to na terapii dla par.

– Twoi rodzice chodzą na terapię? – zapytałam.

Louise i George Cucciolo byli najbardziej zakochanymi ludźmi, jakich znałam. Kiedy któreś z nas wpadało do kuchni po przekąski, zawsze się obmacywali. Co roku na swoje kolejne rocznice latali do Włoch.

– Tak, podoba im się. Mówią, że pomaga im się rozwijać.

Popatrzyliśmy na siebie z Lukiem i wzruszyliśmy ramionami. Zastanawiałam się, czy myślał o tym, co ja, czyli że prawdopodobnie łatwiej się „rozwijać” jako para, kiedy ma się do dyspozycji dochód, który można przeznaczyć na ekspertów od małżeństwa oraz wycieczki do Europy.

– Tak czy inaczej – ciągnął Frankie – kiedy się nie zgadzają czy coś w tym stylu, zaczynają sesję od wpatrywania się sobie nawzajem w oczy przez pół minuty.

– Nie – zaszydził Luke. – Niemożliwe.

– Frankie – rzuciłam, szturchając go w ramię. – Doceniam twoje wysiłki i że w ogóle to z nami robisz, ale wejdziemy tam, podpiszemy dokumenty i popstrykamy fotki, okej?

– Nie pozwolę wam wysiąść z tego samochodu, dopóki tego nie zrobicie. Poważnie. Elena i ja też to praktykujemy i nieźle nam to wychodzi. Możemy rozmawiać o wszystkim.

– Nie musimy o niczym rozmawiać, Frankie – mruknął Luke. – Poza kwestiami finansowymi.

– Jako przyszły prawnik...

Mimowolnie prychnęłam.

– Poważnie – rzucił Frankie. Zaczął podnosić głos, co było nowością zarówno dla mnie, jak i dla Luke'a. – Musicie podejść do sprawy poważnie, bo jeśli coś pójdzie nie tak, na sali

sądowej wezmą pod uwagę mowę ciała. Zaklinam się na Boga.

Cisza. Słowa „sala sądowa” zainfekowały nasze myśli. Uświadomiliśmy sobie konsekwencje, które wiązały się z naszymi decyzjami. Więzienie. Brak pieniędzy. Brak przyszłości.

– Dobrze – powiedziałam.

– Luke, przesiądź się na tylną kanapę.

Patrzyłam, jak Luke okrąża samochód, czarny garnitur był na niego trochę za mały w nogawkach i na rękawach, ale dopasowany we wszystkich należytych miejscach. Miał sylwetkę biegacza, szerokie ramiona, żylaste ręce, wąską talię i długie nogi, które musiał teraz jakoś zmieścić z tyłu samochodu. Pachniał mokrym drewnem i ziołami, pewnie też wodą kolońską Frankiego.

Przynajmniej wszyscy zrozumieliby, dlaczego na niego polecałam.

– A tak w ogóle, o czym mamy myśleć? – zapytał.

– O czymkolwiek chcecie – odparł Frankie.

– Na przykład o czym?

Niemal rzuciłam żartem, że o seksie, ale ugryzłam się w język. Przecież siedzieliśmy razem na tylnej kanapie. To przeważnie byłoby śmieszne, ale nie teraz. Strzeliłam knykциями, starając się skupić.

– W porządku – powiedział Frankie. – Spójrzcie sobie nawzajem w oczy. Nie przerywajcie kontaktu wzrokowego, nie śmiećcie się.

Natychmiast parsknęłam śmiechem, ale zaraz odetchnęłam głęboko. *Zrób to dla Frankiego. Dla mamy. Dla albumu.*

– Jeden tysiąc, dwa tysiące... – zaczął odliczać na głos nasz przyjaciel, ale zaraz ucichł.

Trzy tysiące, cztery tysiące, pięć tysięcy...

Spojrzałam na Luke'a. Przypomniałam sobie, jak wyglądały jego oczy w zeszłym tygodniu, zanim okazał się dupkiem. Niebieskoszare, z długimi rzęsami pod cienkimi brwiami. Miał pod nimi jasnofioletowe cienie.

Czułam jego oddech, miętową pastę do zębów i nutę czegoś jeszcze, nie nieprzyjemną, lecz ciepłą. Płuca, zakończenia nerwowe, kości, z tego się składał. Podobnie jak ja. Podobnie jak wszyscy ludzie.

Powiedział, że biega dziesięć kilometrów dziennie. Musiał naciskać na samego siebie. Wydawało się, jakby nauczono go, że ciało mężczyzny musi iść w parze z męskim rozumem, a wszystko musi być silne, bez oznaki słabości. Nie zazdrościłam mu tego.

Kątem oka widziałam oparte na udach szerokie dłonie, gładkie palce. Od czasu do czasu się napinały.

Zrobił swojemu ciału coś, co chciał cofnąć, wyczuwałam to teraz, będąc tak blisko niego, poznawałam to po jego postawie.

Wierz mi, rozumiem, powiedziałam w duchu jego oczom.

LUKE

Dwadzieścia cztery tysiące, dwadzieścia pięć tysięcy, dwadzieścia sześć tysięcy...

Kilkakrotnie pomyślałem, że to głupie, ale po czasie zauważyłem, że Cassie ma pieg pod lewym okiem, a niektóre włoski w jej gęstych, czarnych brwiach są jaśniejsze na końcach.

Pieg był maleńką wyspą na gładkiej powierzchni policzka.

Dziwne, że prawdopodobnie mógłbym przeżyć cały rok znajomości z nią, być jej „mężem”, a bym go nie zauważył.

Patrzyłem, jak mruga i jak się we mnie wpatruje i, cholera, Frankie miał rację, być może wzrastała we mnie pewność, że jest zdolna wytrzymać całą tę sytuację. Może nie zdolna, ale chyba chętna to zrobić. Wcześniej myślałem, że jest piękna i potrafi wykorzystać nadarzającą się okazję.

Tak, cechowało ją piękno, ale po sposobie, w jaki teraz na mnie patrzyła, gdy powieki jej drgały, jakby miała ochotę odwrócić wzrok, poznawałem, że nie przywykła do wykorzystywania urody na swoją korzyść. Gdyby polegała na swoim wyglądzie, zapewne nie siedziałyby na tylnej kanapie. Siedziałyby z przodu z jakąkolwiek osobą, której by zapragnęła.

Patrząc na nią, wymazałem jednak z myśli wszystkie inne możliwe scenariusze. Tak, bezsprzecznie była tu ze mną.

CASSIE

– Czas minął – powiedział Frankie i wszystkie dźwięki ulicy i świata nagle do mnie wróciły. Czar przysł.

Luke odchrząknął, wziął swoją wojskową torbę.

– Zróbmy to.

Nasze kroki rozbrzmiały echem na korytarzu wraz z krokami innych osób, które przyszły tu załatwić urzędowe sprawy, prosić o wydanie pozwoleń, aktów, złożyć pozwy. Weszłam do śmierdzącej wybielaczem łazienki, wyjęłam glukometr. Kto mógł wiedzieć, kiedy po raz kolejny będę mogła zmierzyć sobie poziom cukru? Nie miałam pojęcia, ile zajmie ślub cywilny w ratuszu. Miałam dziwne wrażenie, że będzie jak na Ellis Island, kilometrowe kolejki kobiet, które wyglądały jak babcia na starych zdjęciach, w rozkloszowanych spódnicach, pokręconych włosach, ściskających żołnierzy, którzy przetrwali lądowanie w Normandii.

Wyszłam, ale przystanęłam, obserwując, jak Frankie i Luke coś do siebie szepczą. Nabrałam głęboko powietrza i podeszłam do nich. Gabinet urzędnika stanu cywilnego mieścił się na pierwszym piętrze.

Jechaliśmy windą z kobietą i mężczyzną będącymi mniej więcej w naszym wieku, ubranymi w eleganckie stroje. Kobieta ścisnęła bukiet stokrotek. O Boże. Ci ludzie naprawdę chcieli się pobrać. Staliśmy z Lukiem ledwie stykając się ramionami, podczas gdy Frankie nucił pod nosem *Goodbye Yellow Brick Road* w wersji Muzaka. Widać było, że jesteśmy pozorantami.

Kiedy rozsunęły się drzwi windy, kobieta zwróciła się do mnie:

– Też wychodzisz za mąż?

– Tak! – Uśmiechnęłam się szeroko. – Za tego faceta – dodałam, klepiąc Luke'a w plecy.

Cholera jasna. Czy zakochani klepią się nawzajem po plecach?

– To ja – powiedział Luke. Głośno przełknął ślinę. – Jestem tym szczęśliwcem!

– Wiecie może – zwrócił się Frankie do pary, wskazując na obie strony, gdy wyszliśmy na wyłożony drewnem korytarz – gdzie jest sala, w której odbywają się ceremonie?

– Macie już pozwolenie? – zapytał mężczyzna.

– No tak – rzucił Luke. Spojrzał na mnie wyczekująco. – Pozwolenie.

– Pozwolenie – powtórzyłam, wpatrując się w niego. *Szlag*. – Jeszcze nie. Powinniśmy je załatwić.

– Jesteście uroczy – powiedziała kobieta. – Wyglądacie na tak zdenerwowanych. Dzień

ślubu to wielkie przeżycie!

– Urzędnik stanu cywilnego nie da wam ślubu, jeśli trzy dni wcześniej nie otrzymacie pozwolenia – poinformował nas mężczyzna. – W zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się o tym z Maggie na własnej skórze – dodał. Para popatrzyła na siebie, chichocząc.

– Kurwa – wyrwało mi się. Luke pojutrze wyjeżdżał.

Chichot pary przerodził się w nerwowy śmiech, po czym ucichł. Kobieta patrzyła na mnie, jakby z oczu płynęły mi krwawe łzy. Omiotła mnie wzrokiem, zatrzymała się na chwilę na wytatuowanym porożu, następnie przeniosła spojrzenie na Luke'a.

Chwyciłam Frankiego za rękę. *Nie spodobaliśmy się normalnej parze. Wiedzą, że nie jesteśmy do nich podobni. Odwrót, odwrót.*

– Ale nie w przypadku żołnierzy, kochanie! – rzuciła nagle kobieta, wskazując na torbę Luke'a. – Jesteś wojskowym?

– W czynnej służbie – odparł, zerkając na nią, jakby chciał ją o tym zapewnić.

– Właściwie – zaczęła, patrząc na narzeczonego – chyba dla żołnierzy w czynnej służbie jest wyjątek od siedemdziesięciodwugodzinnego oczekiwania.

– Tak? – zainteresowałam się.

Czułam ulgę, ale częściowo chciałam mieć to już za sobą, bo pojawiła się przeszkoda, która uniemożliwiała nam realizację podjętego przedsięwzięcia. Do tej pory wydawało mi się, że cały jego ciężar spoczywa na moich barkach, co oznaczało, że jeśli się nie uda, po prostu go zrzucę i znajdę inny sposób. Teraz jednak rozrósł się na cały świat, na Luke'a, Frankiego, urzędnika oraz nieznaną o imieniu Maggie.

– Wybaczenie nam – powiedział Frankie, przywołując na twarz swój najbardziej czarujący uśmiech. – Dzięki za pomoc.

Wypełnienie wniosku o pozwolenie było najłatwiejszą częścią. Puste miejsca na nazwiska, numery ubezpieczeń społecznych, kropkowana linia na podpisy.

Cassandra Lee Salazar.

Obserwowałam, jak wniosek podpisuje mój przyszły mąż.

Luke Joseph Morrow.

Frankie pstryknął zdjęcie, gdy staliśmy przy okienku, ledwo dotykając nawzajem swoich pleców.

– No to tyle – powiedziałam do Luke'a, na co ten pokiwał głową, zerkając na mnie przez chwilę. Nie mówił za wiele, poza „tak, proszę pani”, „nie, proszę pani”. Ciągłe sprawdzał coś na telefonie i pocierał kark, jakby odczuwał ból. – Nawet nie zamierzasz udawać szczęśliwego? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Nikt nie patrzy.

Ściszyłam głos.

– Tak, ale nie czujesz ulgi, że to niemal koniec?

– Dla mnie to nie koniec. Jadę do Afganistanu, Cassie.

Odsunęłam się.

– No tak.

Naszym urzędnikiem był notariusz, człowiek, który albo znał Boga osobiście, albo rano wypił trzy espresso. Górował nad Lukiem, Frankiem i mną, był łysy i miał złoty ząb. Frankie uniósł telefon, aby nas nagrać.

– Wybraliście modlitwy? – zapytał.

– Słucham? – zdziwił się Luke.

– Żydowskie, chrześcijańskie, muzułmańskie, pogańskie, mam je wszystkie. Mam całą

gamę chrześcijańskich, w tym katolickie. – Wymieniał z silnym akcentem, jakby podawał nam opisy konsoli do gier, wyliczając je przy tym na pulchnych palcach. – *Modlitwa o pogodę ducha, Zdrowaś Mario, Modlitwa Pańska, Pan jest moim pasterzem*, wszystkie psalmy i najbardziej popularny *List do Koryntian*, ten, który zaczyna się od: „Miłość cierpliwa jest”.

Nie mogłam się doczekać, aż opowiem Norze o tym gościu. Ale zaczęłam się zastanawiać, jak niby miałam jej to wszystko wytłumaczyć?

– Możecie również zrezygnować z modlitwy, bo jesteśmy w urzędzie. Przede wszystkim jestem urzędnikiem państwowym.

– Może bez... – zaczęłam.

– Może być *Modlitwa o pogodę ducha*? – zapytał Luke nieco łamiącym się głosem. Czekał na moją zgodę. – Mama ją lubiła.

– Pewnie. – Wzruszyłam ramionami. Frankie szturchnął mnie łokciem. – To znaczy, oczywiście, kochanie.

Urzędnik szukał pod mównicą *Biblii*, a ja przypomniałam sobie, że Luke w restauracji powiedział, że jego mama nie żyje. Nie mogłam sobie tego wyobrazić. Cóż, chyba jednak mogłam, biorąc pod uwagę, że nie miałam ojca, ale nigdy go nie poznałam, więc to nie była prawdziwa strata. Przez chwilę żalowałam, że nie ma tu mamy. Fałszywy czy też nie, chciałaby być na moim ślubie.

– Stajecie na ślubnym kobiercu... Chwila, będziecie patrzeć na siebie, trzymać się za ręce, czy co?

Frankie pokiwał głową, zachęcając nas zza komórki.

Wzięłam Luke’a za rękę. Uśmiechnęłam się do niego, jakbym była w nim zakochana, próbując przybrać pewną siebie minę. Odpowiedział uśmiechem. Przeraziła mnie prostota całego aktu. Jakby cała miłość była jedynie oszukiwaniem siebie, aż stanie się prawdziwa.

Urzędnik zrobił przedstawienie z zamykaniem *Biblii* i ponownym jej otwieraniem, jakby zaczynał od samego początku.

– Stajecie na ślubnym kobiercu, więc niech Bóg użyje wam pogody ducha, abyście godzili się z tym, czego nie możecie zmienić, odwagi, abyście zmieniali to, co możecie zmienić, i mądrości, abyście odróżniali jedno od drugiego.

– Nie mogę się nie zgodzić – szepnęłam.

Luke ścisnął moje dłonie. Nie wiedziałam, czy był to przyjacielski gest, czy też ostrzegawczy.

– Czy ty, Cassie, bierzesz sobie Luke’a za męża? Czy przyrzekasz kroczyć u jego boku, kochać, wspierać i zachęcać we wszystkim, co robi?

Otworzyłam usta, by wypowiedzieć „tak”, ale urzędnik ciągnął dalej:

– Czy przyrzekasz poświęcać czas na rozmowę z nim, słuchać go i dbać o niego? Czy zamierzasz śmiać się z nim i płakać, jako partnerem, kochankiem i najlepszym przyjacielem?

Uniosłam głowę, czekając. Wydawało się, że to wiele zadań jak dla jednej osoby. Jeśli przyszedłoby co do czego, byłabym najwyżej dobra w dwóch z tych rzeczy.

– Czy bierzesz go sobie za prawnie poślubionego męża teraz i na zawsze? – Spojrzał na mnie wyczekująco.

– Tak – odpowiedziałam.

Urzędnik zadał Luke’owi te same pytania. Obserwowałam, jak ich słucha ze zwieszoną głową, rzęsy opierały mu się o policzki.

– Tak – powiedział, gdy tamten skończył.

– Na mocy prawa stanu Teksas, ogłaszam was mężem i żoną.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy jak wtedy w lexusie, ale tym razem wiedzieliśmy,

o czym myśli to drugie. *Cholera*.

– Pocałuj ją, synu!

Urzędnik zwrócił się do Luke'a, jakbym była teraz jego własnością. A pieprzyć to. Objęłam twarz Luke'a i przyciągnęłam ją do siebie, mając nadzieję, że dalej już przejmie inicjatywę. Dłuższe cmoknięcie, czy głęboki pocałunek? Otworzyć usta?

Okazało się w trakcie. Jego wargi były miękkie. Po chwili próbował się odsunąć, ale moje włosy zaczepiły się o guzik jego koszuli. W efekcie zabolalo, gdy szarpnęłam głową.

– Au! – pisnęłam. – Kurwa!

– Co się stało? – zapytał, dotykając mnie w autentyczny sposób, pierwszy raz tego dnia.

– Włosy! Są przyrośnięte do mojej głowy! – załkałam.

– Czekaj, nie ruszaj się – powiedział, próbując rozplątać pasemko.

– Ostrożnie – skarciłam.

– Przepraszam! – warknął.

Frankie opuścił kamerę i westchnął. Kolejna para i ich przyjaciele zebrali się przed wejściem na salę, patrzyli na nas z zaciekawieniem. Usłyszałam nerwowy chichot i zmarszczyłam brwi.

Byłam pewna, że to znak. Nasze małżeństwo skazane było na zagładę. Albo to, albo nadszedł czas, by obciąć włosy.

LUKE

Wyszliśmy z sali do windy, która pachniała perfumami, po czym z ratusza na chodnik. Wiatr hulał między budynkami w śródmieściu Austin, zarzucił mi krawat na twarz, a włosy Cassie falowały, wplątując się w kolczyki. Nikt się nie odzywał. Nadciągała burza.

Zerknęliśmy na siebie z Cassie – nie wrogo, ale też nie miło, bardziej jakbyśmy sprawdzali, czy to drugie nadal tu jest.

Nie mogłem przestać myśleć o sąsiedzie, z którym się wychowywałem. Nie pamiętałem jego imienia, bo wydawało się, że z Jakiem zawsze biegaliśmy latem z jakimś sąsiadem, gdy tata pracował w warsztacie. Mitch, Mark, czy jakoś podobnie. Przy tym dzieciaku zawsze trzeba było uważać na to, co się mówiło. Chwytał za słówka i drażył, aż wydawało się, że to najgłupsze, co kiedykolwiek się powiedziało. Nie mogliśmy nigdy przyznać, że coś kochamy, jak na przykład *Power Rangers*, tatę, czy krakersy, bo sąsiad zawsze rzucał coś w stylu: „Tak? Jeśli tak to kochacie, dlaczego się z tym nie ożenicie?”.

Zawsze odpowiadaliśmy z Jakiem: „Nie kochamy krakersów w ten sam sposób, w jaki moglibyśmy kochać ludzi, których moglibyśmy poślubić”.

A mimo to byłem żonaty i kiedy nadszedł czas, aby dla dobra małżeństwa powiedzieć Cassie, że ją kocham, nawet jeśli nic takiego nie czułem, zakrztusiłem się na tym słowie, czekając, aż zostaną wymśniane.

Tkwiła we mnie również inna odrobina dziecięcej logiki, ochota, by wskazać na kogoś tak pięknego jak Cassie, gdy odsuwała rozwiane włosy z twarzy i odpowiedzieć na te drwiny: „No i co, skurwiele, widzicie? Ożeniłem się z nią!”.

CASSIE

Nic w domu Florienów nie wymagało sprzątanania, a jednak tu byliśmy. Mama wierzyła w ekologię, co oznaczało, że używała olejków z drzewa herbacianego, octu i organicznego mydła na stołach oraz w toaletach małżeństwa, które postanowiło, że ich potomstwo nie powinno wdychać oparów lizolu. Przyjechałam, żeby porozmawiać z mamą o Luke'u, ale wydawało się, że nie jest ku temu odpowiednia chwila. Jak miałam powiedzieć matce, że wyszłam za mąż, klęcząc przed sedesem?

Zawibrował mój telefon. Znowu Toby. Zignorowałam go.

I jak powiedzieć okazjonalnemu kochankowi, że jestem już mężatką? Pieprzyć to. Musiałam w ogóle mówić coś Toby'emu w tym temacie? Chyba nie. I dlaczego wydzwaniał do mnie w środku dnia? Próbował dodać do naszej relacji szybkie popołudniowe numerki? A może chciał zrezygnować z pieprzenia się ze mną. Nie miałam pojęcia i nie chciałam się dowiedzieć. Miałam już wystarczająco wiele na głowie.

– Cassie – powiedziała mama. – Zrobisz dziurę.

Uniosłam głowę. Uświadomiłam sobie, że od kilku minut szoruję zlew w tym samym miejscu.

– Ups!

Stanęła obok mnie w kuchni, wyglądając przez okno na rozległy ogród Florienów. Stół i krzesła z kutego żelaza ustawiono w cieniu pod jesionem. Dalej rozciągał się duży basen.

– Jak tam twój poziom cukru? – zapytała. Włożyła parę niebieskich lateksowych rękawiczek.

– Sprawdzalam rano, robię to codziennie – odparłam. Stało się to moją rutyną, próbą uporządkowania chaosu. Sprawdzić poziom cukru. Przygotować zdrowy posiłek. Ustawić budzik w telefonie, żeby przypomniał o popołudniowej przekąsce. Chodzić przynajmniej pół godziny dziennie. Nie żeby matka ufała, że sobie z tym wszystkim poradzę.

– Otworzyłaś książki przygotowujące do egzaminu?

– Nie miałam czasu. – Skubałam kłaczki na gąbce.

– A czym się zajmowałaś?

Wychodzeniem za mąż.

– Muzyką – odparłam.

Muszę wypełnić dodatkowe formularze, zgłoszenia podatkowe, upoważnienia bankowe,

a Luke dzwonił dzisiaj, że czekają nas również dokumenty do wypełnienia dla wojska. Pobraliśmy się i tyle. Nie było puszczenia oka, fałszywych teczek, sekretnych uścisków dłoni. No chyba że nasza „podróż poślubna” do Chili’s tego wieczoru miała zamienić się w akcję z filmu *Północ, północny zachód*, ale do tej pory wszystko szło jak po maśle.

Mama wzięła butelkę płynu czyszczącego i poszła do kącika śniadaniowego.

– Jeśli nadal zamierzasz tam stać, weź się chociaż za polerowanie sztućców.

Wyjęłam widelec ze stosu przy zlewie.

– Pewnie znowu będziemy grać w Skylark.

Mama westchnęła, wchodząc na podest, żeby wymyć wysokie okno.

– Kiedy byłam w twoim wieku, zachowywałam się tak samo. Z umalowaną twarzą chodziłam codziennie do innego baru, umawiałam się na randki, próbowałam znaleźć ci nowego ojca. I zobacz, co z tego wyszło.

Spięta polerowałam nóż do masła.

– To nie to samo.

– Noce w barach. Szukanie czegoś, czego tam nie ma.

– Jest – rzuciłam. – Słyszałaś to. To coś, co mnie pasjonuje.

Mama pokręciła głową, śmiejąc się pod nosem, gdy zataczała dłonią kręgi na szybie.

– Co masz na myśli, mówiąc o pasji?

– Robienie tego, co nie jest przykre. Oto pasja.

Zeszła z podestu, przesunęła go w lewo i ponownie na niego weszła.

– Życie jest przykre, Cassie. Robimy, co w naszej mocy, by stało się bardziej znośne.

Każdego ranka budzimy się i powtarzamy wszystko od nowa.

– To straszne.

– Wiem. Właśnie dlatego nie możesz powtarzać „chcę” i mieć nadzieję, że coś się wydarzy. Nie trać czasu. Musisz aktywnie działać, a nie czekać.

– A ty nie czekasz? – zapytałam. – To właśnie tego chcesz? – Wzięłam ścierkę z blatu i nią potrząsnęłam.

Grzbietem dłoni potarła zaczerwieniony policzek i wróciła do mycia szyby.

– Chcę zarobić pieniądze, wrócić do domu, wyłożyć się na kanapie, poczytać i pogadać głupio z MiMi.

– I to wszystko? – naciskałam. Gdyby mama i jej siostra nie mieszkały od siebie w tak znacznej odległości, byłyby nierozłączne. Teraz jednak, korzystając z połączeń internetowych, dyskutowały godzinami o książkach Rosario Ferrégo, ogrodach i przeróżnych sposobach na pogodę, która zawiodła moją mamę.

Zeszła z podestu.

– Trudno odpowiedzieć na to pytanie, dopóki nie będę przekonana, że moja jedyna córka jest bezpieczna.

W głębi duszy chyba od zawsze o tym wiedziałam. Mama nie była w stanie nawet pomyśleć o innej pracy, powrocie do szkoły, przeprowadzce do San Juan, dopóki nie przestanie być osobą, która będzie mi pomagać za każdym razem, gdy powinie mi się noga. Gdybym zachorowała czy zbankrutowała, nadal mogłabym na nią liczyć. Chociaż to nie było już potrzebne. Byłam w tej chwili żoną Luke’a. Ściema czy też nie, miałam dodatkowy dochód i ubezpieczenie zdrowotne. I może to coś, o czym musiała się dowiedzieć.

– Nie panikuj – powiedziałam cicho jak mała dziewczynka – ale mogę być. Mogę być bezpieczna.

– Dlaczego?

Przełknęłam ślinę i uniosłam rękę.

– Bo wyszłam za męż.
– Co takiego?
Odsunęłam się przestraszona, choć mama sięgała mi zaledwie do podbródka.
– Za kogo? – zapytała cała czerwona.
– Nazywa się Luke Morrow – wyjąkałam pospiesznie. – Jest żołnierzem. Nie kochamy się, zrobiliśmy to dla obopólnych korzyści.
Opadła jej szczęka.
– Poważnie? Od jak dawna to planowałaś?
Wydłużyłam ten okres, żeby sprawa wydała się bardziej przemyślana.
– Od tygodnia.
– Od tygodnia. – Zamarła na chwilę, wpatrując się w podłogę, następnie zdjęła lateksowe rękawiczki.
– Dzięki temu dostanę dodatkowy tysiąc miesięcznie oraz ubezpieczenie zdrowotne! Widziałas rachunki ze szpitala po wszystkich tych badaniach cukrzycowych.
Cisza. Poprawiła rękawki polo. Czułam, że w żołądku pali mnie kwas.
– Łał, Cassie. – Obdarzyła mnie sztywnym uśmiechem i odwróciła się. – Łał. Zaskakujesz mnie każdego dnia.
– Przepraszam, że cię nie zaprosiłam. To było wczoraj.
Wyrzuciła rękawiczki do śmieci i zatrzaskała pokrywę, aż się wzdrygnęłam.
– Coś ty sobie, do diabła, myślała?
– Robię to dla ciebie, żebyś nie musiała mi pomagać.
– Dla mnie to możesz znaleźć sobie stałą pracę.
– Mam teraz ubezpieczenie zdrowotne i dodatkowy miesięczny dochód. I to już się stało. Wiesz, jak długo szukałam pracy w kancelarii? A potem musiałam czekać trzy miesiące, by objęło mnie tamto gówniane ubezpieczenie.
– Ale okłamujesz wojsko!
– Ludzie często tak robią. Ułożyliśmy historię...
Parsknęła gorzkim śmiechem.
– Że co? Poznałaś go na ulicy?
– To przyjaciel Frankiego.
Mama ponownie do mnie podeszła i wyszczała przez zęby:
– Frankiego Cucciolo?
Pokiwałam głową.
– Louise i George o tym wiedzą?
Mama wciąż spotykała się z nimi od czasu do czasu na obiedzie. Kusilo, by powiedzieć, że tak. Może gdyby Louise to zaakceptowała, poszłoby mi z nią łatwiej. Ale nie mogłam jej okłamywać.
– Dlaczego miałabym im powiedzieć?
– Dzięki Bogu.
Zaczęłam do niej mówić w ten sam sposób, w jaki zwracała się do mnie lekarka, gdy mnie diagnozowała. Jak do kogoś, kogo prowadzi się na krawędzi przepaści.
– To tymczasowe. Stworzyliśmy plan. Mamy wspólne konto. Rozwiedziemy się, gdy wróci z misji.
Chociaż teraz to ja czułam się, jakbym była na krawędzi, próbując się przekonać, że skok to dobry pomysł. Nigdy wcześniej nie reagowała w ten sposób. Nie zareagowała tak, kiedy powiedziałam, że zamierzam wziąć kredyt na studia w Kalifornii, kiedy powiedziałam, na jaką sumę się zapożyczyłam, kiedy wyznałam, że ponownie się do niej wprowadzam, nie mając do

zaoferowania nic poza zgorzknieniem po studiach i dyplomem z teorii krytycznej.

Usiadła przy kuchennym stole.

– To szaleństwo.

– Cóż, to lepsze niż tonięcie w długach – powiedziałam, żeby nieco ją uspokoić. – Miałam je nawet, gdy pracowałam w kancelarii. Nawet gdy nie byłam chora. Nie możesz winić mnie za próbę obrania innej drogi.

Pokręciła głową, odetchnęła głęboko, jakby próbowała otrząsnąć się z tego, co właśnie usłyszała.

– Nie, jeśli skończysz za kratkami.

– Nie zamierzam. – Rzuciłam ścierkę na blat, uświadamiając sobie, jak mocno ją skręciłam. – Potrzebuję w tej chwili pomocy. Nie marnuję czasu, mam. Dam radę. Jednak potrzebuję wsparcia, żeby sobie poradzić.

– Absolutnie nie zamierzam cię w tym wspomagać. – Zakryła twarz dłońmi, ale zaraz na mnie spojrzała. – Oszalałaś. Musisz wrócić do rzeczywistości.

Zacisnęłam na moment usta.

– Zrobiłam to.

Przewróciła oczami i wstała.

– W takim razie samodzielnie będziesz musiała uporać się z porażką.

– Nie poniosę jej – powiedziałam i przelknęłam ślinę. Chciałam w to wierzyć. – I nie przesadzaj – dodałam, ale nie wiedziałam, czy mnie usłyszała.

Otworzyła przesuwane drzwi prowadzące na podwórze, wyszła i zamknęła je. Widziałam, że spryskała szybę, po czym zaczęła wycierać ją, zataczając spore kręgi.

Ułożyłam dłonie w trąbkę i przycisnęłam usta do szkła.

– Jak mogę ci udowodnić, że nie jestem szalona?

Zmrużyła oczy i usłyszałam stłumioną odpowiedź:

– Kto to wie.

Przeglądałam się, jak pracuje i wspominałam dni poszukiwania mężczyzny, o których wcześniej mówiła. Byłam mała. Pamiętałam woń kocich sików w domu naszej sąsiadki pani Klein. Płakałam tak bardzo, że w końcu zasypiałam, a kiedy budziłam się w środku nocy i znów szlochałam, zrzędliva staruszka wyciągała z kieszeni zakurzony kartonik z sokiem i kilka nieświeżych krakersów.

Pamiętałam ulgę, jaką czułam, gdy mama mnie budziła, i widziałam dołeczki w jej policzkach, miękkie piersi oraz słyszałam nieustanne cmokanie. Pachniała perfumami marki Lancôme z pięknej buteleczki ze złotym napisem „La vie est belle”. Często siedziałam w jej sypialni, wodząc palcem po tych literach.

Postukała w szybę.

– Spójrz – powiedziała, wskazując na drewniany wysoki płot otaczający basen.

W jednym jego kącie siedział duży ptak z zieloną głową i białą piersią.

Otworzyła drzwi, wpuszczając do domu ciepłe, wilgotne powietrze.

– To zielona czapla! – powiedziała wesoło, choć nadal słychać było w tym pozostałości gniewu. – Jedyne zaleta pracy dla ludzi, którzy mają basen.

I cała ta gadka o marzeniach i pasji przepadła. Nie wiedziałam, o co dokładnie chodzi. To jak szukanie nut w lesie. Zawsze *nie tak, nie tak. Nie życie mamy. Nie studia prawnicze.* Ale wydawało się, że nigdy nie znajdę tego, czego szukam. Przez chwilę miałam wrażenie, że to mam, gdy graliśmy w Skylark.

I pragnęłam ponownie to odnaleźć.

Postukałam mamę w ramię i wskazałam na czaplę.

– Może to dobry znak?

– Nie bądź głupia, Cass – odparła, ocierając czoło dłonią w niebieskiej rękawiczce. – To tylko ptak.

LUKE

– Ech, Chili's – powiedziała Cassie, gdy podeszliśmy do ozdobnych drzwi, przy których ustawiono kaktusy. – Jesteśmy w jednej z kulinarnych stolic Stanów Zjednoczonych – kontynuowała. – Dlaczego twoi kumple wybrali Chili's?

– To nie są fani wymyślnego jedzenia, Cassie, a po prostu głodomory.

Przyjechała po mnie subaru, następnie krytykowała przez całą drogę, jadąc przez przedmieścia Austin. Albo „tylko pytała”, jak sama stwierdziła. *Dlaczego nie powiedziałaś, że powinniśmy się wystroić? Wszystkie żony żołnierzy będą wyglądać jak Jackie Kennedy, prawda? Myślicie, że drony zrzucające bomby odbierają wam pracę, czy je popieracie? Też mam salutować?* Próbowałem odpowiadać jej najlepiej, jak potrafiłem, choć w mojej piersi wzbierała irytacja. Nie zdawałem sobie sprawy, że włożenie koszuli to „strojenie się”. Odparłem też, że nie znam się na dronach, bo jestem z piechoty, i żeby, na miłość boską, nie salutowała. Zapewniłem, że nie spędzimy tam dużo czasu, bo przeniesiemy się do motelu w pobliżu lotniska, w którym Frankie zarezerwował pokój nam i kilku innym parom.

Chili's było pełnym, głośnym, pachnącym przypalonymi fajitas lokalem. Mająca kilkanaście lat hostessa ze zbyt dużymi słuchawkami na głowie powitała nas, unosząc palec. Pokiwaliśmy głowami.

– Chciałam tylko zapytać – Cassie przysunęła się do mnie i mruknęła – co z grillem?

Kichnąłem.

– Jesteś chory?

– Nie, wierci mnie w nosie od twoich perfum. – Jej samochód pachniał, jakby ktoś podpalił całą łąkę ziół. Nie nieprzyjemnie, ale zbyt intensywnie.

– Nie psikam się perfumami, pamiętasz? Mówiłam ci wtedy w restauracji.

Nie pamiętałem. Zapewne byłem wtedy za bardzo wkurzony tym, że zapomniała spisać swój życiorys.

– Dobra, więc przez zapach w twoim aucie wierci mnie w nosie.

– Masz alergię na mój zapach?

– Nie!

Parsknęła śmiechem.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale mina, którą zrobiłeś...

Zdałem sobie sprawę, że mocno zaciskam zęby. Rozluźniłem więc żuchwę, nabrałem

powietrza i zapytałem cicho:

– Poradzisz sobie z tym?

– Z czym?

– To ostatnie wrażenie, jakie moi koledzy z wojska będą mieli o tobie i mnie na żywo. To sprawdzian małżeństwa z żołnierzem, więc...

– Więc?

Stąpałem po kruchym lodzie. Często ją wkurzałem.

– Więc... no wiesz.

– Co wiem?

– Po prostu nie zadawaj pytań o drony zrzucające bomby.

– Koleś. – Uniosła kciuk. – Bywałam w związkach. Proste plecy, szeroki uśmiech, przytakiwanie, śmianie się z żartów. Jestem profesjonalistką.

– I udawaj, że mnie lubisz – dodałem. Żołądek mi się skurczył. Słyszałem, jak pary mówiły to do siebie, ale zazwyczaj żartowały.

– No jasne – odparła.

Zamilkła, przygryzła paznokieć, wpatrując się nieobecny wzrokiem w jeden z tych czarno-białych plakatów z Marilyn Monroe w pobliżu stanowiska hostessy. Zbliżała się nasza rzeczywistość. Wyczuwałem nerwy Cassie.

Szturchnąłem ją w ramię.

– Udawaj, że jestem seksownym muzykiem. Prezentuję się jak Bon Iver.

Zmrużyła oczy.

– Nie wyglądasz jak...

– To jak Father Jack Misty – spróbowałem jeszcze raz.

– To Father John.

– Jak Father John Misty. Ubrany jak David Bowie. Trzymający keytar.

– Teraz to sobie schlebiasz – rzuciła, ale się uśmiechnęła.

Przeszliśmy za hostessą na tyły restauracji, gdzie za przesuwными drzwiami znajdowała się duża sala. Usłyszałem śmiechy, następnie zobaczyłem Armando, któremu nieco się przytyło, i Gomez z pomalowanymi szminką ustami, Clarka z rudą brodą, którą będzie musiał zgolić przed wyjazdem. Był też Hill z żoną, kapral, którego ledwie znałem. I Frankie z Eleną, piękni i rześcy, wyglądający, jakby mieli podpisać umowę najmu w reklamie kosztownych mieszkań. Na stole stały puste szklanki. Weszliśmy podczas salwy śmiechu.

– Nikt mu nie powiedział, że ćwiczenia się skończyły! – wykrzyknął Armando, wskazując na Frankiego.

Clark zauważył nas i wstał. Położył wielką łapę na moim ramieniu.

– Morrow! A to kto?

W pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Cześć wszystkim – przywitałem się.

– Jestem Cassie, żona Luke'a – odpowiedziała moja towarzyszka.

– Żona Luke'a? – spytała Gomez, ze zdziwieniem wytrzeszczając oczy.

Cassie objęła mnie w pasie. Nie przemyślałem tego. Byłem gotowy jeść paluchy z mozzarellą, położyć rękę na oparciu krzesła Cassie, wskazywać ją kciukiem, opowiadać o niej jako „te jedynej”, jak robili ojcowie kolegów. Nie byłem gotowy na ten szok, ani na to, że może przekształcić się w niedowierzanie. *Spieprzysz. Ale nawet jeśli tak, nikogo to nie obejdzie. Przecież oni cię nie znają. Nie zależy im na tobie. Wydadzą cię.* Naprawdę sprawę załatwiłaby dawka oxy. Odepchnąłem od siebie te myśli.

– Kiedy się pobraliście? – zapytała Gomez.

Serce przyspieszyło. Cassie spojrzała na mnie maślanymi oczami i ścisnęła mnie mocniej.
Auc. Przełknąłem ślinę.

– Kilka dni temu.

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – dodała Cassie i promiennie się roześmiała.

Nie brzmiała jak zwykle.

– Cudownie! – rzuciła Gomez.

Armando omiótł wzrokiem ciało Cassie, po czym z aprobatą pokiwał głową. Posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie.

Poprowadziłem ją z dala od niego, na przeciwległy kraniec stołu. Kiedy usiedliśmy, przysunęła się i jej oddech owionął moje ucho.

– Pamiętaj o planie.

Tak jest. Plan. Ilekroć ktoś będzie podejrzliwy, mieliśmy zachowywać się jak zakochani.

– Nie możemy od razu zacząć się obmacywać – odszepnąłem. – To będzie dziwnie wyglądać.

Znów się przysunęła, pogłaskała mnie po udzie.

– Wiesz, co jeszcze byłoby dziwne? Więzienie. – Krew odpłynęła mi z twarzy i znalazła się tam, gdzie nie powinna, przynajmniej nie w tej chwili.

– Dobra – zapewniłem. Wziąłem ją za rękę i położyłem nasze dłonie na stole, gdzie wszyscy mogli je widzieć.

Kelner – chudy, młody chłopak z tunelami w uszach – krzyknął ponad wrzawą:

– Czy mogę podać coś do picia?

– Dla mnie woda – zawołałem.

– Dla mnie też – dodała Cassie.

– Poważnie? – Kapral Hill przyglądał się nam, ze zdziwieniem unosząc jasne brwi. –

Woda, szeregowy?

– No weź, Morrow – rzucił Armando, biorąc w górę piwo. – To ostatnia noc wolności!

Przydałaby mi się działka, pomyślałem ponownie. Ta myśl krążyła po mojej głowie jak zdarta płyta. Otrząsnąłem się i spojrzałem na Cassie, szukając aprobaty.

– Musisz jutro wcześniej wstać, kochanie – powiedziała wesoło, nienaturalnie.

– Wszyscy musimy rano wstać, złotko – poinformował ją kapral Hill. – Pijcie.

Widziałem jej grymas.

– Dziękuję, ale nie chcę, sir – odparłem, próbując zabrzmieć, jakbym mówił poważnie.

Mąż Gomez przewrócił szklankę, czym odwrócił uwagę Hilla.

Pierwsza runda za nami, pomyślałem. Byliśmy tylko dwojgiem osób pomiędzy jedenastoma innymi. Nie było mowy, żeby dłużej się nami zajmowano. Cassie słuchała żony Clarka, która opowiadała o ich podróży poślubnej. Cassie gruchała i zachwycała się przy opisach moskitiery przy łóżku. Czułem, że pod stołem niespokojnie porusza nogą.

Reszta grupy zamówiła następną kolejkę, a ja postanowiłem z nią pogadać.

– Dlaczego mówisz takim głosem?

– Jakim?

Spojrzałem na nią, przekazując wzrokiem, że dokładnie wie, o co mi chodzi.

– Pomyślałam, że będzie miły... i żonowaty.

Niemal wyplułem wodę, gdy parsknąłem śmiechem.

Wzruszyła ramionami, wyglądała na spanikowaną.

– Co? Co jest?

– Jest uroczy.

Przewróciła oczami.

- Nawet nie próbuj.
- Nie, naprawdę uroczy jak dźwięk pozytywki w horrorze.
- Ohyda.

Nagle moje imię padło na drugim końcu stołu. Cholera. Kolejna runda. Cassie usiadła prosto.

– I oto mamy Morrowa, króla romansu. – Armando wskazywał na mnie, kręcąc głową. – Cassie – ciągnął. Spięła się wyraźnie. – Cassie, prawda?

– Tak – odparła nieco sztywno.

– Jak, u licha... – zaczął, ale się poprawił. – Jakim cudem przeszliście od kłótni o pijanego Daviesa do ołtarza?

Zamarły wszystkie rozmowy przy stole. Cassie odchrząknęła. Poczulem, że Frankie usilnie się we mnie wpatruje, jakby zachęcał nas do odpowiedzi. Do rozwinięcia tematu. Czas na historyjkę. Na opowieść, która wszystko naprawi. Rozmawialiśmy o tym. Coś o spacerze nad rzeką.

– Wziąłem ją na spacer brzegiem rzeki – wyznałem.

– Przyszedł... – wtrąciła Cassie, a Armando pohukiwał, przerywając jej. – Wrócił – ciągnęła, starając się mówić płynnie. – I poprosił, bym się z nim umówiła.

– No właśnie – rzuciłem, niemal jakbym przypomniał sobie odpowiedź w telewizyjnym teleturnieju.

– A... – zająknęła się. Czulem, że próbowała się wstrzelić w moje emocje. Dla podkreślenia opery mydlanej, złapała się za serce. – A skoro tak szybko wyjeżdża, chcieliśmy mieć pewność, że będziemy razem, gdy wróci. Jestem jego opoką.

Nie mówiliśmy niczego o opokach.

– Tak, to prawda – przyznałem, próbując, by nie zabrzmiało to pytająco.

Nie mogłem nawet na nią spojrzeć, lecz musiałem to zrobić. *Plan*. Koniuszką języka dotknęła warg i czekała. Wiedziałem, co muszę zrobić. Stłumiłem nerwowy śmiech. Przysunąłem się i przytknąłem rozchylone usta do jej zamkniętych. To nie tyle był pocałunek, co mokry buziak. W ratuszu odwaliliśmy znacznie lepszą robotę.

– Ooo! Powoli – burknął Armando. – A nie, dawajcie. Popatrzę.

Clark odchrząknął.

– To nadal zabawne.

– Co takiego? – zapytała Gomez, gdy odsunąłem się od Cassie.

– To, że jednego wieczoru skakaliście sobie do gardeł, a drugiego się oświadczyłeś – powiedział Clark z pełnym powątpiewania wyrazem twarzy. *Niech to szlag*.

– To oznacza wielką pasję, prawda? – zagadnąłem.

– Pewnie – odparł. – Cokolwiek sprawdza się w waszym przypadku.

Cassie wzięła mnie za rękę, ponownie się do niej przysunąłem i cmoknąłem w policzek. Czulem, że zaciska usta. Dość mocno spieprzyliśmy. Wyobrażałem sobie, że Frankie robi, co w jego mocy, by nie kopać nas pod stołem.

Podano jedzenie. Powtórzyliśmy historię. Znów się całowaliśmy, tym razem wyszło nam to lepiej.

Elena wstała z kieliszkiem białego wina, więc wszyscy skupili się na niej. Jednocześnie z Cassie wstrzymaliśmy oddech. To już niemal koniec. Niemal przeżyliśmy.

– Chciałabym powiedzieć dwa słowa – zaczęła.

– O rety – stęknęła Gomez i przewróciła oczami do męża. – Zaczynają się toasty.

– Będę się streszczać – dodała Elena, nerwowo uśmiechając się do zebranych. – Chciałam tylko powiedzieć, że my wszystkie, żony i dziewczyny...

– I mężowie – zasugerowała Gomez, kładąc dłoń na szyi swojego towarzysza.

– I oczywiście mężowie. Wszyscy bardzo będziemy za wami tęsknić. Wszyscy będziemy czekać każdej nocy, abyście bezpiecznie wrócili do domu. Do tego czasu będziemy was stu procentowo wspierać. Miejmy nadzieję, że osiągniecie to, co sobie założyliście, i zapewnicie bezpieczeństwo naszemu krajowi. Boże, błogosław Amerykę!

– Boże, błogosław Amerykę! – powtórzyła grupa, unosząc szklanki i kieliszki. Naczyniami stukali się przez stół. Wiwatowałem z nimi.

– Hura! – krzyknął Armando.

– Hura! – powtórzyliśmy.

Cassie spojrzała na mnie z błyskiem w oku. Odpowiedziałem stanowczym wzrokiem. Widziałem, że ją to rozbawiło. Pokręciłem głową.

Hill wstał i rozpoczął pieśń:

– Barwy armii to błękit...

– Aby pokazać światu naszą szczerłość – odśpiewaliśmy.

– Barwy armii to biel...

Frankie uśmiechnął się do mnie i zaśpiewaliśmy razem:

– Aby pokazać światu, że będziemy walczyć.

Ilekcję Cassie na mnie łypała, śpiewałem głośniej. Serce rosło. Piosenkę tę śpiewaliśmy codziennie na obozie treningowym, na porannej zaprawie. Śpiewałem i jednocześnie odkryłem uczucie spełnienia.

Kiedy przestaliśmy się wydzierać, Hill uniósł szklankę.

– Za polowanie na cholernych Arabów!

– Hura! – wrzasnęli wszyscy.

– Rety – powiedziała Cassie swoim normalnym głosem. Próbowałem sprawić, by na mnie spojrzała. Może nie zdawała sobie sprawy, że jej się to wymknęło. – Poważnie?

Wszyscy żołnierze popatrzyli na mnie w milczeniu. Zaschło mi w ustach.

– Co się stało? – zapytałem.

– To popieprzone – odparła głośno.

Hill rozsiadł się na krześle.

– Oho, policja, wydział do spraw poprawności politycznej.

– Chciałam jedynie zwrócić uwagę na to, że świętujecie zabijanie. Zawsze to robicie?

Popatrzyła prosto na mnie.

– Eee...

– A gdzie wiwaty na cześć budowania dróg i szkół? – Była zniesmaczona. Drwiła ze mnie. – Nie wspominając o tym, jakie to niesamowicie rasistowskie.

Zaczerwieniłem się.

Hill założył rękę za krzesło żony, na jego twarzy rósł cwaniacki uśmieszek. Westchnął, jakby chciał powiedzieć: *Baby, nie?*

– Nie roztrząsajmy tego tematu – poprosiłem, błagając ją oczami. *Niemal nam się udało.* Odwróciła wzrok i strąciła moją rękę.

– Hej, złotko – rzucił Hill, udając łagodny ton.

Obróciła ku niemu głowę.

– Mam na imię Cassie – przypomniała mu. – Co?

– Może nie wiesz, ale to nasza praca. Gorzka pigułka do przełknięcia, ale musisz się z tym pogodzić. – Wskazał na swoją żonę, która wpatrywała się w blat z piwem w dłoni. – Nie jest łatwo być żoną armii. Zapytaj Jessicę.

– Nie jestem żadną pieprzoną „żoną armii” – warknęła Cassie sarkastycznie i wstrzymała

oddech. Zacisnęła usta.

Żołądek mi się skurczył. Mieliśmy jedno zadanie, jedną rzecz do udowodnienia, a ona nawaliła. Prawda i tak wyszła na jaw.

– Cassie – wyrwało mi się. Wskazałem na swoją towarzyszkę i zwróciłem się do Hilla: – Kapralu, ona nie miała na myśli...

Jedynymi dźwiękami przy stole był szczełk sztucców, płynąca z głośników melodia i szept kogoś, prawdopodobnie męża Gomez, który rzucił:

– Oj.

Frankie siedział nieruchomo przy stole, wpatrując się w Cassie. Nie był jednak oburzony czy zaskoczony. Wyglądał na smutnego. Rozżalonego.

Cassie wstała, odsunęła się od krzesła, złożyła serwetkę na talerzu. Wstałem z nią, zaciskając dłonie w pięści. Atmosfera stężała. Cassie otworzyła usta, zamknęła je, posłała wszystkim sztywny uśmiech i wyszła.

– Przepraszam – powiedziałem i przełknąłem ślinę.

Zmusiłem się, by za nią iść, choć miałem wielką ochotę zostać, przewrócić oczami i patrzeć, jak wychodzi. Kiedy zamykałem drzwi, słyszałem, że przyjaciele znów zaczęli rozmawiać z ulgą, bo nas nie było już przy stole.

CASSIE

Pojechaliśmy do motelu. Nadal prowadziłam wściekła, choć Luke wydawał się tego nie zauważać, oglądając przez szybę komisy samochodowe i stacje benzynowe. *Policja, wydział do spraw poprawności politycznej.* Jasne, jakkolwiek chcieli mnie nazywać.

I niemal rozwaliłam nasz kamuflaż. Czy było warto? Zależy o czym konkretnie mowa. Czy przebywanie w towarzystwie ksenofobicznych, przerośniętych dzieci było warte tysiąka miesięcznie? Czy kłótnia z ksenofobicznymi, przerośniętymi dziećmi była warta utraty ubezpieczenia zdrowotnego? Tak czy inaczej, mama miała rację. To szaleństwo. *I dzięki Bogu, że mamy je niemal za sobą.*

– Wchodzisz czy chcesz się oficjalnie wycofać? – zapytał Luke, gdy wjechałam na parking.

Zamiast odpowiedzieć, zatrzymałam się i wysiadłam. Wbiegał już po motelowych schodach.

– Mieszkamy w dwieście jeden! – zawołał do mnie.

Weszliśmy na pierwsze piętro po skrzypiących metalowych stopniach.

Pokój śmierdzał dymem papierosowym, miał wykładzinę pełną grzyba i ściany upstrzone rozmytymi akwarelami Thomasa Kinkade'a.

Luke usiadł na łóżku i zaczął rozwiązywać buty.

Łóżko. Jedno. W naszej umowie nie było nic o dzieleniu się kołdrą.

– Dlaczego, do cholery, wzięłeś takie łóżko? – zapytałam.

Rozpiął koszulę i poczułam, że rumienię się z zażenowania i dziwnego pociągu, który mi się nie spodobał.

– Frankie mówił, że tylko to mieli wolne – mruknął.

– Na pewno. – Zdjęłam pierścionek z Walmartu i położyłam na stoliku obok telefonu z dziewięćdziesiątego drugiego, i w końcu znowu poczułam palec.

Luke ściągnął buty.

– Tak, to ja zrobiłem wszystko źle. Obwiniaj mnie za to.

Zdjęłam trampki i skarpetki, wyłączyłam lampę i nakryłam się kołdrą. Luke ułożył się obok mnie. Dziwnie było czuć go za sobą, gdy jego oddech owiewał mi kark.

Po chwili powiedział:

– Wszystko szło dobrze do chwili, gdy musiałaś być... pieprzoną wojowniczką

społecznej sprawiedliwości.

– Nie jestem wojowniczką społecznej sprawiedliwości. – Zdjęłam džinsy, nie pozwalając, by kołdra się ze mnie zsunęła. – Ale jestem rozsądnym człowiekiem, który przestraszył się tych okrutnych śpiewów.

Milczał. Czułam, że szuka odpowiednich słów.

– Nie tylko ty w tym jesteś, wiesz?

Podniósł się, podpierając się na rękę.

– To nie to samo, Cassie.

– Dlaczego to nie to samo? – Cisza. Dłonie mi się spociły, serce waliło jak młotem. –

Przedstaw różnice. Jeśli zostalibyśmy złapani, oboje mamy przerąbane.

Przełknął ślinę.

– Będziesz w domu, bezpieczna.

Obróciłam się twarzą do niego.

– Nie nazwałabym cukrzycy bezpieczną. I to żadna odpowiedź.

Usiadł z nagą piersią.

– Zdołam wykrzesać z ciebie jakikolwiek szacunek?

Również usiadłam. Wpatrzył się w moje gołe nogi. Miałam to gdzieś.

– Mówieniem o zabijaniu cholernych Arabów? Chyba mamy różne definicje szacunku.

– Nie powiedziałem niczego takiego – odparł powoli, podkreślając każdą sylabę, przysuwając do mnie twarz.

Naśladowałam go.

– Ale na nie pozwoliłeś.

– To pewna kultura, Cassie. Ja jadę za granicę z tymi ludźmi – tłumaczył, po czym dodał ciszej: – A ty zostaniesz w domu i będziesz czerpać z tego korzyści. Zatem „dziękuję” byłoby miłe.

Dobra. Dosyć. Objęłam dłońmi jego twarz.

– Och, Luke, dziękuję ci.

– Przestań – polecił. Odepchnął moje ręce.

Złączyłam dłonie jak do modlitwy.

– Za wszystko, co robisz, bardzo ci dziękuję.

Milczał. Skóra na piersi i brzuchu jaśniała od światła neonu motelu. Zdałam sobie sprawę, że kiedy się nie ruszał, jak wczoraj czy teraz, mogłam obejrzeć go na tyle, by docenić jego piękno. Jak łatwo było zapomnieć o wszystkim w ciemności, gdy widziałam blask jego oczu, linię nosa opadającą do smutnych ust. To o wiele prostsze niż cokolwiek, o co się kłóciliśmy, o wiele łatwiejsze niż pamiętanie, że tkwiliśmy w tym, niezależnie od tego, kto wygra.

Zanim padły kolejne słowa, pocałowałam go mocno w usta. Spodziewałam się, że mnie odepchnie.

Ale nie odepchnął. Prąd przepłynął z moich warg do innych miejsc, mrowiąc skórę. Kiedy się odsunęłam, dostrzegłam na jego twarzy cień uśmiechu. To nie było podobne do żadnego innego wyrazu twarzy, jakie widziałam u Luke'a.

– Co to, do diabła, było?

Ponownie spojrzałam na jego usta.

– Nie wiem.

Tym razem to on mnie pocałował.

Gdy się całowaliśmy, popchnęłam go, aż wylądował płasko na plecach i rozchylił wargi, a ja położyłam dłoń na jego brzuchu.

Chwycił mnie za nogę i pociągnął, aż znalazłam się na nim. Jego skóra pachniała jak dom

Frankiego, drogim żelem pod prysznic, jak ciemna, chłodna piwnica, w której robili pranie.

Chwycił mnie, na co pozwoliłam, ale kiedy zaczął sunąć dłońmi po moim ciele w stronę bioder, chwyciłam go za nie, uniosłam i przycisnęłam nad jego głowę. Ponownie popatrzyliśmy sobie w oczy. Napiął mięśnie pode mną. Między nogami czułam, jak twardnieje. Gdyby chciał, mógłby mnie przerzucić jak naleśnik.

Ale się nie ruszył.

– Podoba ci się, co? – zapytałam.

Unióśł brwi.

– A tobie nie?

Puściłam jego ręce. Spotkały się nasze języki. Smakowałam wodę i sól, czułam, jak wodzi po moim ciele silnymi rękami. Położyłam dłonie na jego piersi i powiodłam nimi w kierunku brzucha. Kiedy się całowaliśmy, opuszkami pieścił moje uda i dotarł do majtek. Wsadziłam palce pod gumkę i poczułam, że za mną podążył.

Cofnęłam się centymetr po centymetrze, aż mogliśmy zobaczyć guzik i suwak jego lewisów.

Prawą ręką powoli unióśł moją koszulkę, odsłaniając lewą pierś i objął ją przez biustonosz, kciukiem pogłaskał sutek.

– Pieprzyć to – powiedziało jedno z nas.

Zaczęłam rozpinąć jego spodnie. Kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam, że Luke siedzi. Zaraz posadził mnie sobie na kolanach i, nie mogąc się doczekać, pocałował. Opierał się plecami o ścianę, więc uniosłam biodra, by się do niego zbliżyć i choć oboje wiedzieliśmy, co nadchodzi, popatrzyliśmy sobie ze zdumieniem w oczy.

LUKE

Obudziłem się w ciszy, co było bardziej szokujące niż pobudka z powodu dźwięku. Mózg po prostu się włączył, jak warcząca w środku nocy stara lodówka. Obejmowałem Cassie, jej gęste, czarne włosy rozsypały się luźno na mojej piersi, jej dłoń spoczywała na moim brzuchu. Godziny po tym, gdy wyszliśmy z Chili's wlokły się po ciemnym suficie – napięta cisza w samochodzie, kłótnia, łóżko, gdy patrzyła mi w oczy, gdy przyciskała mi ręce nad głową do szorstkiej motelowej kołdry.

Widok, gdy leżąc na mnie, zaczęła rozpinać stanik.

Tatuaż poroża, gdy uniosłem ją, trzymając za biodra.

Pocałunki w szyję, droczenie się z nią, posadzenie jej na blacie w łazience, gdy udało mi się wcisnąć między jej nogi.

Przez chwilę byłem spokojny, rozpamiętując. Następnie słoń niepokoju usiadł na mojej piersi. Słyszałem ogłuszającą ciszę, wszystko pulsowało. Serce i głowa jednocześnie, myślenie stało się niemożliwe, oczy piekły, uszy nie działały, język stał się gorzkim ciałem obcym.

Która była godzina?

Poderwałem się z łóżka, zebrałem ubranie z podłogi, ale upuściłem z powrotem części garderoby, które nie były moje. Znalazłem dzinsy i rozładowany telefon.

Motelowy zegarek wskazywał szóstą. Nie ufałem mu. Co, jeśli stanął na szóstej? Musiałem być na lotnisku o ósmej.

Cassie się poruszyła.

– Gdzie masz telefon? – syknąłem. Złapałem za jej kurtkę, potem za torebkę.

– W torebce – mruknęła ochryple.

Przekopałem się przez zapalniczki, fiolki, zeszyty, długopisy. Znalazłem go i zobaczyłem, że była szósta jeden. W porządku. Zdażę, jeśli natychmiast wyjdę. Trzęsącymi się rękami wyszukałem w internecie numer do sieci taksówkarskiej w Austin. Spaliśmy dokładnie trzy godziny.

– Co robisz? – zapytała, ziewając.

– Zamawiam taksówkę. Powinienem wyjść godzinę temu – powiedziałem. Po dwóch sygnałach usłyszałem kliknięcie i trzeszczący głos operatora.

Cassie rozsunęła zasłony, obskurny pokój zalało jasne, poranne słońce, w powietrzu unosił się kurz z mebli, na których miętosiliśmy się zeszłej nocy, głodni siebie nawzajem,

zapominając o wszystkim.

Byłem spóźniony, ale inspekcja ruchu drogowego pomogłaby mi się przebić przez miasto, gdyby wiedziała, że jestem żołnierzem w służbie czynnej. Poszedłem do łazienki, umyłem ręce, twarz, chcąc wybić dziurę w głowie i wyrzucić z niej myśli. *Jesteś spóźniony. Nie zdązysz na samolot. Powinno ci się noga i znów zaczniesz brać. Ta kobieta cię nienawidzi. Wstydzi się ciebie.*

Cassie stanęła za mną w pełni ubrana. Oczy wciąż miała podpuchnięte z braku snu, włosy zmierzwił na końcach.

Przed oczami stanął mi obraz, jak rozpina mi spodnie. Żołądek skurczył mi się od mieszaniny pożądania i mdłości.

To, co zrobiliśmy, nie należało do naszej umowy.

Czyj to był pomysł? Czy to ona zaczęła? A może ja?

Nawet się nie dogadaliśmy.

Może właśnie to robiliśmy. Pieprzyliśmy się, żeby spróbować się nawzajem polubić.

– Chcesz, żebym zawiozła cię na lotnisko? – zapytała, ponownie ziewając.

– Nie – odparłem. – Dzięki – dodałem.

– To żaden problem – zaczęła, po czym popatrzyła na mnie w lustrze.

Unikałem jej.

– Chcę jechać sam.

– Kiedy przyjedzie po ciebie taksówka?

– Za dwadzieścia minut.

– Mogę cię zawieźć... – Udała, że patrzy na wyimaginowany zegarek na ręce. – Właśnie teraz.

Mimowolnie parsknąłem śmiechem. To było o wiele prostsze. I rozpraszało dwa tysiące niechcianych myśli. *Nie spóźnię się. Ona mnie nie nienawidzi.*

– Dzięki. Tak pewnie byłoby lepiej, żeby zachować pozory.

Wzięłem łyk płynu do płukania ust ze stojącej na umywalce buteleczki.

– Powiedz – zaczęła, gdy płukałem usta – jeśli chodzi o wczorajszą noc...

Pokręciłem głową, trzymając płyn w ustach dłużej niż potrzeba, mając nadzieję, że porzuci temat. W mojej głowie pozostało zbyt wiele złych myśli. Nie potrafiłem jednak znaleźć dobrych. *Wszyscy wiedzą, że ściemniasz. Nie jesteś jednym z nich. Nie będziesz miał nikogo. Będziesz sam. Zginiesz. Umrzesz w samotności.* Płyn zaczął palić w dziąsła.

Wyplułem.

– Nie czuję się niezręcznie – powiedziała, opierając się o futrynę. – To znaczy, przecież jesteśmy mężem i żoną. Małżeństwa niekiedy to robią.

– Tak. – Minąłem ją w drzwiach, wciąż czując od niej woń ogórkowego szamponu.

Odsunąłem tę myśl. W szufladzie szafki nocnej znalazłem papier i zarzuciłem torbę na ramię.

– Słowa – rzuciła. Wzięła torebkę i obdarzyła mnie zwyczajnym uśmiechem. – Niezręczna cisza nie jest dobra.

– Nie czuję się niezręcznie. Jestem skupiony.

– Wiem, rozumiem – odparła. – To znaczy, nie jestem w stanie w pełni zrozumieć, jak to jest, ale tak. Rozumiem.

Zamknąłem drzwi i zeszedliśmy po schodach. Cassie pobiegła, by wsunąć klucz do wrzutni przy holu.

Wsiadliśmy do subaru.

– Proszę – powiedziałem, gdy zapięliśmy pasy. Podałem jej kartkę z motelowego notesu, na której zapisałem numer Jacoba. – Teraz jesteś osobą, z którą w razie czego będą się kontaktować.

Wpatrywała się w zapisane cyfry.

– Wiem.

Włożyła kartkę do kieszeni.

– Jeśli coś mi się stanie, będą dzwonić do ciebie.

Odetchnęła głęboko i wycofała z parkingu.

– Okej. Tak. Logiczne.

Poranne słońce raziło przez szybę. Tyle przygotowań do misji, tyle treningów i w końcu nadszedł ten dzień. Nie ma odwrotu. Bez względu na to, czy byłem tchórzem, czy też nie, bez względu na to, czy zasługiwałem na lepsze życie, czy też nie, wszystko już zostało postanowione. Albo przetrwam kolejne dziewięć miesięcy, albo nie. Poczynając od dziś.

Frankie i Armando stali na przystanku przy lotnisku, wpatrując się uważnie w każdy przejeżdżający samochód. Podbiegli, gdy zobaczyli, że podjeżdżamy. Wysiadłem.

– Kurwa, Morrow! – zaklął Armando. – Już myśleliśmy, że nie zdążysz.

– Chodźmy, stary – dodał Frankie.

Cassie stała obok drzwi kierowcy, nawet nie zgasiła samochodu.

– Salazar, chodź tu – powiedział Frankie. Obeszła więc auto i się uściskali, porozmawiali cicho. Rozdzielili się, a Frankie i Armando wrócili na chodnik.

Wyjąłem torbę z bagażnika, podszedłem do Cassie i położyłem dłoń na jej ramieniu.

– Cóż... – zacząłem.

– Twój brat Jacob – powiedziała, dotykając kieszeni. – Przypuszczam, że to do niego mieli dzwonić, w razie gdyby coś się stało?

Przytaknąłem, ściskając pasek torby.

– Jake się wszystkim zajmie.

– Jacob Morrow – powtórzyła. – Zamieszkały w Budzie, tak?

– Tak. – Zbliżyłem się i powiedziałem jej cicho na ucho: – Możesz mu o nas powiedzieć.

Tylko niech wymyśli jakąś przekonującą historyjkę dla taty.

Pokiwiała głową.

– Skype za kilka tygodni?

– Jeśli będzie dostęp do internetu, to jak najbardziej. – Zatrąbił samochód stojący za Cassie. Zignorowaliśmy go. Przy jej stopach wylądował gołąb i trzepotał skrzydłami. Oboje spojrzeliśmy w dół, a kiedy unieśliśmy głowy, przypomnieliśmy sobie, że Frankie i Armando nadal na nas czekają. Ten drugi myślał, że jesteśmy małżeństwem. Nie tylko niedawno poślubionymi mężem i żoną, ale że jest to ostatni raz, gdy widzimy się przed niemal roczną, bolesną dla nas rozłąką. No, i że byliśmy zakochani. Cassie odetchnęła głęboko. *Jeszcze raz.*

Pochyliłem się, zamknąłem oczy i tym razem trafiłem w jej usta. Pocałunek był miękki. Objęła dłońmi moją twarz, ja złapałem ją w tali. Świat na chwilę ucichł. Wdychaliśmy nawzajem swój zapach.

Tuliłem ją, dopóki Frankie nie zaczął nas pospieszać. Odsunąłem się więc o krok, ale nadal nie mogłem przestać o niej myśleć, nawet gdy wsiadła do auta i odjechała. Nawet kiedy wsiadłem do samolotu i obserwowałem, jak znika Teksas oraz wszyscy, których znałem.

CASSIE

Chodziłam przed domem Nory, wyjadając migdały z foliowej torebki, mając na sobie szalik z frędzlami i wysokie, czarne buty wiedźmy. Kontrola rzeczywistości – wszystko, co się wydarzyło przez ostatnie dwa dni, było bardzo realistyczne, a jednak nic do siebie nie pasowało, jakby to były fragmenty zupełnie różnych układanek. Wyszłam za mąż za Luke'a (puzel z pierścieniem na palcu), skonsumowaliśmy małżeństwo (ten z motelowym kluczem), Luke dał mi namiar na brata w razie, gdybym zapomniała, jak się nazywa. Obudziliśmy się (jego nagie ramię), pojechaliśmy na lotnisko (ikonka samolotu) i całowałam się z nim na oczach jego kolegów jak pielęgniarka ze zdjęcia z drugiej wojny światowej, choć nie wyginałam aż tak pleców. Byliśmy w tej chwili oddaleni od siebie o tysiące kilometrów na dłużej, niż faktycznie się znaleźliśmy. Dokąd to wszystko prowadziło? Wiedziałam jedynie, że to piątek z Fleetwood, a za dwa tygodnie po raz pierwszy dostanę tysiąka.

– No chodź, Nor – wymamrotałam, sprawdzając telefon. Prosiłam, żeby spotkała się dziś ze mną przed próbą zespołu, chciałam się upewnić, że nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego, bo miałam urojenia z powodu zbyt niskiego poziomu cukru we krwi. Pragnęłam, by powiedziała mi, że wszystko będzie dobrze.

Otworzyła moskitierę i wydała ustami dźwięk pierdnięcia, mając na sobie cały typowy strój wiedźmy – odpowiednią tunikę i czarne, długie natapirowane włosy pod kapeluszem. Przebiegłam obok niej prosto do piwnicy.

Zeszła do mnie, ciężko tupiąc z eyelinerem w rękę.

– O co ten raban, Cass? – zawołała.

Stałam pośrodku jej piwnicy z rękami na biodrach.

– Zrobiłam to.

– Co takiego? – Przez buty musiała schodzić bokiem.

Nabrałam głęboko powietrza.

– Wyszłam za faceta.

Zatrzymała się na środku schodów.

– Chwila. Co?

– Zaciągnij się do wojska? Wylicz korzyści? – powtórzyłam tekst z broszury. – Pamiętaj, że ten Armando ci się oświadczył?

– Tak, ale...

– Zrobiłam to.

Zeszła na dół, wściekła.

– Wyszłaś za Armando?

Uniosłam rękę.

– Nie, nie za niego.

– Dzięki Bogu.

– Ale za tego drugiego. Luke’a. Kumpla Frankiego. Dupka z baru.

Nora usiadła na dolnym stopniu, wytrzeszczając oczy. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale jednak milczała. Nie wiedziałam, czy jest zła, dezorientowana, pełna podziwu, czy wszystko naraz. Odłożyła eyeliner i spłotła przed sobą dłonie.

– Ale tak naprawdę nie jest dupkiem – dodałam. – To szaleństwo. Nie wierzę, że to zrobiłam.

– Zatem to już się stało? – zapytała. – Masz męża?

Uniosłam palec.

– Pierścionek z Walmartu jest w domu, ale tak. – Żołądek mi się skurczył, gdy na nią patrzyłam. Również się we mnie wpatrywała. Norę zazwyczaj cieszyły moje decyzje. Kiedy zaprosiłam ją na zapoznawczego drinka, gdy grał Father John Misty, zgodziła się. Kiedy zerwałam z Tylerem, bardzo się ucieszyła. Kiedy powiedziałam, że chciałabym założyć zespół, była na „tak”. Nawet gdy wyznałam, że bzykałam się z Tobym za belą siana na festynie z okazji żniw krótko po tym, jak zaczął z nami grać, rzuciła cicho, że spoko. A teraz nie widziałam jej entuzjazmu.

– Chyba... – Wzruszyła ramionami. – Oszalałaś.

W ten oto sposób liczba bliskich mi osób, które tak uważały, wzrosła do dwóch.

– Tak?

– A jednak – uniosła palec – biorąc wszystko pod uwagę, to tak jakby był mój pomysł. Pamiętasz, gdy siedziałyśmy u ciebie i rozmawiałyśmy o bogatych osobach, za które mogłybyśmy wyjść, by pozyskać korzyści? To ja to wymyśliłam. Sytuacja jak w przypadku hrabiny Luann de Lesseps, wymagająca margarity w stylu Skinnygirl Bethenny Frankel.

Nie miałam pojęcia, o kim nawija, prawdopodobnie o jakiejś lasce z serialu, a po wydarzeniach ostatnich dni byłam gotowa słuchać jej bełkotu tak długo, jak chciała. Miałam po swojej stronie przyjaciółkę. Chciało mi się beczeć z ulgi.

– Jasne, Nor. Wszystko to twój pomysł.

– Dobra – powiedziała zamyślona. – Gdzie to zrobiłaś? I jak? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? I co teraz zamierzasz? Dawaj.

Opowiedziałam o wszystkim, wciąż skubiąc migdały. Od chwili, w której powstał ten pomysł, gdy ode mnie wyszedł, przez żenujące oświadczenia, jakie złożyłam Frankiemu, oraz wielką chęć Luke’a, by to ze mną zrobić, po dzień w ratuszu i katastrofę w Chili’s. Doszłam do wczorajszego wieczoru i umilkłam.

Staralam się mówić swobodnie.

– Zatem tak, teraz jest na misji i co jakiś czas będziemy gadać przez Skype’a, to wszystko.

Wstała i zbliżyła się do mnie, mrużąc oczy. Uśmiechnęła się. Pachniała płatkami róży.

– Spałaś z nim, prawda?

Wsyptałam garść migdałów do ust, zakrztusiłam się, po czym się roześmiałam i pokaszlałam jeszcze trochę. Nora rechotała razem ze mną, klepiąc mnie po plecach. Kiedy łzy napłynęły mi do oczu, powiedziałam:

– Skąd wiedziałaś? Jesteś medium?

– Widziałam was razem, Cass, było sporo żaru, królowo. – Spojrzałam na nią, nagle zdezorientowana. – Prawdziwie iskrzyło – mruknęła, wyjmując telefon z kieszeni, by użyć go jako lusterka w trakcie malowania oczu eyelinerem. – I to nie ze złości.

– To znaczy... – zaczęłam, przypominając sobie tamten wieczór. Myśląc o tym, że chciało mi się płakać, gdy przyparł mnie do muru. – Wydawało mi się, że jest słodki, ale... – Wróciłam wspomnieniami do tego poranka, gdy bardzo powoli odsunął usta. – Nieważne. Występuje między nami niezręczność. Ciągłe się wkurzamy. Jest jak konserwatywny brat. Może leceć na braciszków.

– Przy mnie nie musisz się z niczego tłumaczyć! – Rzuciła mi eyeliner. Nie złapałam. Upadł z brzękiem na podłogę.

No tak. Jej pomysł. Tak jakby.

Ale to, że konkretnie wybrałam Luke'a już nie należało do jej zamysłu. I w każdych innych okolicznościach nigdy więcej nie zobaczyłabym go po tamtym wieczorze w barze. Może spotkalibyśmy się dzięki znajomości z Frankiem, ale nie pamiętalibyśmy nawet swoich imion. A teraz byliśmy małżeństwem. Istniał kolejny niedopasowany fragment układanki: srebrnoniebieskie oczy Luke'a.

Usłyszałam, że drzwi na górze się otwierają i zamykają. Toby. Czas na próbę. Zaczęłam się denerwować.

– Dobra, Nor, ale to ściśle tajne.

– Ha! – Przykucnęła przy futerale na bas, przycisnęła dźwignię na uchwycie. – No przecież!

– Przyrzeknij.

Przedstawiła budżetową wersję Johna F. Kennedy'ego:

– Uważamy następujące prawdy za oczywiste: uroczycie przysięgam, że nie wyjawię tej tajnej informacji.

Toby zszedł schodami, mając na sobie wykrochmaloną śnieżnobiałą koszulę oraz czerwoną bandankę, a brązowe włosy ściągnął w kucyk.

– Bardzo elegancko jak na Micka Fleetwooda, Toby – zawołałam.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Dawno nie rozmawialiśmy, Cass – wytknął.

– Przepraszam.

Kiedy usiedliśmy, zbliżył się do miejsca, w którym stałam pochylona i nacisnął kilka klawiszy na keyboardzie.

– A tak przy okazji... – zaczął. Uniosłam głowę. W dłoni trzymał nowiutką wegańską książkę kucharską. – Zobaczyłem ją i myślałem dziś o tobie, więc...

Nora głośno zakaszłała. Spojrzałam na nią, gdy niewinnie podłączała bas. Nie miałam pewności, ale mogłabym przysiąc, że bąknęła pod nosem coś, co brzmiało jak:

– Kiepskie wyczucie czasu.

LUKE

Mały laptop, który dostałem w Niemczech, stał na zielonym, blaszanym stoliku, służącym również jako miejsce do gry w karty, obcinania paznokci, trzymania brytyjskiej mlecznej czekolady, nakładania kremu na spierzchnięte dłonie po całodziennym chodzeniu z ciężkim karabinkiem, ustawiania lusterka do golenia. Pokój w bazie Leatherneck był o połowę mniejszy, niż mieliśmy w Fort Hood. Ściany obito przypominającymi drewno panelami, biegły po nich nieosłonięte rury, to wszystko nie chroniło przed zimnymi nocami.

Przebywaliśmy w prowincji Helmand na południowym zachodzie Afganistanu. Za dnia żar lał się z nieba, ale gorsze były zimne noce.

Mieszkałem z Frankiem i innym dzieciakiem z oddziału, którego nie znałem za dobrze, innym rudzielcem poza Daviesem. Nazywał się Sam Adels, ale wszyscy wołali na niego Rooster.

Zarówno Frankie, jak i Rooster byli na świetlicy, cienkie ściany drżały od basu w czyimś głośniku, więc nie było sensu rozmawiać z Cassie. Nie mieliśmy kogo oszukiwać.

Ale ustaliliśmy, że za dwa tygodnie się skontaktujemy, więc załogowałem się do sieci.

Pod wieloma względami to miejsce było dla mnie dobre. Trzeźwość stanowiła dar, który otrzymywałem każdego ranka. Jasność. Oślepiające słońce. Wszystko, czego miałem się obawiać było poza mną, ustalono już niepodważalne sposoby walki.

Budziłem się, jadłem, pochylałem obok Clarka nad wielkim silnikiem, powtarzałem jego słowa, spisywałem części, rysowałem schematy, podążając jego śladem.

Następnie pakowaliśmy pojazdy i jechaliśmy krętymi drogami przy zaporze Kajaki do wiosek, aby w punktach kontrolnych wraz z afgańską armią prowadzić negocjacje z miejscowymi. Wioskowa starszyzna rozmawiała z tłumaczami, a ci z kapitanami. Rozdawaliśmy koce kobietom, lukrecję dzieciom, przejeżdżaliśmy obok stad kóz i meczów siatkówki. Mimo to przez cały czas pozostawaliśmy w gotowości bojowej.

Patrzyłem, jak imię Cassie podświetla się w okienku Skype'a na zielono. Przyjrzałem się uważniej zdjęciu, jakie wybrała na swoje profilowe. Uśmiechający się facet w czerwono-złotej todze, wskazujący palcem. Zrozumiałem, że to Dalajlama. Największy krzewiciel pokoju na świecie. *Zabawne, Cass.*

– Cześć – powiedziała, gdy nas połączyło. – Halo?

Lekkie opóźnienie. Czekaliśmy, aż załaduje się obraz.

– Cześć. Jestem tu sam – wyznałem.

– Rozumiem – odparła.

Wpatrywałem się uważnie w jej oblicze. Wyglądała jakoś inaczej. Kosmyki sięgały jej zaledwie do podbródka, okalając twarz gęstymi, czarnymi falami.

– Obcięłaś włosy?

– Tak – odparła. Jej głos miał w głosnikach nieco metaliczną barwę. – Teraz wyglądam jak mama.

Roześmiałem się.

– A tak przy okazji. – Westchnęła. – Powiedziałaś o nas Norze.

Wytrzeszczyłem oczy.

– O wszystkim?

– Tak.

Zdałem sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Wypuściłem powietrze z płuc.

– Okej, ale dlaczego?

Nie chciała patrzeć w kamerkę.

– Po prostu... Musiałam powiedzieć matce i przyjaciółce, że wyszłam za męża. – Uniosła głowę i spojrzała ostro.

– W porządku. Ale może lepiej by było... No wiesz. Nie komplikować całej sprawy. – Miała na sobie sukienkę ze ślubu, tę, która odsłaniała tatuaż na jej piersi. – Wystroiłaś się.

– Co mogę odpowiedzieć? To wyjątkowa okazja – powiedziała, puszczając do mnie oko.

Zakaszlałem, próbując ukryć to, że zaczynałem się czerwienić.

– Poważnie?

– Nie. Wychodzę.

Z facetem?, chciałem zapytać, ale ugryzłem się w język.

– Kasa dotarła?

– Tak, dzięki – odparła i przygryzła paznokieć.

Odchrząknąłem.

– Wszystko dobrze?

Pokiwała głową i obdarzyła mnie szczerym uśmiechem. Usta pomalowała na różowo. Może naprawdę wybierała się na randkę.

– Tak, wszystko świetnie. W przyszłym tygodniu mamy kolejny występ.

– Wspaniale.

– A co tam u ciebie?

– Dobrze. – Spojrzałem przez ramię, wskazując na pokój. – Całkiem magiczne warunki zakwaterowania.

Prychnęła.

– Wojsko. Awansowałeś już na generała?

– Niebawem – odpowiedziałem podobnym sarkazmem. – Muszę jedynie zdobyć odznakę z przyrody.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

Wesołość zaraz jednak przycichła, Cassie zaczęła się wiercić na krześle. Wziąłem talie kart do rąk i zacząłem się nią bawić. Ściszyłem głos, żeby nikt nie mógł podsłuchać.

– Naprawdę nie wiem, o czym mam z tobą rozmawiać poza udawaniem, że jesteśmy małżeństwem.

Przygryzła wargę.

– Powinniśmy to ustalić wtedy w restauracji, co?

– A może teraz spróbujemy?

W korytarzu rozległy się głosy. Wracali Frankie i Rooster.

Cassie rzuciła pospiesznie:

– Napisz do mnie. Przedstaw ważne dla ciebie sprawy, o których będziemy mogli rozmawiać. Tylko uważaj, by nie zostały wykorzystane jako dowód na to, że się nie znamy.

Uśmiechnąłem się, zaskoczony jej knuciem. Odpowiedziała nerwowym uniesieniem ust i wzruszyła ramionami.

– Dobra – rzuciłem i ruchem głowy wskazałem w kierunku prowizorycznych drzwi.

Odchrząknęła, natychmiast rozumiejąc. Chłopaki weszli, rechocząc.

– Nie, jeśli nie ja pierwszy, koleś – mówił Frankie.

Rooster przeszedł za moimi plecami, zerkając na ekran.

– To zobaczymy się dopiero za kilka tygodni, kochanie? – zapytała Cassie, przysuwając się do komputera i robiąc smętną minę.

Opuściłem wzrok, starając się zachowywać swobodnie. Pomyślałem o tym, co może powiedzieć żonaty facet, ale większość zdań była normalna, zakończona słowem „skarbie”.

– Nie chcę czekać tak długo. Skarbie.

– Oho, przeszkadzamy? – zapytał Rooster, sugestywnie poruszając brwiami, pochylając się ponad moim ramieniem.

– Cześć, jestem Cassie – powiedziała piskliwym, żonkowanym głosem.

– Moja żona – rzuciłem, wskazując na ekran, jakby go nie widział. *Kretyn ze mnie.*

– Hej, Cass! – odezwał się Frankie, zajmując miejsce ponad moim drugim ramieniem.

Na widok jego twarzy Cassie na chwilę wyszła z roli.

– Frankie! Wszystko dobrze?

Posłał jej buziaka.

– Zajebście!

Podniosło mi się ciśnienie.

– Muszę kończyć. Rozmawiamy już przeszło godzinę.

– Babski wieczór! – przypomniała, machając rękami.

– Pa, pa – pożegnałem się.

Frankie odchrząknął i mruknął coś, co brzmiało jak „zakochani”.

– O – powiedziałem, unosząc ręce, jakbym chciał, żeby poczekała. *Boże.* Spojrzałem na lewo, mając nadzieję, że Roosterowi wyda się, że wpatruję się z czułością w ekran. – Kocham cię.

Spojrzelśmy sobie w oczy. Wybałuszała je spanikowana, podobnie jak ja, jednocześnie próbowała ukryć uśmiech.

– Też cię kocham! – pisnęła i się rozłączyła.

Powoli odetchnąłem z ulgą, gdy Rooster zaczął szukać czegoś w swojej torbie.

Obok mnie Frankie prychnął:

– Nieźle.

CASSIE

Rozłączyłam rozmowę z Lukiem i natychmiast wyjęłam komórkę, aby odwołać spotkanie z Tobym. Kiedy dał mi książkę kucharską, zaprosił mnie na drinka, a ja się zgodziłam. Jednak jak miałam przejść od wyznania mężowi miłości na niby do pójścia na randkę, która wcale randką mogła nie być? Ale kiedy szukałam jego numeru, ponownie przeczytałam nasze wiadomości.

„To co myślisz?”

Kiedy bzykaliśmy się po raz pierwszy, Toby stwierdził, że nie jest zainteresowany poważną relacją. Przyznałam, że nie mam nic przeciwko temu i od tamtej pory mieliśmy niewypowiedzianą umowę, że od czasu do czasu po próbie będziemy się migdalić.

„Skąd u ciebie nagłe zainteresowanie tradycyjnym romansem?”

Odpisał od razu: „Od jakiegoś czasu chciałem się spotkać.”

„Spotkać się?”

„Pójść na randkę?”

„Jeśli się zgodzę, co wtedy?”

Uświadomiłam sobie, że mógł odebrać to jako flirt. Jednak moje intencje były szczerze. Miałam już dość nieokreślonych typów w życiu. Grałam na zwłokę.

„Powiedziałbym: może czwartek wieczorem?”

Zasadniczo uratował mi życie. Nie czułam, że byłam mu winna przez to randkę, bo to byłoby wstętnie, ale bardziej chodziło o prawdziwą ciekawość. O czym niby mieliśmy rozmawiać? O albumie? Norze? Stanie naszego państwa? W dodatku sypialiśmy ze sobą i o tym nie mówiliśmy. Nie sądziłam, że cała sprawa między nami może być jeszcze bardziej niezręczna.

Napisałam: „OK”.

„Spoko”

„Spoko”, odpisałam, nie będąc pewna, czy się z niego nie nabijam.

„Przyjadę po ciebie o siódmej. Myślę, że będziemy mogli zjeść po trzy steki, a później się zdrzemnąć. Co ty na to?”

Parsknęłam śmiechem, gdy to przeczytałam.

Odpisałam: „Brzmi idealnie. Mięso i drzemka. Doskonale wiesz, jak trafić do mojego serca”.

Dawno już nie byłam na randce. Zapomniałam chyba, jak się to robi. Kiedy chodziłyśmy

z Norą na „randki”, siadałyśmy naprzeciwko siebie i gadałyśmy z ustami pełnymi tajskiego żarcia, fantazjowałyśmy o sposobach, w jakie zabiłybyśmy Johna Mayera.

Zadzwoiłam do przyjaciółki. Odebrała już po pierwszym sygnale.

Kiedy o wszystkim jej opowiedziałam, krzyknęła:

– Toby Masters? Nasz mały perkusista?

Westchnęłam.

– Tak.

– Ale dlaczego?

Pomyślałam o jego długich włosach, szerokim uśmiechu, powodzi komplementów po występach.

– Jest miły. I zabawny.

– Takich ludzi jest bardzo wielu.

– Ale większość z nich nie zaprasza mnie na randki.

Zaśmiała się.

– Najprawdopodobniej dlatego, że przez cały czas grasz na klawiszach i knujesz przeciwko wojsku, żeby wyciągnąć kasę.

– Tak, chwila nie jest odpowiednia... – zaczęłam.

– No nie jest – odparła oschle. – Wychodzisz za męża, po czym chcesz iść ze swoim kumplem do łóżka? Powinnaś się martwić, że cierpisz na jakąś poważną chorobę zakaźną?

– Nie, nie – rzuciłam z wymuszonym śmiechem.

Zamilkłam, starając się ugasić ogień, który powstał w żołądku po łyku wina. Oczywiście, że Luke miał z tym coś wspólnego. *Może chcę zobaczyć, jak wygląda normalny związek, żeby móc oszukać żandarmerię wojskową?* Czy to naprawdę robiłam? Nie. A co, jeśli w jakiś sposób stanie mi się krzywda? Zmieniłam temat.

– Jakie mam zadawać mu pytania? Powinnaś zagadnąć, jaki jest jego ulubiony kolor?

A może jak wyglądają jego relacje z matką?

– Poproś go, by wchodził wcześniej przy łączniku w piosence *Too Much*.

– Poważnie, Nora.

– Poważnie, Cassie – powtórzyła. – Rób, co chcesz. To ty jesteś królową. Toby to szczęściarz, że cię ma.

Uśmiechnęłam się.

– Jeszcze mnie nie ma. Ale tak, minęło sporo czasu, odkąd ktoś mnie lubił. Tak naprawdę – wyznałam.

– Ooo...

– Eksperymentuję – przerwałam jej, czując, że się rumienię.

– Dobra. To powodzenia, doktorze Kinsey[3]. Tylko nie skop relacji z naszym perkusistą.

Poważnie, Cass. Zespół stoi na pierwszym miejscu.

– Wiem.

– Na pewno?

– Na pewno.

Pożegnałyśmy się i zakończyłam połączenie.

Sprawdziłam szminek, potem poziom cukru we krwi, aby mieć pewność, że nie dojdzie do czegoś takiego jak w Skylark. Włączyłam Nicki Minaj. Kiedy rapowałam wraz z *Favorite*, Toby napisał, że jest na dole. Wyłączyłam muzykę.

Otworzyłam drzwi, a on szeroko się uśmiechnął.

– Cześć, dobrze cię widzieć.

– Ciebie również – powiedziałam. Włożyłam trampki.

Wciąż stojąc w drzwiach, odetchnął głęboko.

– To dziwne.

Parsknęłam śmiechem, maskując westchnienie ulgi.

– Nie jakoś bardzo, ale tak, to dziwne.

– Będziemy improwizować. Powiniennem przekazać ci podarek od mojego stada, nie?

– Dopiero po tym, jak odśpiewamy pieśń godową.

– Szlag, chodźmy jeść.

* * *

Godzinę później siedzieliśmy na krawężniku przed Lulu B., rozmawiając z ustami pełnymi wietnamskich bagietek z warzywami nazywanymi *bánh mì*. Po posiłku mieliśmy iść na koncert do Swan Dive.

Toby opowiadał historię o tym, jak manager lokalu w Tennessee przypadkowo wpisał dwa zespoły na jeden wieczór, więc jego stara kapela miała grać tam w tym samym czasie co zespół grający chrześcijańskiego rocka.

– Zrobiliśmy to, co byliśmy w stanie zrobić – powiedział. – Zagraliśmy.

– Wyrzuciliście tamtych? – zapytałam ze śmiechem.

– Nie.

– No to co zrobiliście?

– To nie jest zbyt punkowe, a lekko żenujące – przyznał, odwracając z uśmiechem wzrok.

– Nikt nie twierdzi, że musisz być punkiem – rzuciłam.

– Cóż, to była kapela grająca chrześcijańskiego rocka, a my zwykłego, więc postanowiliśmy zagrać wspólnie znane kawałki.

– Na przykład które?

– Grupy Creed.

Niemal wyplułam kęs, który miałam w ustach. Muzycy Creed zaskakiwali muzycznie wszystkich, zapewne nawet samych siebie. Brzmieli jak połączenie Kurta Cobaina z pastorem, który chciałby być cool.

– Przepraszam, przepraszam – kajałam się, próbując nad sobą zapanować. – Śmieję się z tej sytuacji, nie z ciebie.

– Nikt nie chce przyznać, że zna słowa całej *With Arms Wide Open*.

Zaczęłam naśladować głos wokalisty Scotta Stappa i tym razem on parsknął, wypluwając kawałki bagietki.

Wpatrywałam się w niego, porównując perkusistę, z którym się bzykałam, z chłopakiem, którego chciałam poznać, który zabrał mnie na zaskakująco dobrą randkę. Toby dorastał przy muzyce country w Arkansas. Ojciec był kierowcą ciężarówki, matka kelnerką, więc zasadniczo wychował się sam. Nie poszedł na studia, wolał praktykować u znanego rzeźbiarza. Został perkusistą, gdy jeden z jego kolegów kucharzy z jadłodajni Denny’ego postanowił założyć zespół. Toby nazwał swój samochód Sergio, co wymawiał jako „surdziej”.

To przemawiało na jego korzyść:

Nie pytał, czy nie mam nic przeciwko, by usiąść na krawężniku, po prostu na nim klapnął z zapakowanymi w papier, tłustymi bagietkami, po jednej w każdej z dłoni.

Mógł nosić dopasowane na tyłku i szerokie na dole dżinsy.

Potrafił gadać o muzyce. Ciągłe ćwiczyliśmy lub zajmowaliśmy się innymi rzeczami, więc nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak nieprzerwanie.

– ...nie chodzi o to, że jestem przeciwny trzeźwości Jeffa Tweedy’ego, ale nie mam pojęcia, jak można by stworzyć kolejne tak wielkie arcydzieło jak *Yankee Hotel Foxtrot*, nie będąc nawalonym jak działo. No tylko o tym pomyśl, nawet piosenki były pijane. Chwiejne, rozedrgane i pełne elektryczności, której nie da się uzyskać z wyważonych, skomponowanych jak przyśpiewki piosenek country, jak na przykład *Sky Blue Sky*...

– Mhm – mruknęłam w stronę bagietki. Rzecz w tym, że miał rację. A raczej, że się z nim zgadzałam. Nie wydobędziemy kolejnej *Yankee Hotel Foxtrot* z Jeffa Tweedy’ego. Świat był wtedy inny. Alternatywny rock po Nirwanie domagał się, aby wszystko miało treść.

I mógł długo dyskutować o *Roseland NYC Live* grupy Portishead, albumie zawierającym najwspanialsze pięćdziesiąt siedem minut muzyki, jakie kiedykolwiek zostały nagrane.

– ...zrobiła to jednak orkiestra. To znaczy, z pewnością byłoby to świetnie nagrane przez sam zespół, ale, rety, kiedy zgrali się na samym początku...

– Miałam ciarki.

– Ja też.

Dałam znak, by kontynuował. Czekałam, żeby dodać swoje trzy grosze, gdy wrócimy do Portishead albo Björk.

Nie miałam obsesji na punkcie zgadzania się z nim za każdym razem. Nie chciałam też czegokolwiek udowodniać, bo przecież mnie znał. Nie udawałam. Chciałam jedynie sprawdzić się w piosenkach, które pisaliśmy. Zespół The Loyal grał co noc przez ostatnie dwa tygodnie i zaczęliśmy tworzyć pierwsze wersje naszych utworów na aplikacji *Garage band*.

– Gotowa na koncert? – zapytał, mnąc opakowanie po bagietce. – Będzie dziko.

– Nie mogę się doczekać – odparłam.

Wstaliśmy, wziął mnie za rękę, jakbyśmy byli brytyjską szlachtą, roześmialiśmy się.

Zaparkowaliśmy na Red River Street, słyszeliśmy dźwięki dochodzące ze środka.

Duet nazywał się Hella i grali noise rocka, co mi się średnio podobało, ale mieli dynamikę zespołu składającego się przynajmniej z sześciu członków. Zamknęłam oczy i zaczęłam kołysać się do przodu i do tyłu wraz ze zmianami tempa perkusji. Muzyk grający na bębnach sprawił, że znalazłam się w lesie, ale zamiast szukać nut, zobaczyłam przed sobą kielkujące nowe życie, liście i płatki razily barwami. Metrum zostało zdezorganizowane.

Otworzyłam szeroko oczy i spojrzałam na Toby’ego, który również opuścił powieki, założył brązowe włosy za uszy i wsłuchiwał się w muzykę. Przez chwilę pomyślałam o Luke’u i przypomniałam sobie, jak patrzył w dal, błędząc myślami w odległe miejsce. Zastanawiałam się, co miał wtedy w głowie.

– Zajebicie – rzuciłam mu do ucha, przekrzykując hałas. – Dlaczego wcześniej tego nie robiliśmy?

Wyglądał na rozbawionego tą perspektywą. Uniósł moją dłoń do ust i ją pocałował, następnie przysunął się do mojej szyi, a jego ciepły oddech sprawił, że przeszył mnie dreszcz.

– Ty mi powiedz.

[3] Alfred Charles Kinsey – amerykański biolog. Autor nazwanego jego nazwiskiem *Raportu*, dzieła przełomowego w historii seksuologii (przyp. tłum.).

LUKE

Czasami, gdy byliśmy w górach, gdzie kończyły się drogi, biegłem przed siebie, wbijając stopy w ziemię, ponieważ na plecach miałem dodatkowo dziesięć kilo amunicji. Były tu przeważnie skały i jakieś krzaki, ale kiedy wystarczająco długo wpatrujesz się w krajobraz, zaczynasz zauważać różnice pomiędzy jasnym, ciemnym a czerwonym brązem, pomiędzy lnem a bawełną, pomiędzy trzydziestoma pięcioma stopniami a czterdziestoma. Za miastem ciągnęły się pola tytoniu, buraków cukrowych lub maku. Po drodze mijaliśmy osły lub wielbłądy, albo pojazdy, które po naciśnięciu klaksonu wygrywały krótkie piosenki. W zależności od tego, kto prowadził i kto jechał, zatrzymywaliśmy się w czasie modlitw. Nasz tłumacz Malik wysiadał i na poboczu bił pokłony na Wschód.

Trudno biegać, kiedy praktycznie cały czas trzeba mieć na sobie pełne umundurowanie, ale radziłem sobie. Zacząłem wstawać przed nadejściem upału i robiłem przebieżkę prowizoryczną ścieżką wokół bazy, którą wydeptali hardcorowi maratońcy. Niektórzy bawili się w coś, co nazywali „kopiowanymi biegami”, mierząc sobie czas na taki dystans, na jaki biegało się w wyścigach w Stanach. Na każdym mieli koszulki, stanowiska z wodą i wszystko inne.

Ja natomiast wolałem biegać samotnie. Nasze dni w Afganistanie najczęściej były ciężkie i długie, było za gorąco albo za zimno, wiele godzin musieliśmy czekać na decyzje dowódców i przełożonych. Samotne bieganie to jedyne chwile, nad którymi miałem kontrolę. Mogłem ćwiczyć tak długo, jak chciałem, a podczas tego mogłem uciec w marzenia.

Wyobrażałem sobie, że wracam do Teksasu, biegam na bieżni przy szkole średniej w Budzie. W głowie wymieniałem stanowiska pracy, jakie mógłbym objąć, nawet te nierealne. Strażak, wuefista, spiker radiowy. Tworzyłem listy do brata, jego żony i syna, które próbowałem zapamiętać, a później zapisywałem w notesie i wysyłałem. W myślach tworzyłem również listy do Cassie, ale się denerwowałem, gdy je spisywałem. Jeden jednak musiałem wkrótce wysłać.

Kiedy wracałem na kwaterę, Frankie rozmawiał przez Skype'a z Eleną albo grał na świetlicy z Roosterem, albo mieliśmy odprawę przed wyjazdem. Przynosił mi tosty i ciepłą, zakurzoną butelkę wody, gdy nie zdążyłem już na posiłek.

Czasami denerwowaliśmy się nawzajem. Niekiedy Rooster chrapał, więc rzucaliśmy w niego poduszki. Frankie musiał na mnie wrzeszczeć, żebym robił pranie, bo wentylacja nie wyrabiała ze smrodem przepoconych ubrań.

Ale wszystko robiliśmy razem. Zatruliśmy się tym samym jedzeniem, padaliśmy na ziemię w tym samym czasie, gdy w pobliżu rozlegały się wybuchy, razem chodziliśmy do miejscowego fryzjera w Lashkar Gah, który był Hindusem, i podczas pobytu tam oglądaliśmy wyciszone filmy z Bollywood.

Czułem się, jakbym miał braci. Przyjaciół. Jakbym miał życie.

CASSIE

Toby zawodził za mną na siedem ósmych. Zbliżyliśmy się z Norą do mikrofonów, kołysząc się, patrząc na siebie, czekając, aby zaśpiewać. Toby zrobił pauzę, przeszedł na sześć ósmych, więc wkroczyliśmy do lasu, rozbijając akord g-moll, pohukując jak ptaki, aż otworzyłam oczy i dałyśmy *forte* z pełną mocą, aż niemal straciłam dech. Pracowaliśmy nad tą techniką od miesiąca, aż stała się płynna jak woda. Był październik, od naszego ostatniego występu minęły cztery tygodnie i wróciliśmy do Skylark, dzieląc koncert z Popover.

Codziennność zaczęła się krystalizować. Każdego dnia wstawałam i sprawdzałam poziom cukru.

Przygotowywałam posiłek, który nie powinien mnie zabić. Rozbijałam jajko, roztrzepywałam je z łyżką mleka. Posypywałam czosnkiem w proszku i mielonym pieprzem albo kroiałam kromkę pełnoziarnistego chleba, smarowałam margaryną i dodawałam śliwki, albo sypałam do miski płatki otrębowe i dodawałam pół szklanki niskotłuszczowego mleka lub czasem używałam mleka migdałowego bez cukru, lub niesłodzonego mleka sojowego, które miało zdecydowanie mniej węglowodanów i kalorii niż zwykle. Jadłam też płatki ze świeżymi jagodami, jeśli nie wydałam zbyt wiele na płyty w sklepie End of an Ear.

Przechodziłam przynajmniej trzy kilometry do South Congress albo do uniwersytetu, czasami z Tobym, przeważnie sama, słuchając przeróżnych utworów.

W południe mierzyłam poziom cukru.

Grałam i pisałam.

Przed lunchem sprawdzałam poziom cukru.

Mieszałam ugotowaną komosę ryżową z białą fasolą, siekaną papryką, marchewką i brokułami, żeby mieć sałatkę. Dolewałam trochę oliwy, soku z cytryny, doprawiałam solą i pieprzem. Albo jadłam tuńczyka z puszki z majonezem light, selerem naciowym, sokiem z cytryny, posypanego świeżo mielonym pieprzem, albo tortillę z grillowanym kurczakiem, hummusem, suszonymi pomidorami, serem feta i warzywami, albo jajka na twardo z brzoskwinia, jeśli poziom cukru na to pozwalał, lub warkocze serowe i dosłownie pięć pełnoziarnistych krakersów.

Grałam i pisałam.

Po południu ponownie sprawdzałam poziom cukru.

I przed pracą. Jechałam do baru. Mieszałam koktajle. Zaczęłam zauważać, że już nie

byłam tak zmęczona jak wcześniej przed północą. Klienci nie wkurzali mnie już tak bardzo. Samochód był czystszy, a na opuszkach palców zaczęły tworzyć się zgrubienia od igły.

Toby pomagał mi i przypominał, że powinnam coś zjeść przed snem. Czasami kupował migdały lub nektarynki i przynosił na próby, w razie gdybym zapomniała o przekąsce. Był troskliwy.

Dziś na set mieliśmy tak mało czasu, że pomiędzy utworami prawie nie rozmawialiśmy z publicznością. Weszliśmy w nowe style i styczne, bez wyjaśniania, że próbujemy „czegoś nowego”, nie starając się, aby ludzie nas polubili, ale po prostu uwalnialiśmy dźwięki, które żyły w naszych głowach jak wygłodniałe zwierzęta. Publiczność tłoczyła się przy scenie, ludzie stali niemal na wzmocniaczach. Byliśmy zupełnie innym zespołem.

– Tańczcie! – krzyknęła Nora, gdy wybrzmiała muzyka, i zaraz wznowiliśmy utwór na sześć ósmych. I jakimś cudem to zrobili. Zaczęli podrygiwać, skakać, kiwać głowami, rozpryskując pot, rozlewając napoje. Spojrzałam na Toby’ego, który był w ekstazie, poruszał rękami, grając na werblu, z rozbieganym jak u szaleńca wzrokiem. Zasygnalizowałam mu, żeby zapętlził ostatni fragment refrenu. Zobaczył to, instynktownie zwolnił, żebym mogła rozciągnąć nuty i warknąć ostatni wers. *Tak, dokładnie tak, jak tego pragnęłam.*

Ciała przed sceną zaczęły się kołysać, a my im podziękowaliśmy. Ludzie wykrzyczeli swoją aprobatę.

Zeszliśmy ze sceny. Lepcy i śmierzący od potu zaczęliśmy się ścisnąć.

– Co jest?! – krzyknęła zdyszana Nora. – Co my właśnie zrobiliśmy tej masie?

– Zgładziliśmy ją – odparł Toby, obejmując mnie w talii i opierając czoło o moje.

– Rzeczywiście – przyznałam i pocałowałam go w policzek. – I to prawdopodobnie trafi na nasz album.

– Tak – rzucił Toby, przyciągając mnie do siebie. – Tak, tak, tak.

– I Cass to przetrwała! – zażartowała Nora.

Wybuchliśmy śmiechem. Nora poszła po piwo, żebyśmy mogli to uczcić. Toby pobiegł z powrotem, by wyjrzeć na scenę i sprawdzić, czy publika przerzedziła się na tyle, żebyśmy mogli pozbierać nasze instrumenty.

Opadłam na jedną z obskurnych kanap w garderobie. Przetrwałam. Nie było ani jednej chwili, w której czułabym się zmęczona czy rozkojarzona. Zaczynałam myśleć o cukrzycy jak o jednej z bardziej wymagających roślin. Jednym z drogich, rzadkich kwiatów, z którymi trzeba było rozmawiać, regularnie podlewać, przesuwając w cień i z powrotem na słońce. Tyle że nie miałam wyjścia i musiałam się nim zajmować, bo rozwijał się we mnie.

Toby opadł w połowie na mnie, w połowie na poduchy i całowaliśmy się, a ekscytacja po występie wciąż dzwoniła nam w uszach. Kiedy się odsunęliśmy od siebie, zaczęliśmy się śmiać. Toby zgarnął mi z koszulki jakiś włos, wyglądał na zawstydzonego. Pokazywanie się razem publicznie stanowiło nowość, ale jednocześnie było takie przyjemne. Pomyślałam o jego długich rękach wygrywających *beat*, na które patrzyły wszystkie kobiety w pierwszych rzędach. Ponownie go pocałowałam.

– Pewnie wyprzedały się wszystkie bilety – dumiałam.

Pokiwał głową z uśmiechem, zbyt zaaferowany, aby szukać słów. Wyprzedały się wszystkie bilety w Skylark na nasz występ. Cukrzyca nie była potworem. Wszystko zaczynało się układać. Nie mogłam się doczekać, aby opowiedzieć o tym Luke’owi.

* * *

Do: Cassie Salazar

Od: Starszy Szeregowy Luke Morrow

Temat: Cześć

Cześć, Cassie,

pomyślałem, że sprawdzę, jak to działa. Nie wiem, dlaczego nie miałyby to przejść, ale wydaje się nieco szalone, że mogę pisać, będąc pośrodku [USUNIĘTO] i pokazać ci, jak jestem dobry w obsłudze internetu. Nie chcesz nawet wiedzieć, ile czasu zajęły mi ustawienia. Nim się obejrzysz, będę wrzeszczał na Ciebie, żebyś zeszła z mojego trawnika.

Ale tak, w ten sposób możesz się ze mną skontaktować i możemy mieć randki na Skypie. Śmiało możesz również wysłać mi seksowne fotki. No wiesz, gdy przebierasz się za wojowniczego żółwia Ninja albo za Fonza z serialu *Happy Days* i takie tam. Jesteś moją żoną, więc pomyśl o tym. Jednak tak poważnie, to żartuję.

Pamiętasz, kiedy mówiłem, że po powrocie do domu będzie mi łatwiej biegać, bo przywyknę do trudnych warunków, które są tutaj? Już jest lepiej, chociaż nie ćwiczyłem przez pierwsze kilka tygodni, gdy musieliśmy się przystosować. To pewnie przez jedzenie. A pisząc jedzenie, mam na myśli brak jedzenia.

W każdym razie po powrocie do domu będę szybki jak nigdy. Może potrenuję do maratonu. Może sprawię, że będziesz trenowała ze mną. :-)

Luke

* * *

Do: Starszy Szeregowy Luke Morrow

Od: Cassie Salazar

Temat: Tęsknię!

Luke,

to ja, twoja oddana żona. Tutaj wszystko po staremu. The Loyal zagrało w Skylark i daliśmy czadu! Bilety się wyprzedały! Był tłum ludzi, wszyscy się bawili i nawet nie potrafię Ci opisać, jak się czuję. Wyobraź sobie, jakbyś przebiegł kilometr w niecałe trzy minuty, jakbyś w takim tempie przebiegł cały maraton, a przez cały ten czas dopingowałiby Cię wszyscy bliscy. To mniej więcej coś takiego. (Czy tak wygląda maraton? Bo jeśli tak, dobra, przebiegnę go z Tobą). Opłacają się wszystkie kompromisy, na jakie poszliśmy w naszym krótkim, ale pełnym pasji małżeństwie. Dziękuję, że mnie wspierasz. Twoje czułe słowa i gesty oraz wiedza na temat

wielu rzeczy tak dużo dla mnie znaczą i są bardzo cenne. :-)

Zastanawiałam się nad kupnem roweru, żeby pasował do tego ekscytującego życia ze zdrowym jedzeniem i ćwiczeniami, jakie rozpoczęłam, ale definitywnie byś mnie wyśmiał, gdybyś był ze mną w sklepie. Sprzedawczynie pozwoliła mi jeden wypróbować, ale był za wysoki, więc straciłam równowagę i upadłam, jakby mnie ktoś przewrócił. Mój przyjaciel Toby (pamiętasz perkusistę z mojego zespołu?) śmiał się tak bardzo, że tak się zawstydziłam, że nie spróbowałam jazdy na innym rowerze i wyszłam ze sklepu.

Wszyscy za Tobą tęsknią, wliczając w to Marisol (wiem, że nie lubisz nazywać jej „mamą”). Uważaj tam na siebie.

Bardzo Cię kocham, drogi Mężusiu.

Cassie

* * *

Do: Cassie Salazar

Od: Starszy Szeregowy Luke Morrow

Temat: Re: Tęsknię!

Cześć Cassie!

Bardzo się ucieszyłem na wieść o Twoim występie! Nie mogę się doczekać, aż wrócę i pójdę na Twój koncert. Nie widziałem występów na żywo od gimnazjum, kiedy to uważałem, że death metal jest fajny. Pamiętasz, gdy mówiłem Ci o mojej fazie na muzykę metalową? Zapewne miało to miejsce, gdy spacerowaliśmy wzdłuż rzeki. W każdym razie nie wyjawiałem Ci, że moja fascynacja trwała może z tydzień, bo na koncercie pękł mi w uchu bębenek. Powiedziałem tacie, że doznałem urazu podczas bójki, ponieważ wymknąłem się z domu, by być na koncercie. A gdy zapytał, z kim się biłem, zmyśliłem nazwisko, bo byłem idiotą.

Wymyślony chłopak nazywał się Rick Richardson. Richard Richardson. Śmieję się na samo wspomnienie. Przez całe liceum ojciec sądził, że jestem twardzielem rywalizującym o wszystko z wymyślonym chłopakiem Rickiem Richardsonem. Wracalem do domu, a on pytał: „Czy ten Richardson znów cię dręczył?”, na co odpowiadałem: „Nie, tato. On już ze mną nie zadziera”. W którejś chwili tata nawet poprosił, bym mu go pokazał, gdy byliśmy na meczu futbolowym Jake’a, na co wskazałem mu jakiegoś przypadkowego dzieciaka. Musiałem powstrzymać ojca, żeby nie przeszedł na drugą stronę stadionu i nie nakrzyczał na jego rodziców. Wyobraź sobie wielkiego żołnierza wskazującego palcem w twarz twojego dziecka, które na pewno nie jest Rickiem Richardsonem i krzyczy, by on – Rick Richardson – nie dręczył więcej jego syna.

A wszystko przez to, że nie chciałem się przyznać, że bębenek pękł mi na koncercie kapeli metalowej. A Ty masz się za idiotkę, bo spadłaś z roweru. Cóż, trochę nią jesteś. Oboje jesteśmy kretynami. Myślę, że to dość jasne, wnioskując po naszym małżeństwie. W każdym razie pamiętam, jak mówiłem Ci o mojej ekscytacji metalem, gdy spacerowaliśmy nad rzeką, jakby to było wczoraj. Właśnie wtedy zdecydowałem się, że się z Tobą ożenię :-)

Tutaj wszystko dobrze. Na początku trochę się przeziębilem, ale Frankie miał gorzej. Dostał sraczki i nie wychodził z kibla. Naprawdę lubi o tym mówić (serio, uwielbia o tym gadać o wiele bardziej niż inni o swoim gównie), więc wyświadczyć mi przysługę i nie pytaj go o to, gdy następnym razem będziemy rozmawiać przez Skype'a. Dostyc się już nasłuchiwałem.

A tak w ogóle przepraszam za słownictwo. Na studiach niczego przydatnego się nie nauczyłem, nie licząc umiejętnego wymyślania pogrzebów przeróżnych krewnych, żebym nie musiał chodzić na zajęcia.

Kochający mąż

Luke

* * *

Do: Starszy Szeregowy Luke Morrow

Od: Cassie Salazar

Temat: Re: Re: Tęsknię!

Hej, Rick!

Nie istniejesz, ale dla mnie jesteś realny.

Żona twojego wroga

Cassandra Salazar

PS Do zobaczenia na Skypie w przyszłym tygodniu we wtorek o jedenastej Twojego czasu. O wszystkim Ci opowiem.

LUKE

Codziennie graliśmy w siatkówkę. Każdy ją tu lubi. Była również piłka nożna, ale siatkówka ściągała bardziej zróżnicowany tłum. Grali wszyscy, od sześciolatków w koszulkach z Myszką Miki, przerzucających piłkę nad sznurkiem przewiązanym pomiędzy dwoma słupami, przez dowódców Afgańskiej Armii Narodowej z przystrzyżonymi w brytyjskim stylu brodami, po starszych panów z głębokimi zmarszczkami na twarzach, grających na boiskach z lat osiemdziesiątych. Do zabawy wystarczył kawałek płaskiego terenu i siatka.

W naszej drużynie zazwyczaj byłem ja, Frankie i wysoki ośmiolatek o imieniu Ahmad przeciwko Majeedowi – studentowi, który robił za naszego tłumacza, Randallowi – brytyjskiemu kapitanowi oraz Franson – jednej z żołnerek z naszej jednostki, którą poznałem przez Frankiego. Franson grała w siatkę już w liceum, więc za każdym razem drużyna przeciwna wygrywała.

Dziś Franson zaproponowała, że zamieni się z Majeedem, Frankiem lub mną. Ahmad nie znał za dobrze angielskiego, ale Franson założyła swoje okulary przeciwsłoneczne na głowę i uśmiechnęła się do niego, wskazując na siebie i na mnie, po czym zakręciła palcem.

Majeed przetłumaczył.

Ahmad uśmiechnął się, złapał za nasze mundury, gdy staliśmy po jego obu stronach, i pokręcił głową.

– Nie, nie, nie.

Powiedział coś do Majeeda.

Majeed zwrócił się do nas:

– Ahmad woli zostać w drużynie z Frankiem i Lukiem.

Z przyjacielem popatrzyliśmy na siebie przez okulary przeciwsłoneczne i wzruszyliśmy ramionami. Przybiłem z Ahmadem piątkę.

– Może nie jesteśmy dobrzy, ale jesteśmy zabawni – rzucił Frankie.

– Tylko dlatego, że za każdym razem pozwalasz Ahmadowi serwować – zażartowała Franson i wycofała się na swoje miejsce, podrzucając piłkę.

Majeed się roześmiał.

– Tak, Morrow i Ciucciolo i tak nie wiedzą, jak serwować – zawołał Randall.

– Jak chcesz, koleś – odparł Frankie, pochylając się, żeby przygotować się do gry. – Uważaj, co mówisz, bo Luke złamie ci nos.

– Dobra, dobra – uspokoiła ich Franson i stanęła na linii.

Zaserwowała. Piłka dość szybko znalazła się w prawym rogu, więc podbiegłem, odbiłem do Frankiego, który puścił ją ponad siatką. Randall odebrał i podał do Franson, która ścięła wprost na rękę Frankiego. Piłka poleciała szerokim łukiem w kierunku budynków bazy. Staliśmy z Frankiem i obserwowaliśmy ją, aż zobaczyliśmy, że Ahmad po nią biegnie, a jego szara tunika jest ledwie widoczna na piasku.

– Patrzcie, jak on pędzi! – zawołał Frankie.

– Dawaj, Ahmad! – krzyknąłem.

Wrócił uśmiechnięty, ale pokonany, z piłką w rękach. Frankie poklepał go po plecach.

Ahmad powiedział coś i wskazał na swoje oczy.

Majeed przetłumaczył:

– Ahmad mówi, że prawie odebrał podanie, ale słońce go oślepiło.

Frankie bez namysłu zdjął swoje okulary i mu podał. Ahmad włożył je, a ja musiałem stłumić śmiech, bo zakryły niemal całą jego twarz. Mimo to chłopak podrzucił piłkę, złapał ją i poklepał, gotowy do gry.

– Od razu lepiej – powiedział Frankie i puścił do mnie oko.

Franson ponownie zaserwowała, ale tym razem piłka wyszła na aut. Czas na nasz serw.

– Czyja kolej? – zapytał z przesadną ciekawością Frankie, przy czym ostro gestykulował.

Zdecydowanie moja albo jego. Franson miała rację, Ahmad serwował za każdym razem.

– Hm, nie moja – odparłem.

– Moja też nie – rzucił Frankie.

Franson i Majeed uśmiechali się ponad siatką i kręcili głowami. Randall się skrzywił.

– Na pewno Ahmada – przyznałem i podałem mu piłkę.

Chłopiec pobiegł na linię, trzymając okulary, żeby mu nie spadły, i wznowiliśmy grę.

CASSIE

– To będzie *ba-da-da-ba-da-da ba du-du-du be-dum be-dum* i dopiero ja wchodzę – instruowała Toby’ego Nora.

– Aha. – Perkusista wymachiwał pałeczką jak palcem.

Parsknęłam śmiechem, ale Nora nie uznała tego za zabawne.

Toby ciągnął:

– *Ba-dada-ba-dada ba du-du be-dum be-DUM*. Wchodzisz na *DUM*.

– Cassie, powiedz mu. – Spojrzała na mnie, bawiąc się kostką do gry.

– Eee. – Wzruszyłam ramionami. Toby miał rację, jednak tym razem nie chciałam, by przyjaciółka pomyślała, że stoję po jego stronie. – Zagrajmy raz jeszcze i się przekonajmy!

Zaczęliśmy *Merlina* i weszłam do lasu. W piosence chodziło mniej o przeczesywanie leśnego runa, a bardziej o jego rąbanie. Ostre *staccato*, łatwy rytm, inspiracja brazylijską *bossa nova*. Toby naprawdę znajdował się w sercu utworu, wybijając takt, ale ogólny nastrój piosenki był lekki. Przy złym wykonaniu mogłoby to brzmieć jak motyw przewodni Jetsonów, ale nuty znajdowały się w dobrych rękach.

Nora ponownie przestała grać.

– Nie czuję tego, Toby. Nie mogę się wstrześcić. Muszę wejść po *be-dum*.

– Mhm – mruknął i zagrał szybki beat. – Dobra. Dajmy sobie spokój. I tak chcemy z Cassie obejrzeć film.

– To mam się nauczyć czy nie? – zapytała, przenosząc wzrok pomiędzy Tobym a mną. Nie chciałam na nią patrzeć, poszłam otworzyć puszkę wody gazowanej.

– Chciałbym, byś to pojęła, ale jestem zmęczony – odpowiedział powoli.

Nora rzuciła pod nosem coś, co brzmiało jak „biedaczek”.

– Cass? Serio?

– Możemy odpocząć – wyznałam. – Jest czwartek.

– Co, do cholery, czwartek ma wspólnego z czymkolwiek? – Spojrzała na telefon. – Jest dziewiętnasta trzydzieści! Minęła godzina. Nie możemy w tej chwili przerwać próby.

– Zrobię to, co zadecyduje Cassie – odparł Toby, ale wstał i położył pałeczki na werblu.

– Eee... – Zastanawiałam się nad możliwościami. Chcieliśmy obejrzeć *Tombstone* w parku Pease. – Nigdy nie widziałam *Tombstone* i zamierzaliśmy wziąć koc i butelkę czegoś dobrego. Jak w Paryżu – zażartowałam. Wyłączyłam keyboard.

Toby wyszedł zza perkusji i objął mnie w talii.
– A ja cały czas to cytuję...
Położyłam dłonie na jego rękach i pogładziłam jego silne ramiona.
– A ja nigdy nie wiem, czy on coś cytuje, czy tylko wyrzuca z siebie bezsensowne słowa.
– Spojrzałam na niego. Pokazał mi język. Zachichotałam.
– Możemy popracować nad tym w weekend, Nor – powiedziałam jej. – Obiecuję. To był po prostu żmudny tydzień.
Toby również na nią spojrział.
– Możesz iść z nami, jeśli chcesz.
– Wolałabym zachłysnąć się własnymi rzygami i umrzeć, dzięki – odparła. Zdjęła pasek gitary przez głowę.
– Nie. Chodź z nami! – Odsunęłam się od Toby’ego i wzięłam ją pod rękę.
– Nie – odparła i uśmiechnęła się sztywno, po czym poszła schować gitarę. Serce mi się ścisnęło. Krytyka mojego zachowania biła od niej niczym żar. Może nie spędzałam z nią ostatnio wystarczająco dużo czasu. Może czuła się wykluczona. Kiedyś razem nawiewaliśmy z prób.
– Cassita! – zawołał Toby, wyjmując kluczyki do pick-upa.
– Chwila – rzuciłam.
– Dobra. Idę przeparkować auto – poinformował i wszedł na schody. Zatrzymał się jednak na ich szczycie i zbiegł na dół. Przysunął do mnie twarz. Dałam mu buziaka, czerwieniąc się pod pilnym spojrzeniem Nory. – Okej – powiedział i pobiegł z powrotem na górę.
– Przepraszam – pokajałam się. – Jest słodki, ale trochę przesadza.
Ruchem głowy wskazała kierunek, w którym odszedł.
– To teraz chodźcie ze sobą na poważnie? Pokazujecie się w parkach, trzymając się za ręce i się całujecie?
Czułam, że uśmiech rozciąga mi twarz. Poza próbą i okazjonalnymi żartami Luke’a, to na spotkanie z Tobym czekałam przez cały tydzień.
– Tak.
– Ha – mruknęła, zdezorientowana. Umilkła. Zdjęła gumkę z włosów, pozwoliła im opaść luźno, po czym pozbierała z podłogi puste puszki.
– Co? – zapytałam. Co w tym takiego dziwnego? To znaczy oprócz tego, że żadna z nas nie spodziewała się, że nazwę Toby’ego moim chłopakiem.
Wyprostowała się i uniosła brwi.
– No nie wiem – odpowiedziała z sarkazmem. – To powszechne, że żony żołnierzy w wolnym czasie umawiają się z wyglądającymi jak hipisi hipsterami?
Miała rację. Ściśle i prawnie rzecz biorąc, zdradzałam Luke’a.
– Zastanawiałam się nad tym – przyznałam. Oczywiście, że nad tym dumałam. Przez kilka krótkich minut pomiędzy wkładaniem i zdejmowaniem ubrań, sprawdzaniem poziomu cukru we krwi i innymi rzeczami, które musiałam zrobić. I wymyśliłam, że najprawdopodobniej powinnam być ostrożniejsza. A potem przypomniałam sobie rozmowę z Lukiem na placu zabaw i zaczęłam się zastanawiać, czy dzięki temu rozwód będzie wyglądał bardziej realnie, gdy mój mąż już wróci. Czy to sposób, żeby wybronić się z całej sprawy, gdyby nas przyłapano?
– Więc wiesz, że jeśli ktoś, kto zna ciebie i Luke’a, zobaczy cię z Tobym, zaczną się pytania?
Przełknęłam ślinę, bo nagle zaschło mi w ustach.
– Wiem.
– A pytania doprowadzą do rozmowy, a ona do zgłoszenia...
– Nie mam z nim wspólnych znajomych – wytknęłam. Opowiedziałam jej o spotkaniu

w Chili's i o tym jak jest mało prawdopodobne, aby moje ścieżki przecięły się z tamtymi ludźmi.

Nora wzruszyła ramionami.

– Ktoś zawsze patrzy. Nie widziałaś *House of Cards*?

Parsknęłam śmiechem częściowo dlatego, że to śmieszne, a częściowo ponieważ sprawiła, że zaczęłam się denerwować. A nie chciałam się stresować. Pragnęłam położyć się na kocu w parku Pease i słuchać, jak Toby swoim ochrypłym głosem z akcentem z Arkansas recytuje kwestie Vala Kilmera i Kurta Russella.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedziałam do Nory, kiwając głową, starając się zmarszczyć brwi, by wyglądać poważnie. – Zdecydowanie będę ostrożna.

Poczułam wibracje w kieszeni. Zapewne Toby dawał znać, że czeka. Przed udaniem się do parku musieliśmy wstąpić do monopolowego. A z nim wszystko zdawało się trwać dwa razy dłużej. Zawsze się śmialiśmy, przekomarzaliśmy albo zapominaliśmy, po co w ogóle przyjechaliśmy do sklepu. Skierowałam się do drzwi.

Nora poszła za mną.

– I tak pojedziesz do parku, co? – mruknęła, gdy szliśmy schodami.

– Tak. – Westchnęłam. Mogła czytać ze mnie jak z otwartej książki. – Dobrze się bawię.

– Oj, Cassie – rzuciła z nutą rezygnacji w głosie. Poklepała mnie po plecach. – Nie pozwól, by ktokolwiek powiedział ci, że boisz się poparzyć.

LUKE

Rozmowy na Skypie stały się o wiele łatwiejsze. Opowiadałem Cassie zabawne historie, które wyczytałem w listach od Hailey o JJ-u, o tym jak zabrał maskotkę żółwia Franklina do przedszkola, po czym wpadł w kłopoty, gdy zdjął skorupę i powiedział wszystkim, że Franklin jest nagi. Cassie upierała się, że nie powinien mieć przez to problemów, bo jedynie stwierdził fakt.

– To prezbiteriańskie przedszkole w Budzie w Teksasie – odparłem, zaszywając dziurę w skarpetce. – I tak naprawdę nie miał poważnych kłopotów. Nauczycielka powiedziała o tym Hailey i Jake’owi, to wszystko.

– Mimo to nie powinna robić zamieszania.

Wysłałem trzy listy, które pozostały bez odpowiedzi, ale w okolicach Święta Dziękczynienia Hailey w końcu zaczęła mi odpisywać. Pierwszy list dostałem w zeszłym tygodniu. Wyznała, że Jake wie, iż do mnie pisze, że to docenia, ale sam nie jest gotowy odpowiedzieć. Jednak chciałyby utrzymywać kontakt i przynajmniej wiedzieć, że jestem bezpieczny.

Tymczasem Rooster siedział za mną, czyszcząc broń żelem do golenia. Cassie musiała się powstrzymać, by nie spoglądać na niego z odrazą. Kiedy odbezpieczył broń, wzdrygnęła się i głośno pisnęła.

Mimowolnie parsknąłem śmiechem. Chwilę później też zaczęła się śmiać.

– Co jeszcze? – zapytała.

Od naszej ostatniej rozmowy minęły trzy tygodnie. Opowiedziałem jej o siatkówce.

Zacząłem nawet pisać list do ojca. Nie doszedłem dalej niż: „Drogi tato, przepraszam”, po czym przekreśliłem wszystko, ale wcześniejsze szkice zawierały: „Dużo się uczyć”, „Staję się lepszym człowiekiem”, „Jak radzi sobie drużyna Cowboys?”.

Zerknąłem na Roostera, który przestał czyścić broń, a zaczął robić przysiady, oczywiście pozostając w zasięgu oka kamery laptopa. Nasz pokój był mały, ale przecież nie musiał cały czas stękać.

Wróciłem wzrokiem do Cassie. Oboje próbowaliśmy się nie śmiać.

– Jak tam Savages? Ten zespół?

– Dobrze. Są niedoceniani. Przysięgą, dadzą czadu – zaczęła.

Kiedy mówiła, chciałem dowiedzieć się więcej, poznać brzmienie tej muzyki. Gdy zrobiła

przerwę w opisie czegoś, co zarówno kochała i nienawidziła, a nazywało się Pitchfork, zapytałem:

– A ty? Jak tam twoja muzyka?

– Świetnie – odparła.

– Mogę posłuchać?

Najpierw wyglądała na zdziwioną, potem na szczęśliwą.

– Tak, zdecydowanie. Zaraz wracam.

Żaden ze mnie znawca, ale byłem człowiekiem. Wszyscy lubili muzykę. Podobała mi się stacja radiowa grająca klasycznego rocka, którą tata puszczał na boomboksie w garażu. Led Zeppelin, David Bowie, Doobie Brothers, Moody Blues, The Doors, Janis Joplin. Przeszedłem również nierozważną fazę metalu.

Prychnąłem pod nosem, gdy przypomniałem sobie, co w e-mailu napisałem o Ricku Richardsonie. Nigdy nie chciałem nikomu o tym mówić, prawie o tym nie myślałem, odkąd to się stało. Pisanie i rozmowy z Cassie wydobywały ze mnie to, o czym już zapomniałem.

Wróciła, nucąc, obok siebie na kanapie położyła otwarty zeszyt.

Kiedy ustawiała keyboard, chciałem opowiedzieć jej o tym, że słuchałem klasycznego rocka w garażu. Gdy byłem mały, tata uwielbiał piosenkę *Spirit in the Sky* Normana Greenbauma, więc dzwoniłem do stacji V100 i zamawiałem ją dla niego. Robiłem to tak często, że zapisali sobie mój numer i odbierali: „Cześć, Luke, *Spirit in the Sky*?”.

– Gotowy? – zapytała Cassie. – Ta jest jeszcze niedopracowana, ale na pewno ją dokończę.

– Śmiało – zachęciłem. Rooster przestał katować się przysiadami, położył się na podłodze i słuchał.

– Nazywa się *Green Heron* – powiedziała i zaczęła grać. – I wyobraź sobie to z gitarą basową i perkusją – dodała.

– Dobra.

– Dobra – rzucił Rooster z podłogi.

– Kiedy cię zobaczyłam, byłaś na płocie – śpiewała i grała. – Ale powiedziano, że nie jesteś znakiem od Boga. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale kiedy podeszłam, nie odleciałaś.

Po wstępie zagrała rytmiczną, niemal starodawną sekcję. Za każdym razem, gdy zdawało mi się, że znam melodię, zmieniała się w inną. Ale zawsze wracała. Nie było to nieskładne czy trudne do słuchania jak jazz. Miało swoją własną logikę.

Słowa opowiadały o jej matce, o tym, że nie wiedziała, co zrobić, o wybaczeniu samej sobie, o tym, że nie ma pojęcia, co począć, a jej śpiew był pełen dramatyzmu. Wymiałała, barwa jej głosu była mieszanką Billie Holiday, gdyby ta śpiewała o oktawę niżej, i Freddiego Mercury’ego. Wydawało się, że porzuca wstyd i od razu przechodzi do przebaczenia. Nigdy nie nauczyłem się, jak to robić.

– Rety, to było dobre! Zajebiste! – wyrwało mi się, gdy skończyła.

– Naprawdę świetne – dodał Rooster z podłogi. – Prawie się popłakałem.

– Co on powiedział? – zapytała Cassie z szerokim uśmiechem, próbując złapać oddech.

Wcześniej zebrała włosy w kucyk na czubku głowy, ale teraz się rozpadł, pasma opadły, gdy grała i kiwała głową.

– Powiedział, że się popłakał.

– Prawie! – poprawił Rooster.

– Wow! – rzuciłem. – Dobra robota. Super. Skarbie – dodałem, zerkając kątem oka na kumpla.

– Dziękuję – powiedziała z czerwonymi policzkami. Rumieniła się? Czy była czerwona

z wysiłku po śpiewie? – Muszę iść do pracy.

– Okej, pogadamy niebawem.

– Dzięki za to, że poprosiłeś, bym dla ciebie zagrała, Luke. Kochanie – dodała. Zakłopotana drapała się po głowie.

– Proszę. – Przełknąłem ślinę. Nadszedł czas, gdy mówiliśmy te słowa. Zanim zacząłem, Cassie napisała coś na kartce i ją uniosła.

„Wydaje mi się, że dobrze nam dziś poszło”.

Wziąłem notes i odpisałem.

„Mnie również. Pisz e-maile”.

– Pokazujecie sobie sprośności? – zawołał Rooster z podłogi. – Chciałem zagrać w pasjansa w sieci, a Skype wysysa cały internet.

– Dobra, dobra – odpowiedziałem. Przewróciłem oczami do Cassie. – Kocham cię, skarbie. – Tym razem było łatwiej.

Posłała mi wymowny krzywy uśmiezek.

– Też cię kocham.

Jej również gładko poszło. Następnie zrobiła zeza i pokazała mi język.

Kiedy się rozłączyliśmy, odsunąłem się od zielonego stolika i uświadomiłem sobie, że się uśmiecham.

* * *

Do: Starszy Szeregowy Luke Morrow

Od: Cassie Salazar

Temat: Co NAPRAWDĘ myślisz?

Wiem, że chciałeś być miły w stosunku do żonki w obecności kolegi w pokoju, ale jestem ciekawa, co naprawdę myślisz o mojej nowej piosence, skoro Ty i Twój kolega od przysiadów jesteście pierwszymi osobami, które to usłyszały, a nie należycie do zespołu. Nora stwierdziła, że to jedna z moich najlepszych piosenek, Toby też uważa, że jest dobra. Ale twoje zdanie również się dla mnie liczy, ponieważ nie tylko jesteś moim mężem, ale też kimś, kto nie słucha zbyt często współczesnej muzyki. Jeśli naprawdę Ci się podobało, chciałabym stworzyć więcej takich dźwięków, ponieważ nie chcę nagrywać jedynie utworów, które podobają się tym niekumatym ludziom z Pitchforka (tego portalu, o którym Ci opowiadałam, nie rasie kosmitów z widłami na głowach).

Więc kiedy znajdziesz czas pomiędzy rozgrywkami siatkówki, napisz do mnie.

Kocham

C.

PS Proszę, błagam, napisz, że grasz w spandeksie, a jeśli tak, przyślij zdjęcie.

* * *

Do Cassie Salazar

Od: Starszy Szeregowy Luke Morrow

Temat: Re: Co NAPRAWDĘ myślisz?

To była jedna z najlepszych piosenek, jakie w życiu słyszałem. Cały czas myślałem, że Twój głos brzmi jak połączenie Billie Holiday i Freddiego Mercury'ego z Queen. Podobało mi się również, że zmieniała się w trakcie, była szybka, potem wolna, szybka i wolna, ale bez szarpania. Brzmiała naturalnie. Nie słuchaj Toby'ego, nie jest tylko „dobra”.

Wyjeżdżamy na zwiad, więc przez chwilę nie będę dostępny, ale na koniec masz tu zdjęcie mnie, Frankiego i Ahmada, który serwuje najlepiej na świecie. Przepraszam za kiepską jakość fotki, pochodzi z telefonu Majeeda. #selfie<<< dobrze zrobiłem?

Uściski od męża

Luke

CASSIE

Wysłałam wcześniej z Handle Baru i poprosiłam Toby'ego, żeby spotkał się ze mną po drugiej stronie ulicy w Tucci's. Zjedliśmy pieczywo czosnkowe, udawaliśmy, że znamy się na winie.

Toby zasygnalizował kelnerowi, żeby przyniósł kolejny kieliszek i wskazał na mój pusty.

– Dołączysz?

Pokiwałam głową i upiłam łyk wody.

– Tak sobie myślę, The Loyal wkrótce muszą wyruszyć w trasę koncertową. Jeśli tylko uda mi się wymyślić, jak zwolnić się z pracy na jakiś miesiąc.

– Będę gotowy, kiedy i ty będziesz. – Wziął między palce pasmo moich włosów i potarł. Znów miałam dłuższą fryzurę, bob sięgał do połowy szyi. Mawia się, że paznokcie i włosy rosną szybciej, gdy jest się zakochanym.

O Boże, to niedorzeczne. Nie byłam zakochana.

– Zobaczymy, jak pójdą koncerty – odpowiedziałam, biorąc go za rękę. Uśmiechnął się do mnie i poczułam ciepło.

Ale też nie byłam nie zakochana.

Mój chłopak to rozumiał. Znał mnie od początku istnienia tego małego zespołu. Był już kiedyś w trasie koncertowej, a teraz chciał wszystko rzucić i ruszyć w nią raz jeszcze. Brał udział w bójkach w barach, grał z kapelami kościelnymi. Jego samochód popsuł się w trasie, jako zapłatę za muzykę brał ciasto. A wszystko to, by grać. Rozumiał, ile muzyka znaczyła dla mnie, ponieważ tyle samo znaczyła dla niego.

Toby załatwił nam występ w Sahara Lounge. Tym razem nie dzieliliśmy z nikim czasu. Przez godzinę graliśmy nowe dźwięki, które miały trafić na nasz album.

– Chcę cię zabrać do domu – powiedział, wyciągając rękę, aby przesunąć kciukiem po moim policzku.

– Do mnie czy do ciebie? – zapytałam, czując nerwowe napięcie w udach.

W torebce rozdzwoniła się moja komórka. Sięgnęłam, aby ją wyciszyć, mając prawie pewność, że to mama albo Nora. To mogło poczekać do rana.

– Chcielibyście państwo uregulować rachunek? – zapytał ubrany na czarno kelner.

– Tak – odparł Toby i położył kartę kredytową na stole.

– Podzielimy go na pół? – zagadnęłam.

Pokręcił głową, zaciskając usta, uśmiechnął się oczami.

Telefon znowu się odezwał. Kolejne połączenie. Wyjęłam go i zauważyłam, że to zagraniczny numer, tak mi się przynajmniej wydawało.

– Lepiej odbiorę – powiedziałam Toby’emu i wstałam od stołu.

– Dobra, szybko skoczę do kibelka – oznajmił i odszedł.

Odebrałam.

– Cassandra Salazar? – zapytała pospiesznie kobieta.

– Tak.

– Tu kapitan Grayson z 34. Dywizji Piechoty Red Horse. Dzwonię do pani, ponieważ pani mąż Luke Morrow został ranny na służbie.

Przestałam oddychać. Zamrugałam dwukrotnie zupełnie mechanicznie i powoli.

– Jest pani tam?

– Tak. – *Ranny?*

– Pani mąż został ewakuowany do bazy wojskowej w Niemczech. Za dwa dni zostanie przeniesiony do szpitala wojskowego Brooke w San Antonio. Bardzo mi przykro, że mam dla pani takie wieści.

Usiadłam, czując, że do oczu napłynęły mi łzy.

– Wyjdzie z tego?

– Jego stan jest stabilny, ale został poważnie ranny. Kule strzaskały goleń i rzepekę. Niebawem powinien być przetransportowany do kraju.

– Okej.

– Będziemy panią informować na bieżąco.

– Dziękuję – powiedziałam, ponieważ tylko tyle zdołałam wydusić. Po czym dodałam: – Może mówić? Do kogo... do kogo mogę zadzwonić po więcej informacji?

– W tej chwili nie jest w stanie rozmawiać – odparła. – Odezwiemy się, jak tylko się czegoś dowiemy. Do usłyszenia i niech panią Bóg błogosławi. – Rozłączyła się.

Serce biło mi tak mocno, że przed oczami zatańczyły mi mroczki. W e-mailu pisał, że jedzie na zwiad. I niemal zginął. Dobry Boże, co z Frankiem? Czy Frankiemu nic się nie stało? Powinnam była zapytać. Powinnam wypytać o nich wszystkich.

Przed oczami stanął mi rozświetlony słońcem pokój motelowy. Luke wręczył mi kartkę z nabazgranymi informacjami. *Pani mąż*, powiedziała. *Mój mąż*.

Toby wrócił z ubikacji, pogwizdując, trzymał ręce w kieszeniach. Zamarł na widok mojej miny.

– Muszę jechać do domu – powiedziałam.

Odwiózł mnie, choć nie byłam w stanie opowiedzieć o tym, co się stało. Wielokrotnie się tego domagał, mówiąc: *Możesz mi powiedzieć. Pomogę ci. Po prostu powiedz, co się stało. Cassie?*

Gdzie była kartka? Gdzie był ten głupi, pieprzony kawałek papieru? Wrzuciłam go do szuflady w kuchni razem z innymi papierkami. Rachunek za internet z poprzedniego miesiąca. Rachunek za prąd z poprzedniego miesiąca. Kartka była mniejsza. Czy to ta? Nie. To pieprzony paragon za żarcie na wynos. Po co go zachowałam?

Wysypałam zawartość szuflady na podłogę w kuchni.

Klucz od blokady rowerowej, której nigdy nie użyłam. Drobniki. Kapsle od butelek, bo kiedyś siostrzenica Nory zbierała je na jakąś akcję charytatywną w szkole. Jeszcze więcej drobnych. Niewielka torebka prezentowa, w której mama dostała czekoladki na święta od jakiejś swojej klientki. Żadnych kartek.

Przeszłam przez pokój, żeby przeszukać szufladę w szafce nocnej.

Dziennik w skórzanej oprawie, w którym zapisałam dwie linijki. Paczka prezerwatyw. Kostka do gry na gitarze, która, jak podejrzewałyśmy z Norą, należała do Jacka White'a po tym, jak The White Stripes zagraли w Moody Theater.

Przez trzy godziny przewracałam mieszkanie do góry nogami, ale niczego nie znalazłam. O drugiej w nocy usiadłam na kanapie. Cisza była ogłuszająca. Zerknęłam na keyboard, zastanawiając się, czy nie zagrać na nim, by się uspokoić, ale odkryłam, że nie jestem w stanie dotknąć klawiszy.

Usłyszałam kroki na schodach i ciche pukanie do drzwi. Spojrzałam przez wizjer. Rita z Dantem na rękach, który wyglądał, jakby w połowie spał. Otworzyłam.

– Wyprowadzasz się? – zapytała. Różowy szlafrok miała rozchylony, pod spodem widniała koszulka z napisem: „Powiedz, gdzie jest czekolada, a nikomu nie stanie się krzywda”.

– Nie. – Westchnęłam. – Szukałam kartki z ważnymi informacjami. Bardzo ich w tej chwili potrzebuję.

– Czyjeś dane?

– Tak, numer telefonu. W każdym razie przepraszam za hałasy.

– Chcesz zapalić?

– Nic nie mam. – Przestałam kupować, gdy zostałam zdiagnozowana. Każda kwota poszła na rachunki, środki medyczne, a teraz muzykę.

– Nie pytałam, czy coś masz – powiedziała i zza ucha wyciągnęła jointa.

– Dzięki Bogu – mruknęłam.

Usiadłyśmy w naszym stałym miejscu, nie rozmawiając, podając sobie skręta, pozwalając, aby dym objął zabałaganiony pokój. Włączyłam Donovana.

Po chwili Rita powtórzyła:

– Czyjeś dane, hm?

– Tak – odparłam.

– A próbowałaś Google'a? Sprawdź numer w sieci – podsunęła, kaszląc, gdy wypuściła dym.

Wróciła ostrość mylenia. Google. No przecież. Panika zablokowała mi mózg. Oczywiście, że powinnam poszukać w internecie.

– Rita, jesteś genialna.

– Powiedz to tym w mojej pracy – rzuciła. – Właśnie mnie zwolnili.

– Cholera. Przykro mi.

Wzruszyła ramionami i przeciągnęła się, wstając.

– Ostatnio wszyscy tracą pracę.

Wzięłam leżący na podłodze laptop. *Morrow, Morrow, Morrow. Jak on miał na imię?* E-maile. Wiadomości Luke'a z pytaniami, które powinnam zadać podczas naszych rozmów na Skype. Zapisał tam imię.

– Daj znać, gdybym mogła pomóc.

– Płać czynsz na czas – zawołała, otwierając drzwi. – Na razie. Chodź, Dante.

Pazurki zastukały o podłogę.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, wpisałam w wyszukiwarkę i znalazłam. *Warsztat Morrowa, Buda. Teksas.* Jeśli zadzwonię o tej porze, nikt nie odbierze. Ale jeśli wyjadę w ciągu godziny, będę na miejscu o wschodzie słońca.

LUKE

Cucciolo, mówiłem. *Cucciolo*. Leżałem, nade mną były trzy słońca, a język miałem jak z gumy. Frankie nie chciał się obrócić. Musiał to zrobić, bo do nas strzelali. Skryliśmy się za humvee[4], a oni strzelali. Rooster leżał na ziemi.

Wokół mnie nie rozbrzmiewały wystrzały, a pikanie.

A potem z jakiegoś powodu byliśmy w warsztacie mojego ojca. Dlaczego strzelali? Zabierzcie ich z warsztatu! Przecież to pora lunchu, a nie chwila na to, by ktoś strzelał do taty i brata. Musiałem wstać. Musiałem ich chronić.

Rooster drzemał pod humvee na czerwonej poduszce. *Jak może spać w tym momencie?*

Nie mogłem wstać, bo dolna część mojego ciała była drzewem. Miałem pień zamiast nóg. Rozrastał się, rozdzierając skórę, kora była z noży, które dźgały.

Krzyczałem, bo to bolało. *Niech ktoś odetnie to drzewo!*, wydzierałem się.

Trzy słońca były bardzo jasne. Ludzie śmiesznie mówili. Ja również. *Cucciolo*. Nikt nie słuchał.

Ale założyli mi kawałek gumy na twarz.

Niebieskie, białe, niebieskie, białe...

Drzewo znów rosło. Krzyknąłem.

– Gut, gut – mówili. – Ess weird goot sign.

– Nie, niedobre – powiedziałem, ale guma przeszkadzała. – Frankie.

Frankie. Niedobre. Niech ktoś zetnie drzewo.

Frankie...

[4] Humvee – potoczna nazwa amerykańskiego wielozadaniowego samochodu terenowego HMMWV [High Mobility Multi-Purpose Wheeled Vehicle] (przyp. red.).

CASSIE

Nie dogadywałam się z ojcami innych. Nigdy żadnego nie miałam, nie chciałam mieć, nie potrzebowałam. Nie lubiłam ich, gdy obrażali sędziów z mojej ligi piłki nożnej, gdy byłam w czwartej klasie, nie lubiłam, gdy upijali się na piętnastych urodzinach zwanych *quinceañera*, nie lubiłam, gdy siedząc w fotelach, przewracali oczami, bo dowiadywali się, jakie kierunki studiów wybierali moi znajomi.

Wyjątkowo ich nie lubiłam, gdy byłam niewyspana, po trzech kęsach tikka masali i joincie z gospodynią. Przejechałam główną ulicą Budy, mając w zbiorniku niewiele paliwa. Mijałam rodzinne sklepiki i zaparkowane przed nimi pick-upy, niemal tak wielkie jak same budynki oraz śmieci po fast foodach leżące przy krawężnikach. Szukałam wzrokiem czerwono-białej tablicy, którą widziałam na stronie internetowej.

Kiedy ją znalazłam, wysiadłam gotowa zapukać i spotkać się z bratem Luke'a. Wyobrażałam sobie go jako ładniejszą wersję mojego męża. Młodszego faceta w kombinezonie wyglądającego jak członek Grease, ze ślicznym synkiem uczepionym jego nogawki, który zaprowadzi mnie do gabinetu ze skórzanymi fotelami. Tam poznam jego żonę, dziewczynę o wilgotnych oczach z bractwa. Wysłuchają mnie i powiedzą, co robić.

Zamiast tego warsztat był zamknięty. Wisiała kartka, na której napisano odręcznym pismem: „Wracam za pięć minut. Gdyby się paliło, jestem na kawie u Mortsa”.

Czekałam. Pięć minut, następnie kolejne pięć. Zadzwoiłam na numer, z którego telefonowano do mnie wczoraj wieczorem, mając nadzieję, że uzyskam jakieś nowe informacje w sprawie Luke'a, ale nie mogłam się połączyć. Zgarnęłam sukienkę, usiadłam pośrodku betonowego kwadratu obrośniętego chwastami i obserwowałam, jak podrasowane samochody jeżdżą z prędkością dwudziestu czy trzydziestu kilometrów na godzinę. Matki pchały wózki, wydychając dym papierosowy z dala od swoich pociech, i uskarżały się do telefonów na kogoś, kto im podpadł. Wysłałam wiadomość do Toby'ego, pisząc, że mi przykro i że niedługo zadzwonię.

Pojawił się tata Luke'a ze styropianowym kubkiem w ręku. Miał długie nogi, kwadratową żuchwę, ale też siwe włosy i przygarbione plecy. Nie mogłam nie domyślić się, kim jest.

Zastanawiałam się, czy nie wstać i nie odejść. Luke mówił, że w warsztacie pracuje jego brat, więc pomyślałam, że najpierw to z nim się spotkam. Myślałam, że ojciec będzie się krzątał gdzieś na zapleczu, prowadził księgi obrachunkowe.

Wiedziałam, że Luke dał mi numer do brata i polecił, abym w pierwszej kolejności kontaktowałam się z nim.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał, wyjmując klucze. Miał silne przedramiona z jasnymi włoskami.

W czym może pomóc?

– Eee, cóż. – Wstałam z betonu. – Więc... – zaczęłam.

Nacisnął dzwignię z boku bramy i ją otworzył.

– To pani auto? – Wskazał na moje subaru pośród samochodów zaparkowanych sznurkiem przy ulicy.

Przechyliłam głowę.

– Skąd pan wie?

– Buda to małe miasto – odpowiedział. Obrócił się i ruszył w kierunku mojego auta.

– Proszę pana – zaczęłam raz jeszcze, idąc za nim. – Proszę pana, nie przyjechałam tu z powodu zepsutego samochodu.

– Nie? – zapytał, otwierając maskę, podpierając ją metalowym drążkiem. – To dlaczego czeka pani przed moim warsztatem?

Chodził tak samo nonszalancko jak Luke, jakby nie było przy nim nikogo innego, jakby był sam w lesie. Ale nie miał na myśli nic złego. Był stanowczy, ale bez złości. Po prostu stwierdzał fakty, chwycił się czegoś, czym mógł się bawić, jak dziecko biegnące po zabawkę, którą pozostawiło na stole.

Pozwoliłam, by dokręcił to czy tamto, dumając przy tym. Głęboko nabrałam powietrza.

– Proszę pana, wyszłam za mąż za pana syna Luke'a.

Wyprostował się gwałtownie i uderzył głową o otwartą maskę.

– Słucham? – powiedział, zgarbiony, chwytając się za bolące miejsce, i się skrzywił.

– Nazywam się Cassie Salazar, jestem żoną pana syna, który został ranny na misji. –

W jednym zdaniu podałam trzy istotne fakty. Kolejną wspaniałą rzeczą wynikającą z nieposiadania ojca było to, że nie obawiałam się tatusiów.

Opuścił rękę i się zbliżył.

– Na wojskowej misji? Luke Morrow?

Nagle przypomniałam sobie o moich tatuażach, poplątanych włosach i zaczerwienionych oczach. Wzięłam się pod boki.

– Tak, proszę pana. Dostał w kolano w Afganistanie.

Przez chwilę mężczyzna milczał. Wydawało mi się, że drgnął mięsień na jego policzku, lecz nie byłam pewna.

– Wraca do domu?

– Jutro.

Spojrzał na pusty warsztat, z kieszeni wyjął starą, wielką nokię i splunął na ziemię.

– Ja pierdolę.

LUKE

Istnieją trzy rodzaje bólu. Fizyczny, dostarczany w ostrych dawkach bez żadnego rytmu. Po prostu wściekle klucie, uderzające niczym stalowy pręt w mięsz brzaskwini. Taki właśnie czułem ból, gdy w drodze do Monachium na chwilę odzyskiwałem przytomność i obserwowałem cienie sanitariuszy chodzących w kabinie.

Gdy wyszliśmy z Frankiem z za humvee, ból okazał się ostry i pulsujący, krwawiłem. Kule strzaskały kolano i górną część goleni, aż noga stała się bezużytecznym workiem mięsa. Ból pchał mnie do przodu, zmuszając, abym mocniej trzymał broń, abym stał prosto na nodze, która mi pozostała.

– Ostrzeliwują nas ze wzgórza na północnym zachodzie – powiedział Clark pomiędzy wystrzałami.

Zapadła przejmująca cisza. Flaga NATO łopotała nad pojazdem.

– Wracajmy do środka, zajmijmy lepszą pozycję.

– Nie możemy – rzucił Clark. – Pewnie mamy przed sobą miny.

Wszyscy oddychali ciężko. Miarowo, nawet w harmonii. Skarpetkę miałem mokrą, lepłą, uwierała w bucie. Nie powinienem patrzeć w dół. Komuś spadł but, rozpryskując czerwień. Inna para butów znajdowała się nadal na ciele, które leżało tak, że nie widziałem twarzy.

Znów zaczęli strzelać.

Był też ból, który mnie przytłoczył, gdy obudziłem się na korytarzu szpitala Brooke w Ameryce. Okrywał mnie niczym koc, kołysząc do snu, wzywając do jakiegoś wyższego celu, szepcząc słodkim głosem: *Już nie musisz się martwić, twoim zadaniem jest cierpieć. Nie wstawaj, nie walcz, musisz jedynie to znieść.*

Słyszałem, że ludzie odbierają telefon i rozmawiają z mocnym teksańskim akcentem. Patrzyłem na rękę trzymającą uchwyty moich noszy. Na każdym paznokciu namalowany był maleńki święty mikołaj.

Pomiędzy bólem fizycznym i przytłaczającym cierpieniem beznadziei znajdował się też ten trzeci. Powinienem nazwać go emocjonalnym lub psychicznym, ale to sugerowałoby, że jest rozpoznawalny, że można go scharakteryzować i przechowywać gdzieś w mózgu, po prostu żyjąc dalej.

Nie. Wszystkie myśli, od *swędzi mnie ręka, po co ja teraz zrobię?* były zawieszane na haku nad ciemnym morzem. Istniała terazniejszość, ale zahaczała o przeszłość.

Wczoraj po południu podczas operacji wkręcono mi trzydzieści śrub. Nie wiedziałem, jak długo pozostanę w sali z widokiem na parking.

Tamtego ranka Gomez pokazywała Brytyjczykom, że źle myją naczynia. Skończyło się na wojnie na płyny do mycia garów.

Może będę mógł chodzić... albo i nie. Dwie osoby w fartuchach spojrzały na podkładkę z danymi medycznymi, gdy to zdanie wypowiadał lekarz, po czym popatrzyli na moją nogę i wrócili wzrokiem do danych.

Nasz pokój – z drewnopodobnymi ściennymi panelami, lusterkiem do golenia na zielonym stoliku, rurami na ścianach, zostawionymi w kącie i złożonymi przez nas kocami – będzie pusty.

Frankie odszedł.

O jego śmierci poinformowała mnie pielęgniarka wojskowa w Niemczech.

Rozległo się pukanie w futrynę.

Rooster też nie żył. Drużyna siatkówki musiała poszukać nowych zawodników.

Drzwi były tu ciągle otwarte. Na wszelki wypadek.

Ahmad, ośmiolatek, który uwielbiał serwować i biegać po piłkę, będzie pytać, gdzie się podziewamy.

– Szeregowy Morrow?

Obróciłem głowę na poduszce. W drzwiach stał siwy mężczyzna.

– Tak jest, sir.

– Podpułkownik Ray Yarvis z Korpusu Medycznego. Witamy w Brooke.

Uniosłem sztywną rękę i zsalutowałem. Odpowiedział tym samym.

– Każdemu nowemu pacjentowi zostaje przydzielony pracownik socjalny. Jestem tu dla pana.

Usiadł, pochylił się nad moją nogą, oceniając ranę. Wokół ust i srebrno-niebieskich oczu miał głębokie zmarszczki. Mówił ochryłym głosem, jakby wypalał dwie paczki papierosów dziennie, jak facet, który prowadził stoisko z totolotkiem w sklepie na rogu w Budzie. Był pierwszą osobą w tym miejscu, jaka spojrzała mi w oczy.

– Wykonuję tę pracę, ponieważ kiedyś byłem na pana miejscu. Służyłem przez dwie zmiany w Wietnamie, teraz chodzę dzięki tytanowej stopie. – Wskazał na lewą łydkę. – Wszystko, co pan czuje, a czego nie może powiedzieć lekarzom, może powiedzieć pan mnie. Jest pan zły na wojsko? Może pan to przy mnie z siebie wyrzucić. Jestem pana powiernikiem i mediatorem.

Spróbowałem doprowadzić nieco wilgoci do ust.

– Powiedzieli panu, czy jeszcze będę chodził?

– Myślę, że będzie pan.

– Tak, ale...

Uniósł pulchną dłoń.

– Jeśli powiedzieli „może”, kryją własne tyłki. Sądząc jednak po innych, których widywałem ze śrubami, powiem, że wstanie pan za kilka tygodni.

Na chwilę udało mi się wyrzucić mgłę z umysłu.

– To dobrze.

– Później porozmawiamy, bo na korytarzu czekają goście.

– Jacy goście? – Wzrosła we mnie głupia nadzieja. Ktoś z mojej jednostki? Kapitan Grayson? Frankie, który mimo wszystko nie zginął?

– Pańscy. – Ruchem głowy wskazał na drzwi. – Młodszy brat i bliscy.

– O. Tak.

– Chce się pan z nimi zobaczyć? Mogę powiedzieć, że jest pan za bardzo odurzony

morfiną, żeby rozmawiać.

Parsknąłem śmiechem.

– Nie, dziękuję.

Wstał, stękając.

– Okej. Państwo do pana Morrowa? – zawołał. – Możecie wejść.

Pierwsza weszła Hailey, której nogi trzymał się JJ. W świecących trampkach stał na jej stopie odzianej w sandał. Następnie pojawił się Jake z butelką Dr Peppera w jednej i magazynem „Sports Illustrated” w drugiej ręce.

Nie wiedziałem, czy się cieszyć, czy udawać, że śpię. Nie byłem gotowy. Myślni wciąż byłem w Afganistanie pod ostrzałem, miałem przed sobą martwe oczy Frankiego, a horda dzieciaków dziobała mnie w nogę.

– Mam dla ciebie Dr Peppera – powiedział Jake. – Mieli tylko to albo oranżadę pomarańczową.

Podał mi butelkę. Nie tylko przyjechał z Budy do San Antonio z żoną i dzieckiem, ale zatrzymał się też przy automacie. Zastanawiałem się czy to z litości, chęci pojednania, czy może z obu tych powodów jednocześnie. Tak czy inaczej, wziąłem zimną butelkę, otworzyłem ją i przekonałem się, że to najlepszy Dr Pepper, jakiego w życiu piłem.

– Dziękuję, Jake – odparłem, mając nadzieję, że to, co robiłem z twarzą, przynajmniej przypomina uśmiech. – Dobrze cię widzieć.

– Wyglądasz inaczej. Cholera, nieźle cię zranili, co? – skomentował.

– Wczoraj przeszedłem kolejną operację – wyjaśniłem. Kule niemal roztrzaskały mi nogę na pół. Została uratowana przez metalową płytkę i pięć śrub, które trzymają razem kolano.

Zauważyłem, że do sali wsunęła się Cassie ze zwieszoną głową, ściskając kurczowo torebkę. Zbliżyła się do łóżka, pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w policzek, jej klatka piersiowa naparła na moją.

– Przepraszam – szepnęła.

Kiedy odsunęła się od łóżka, zauważyłem kolejną osobę.

Pomiędzy Jakiem i Hailey stał ojciec. Sądząc po przeprosinach, domyśliłem się, że Cassie się z nim skontaktowała. Nie miałem pojęcia, dlaczego, u licha, postanowiła to zrobić. Szukałem słów, zastanawiając się, czy tylko czeka, żeby przypomnieć mi, że byłem mu winny pieniądze.

Był szczuplejszy i bledszy niż poprzednim razem, kiedy widziałem go ostatnio. Jadł słonecznik, wypluwając łupiny do tekturowego kubka. Zaczynałem odczuwać bezsensowne zdenerwowanie. Byłem wątpy i durnie wyglądałem w cienkiej, białej koszuli z uszkodzoną nogą.

– Cześć, tato – powiedziałem. Słowa były jak guma w moich ustach.

– Luke – odparł, patrząc na mnie przez pół milisekundy, nim odwrócił wzrok do telewizora nad moim łóżkiem.

– Poznaliśmy twoją... – Hailey zdjęła dłoń z głowy JJ-a, aby wskazać na Cassie. – Twoją żonę.

– Tak – rzuciła Cassie swoim sztucznym, podniesionym głosikiem, kiwając głową w stronę ściany. – Świetnie was w końcu poznać. Luke tak wiele mi o was opowiadał.

– A my gównie o tobie wiemy – powiedział Jake, uśmiechając się półgębkiem.

– Kochanie! – skarciła go Hailey.

– No co? – Wzruszył ramionami, zerkając na mnie pytająco. – Ze wszystkich ludzi, których znam, Luke najbardziej pasuje do ekspresowego ślubu. Zawsze był cholernie impulsywny.

Wymieniliśmy z Cassie spojrzenia.

– Czasem po prostu się wie. – Cassie popatrzyła na Hailey, przechylając głowę, jakby

odczuwała uwielbienie. – Prawda?

Wpatrywała się we mnie, ponagłając spojrzeniem, które tylko ja byłem w stanie zobaczyć. Romantyczne frazy! Ale nie potrafiłem wymyślić ani jednej. Jezu, tak wiele przeszedłem przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. Niech mi ktoś pozwie, że nie byłem pieprzonym Fabiem. Dłonie zaczęły mi się pocić.

Wziąłem Dr Peppera, którego postawiłem wcześniej na stoliku i posłałem jej najśłodsze spojrzenie, jakie tylko zdołałem z siebie wykrzesać.

– Chcesz się napić, skarbie?

– Dziękuję, kochanie – odpowiedziała i niemal usłyszałem, jak zgrzyta zębami.

Tak, przemasz, próbowałem przekazać spojrzeniem. Nie postarałem się.

Upiła niewielki łyczek, niemal nic nie wypią. I wtedy sobie przypomniałem. *Cukrzyca, kretynie.*

– Nadal jestem wyczerpany – powiedziałem. Choć bardzo chciałem porozmawiać z Jakiem, byłem zbyt zmęczony, żeby w tej chwili udawać z Cassie. Ona również wyglądała, jakby jechała na rezerwie.

– Zostawię was – powiedziała Hailey i pociągnęła męża w stronę drzwi.

Tata wypluł kolejną łupinę, skinął mi głową i również opuścił salę. Ale przyszedł. To było dość znaczące.

– Czy wszyscy... – zawołałem, a Jake się zatrzymał. – Czy wy wszyscy wróćcie?

Hailey spojrzała na męża.

– Bardzo bym chciał – dodałem, próbując nie brzmieć jak desperat.

– Tak, to znaczy, nie będziemy cię głaskać – powiedział Jake, marszcząc brwi, zerkając na Cassie. – I nie będę podkładał ci basenu.

– Nie oczekiwałem tego od ciebie.

– No to wrócimy – przyznał, a Hailey pokiwała głową. – Niemal umarłeś – urwał i przełknął ślinę – a to zmienia perspektywę, nie?

W drzwiach Hailey szepnęła coś JJ-owi na ucho.

– Dziękuję za lego! – zawołał malec.

Moje serce biło szybko nawet po ich wyjściu, ale czułem się pełen energii i nadziei.

Cassie wciąż stała przy ścianie, przygarbiona, ale uśmiechała się, obserwując, jak wychodzą. Przysunęła sobie krzesło do mojego łóżka.

– Jakieś wieści o Frankiem? – zapytała.

Uśmiech spelzł z obu naszych twarzy.

CASSIE

Wróciłam z San Antonio kilka dni temu, po tym, jak spędziłam z rodziną Luke'a tak mało czasu, jak to tylko możliwe. To nie było zbyt trudne. Wciąż nie poznałam ich relacji, nikt i tak nie chciał gadać.

Frankie zginął. Tylko o tym potrafiłam myśleć. Kiedy na chwilę o tym zapomniałam, pojawiało się coś, co mi o tym przypominało. W tej chwili to zapach chipsów ziemniaczanych. To działo się ciągle. W jednej chwili czułam się dobrze, byłam nawet szczęśliwa, a w następnej wybuchałam płaczem. Frankie zawsze pachniał chipsami, bo jego mama codziennie dodawała mu je do lunchu, a on zamiast zjeść je od razu, nosił je przy sobie w woreczku strunowym. Umieszczał je czasem w ustach, by przypominały kaczki dzióbek. „Patrz, Cassie”, mówił, więc unosiłam głowę znad jakiejś piaskowej budowli, którą akurat tworzyłam.

A teraz został wymazany z powierzchni ziemi. Za każdym razem, gdy przypominałam sobie, że nie było go już na świecie, znów się trzęsłam, jakbym nastąpiła na platformę wibracyjną.

Otarłam oczy rękawem wielkiej bluzy Toby'ego z logo drużyny Longhorns. Leżałam u niego na podłodze.

– Hej! Hej. – Spojrzał na mnie. – Dobrze się czujesz?
– Rozmyślałam – odparłam, przełykając ostatnie łzy.
– Znów rodzinne sprawy?
– Tak jakby. – Nie wymyśliłam jeszcze, jak mu o tym wszystkim powiedzieć. Czułam, że mówiąc mu o Frankiem, musiałabym opowiedzieć o Luke'u, a to był kiepski pomysł w całej tej sytuacji. Chociaż wiedziałam, że powinnam mieć wyrzuty sumienia względem Toby'ego, czułam jedynie smutek. Nigdy wcześniej nikogo nie utraciłam.

– Wstawaj. Pozwól, że cię rozweselę.

Pociągnęłam nosem i usiadłam.

Melodia dzwonek na wietrze odbiła się echem po jego mieszkaniu. Toby spojrzał na mnie. Mój telefon.

– Myślałam, że znowu zostawiłam go w domu – mruknęłam, idąc do korytarza. Znalazłam go na stoliku w pobliżu drzwi wejściowych, gdzie gospodarz trzymał klucze. Na ekranie ukazał się numer, którego nie rozpoznawałam. *Coś złego z Lukiem. Żołądek mi się skurczył.*

- Halo? – odebrałam, zaciskając wolną dłoń w pięść.
- Cassie? – zapytał nieznany mi mężczyzna.
- Tak – odparłam, gdy przed oczami stanęło mi najgorsze.
- Tu Josh van Ritter z Wolf Records.

Wolf Records? Próbowałam sobie przypomnieć. Nie chodziło o Luke’a. Nie było źle. Było dobrze. Bardzo dobrze.

- O, cześć! – rzuciłam, próbując brzmieć normalnie.
- Znasz nas?

Czy znałam jedną z największych niezależnych wytwórni? *Yhy!*

– Oczywiście. Jestem waszą wielką fanką – wyznałam, wracając pospiesznie do Toby’ego. Wskazałam palcem na telefon i wydałam z siebie niemy krzyk. Przełączyłam rozmowę na głośnik.

– Todd Barker, manager Les RAV podesłał mi wasz profil na Bandcamp i ciekawi mnie, co macie w planach.

Toby usiadł na łóżku i przesunął się w kierunku telefonu, aż przykucnął na krawędzi. Spojrzał na mnie i powiedział na głos:

– Cześć. Z tej strony Toby Masters, też członek The Loyal. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że Cassie przełączyła cię na głośnik.

– Cześć, Toby. Widzę, że przygotowujecie kilka singli. Macie pełną epkę?

– Tak jakby, bo mamy też nowe kawałki – odparłam pospiesznie, chodząc w kółko po pokoju Toby’ego. – Mogę przesłać ci naszą pierwszą epkę, więcej kawałków nagramy zapewne w nowym roku.

– Mam zajęte wszystko do końca roku. To jest ważne, by nasze zespoły koncertowały, ale z wielką ochotą zobaczyłbym was na żywo. Przylecę na wasz występ w marcu w...

– W Sahara Lounge – podpowiedział Toby.

– No tak. Zagracie piosenki z pełnego albumu i będziemy rozmawiać. Może być?

Wymieniliśmy się danymi kontaktowymi i rozłączyliśmy się szczęśliwi. W głowie mi się kręciło, bo nie wiedziałam, co zagrać z nowego materiału. Serce kołatało mi w piersi, gdy w podskokach wpadłam do kuchni.

Toby poszedł za mną.

– To było Wolf Records – rzuciłam jak szalona. – Zadzwonili do nas.

– Cassie – pisnął Toby. – To było Wolf Records. Wolf Records! Cholera jasna!

– Nikt inny. – Uśmiechnęłam się, trzęsąc się w szoku.

Śmiał się i zaczął mówić o logistyce.

Nagle, podobnie jak wiele razy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, moje myśli spotkały się ze ścianą. Ledwie byłam w stanie się ruszyć, a co dopiero myśleć o graniu przed publiką.

Pociągnęłam nosem, próbując rozluźnić gardło.

– T, potrzebuję chwili.

– Dobra, żaden problem – powiedział nieobecny głosem, wciąż przerzucając nagrania. – Szybko to znajdę. – Trzymał album jak kaznodzieja Biblię. – Wiesz, ile osób dałoby się zabić za uwagę Wolf Records?

Westchnęłam, przycisnęłam rękawy do oczu, pragnąc, by ta jego gigantyczna bluza pochłonęła mnie, abym mogła być w ciemności, miękkości, nicości...

– Tak. Tak się składa, że wiem – mruknęłam.

– Są jedną z tych wytwórni dla niezależnych artystów, która produkuje rzeczy na poziomie „Billboardu”. Sprzedają niezłe kawałki. I chcą nas!

– Wiem! – krzyknęłam. – Kurwa, wiem!

Wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami. Wkrótce popłyną łzy. Objęłam się w pasie i ścisnęłam mocno, próbując je powstrzymać. Nienawidziłam chwil, gdy czułam się jak dziecko. Jak dzieciak, który zaczął rzygać, śpiąc u koleżanki, i zniszczył całą zabawę. Otworzyłam usta i odetchnęłam głęboko, próbując ukoić wzburzony żołądek, w którym, ilekroć myślałam o ostatnich dniach, pojawiało się tornado.

Toby otworzył ramiona. Podeszłam do niego. Kotka Lorraine wydawała się to rozumieć. Mruczała i wiła się pomiędzy naszymi stopami.

– Pamiętasz mojego przyjaciela, który był w wojsku?

– Tak – przyznał. Poczułam, że się spiął.

– Frankie zginął.

– O Boże. Przykro mi, Cass – szepnął. – Nie wiedziałem.

– Przyjaźniliśmy się w dzieciństwie – wyznałam.

Toby milczał, czekając, głaszcząc mnie po włosach. Przypomniałam sobie Frankiego, gdy widziałam go po raz ostatni na lotnisku, kiedy z pełnym oddaniem patrzył na Elenę. Przypomniałam sobie również, jak wyglądał, gdy go poznałam, miał wtedy na sobie koszulkę Power Rangers, która okrywała niewielki, okrągły brzusek.

Odetchnęłam głęboko, nie mogąc nad sobą zapanować. W tej chwili fragmenty rzeczywistości – wieczór, podłoga, kotka oraz pierś Toby'ego pod moim policzkiem – były jedynymi pewnymi rzeczami. Wtuliłam się w niego mocniej. Rozplakałam się.

LUKE

Ktoś siedział obok mojego łóżka. Obudził mnie dźwięk szurania krzesła o płytki na posadzce, czułem ciepło przy nodze. Uniosłem powieki na tyle, by przez szczelinę wpadło światło, ale nie rozpoznałem mojego gościa. To musiały być godziny odwiedzin. Gdyby to była moja pielęgniarka Tara, ciągnęłaby za pościel i zimnymi, chudymi rękami podnosiłaby mi nogi, nawijając o swoim synu, stopach, samochodzie, o czymkolwiek, co przyszyłoby jej na myśl, by mnie rozproszyć, bym nie myślał o tym, że podnosi moje jaja i tyłek do basenu.

Ta osoba milczała, nie ruszała się, może nawet spała.

Zastanawiałem się, czy to nie ojciec. Potrafił zwyczajnie siedzieć z zamkniętymi oczami. Podejrzywałem, że długa praca w warsztacie oraz samotne wychowywanie dwóch synów potrafiło wyczerpać.

Nie otwierałem oczu. To test silnej woli. Kto się pierwszy podda?

Nie zadawaliśmy pytań. Odpowiedzi po prostu powinieneś znać. Powinieneś wiedzieć, jak zmienić bratu pieluchę, dlaczego niebo zawsze jest niebieskie, jak myć zęby, czy duchy istnieją naprawdę, jak wymienić żarówkę, która spaliła się w twoim pokoju, jak rozgrzać piekarnik, ile szamponu to za dużo, kto gra dla Rangersów, jak się ogolić, jak jeździć samochodem z manualną skrzynią biegów, dlaczego umarła mama.

A jeśli nie wiedziałeś, zamykałeś się w sobie i słuchałeś, aż w końcu się dowiedziałeś.

Osoba na krześle poruszyła się, wypuszczając powietrze przez nos.

Nie było również przeprosin. Zniszczyłeś coś, nie płakałeś, nie przepraszałeś. Naprawiałeś to albo kombinowałeś, jak to zastąpić. Jeśli nie mogłeś tego zastąpić, jak ja figurki bogini, którą tata przywiózł mamie z Wietnamu, a którą zrzuciłem podczas ćwiczenia karate, miałeś przez chwilę przejebane.

Przebaczenie przychodziło w postaci „Rangersi grają” albo improwizowanej lekcji, jak załatwić intruza łomem, jeśli jeszcze nie zdążył wejść do domu: wybiegasz do przedpokoju i czekasz, aż przestąpi próg, a kiedy już otworzy drzwi, walisz go w jaja. Ojciec pozwalał, abyśmy z Jakiem ćwiczyli na nim, bijąc go poduszkami. To prawdopodobnie jeden z pięciu momentów w życiu, gdy słyszałem, jak się śmiał.

Nigdy nas nie uderzył. Podpisywał zgody na wszystko. Chodził na nasze mecze futbolu, zebrania w szkole, podrzucał nas na urodziny kolegów.

Może nadszedł czas?

Może mogłem mu powiedzieć, że naprawiłem sytuację, że byłem trzeźwy, że zrezygnowałem z silniejszych leków na rzecz tramadolu, nawet jeśli lekarze mówili, że rdzeń kręgowy nie wytrzyma tylu sygnałów bólowych.

Może to, że tu siedział, było substytutem wybaczenia, jakby otworzył piwo, włączył telewizor i poprosił, żebym dał głośniejsze, żeby mógł słyszeć spikerów.

Tato, powiedziałbym, zachowując prostotę w działaniu, wymawiając słowa powoli. *Co u ciebie?*

Otworzyłem oczy i sapnąłem. Pragnęłam nie unosić powiek.

Johnno gwałtownie obrócił głowę. Uśmiechnął się, ukazując zęby żółte od tytoniu.

– Morrow! Doberek, stary!

Kurwa.

Wstał, zatrzepotała jego wiatrówka, do mojego nosa dotarła woń starego dymu. Krew tętniła w uszach.

– Witaj w domu, żołnierzu. Szczęśliwego Nowego Roku. Napisali o tobie w „Buda Times”. Wytarłem sobie tym tyłek.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytałem zaspany.

Zmrużył oczy.

– A jak myślisz? Po kasę.

Chciałbym mieć wystarczająco dużo śliny w ustach, bym mógł na niego splunąć. Po początkowym szoku nie pozostał we mnie już żaden strach.

– Zapłaciłem. Zrobiłem ci przelew.

– Zapłaciłeś połowę.

– Ustaliliśmy, że druga połowa ma być za dziewięć miesięcy.

– Ustaliliśmy, że drugą połowę zapłacisz po powrocie.

– Nie będę miał pieniędzy, dopóki nie dostanę odprawy. A to potrwa kilka miesięcy.

– Pieprzyć to.

Wskazałem na nogę.

– Co mam niby zrobić?

– Masz kasę, wiem, że tak jest. Już wcześniej ją skombinowałeś. Nie wiem, co zrobiłeś, ale zrób to raz jeszcze.

Sięgnąłem po niego, ale nie zdołałem złapać go za kurtkę. Odsunął się ze śmiechem.

Johnno spojrział przez ramię na otwarte drzwi, po czym podszedł i spokojnie je zamknął.

– Jeśli tylko spróbujesz coś zrobić, klnę się na Boga... – wysyczałem przez zęby.

Miałem jednak spowolnione odruchy. Jedną ręką zabrał guzik przywołujący pielęgniarki i przesunął go z dala ode mnie, drugą nacisnął na moją nogę. Najpierw słabo, potem mocniej, aż przesywający ból zagłuszył inne odczucia. Próbowalem ponownie do niego sięgnąć, ale przesunął się na koniec łóżka, dłonie uniósł do mojej goleni.

– Do miesiąca zapłacisz mi połowę tego, co zostało, a drugą miesiąc później.

– Au! – jęknąłem, czując, że łyzy napływają mi do oczu.

Johnno odpuścił na sekundę i obejrzał się za siebie. Drzwi ani drgnęły. Nacisnął raz jeszcze, tym razem mocniej. Paliło tak, że nie byłem pewien, czy nadal mam otwarte oczy.

Czerwień, biel, czerwień, biel...

Puścił. Mocny ból odpłynął. Powrócił wzrok. Johnno wyjął gazetę z kieszeni kurtki, mrużąc oczy, patrzył na nią, i stanął nade mną jak śmierć.

– Ranny, walczący na granicy Pakistanu, należący do 34. Dywizji Piechoty Red Horse – czytał na głos – Morrow zostanie odznaczony Purpurowym Sercem za swoje poświęcenie dla Armii Stanów Zjednoczonych – urwał i posłał mi sztywny, żółty uśmiech. – Gratulacje,

szeregowy Morrow.

– Wypierdalaj stąd – rzuciłem, wciąż zwijając się z bólu.

– Wiesz, co jeszcze piszą w tym artykule? Że masz żonę. Małą Portorykankę? Chyba będę musiał się jej przyjrzeć.

Nie miałem siły, żeby mu odpowiedzieć. Zamknąłem oczy, mając nadzieję, że odejdzie niczym zły sen. Kiedy ponownie uniosłem powieki, nie było go, ale kolce bólu wciąż nieubłaganie wbijały mi się w nogę. Ból i klucie mieszały się ze sobą.

Chyba miał rację. Dostanę Purpurowe Serce, które już na zawsze będzie mi przypominało o tamtej chwili przy humvee, gdy przyciągałem do siebie ciało Frankiego, pozostawiając na drodze krwawy ślad. Trzeci ból zawsze już będzie obecny.

Do sali weszła Tara w jasnoróżowym fartuszku, ze świeżo pokręconą grzywką, włożyła lateksowe rękawiczki i zaczęła opowiadać o żołnierzu w głębi korytarza.

– Siostró Taro? – zapytałem i przełknąłem ślinę, próbując odepchnąć od siebie twarze, które cisnęły mi się przed oczy. Widziałem je na ostatnim spotkaniu anonimowych narkomanów w ośrodku w Austin, uśmiechały się do mnie. Mówiły, bym pozostał silny.

– Co się stało? – zapytała, uginając moją zdrową nogę.

– Tramadol nie działa. Chciałbym dostać coś silniejszego.

CASSIE

Louise i George Cucciolo zorganizowali ceremonię pożegnalną Frankiego w wysokiej katedrze Świętej Marii, przez co około pięćdziesięciu zaproszonych osób czuło się bardzo małymi. Luke mógł wstać z pomocą kilku pielęgniarek, ale nie wolno mu było obciążać zranionej nogi, a jedyne dostępne dla wózków inwalidzkich wejście do katedry prowadziło przez tylne drzwi i po hałaśliwej drewnianej rampie. Odebrałam go rano z San Antonio i przyjechaliśmy tutaj, milcząc całą drogę. Jakby żadne z nas nie wiedziało, co teraz powiedzieć. Nie wyobrażałam sobie, jak będzie po jego powrocie do domu. Na pewno nie tak.

Kiedy dotarliśmy pod drzwi, zdaliśmy sobie sprawę, że rampa nie prowadzi na tyły kościoła, gdzie wszyscy wchodzili, a na miejsce przy ołtarzu. Wjechaliśmy w połowie operowego wykonania *Ave Maria*. Musieliśmy ominąć trumnę i przejechać obok dużego zdjęcia zmarłego, śledziły nas przy tym strapione spojrzenia zapłakanych oczu. Prawdopodobnie Frankie uznałby to za zabawne.

* * *

Po powrocie do busa Luke zdjął ortezę, którą musiał nosić w określonych porach dnia i poprosił, żebym podała mu fiolkę z lekami przeciwbólowymi. Drugi raz je brał, przynajmniej odkąd przy nim byłam.

- Na pewno możesz brać to tak często?
 - Napisano tam „w razie potrzeby”, tak? – odparł.
 - Chyba tak. – Sprawdziłam opakowanie.
 - No i sama widzisz.
 - Próbujesz stępić ból? – zażartowałam słabo.
 - Tak, ten nogi – powiedział, gapiąc się przez szybę.
 - Dobra – odparłam. Żartowaliśmy w poważnych chwilach. To był nasz sposób na komunikację. Jednak Luke mnie zignorował.
 - Ale poważnie – zaczęłam. – Dobrze się czujesz?
- Zapytałam też dlatego, żeby nadać sens własnym uczuciom.
Mimo wszystko poznaliśmy się dzięki Frankiemu. Chciałam porozmawiać z jedyną

osobą, która wiedziała, jak to jest utracić go w ten sam sposób. Chciałam wiedzieć, że nadal mamy wspólny cel, nawet jeśli zniknęło to, co nas łączyło.

Spojrzałam na Luke'a. Z zamkniętymi oczami podpierał dłonią głowę.

– Luke? – zapytałam.

– Hm? – Zamrugał kilkakrotnie. – O. To było smutne.

To było smutne?

– I tyle? – dociekałam.

Na twarzy Luke'a odmalował się gniew. Był bardziej wściekły, niż kiedykolwiek widziałam.

– Co, chcesz, żebym płakał? Nie mogę tego po prostu włączyć i wyłączyć. Żal tak nie działa.

– Wiem. Ale Frankie był również moim przyjacielem. To znaczy... potrafię zrozumieć. Wierz mi.

Spojrzał przez szybę.

– Nie, nie potrafisz. Nie było cię tam.

Zabolało. Oczywiście, że mnie tam nie było. Ale byłam tam duchem, słuchałam go, pisałam do niego. Trwałam, jeśli nie jako prawdziwa żona, to może jako pewnego rodzaju przyjaciółka.

Otworzyłam usta, chcąc odpowiedzieć, ale milczałam. Chodziło o coś więcej. Zrozumiałam. On mógł się dusić. Mógł cierpieć. Mógł być na mnie zły, nawet jeśli starałam się pomóc. Ale nie był zły na zawsze.

Kondukt żałobny przejechał przez Austin, po czym w pogodny styczniowy dzień Frankie został pochowany na cmentarzu stanowym w Teksasie. Obok mnie Luke mocno zaciskał zęby. Kiedy żołnierze oddali salwę honorową, wzdrygnął się na wózku inwalidzkim.

Elena wrzuciła do grobu turkusowy naszyjnik, który chłopak podarował jej przed wyjazdem. Louise tablicę rejestracyjną z napisem „Frankie” i trzy białe róże. George stos komiksów Marvela. We troje stali przytuleni i płakali.

W zeszłym tygodniu było Boże Narodzenie. Zastanawiałam się, czy nie podejść do jego kolegów i opowiedzieć jakąś historyjkę z dzieciństwa, ale żadna nie wydawała się dobra. Gdybym chciała opowiedzieć o samochodzie Barbie, musiałabym zacząć od gwiazdki w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym, a gdybym o tym opowiedziała, musiałabym porównać je z poprzednim Bożym Narodzeniem, gdy mama przyłapała nas, jak przebieraliśmy się w ubrania jego rodziców.

Pielęgniarz, który zawiózł nas na pogrzeb, czekał w busie, przypinał i odpinał Luke'a jak dziecko w foteliku i garściami pochłaniał orzeszki. Wydawało mi się, że parsknął śmiechem, gdy obserwował, jak zmagam się z wózkiem, pchając go przez trawę na cmentarzu.

– Gnojek – mruknełam.

Luke albo tego nie usłyszał, albo udawał, że nie słyszy.

Dwie godziny później podpułkownik Yarvis powitał nas przy wejściu do wojskowego centrum medycznego Brooke, chłodno kiwając głową pielęgniarzowi, który opuścił platformę z Lukiem na ziemię.

– Ten facet to gnojek – powiedział, gdy tylko przewiózł Luke'a z dala od auta.

Stwierdziłam, że go lubię.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem? – zapytał, sapiąc lekko, gdy usiadł naprzeciwko nas.

– Od czterech miesięcy – powiedziałam.

– Od pięciu miesięcy – rzucił Luke w tym samym czasie.

– Pobraliśmy się w połowie sierpnia – wyznałam, biorąc Luke’a za rękę, wbijając paznokcie w jego skórę. Wydawało się, że to go pobudziło. *Od razu lepiej, palancie. Też mi smutno, ale mamy zadanie do wykonania.*

Odchrząknął.

Yarvis przeniósł wzrok z Luke’a na mnie.

– Mogę sobie wyobrazić, że rozstanie nie było łatwe. Pamiętam, że przez pierwszy rok nie mogliśmy wytrzymać z żoną rozłąki. Widać, że odwiedziny Cassie bardzo panu pomagają.

– Przyjeżdżam, kiedy tylko mogę – powiedziałam, mając nadzieję, że niebawem zmieni temat. Prawda była taka, że przyjechałam jedynie kilka razy. W jedną stronę jechałam godzinę i czterdzieści minut, a kiedy już byłam, siedzieliśmy w ciszy – Luke oglądał drużynę Dallas Mavericks, a ja miksowałam piosenki na GarageBand.

Próbowaliśmy się do siebie uśmiechnąć. Wyglądało to raczej, jakby w tym samym czasie rozboleły nas głowy.

Yarvis wpatrywał się w podłogę.

– Poczył pan postępy, szeregowy, a lekarze mówią, że może pan wrócić do domu.

Milczeliśmy.

Dom. Dobra. Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, co to dokładnie oznacza. Luke nie miał miejsca, które mógłby nazwać „domem”, więc chodziło o moje mieszkanie. Co innego mogło to znaczyć? Byliśmy małżeństwem. Tak właśnie postępują małżonkowie. Ludzie, którzy nie pobierają się tylko po to, by wyciągać kasę od rządu. Większość osób brała ślub, ponieważ lubiła się na tyle, by wspólnie mieszkać.

Cisza przeciągała się, aż Luke ponownie odchrząknął.

– Wow, najwyraźniej odebrało nam mowę.

– Jej! – wczułam się, aż uniosłam nasze splecione dłonie w żalosnej próbie okazania radości.

– Będę przychodził do was co tydzień – powiedział Yarvis. – Powinien pan również uczęszczać na rehabilitację, ale na razie musi pan wypoczywać.

– Świetnie! – rzucił Luke.

– Minie oczywiście jeszcze kilka dni, zanim pana wypiszemy – oznajmił. – Najpierw omówimy pana sytuację, damy szansę na przystosowanie się do niej.

– Rozumiem – stwierdził Luke, patrząc zaszklonymi oczami.

– Zostawię was teraz samych i dam znać lekarzowi.

Kiedy Yarvis zamknął za sobą drzwi, Luke puścił moją dłoń i otarł czoło.

– Cholera – powiedział.

Żołądek mi się skurczył.

– No właśnie.

– Mógłbym zamieszkać u brata – zasugerował, ale pokręciłam głową. Oboje wiedzieliśmy, że to by było zbyt dziwne, no chyba że ja też bym u niego zamieszkała, a oczywiście nie mogłam. Musiałam pracować w Austin.

– W dodatku to kiepski pomysł, żeby mieszkać niedaleko twojego ojca, który jest byłym żandarmem. Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

Podśledzałam kiedyś, jak jego ojciec rozmawiał o Wietnamie z Yarvisem, który zapytał go, co tam robił. Żandarmeria zajmowała się przestępstwami w wojsku. Łamaniem praw i protokołów, sprawami takimi jak fałszywe małżeństwa.

– Szczerze mówiąc, zapomniałem. – Wzruszył ramionami.

Westchnęłam i przycisnęłam nasadę nosa.

– Co zrobimy?

Przyłożył pięść do dłoni.

– Poczekamy, aż zagoi mi się noga, potem odbiorę honorowy medal, następnie ułożymy plan, by się rozejść. Możemy to przetrzymać.

Na chwilę powróciłam do rzeczywistości. Odniosłam wrażenie, że znów jesteśmy na tej samej płaszczyźnie. Na tej samej wrogiej, pędzącej przez kosmos w kierunku czarnej dziury w planecie.

Przypomniałam sobie o Tobym. Słodkim facecie, który spędzał wiele godzin w moim mieszkaniu, kąpał się, gotował spaghetti, przechodził przez fazę hip-hopu z lat dziewięćdziesiątych.

– Co? – zapytał Luke, wpatrując się w moją twarz.

– Kiedy cię nie było, zaczęłam się z kimś spotykać.

Skrzyżował ręce na piersi.

– Masz chłopaka?

– A co, zazdrosny jesteś? – rzuciłam instynktownie. Jednak na sekundę wróciła do mnie noc sprzed jego wyjazdu. Poczułam, że się czerwienię.

Nie odpowiedział, więc spróbowałam poprawić nastrój, szturchając go w ramię. Mięśnie miał twarde jak skała.

Spojrzał na miejsce, gdzie była moja dłoń i przewrócił oczami.

– Nie, nie jestem zazdrosny, ale ludzie zobaczą, że masz chłopaka, po czym zauważą, że masz męża, i zaczną zadawać pytania.

– Tak, wiem. – Przełknęłam ślinę. – Ale nie będziemy razem w tych samych miejscach, w których jestem z Tobym.

– Tobym? – zapytał. – Brzmi jak imię dla psa.

– Nie bądź złośliwy.

Odchrząknął i się wyprostował.

– Więc wasz związek jest poważny?

Tak!, chciałam rzucić, ale ugryzłam się w język.

– Na tyle poważny, że nie chcę z nim zrywać tylko dlatego, że mam w łóżku fałszywego męża.

Uniósł ręce.

– Prześpię się na kanapie, dzięki.

Zarumieniłam się ponownie.

– Nie, to znaczy, możesz spać w łóżku z tą połataną nogą i w ogóle.

– Zagramy o nie.

Zagraliśmy. Luke przegrał. Przez chwilę było mi go żal, ale przypomniałam sobie, że mówił o Tobym jak o psie. Siedzieliśmy w milczeniu, zapewne myśląc o tym samym. Wspólna łazienka. Wspólne życie. Będzie inaczej. To będzie prawdziwe. To dzielenie tlenu, pożywienia, czasu, który zazwyczaj spędzam z zespołem i moim prawdziwym chłopakiem. I Luke będzie u mnie całymi dniami. Nie miałam pojęcia, czy to zniosę. Jeśli będzie zachowywał się tak jak dziś, jak ktoś zupełnie obcy, na pewno nie wytrzymam.

– Powiesz mu? – zapytał, przerywając ciszę.

Odetchnęłam głęboko.

– Może kiedy nadejdzie właściwa pora. Będziemy musieli przez moment unikać mojego mieszkania.

– Cholera, Cassie – zaklął, sięgając po tabletki, uśmiechając się półgębkiem. – Co zamierzasz mu powiedzieć?

LUKE

Rankiem w dzień, w którym mieli mnie wypisać, siedziałem z Cassie przy słabej kawie w stołówce, w świetle jarzeniówek. Trzymaliśmy się za spocone ręce, wpatrując się w milczącego Yarvisa, mojego chirurga doktora Rosena oraz Fern, młodą kobietę w okularach i z czarnymi, zwiniętymi w kok dredami, pracującą dla fundacji Jakość Życia.

Rano wziąłem oxycontin i walczyłem, by nie zażyć następnej tabletki, bo noga bolała aż do kości po rehabilitacji i badaniu lekarza sprawdzającego moje postępy. Chciałem słuchać i być obecny. Żargon chirurga sprawiał, że było to trudne, a słowa takie jak „dystalny koniec kości piszczelowej” oraz „kość strzałkowa”, a także „strzaskana rzepka” sływały po mnie jak po kacze.

– Skoro udało nam się zespolić rzepkę, będziemy się starać uniknąć uszkodzenia nerwów, atrofii mięśnia czworogłowego i ewentualnego połączenia chrząstek kolana w pozycji wyprostnej. Ale dobrze panu idzie poprawa elastyczności, wygląda więc, że nie ma tu zbyt wielkiego ryzyka.

Zrozumiałem tylko koniec zdania.

– Świetnie – mruknął Yarvis.

– Teraz, gdy pana rzepka zaczęła się goić, przejdziemy od bardziej statycznych ćwiczeń mięśnia czworogłowego, które pan wykonywał, do zginania kolana. Praktycznie chodzi o to, by obciążał pan nogę z podparciem, następnie stopniowo bez niego. Będziemy mogli przejść do kolejnych ćwiczeń, jeśli na planowym prześwietleniu po dwunastu tygodniach od urazu zobaczymy jakikolwiek odczyn okostnowy.

– Odczyn jaki? – zapytałem, żałując, że nie słuchałem uważnie, gdy pokazywali mi zdjęcia z prześwietlenia po raz pierwszy.

– Tkankę kostną, która wytworzy się w miejscu złamania, stanowiącą spoiwo między fragmentami kości. Czyli w gruncie rzeczy klej trzymający w kupie pana rzepkę. Chcemy, by się pojawiła, a następnie zaczęła znikać w miarę gojenia.

– Więc kiedy zniknie, będę mógł wstać z wózka?

– Zależy. – Zawsze wszystko zależało od czegoś. – Chcemy, by pan wstawał, ale nie w pełni obciążał nogę. Będziemy powoli zwiększać obciążenie, dwadzieścia pięć procent, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć, aż do stu z kulą, po czym zupełnie bez pomocy.

Kulą? Jak kaleka? Przynajmniej później będę mógł poruszać się o własnych siłach.

– Ile to w sumie potrwa?

– Myślimy, że dwanaście tygodni, zważywszy, że to nie tylko piszczel i kość strzałkowa, ale także rzepka, a rany odniósł pan kiedy, zaraz po Święcie Dziękczynienia? Mamy więc teraz szósty tydzień? Zapewne kolejne osiem rehabilitacji, tak dla bezpieczeństwa. Proszę pamiętać, że jeśli jest pan diabetykiem lub pan pali, postępy będą wolniejsze, ale... – Spojrzał na moją kartę. – Ale nie wygląda na to, by występowały w pana przypadku takie czynniki, prawda?

– Rzuciłem – powiedziałem, nie patrząc mu w oczy.

– A w naszym domu to ja mam cukrzycę – dodała Cassie ze sztywnym uśmiechem. Lekarz zignorował ten żart.

– Świetnie. Zapiszę to panu, ale też powiem o tym teraz, bo to ważne. Pana kolano będzie miało naturalną tendencję do wysuwania się z miejsca, ale musimy utrzymać wszystkie części możliwie jak najbliżej siebie, aby się zagoiło. Aby zapobiec przemieszczaniu się, proszę nie eksperymentować, zwiększając samodzielnie nacisk na nogę poza założonym planem. Jeśli kiedykolwiek doda pan niespodziewany nacisk, poczuje pan ból. – Postukał w stół. – I mając to na uwadze, proszę brać oxycontin, ale nie przekraczać zalecanej dawki.

– Oczywiście – rzuciłem pospiesznie, na co doktor Rosen spojrział na mnie przez okulary. Żołądek mi się skurczył. Może odpowiedziałem za szybko.

– Nie dlatego, że uzależnia, ale ponieważ będzie pan musiał nauczyć się progę bólu, który stanowi system alarmowy, aby pana kolano się nie rozjechało.

To bardziej jak system alarmowy dla wszystkiego w życiu. Obudź się: *hej, to do dupy*. Rusz się: *hej, to też do dupy*. Myśl: *hej, wspominałem, że to do dupy?*

– Rozumiem. Dziękuję panu.

Uściskał nam dłonie, życzył powodzenia. Spojrzałem na Yarvisa i kobietę siedzącą obok niego, którzy mamrotali coś do siebie ponad stosem dokumentów.

Yarvis pokiwał głową, Fern zaczęła bardzo szybko mówić.

– No to trochę o nas. Po krótkiej rejestracji jako weterana wojennego, przy której rodzina musi wypełnić kilka formularzy, dostaną państwo kontakt do osoby, która będzie was prowadzić...

– Czy to pan? – przerwała Cassie, patrząc na Yarvisa.

– Nie, ja pracuję jedynie w szpitalu. Musi się pan zarejestrować na dole jako weteran i tam zostanie przydzielony panu pracownik.

– Właśnie tak – ciągnęła Fern. – W każdym razie, przeanalizujemy państwa sytuację finansową, potem przydzielimy koordynatora wsparcia. On skontaktuje się z opiekunem rodziny, aby zrozumieć państwa wyjątkową sytuację.

– Macie już opiekuna? – zapytał Yarvis.

Spojrzeliliśmy na siebie z Cassie.

– To znaczy pielęgniarza? – zapytała dziewczyna.

– Nie – odparłem. – Nie mamy.

– Jeszcze nie – potwierdziła.

– Ale wszystko brzmi świetnie. – Przełknąłem ślinę, mając nadzieję, że tak właśnie należało powiedzieć.

Fern kiwnęła głową.

– Następnie wykorzystamy wszystkie środki pomocowe dostępne z rządu, organizacji non profit i organizacji społecznych. Pracownik opíše sytuację rodziny, przedstawi dostępne rozwiązania, a następnie będzie służył jako stały rzecznik, dopóki rodzina nie dostanie pomocy.

Wow, chciałem powiedzieć. *Zwolnij*.

– Powiedziała pani „stały rzecznik” – wtrąciła Cassie – ale jak długo naprawdę potrwa

cały proces?

– Zależy, jak szybko odpowie rząd. Ale w San Antonio dobrze to idzie. Góra miesiąc.

Miesiąc? Do tego czasu będę siedział w domu, potrzebując pomocy?

– O, będziemy w Austin – przyznała Cassie. – Czy to jakiś problem?

Fern spojrzała na Yarvisa.

– Wcale. Wydrukuję zatem listę organizacji w Austin.

Fern przeszła na drugą stronę korytarza do pomieszczenia z komputerami i drukarkami dostępnymi dla pacjentów. Odetchnąłem głęboko i posłałem Cassie spojrzenie, które, jak miałem nadzieję, było uspokajające. W odpowiedzi zacisnęła usta i nieco się uśmiechnęła. Może Fern dla bezpieczeństwa założyła więcej czasu. Może wszystko pójdzie szybko i sprawnie. Kobieta wróciła z szerokim uśmiechem, podała nam dokumenty, po czym się pożegnała.

– Będę w swoim gabinecie do drugiej, potem muszę jechać na wizyty domowe – oznajmił Yarvis. – Proszę mnie zawołać, gdyby pan czegokolwiek potrzebował, a pomogę, no wie pan, nawigować.

Wstał, upił łyk kawy i pokuśtykał.

Cassie przyciągnęła do siebie listę organizacji, po chwili przesunęła ją w moją stronę. Zauważyłem, że pomalowała paznokcie na żywą czerwień, aby wyglądały na dłuższe. Poza kciukiem. Wciąż był obgryziony i uszkodzenie wyglądało na niedawne. Logiczne.

– Miesiąc. Do tego czasu... umowa obowiązuje dalej?

Wzruszyłem ramionami.

– No to? – zapytała, powielając mój gest.

Zacząłem czytać:

A Million Thanks

Able Forces – Executive Level Jobs

African American Post Traumatic Stress Disorder Association

After Deployment

Aggie Veterans – Texas A & M University

Air Compassion for Veterans

Air Force Sergeants Association South Central Divisions

Airlift Hope

Przeszedłem do „B”, potem do „C” i tak dalej, aż do końca listy.

– Większość mnie nie dotyczy – przyznałem.

Cassie westchnęła.

– Co... – zacząłem, ale urwałem. Chciałem zapytać o to, co powinniśmy zrobić, ale spojrzałem jej w oczy, po tym, gdy zdezorientowana przeczytała listę, a jej noga drgała pod stołem. Kiedy przystaliśmy na tę umowę, nie pisała się na rolę pielęgniarki, nie zamierzała zapewniać transportu do szpitala w Austin, gdzie miałem jeździć na rehabilitację. – Co według ciebie powinienem zrobić?

Wzruszyła ramionami i zaczęła gryźć paznokcie.

– Jesteś teraz weteranem wojennym.

– Tak, ale to twój dom.

– Mieszkanie – poprawiła.

– No tak. – Boże, miałem nadzieję, że będzie w nim na tyle miejsca, aby jeździć wózkiem. Chciałem ją o to zapytać, ale to i tak nie robi różnicy. Wciąż będziemy tam razem mieszkać.

Przejrzała listę i ponownie na mnie spojrzała.

– Myślę, że nie spodoba ci się moja odpowiedź.

– Jaka?

Przysunęła się do mnie z krzesłem. Czułem jej ogórkowy szampon.

– Powinniśmy unikać całej tej papierkowej roboty, jak tylko jest to możliwe – wyznała szeptem.

– Mów dalej – zachęciłem.

Zerknęła przez ramię, po czym znów na mnie spojrzała.

– To znaczy, jeśli mi pozwolisz, pomogę ci z tym, z czym trzeba, dopóki nie będziesz mógł poruszać się samodzielnie. Masz zalecone ćwiczenia.

Zacząłem się zastanawiać.

– Nie będziemy się rejestrować.

– No właśnie. – Patrzyła mi w oczy. – W ten sposób nie zostawimy za sobą śladu w papierach, z którymi musielibyśmy się zmierzyć przy rozwodzie. Jak te wszystkie formularze, o których mówiła. Będę w nich występować jako twoja małżonka. – Machnęła ręką, ale mi żołądek się kurczył, jak tylko ktoś, w tym Cassie, mówił o nas jak o mężu i żonie. Zaczerwieniła się lekko. – Jeśli się na to zdecydujemy, przydzielą nam kogoś i ten ktoś często u nas będzie. To kolejna osoba, którą będziemy musieli oszukać. A kiedy się rozejdziemy, będziemy musieli wypełniać kolejne papiery, tak? – Uniosła listę. – A później mogą być programy, do których nie zdołasz się zakwalifikować i tak dalej.

Zwerbalizowałem wcześniejszą myśl.

– W dodatku może do czasu, gdy zostanę zakwalifikowany, znów będę chodził.

– Tak! – potwierdziła. – Więc olejmy to. Przetrywajmy kolejny miesiąc, aż zakończysz rehabilitację, a potem się rozejdziemy i jeśli wciąż będziesz potrzebował pomocy, będziesz mógł się o nią ubiegać.

Zamyślony pokiwałem głową. Cieszyłem się, że nie wziąłem kolejnej tabletki. Myśl o niej przeszła mi przez głowę i ochoczo bym ją zrealizował.

– Tak, po co dodawać kolejne osoby i instytucje, które musielibyśmy okłamywać?

– Bingo. – Odchyliła się z zadowolonym z siebie uśmiechem. – Cieszę się, że się zgadzamy. – Zadowolenie zmieniło się w pytające spojrzenie. – Potrafisz słuchać, kiedy tego chcesz.

Próbowałem nie szczyrzyć zębów w uśmiechu, rzucając:

– Nigdy wcześniej nikt mi tego nie powiedział.

– Może dlatego, że nie słuchałeś... – zaczęła, po czym zrozumiała. Szturchnęła mnie w ramię.

Kiedy wstała, drgnęły mi mięśnie, bo chciałem podnieść się wraz z nią. Przez chwilę zapomniałem, że zostałem ranny.

– Kretyn.

– Cokolwiek powiesz, skarbie – droczyłem się.

Nie znosiła, gdy tak się do niej zwracałem, nie podobały jej się wszystkie te pieszczotliwe określenia, którymi się zasypywaliśmy. Ale tym razem do mnie się uśmiechnęła.

– Już mi to nie przeszkadza. Teraz już nic nie jest niezręczne. No przecież widziałam twoją pizszczel.

Mimowolnie się roześmiałem.

CASSIE

Wyszliśmy z Lukiem ze stołówki. Przed wypisem miał ostatnią rehabilitację, ale gabinet znajdował się po przeciwnej stronie szpitala na drugim piętrze. Kilka minut po naszych żartach zaczął zмагаć się z wózkiem. Dopiero kiedy się zasapał, porzucił próby samodzielnego przejazdu. Milcząc, stanęłam za nim i pomogłam mu jechać, popychając do przodu.

W ciszy dotarliśmy do windy. Jeszcze przed chwilą wydawało się, że wszystko z nim w porządku. Kolejna huśtawka nastrojów. Zaczynałam dostrzegać w tym schemat. Kiedy drzwi się rozsunęły, mruknął:

– Nie musisz ze mną iść.

– Powinam – odparłam. – Żeby zobaczyć, jak wyglądają twoje ćwiczenia, jeśli mam ci przy nich pomagać.

Nie odpowiedział. *To biegacz*, przypomniałam sobie. *Musi nienawidzić tego, że nie jest w stanie poruszać się jak kiedyś.*

Chciałam mu przypomnieć, że wcale nie był tak bezradny, jak się czuł. Zanim się zmęczył, sterował z wprawą, szybko skręcał i jechał co najmniej tak prędko, jak ktoś mógłby iść. Siedział wyprostowany, wciąż opalony od afgańskiego słońca, z lekko zapadniętymi policzkami, ale jak zawsze przystojny.

Jake czekał na nas na drugim piętrze, chciał odwiedzić brata.

– Dobry wieczór, szeregowy – powiedział z rękami na biodrach, ubrany w poplamione olejem dżinsy i koszulę z Bruce'em Springsteenem. W pewnym stopniu bracia byli do siebie podobni, ale Jake był okrągłszy od policzków po brzuch. Miał też bardziej kręcone włosy.

Położyłam dłoń na ramieniu Luke'a i poczułam, że się odprężył. Zauważyłam, że im bardziej Jake był przyjazny, tym bardziej Luke był szczęśliwy.

– Cześć, Marku – powiedział Luke.

Jake parsknął śmiechem i posłał mi zakłopotane spojrzenie.

– Nie słyszałem tej ksywki od dłuższego czasu – przyznał. – Hailey została w aucie, ale zaraz przyjdzie.

Przeszliśmy korytarzem obok okien, za którymi pacjenci o różnej mobilności siedzieli na dużych piłkach rehabilitacyjnych, balansowali na belkach, rozciągali ręce na pasach.

– Może dlatego, że od dawna nie markowałeś – odparł Luke.

– Co to markowanie? – zapytałam.

– Udawanie jakiegoś ruchu w sporcie, w czym Jake był dobry – oparł Luke przez ramię. – Skarbie – dodał na tyle głośno, by brat go usłyszał.

Luke’a przywitała terapeutka z krótką fryzurą, w fartuchu oraz w butach sportowych. Przewiozła go do sali, żeby pokazać, jak ma się rozciągać. Lekarz mówił nam, że lewa noga stała się o dwa centymetry krótsza od prawej, ale odzyska w niej pełną sprawność, jeśli tylko będzie systematycznie ćwiczył. Obserwowaliśmy go z Jakiem przez okno.

– Wszystko załatwione z tym pracownikiem socjalnym? – zapytał.

Terapeutka kazała Luke’owi usiąść na podłodze oraz uginać i prostować nogę. Musiałam odwracać wzrok za każdym razem, gdy jego twarz wykrzywiała się z bólu. Ledwie udawało mu się ugiąć nogę.

– Prawie – odparłam wymijająco.

– Chcielibyśmy z Hailey pomóc, ale... – urwał i westchnął. – Nie jestem na to gotowy. Mamy w domu małe dziecko. A Luke, jak pewnie wiesz, ma więcej problemów niż tylko wózek inwalidzki.

Posłał mi spojrzenie, jakby pytał, czy ma rację.

Zamarłam. Może i ją miał, ale nie wiedziałam, o czym mówi. Zapewne jednak o czymś, o czym powinnam wiedzieć. Tym razem nie mieliśmy wymówki, że znamy się zaledwie od tygodnia. Byliśmy małżeństwem już niemal pół roku. Zatem odpowiedziałam takim samym spojrzeniem, unosząc brwi, przekazując, że nie musiał mi mówić.

– Chociaż nie zawsze taki był.

Postawiłam na cechę, której byłam pewna.

– Humorzasty?

– A, nie, humorzasty był od zawsze, jak nasz tata. Ale częściej bywał w dobrym nastroju. Jednak zaraz po śmierci mamy wziął na siebie dużą odpowiedzialność. Tata z niej zrezygnował. To Luke praktycznie mnie wychował.

– Nie mówił mi o tym. – Po tych słowach uleciało ze mnie nieco irytacji, gdy wyobraziłam sobie Luke’a jako chłopca trzymającego braciszka za rękę, gdy przechodzili przez ulicę. – Mamy wiele do nadrobienia.

– Wpadliście w wir... – zabrakło mu słów, więc zaczął kręcić rękami. – Po prostu idziecie do przodu, nie?

– Tak – powiedziałam i posłałam Luke’owi pełne uwielbienia spojrzenie, gdy pielęgniarka pomogła mu się podnieść przy drążku. Stał, ale z wysiłku zaciskał zęby.

– Wydaje się szczęśliwy, gdy jest z tobą – powiedział Jake, podążając za mną wzrokiem.

– Tak? – Nieco zbyt późno uświadomiłam sobie, że rzuciłam to ze zdziwieniem. Na szczęście mężczyzna wydawał się tego nie zauważyć.

– No tylko spójrz na niego. – Ruchem głowy wskazał Luke’a, który unosił do nas podbródek i się uśmiechał. Dał znać, że jeszcze pięć minut. – Dziękuję, że się nim opiekujesz.

– Hej, taka moja rola. – Wzruszyłam ramionami. – I oczywiście przyjemność – dodałam pospiesznie. Serce zaczęło bić jak oszalałe. Pomyślałam o naszym planie, aby przetrwać kolejne miesiące.

Stwierdziłam, że bycie barmanką to prawie jak bycie pielęgniarką. Te wszystkie wymiociny. Przywykłam do długich godzin pracy i dziwnych potrzeb wymagających ludzi.

Ale patrząc na Luke’a i jego wykrzywioną bólem twarz, nogę, która wyglądała jak pełne blizn mięso, zastanawiałam się, co nas, do diabła, czeka?

LUKE

Po wyjściu Cassie, Hailey i Jake byli gotowi wywieźć mnie na wolność. Włożyłem właśnie butelkę wody do torby, gdy usłyszałem ich na korytarzu. Dzięki komuś, kto czuwał nad nami, wieczorna pigułka wyciszała pełne napięcia chwile.

– Spakowałem tu swoje rzeczy. – Sięgnąłem po torbę. – Proszę, podaj mi ją, położę ją na wózku.

– Ja wezmę! – zaoferowała Hailey i zarzuciła torbę na swoje ramię.

– Dobrze. Dzięki – powiedziałem, próbując zabrzmieć nonszalancko.

Co, jeśli znajdą tabletki i pomyślą, że znów ćpam? Branie pigułek przeciwbólowych nie było narkomanią. Jednak Hailey i Jake liczyli na to, że pozostanę trzeźwy, w każdym tego słowa znaczeniu. To znaczy nie mówiliśmy o tym wprost, ale zakładałem, że wydaje im się, że niczego nie biorę. Rozmawiali ze mną chyba tylko dzięki temu przekonaniu.

Ale gdybym niczego nie brał, nie mógłbym rozmawiać, myśleć czy poruszać się, bo czułbym jedynie ból wykręcanej jak gąbka nogi, a na mojej twarzy malowałby się wyłącznie grymas nasycony boleścią. Z jego powodu posyłałoby mi pełne politowania spojrzenia, jak wtedy, gdy byłem na rehabilitacji. A nie znosiłem ich. Po oxy noże wbijające się w ciało przemieniały się w plastikowe, a haki pamięci przybierały wielkość haczyków na ryby. Nawet Yarvis mówił, że powinienem brać prochy.

Powoli, mawiał, gdy zlany potem opuszczałem salę rehabilitacyjną. Bez oxy czułbym wszystko naraz: *Johnno mnie zabije, Cassie mnie znienawidzi, tata i tak już mnie nienawidzi, Frankie nie żyje*. Oxy upraszczało sprawę. Sprawiało, że skupiałem się na jednej rzeczy.

Obciąć włosy.

Wsiąść do busa.

Znaleźć dla siebie kąć w mieszkaniu Cassie.

Nauczyć się chodzić. I biegać. Stać się nowym człowiekiem.

Krok za krokiem.

Nazywałem to „zamgloną głową”. Mgła w moim umyśle była beztroska, głupia, słodka, czułem się jak dzieciak. I nie przejmowałem się zbyt wieloma szczegółami. Trzeźwy tak nie potrafiłem. Trzeźwy myślałem o wszystkim, co może się spieprzyć i nad czym nie będę miał kontroli. W trudnych chwilach potrzebowałem swojej mgły, aby sprawy mogły wyglądać na lepsze, niż w rzeczywistości były, żebym mógł przetrwać, nie zamartwiając się za bardzo.

A kiedy za bardzo się nie zamartwiałem, ludzie bardziej mnie lubili.

– Jak myślisz, kiedy znowu będziesz chodzić? – zagadnął Jake.

Trzeźwa głowa nie lubiła tego pytania, bo nie znała odpowiedzi. Zależało od tego, jak pomogą domowe ćwiczenia. Ale odpowiedziała zamglona głowa.

– Mam nadzieję, że niebawem. Dali mi kulę, żebym już ją miał, gdy będę mógł wstawać z wózka.

– Dobrze słyszeć – odparł.

– A kto wie – ciągnąłem. – Może niebawem pogramy w kosza.

– Zobaczymy.

Hailey przyniosła z domu maszynkę i zaczęła strzyc mi włosy. Cieszyłem się, gdy palcami przeciągała po mojej głowie. Jake nie robił problemów, dzięki temu mogłem mieć lepszą fryzurę. Działała zamglona głowa.

Na tym właśnie polegał mój wcześniejszy błąd. Dlatego się uzależniłem. Ponieważ nie chciałem trzeźwieć. A tak nie można żyć. Nie można być zbyt beztroskim, ponieważ kiedy całkowicie przestaniesz ci zależeć, nie będziesz dbać o bliskich. Kochałem brata i szwagierkę. Kochałem bratanka JJ-a. Kochałem nawet tatę. Nadal potrzebowałem szczęśliwej zamglonej głowy, ale tym razem nie zamierzałem pozwolić, by przejęła władzę.

Kiedy byliśmy młodszy, kozłowaliśmy z Jakiem piłki w klimatyzowanej sali gimnastycznej w liceum, po czym rzucaliśmy do kosza. Nigdy nie byłem w tym dobry, ale on dawał sobie świetnie radę, więc zapisywałem go na wszystkie obozy. Ćwiczyliśmy na sali, aż robiło się wystarczająco chłodno, by wyjść na zewnątrz, gdzie wymienialiśmy się piłką. Mogliśmy uciec, byliśmy szczęśliwi w naszym małym miasteczku, bo nikt od nas niczego nie oczekiwał poza tym, że mieliśmy być w domu o szóstej na hamburgery. Właśnie o takich sytuacjach przypominała mi zamglona głowa. Ona i bieganie. Nigdzie konkretnie, po prostu szybkie przemieszczanie się w świetle. Krok za krokiem. Proste. Nie wspaniałe, nie złe, ale zwyczajne.

– Cieszysz się, że zamieszkaś ze swoją żoną? – zapytała Hailey.

Trzeźwa głowa zaczęłaby się denerwować na wzmiankę o Cassie, która była znacznie lepsza w udawaniu niż ja. Trzeźwa głowa nie wiedziałaby, co powiedzieć.

– Tak, jest świetna – odparła zamglona głowa. – Tworzy muzykę.

– O rety! Nie wiedziałam. Zawsze wydaje się taka nieśmiała.

– Jest bardzo kreatywna – odparłem.

Jake wepchnął wózek na mechaniczną platformę busa, którym pielęgniarz miał zawieźć mnie do Cassie.

Trzeźwa głowa zaczęła panikować.

– Zobaczymy się za kilka tygodni? – zapytałem. Jake znowu odchodził, a dopiero co dostaliśmy szansę, by porozmawiać, żebym mógł mu wyjaśnić swój nowy plan, który będę chciał zrealizować, gdy wyzdrowieję. Albo raczej bym mógł mu wyjaśnić, że potrzebuję nowego planu, bo jeszcze żadnego nie mam. Chyba liczyłem na to, że dziewięć miesięcy spędzonych na pustyni zainspiruje mnie w jakiś sposób.

– Może weźmiesz mnie na mecz Bearsów, gdy ponownie rozpocznie się sezon? – ciągnąłem. Bearsi to nasza licealna drużyna, trenowałem z nią zarówno ja, jak i on.

– Nie mamy miejsca w hondzie, aby zmieścić wózek – odparł skrępowany.

– Może zdołamy wypożyczyć busa? – zaproponowała Hailey.

Zamglona głowa próbowała uspokoić trzeźwą, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mogłem nie przejmować się wizją, że będę sam w mieszkaniu Cassie w dzielnicy, której nie znałem, niezdolny powiedzieć nikomu, że tam jestem, bez konieczności wyjaśniania całej sytuacji.

– Nie, niedługo będę chodził – odparła zamglona głowa, mając nadzieję, że ma rację.
– Uważaj na siebie – polecił Jake. Uścisnąłem mu dłoń. Hailey pochyliła się, żeby mnie uściskać.

Przez szybę busa pomachałem im na pożegnanie.

* * *

Kiedy się obudziłem, byliśmy we wschodnim Austin, oxy przestało działać, pozostawiając po sobie migrenę i pulsowanie w stawach. Zacząłem grzebać w torbie, aby wziąć kolejną tabletkę, ale nim zdołałem znaleźć fiolkę, Cassie otworzyła drzwi samochodu.

– Hej – powiedziała. Zauważyłem, że związała włosy w mały kucyk. – Chodź się zadomowić.

Niesympatyczny pielęgniarz obszedł samochód z przodu i wpatrywał się w biały budynek, gdy opuszczał platformę. Prowadziły do niego dwoje drzwi, jedno z czerwoną literą „A”, drugie z „B”.

– Mieszka pani na parterze? – zapytał Cassie.

– Eee, nie, na pierwszym piętrze – odparła niepewnie.

– I trzeba tam wejść schodami? – spytałem.

Ledwo mogłem stać pięć minut, by nie upaść z bólu, nie mówiąc już o wejściu po schodach. Cassie o tym nie wspominała. Poczulem, że mocno zaciskam zęby. Potrzebowałem całej swojej siły, by nie wybuchnąć złością.

– Tak – powiedziała. – Mówiłam ci.

Oj. Być może nie byłem w pełni obecny podczas tej rozmowy. *Cholera.*

Pielęgniarz ruchem głowy wskazał na piętro.

– Będzie pan potrzebował mojej pomocy, by się tam dostać?

– Nie, poradzimy sobie – odparłem.

– Jak pan chce – stwierdził i pociągnął dźwignię, aby platforma wjechała do busa. Cassie spojrzała na mnie z niedowierzaniem, po czym na pielęgniarza, ale ten zasunął boczne drzwi, wskoczył za kierownicę i odjechał.

Wyrzuciła ręce w górę.

– Co znaczy, że sobie poradzimy?

Nie chciałem, żeby mnie dotykał lub niósł jak worek ziemniaków. I może tego właśnie potrzebowałem, by zacząć chodzić. Nie wyboru, a kopa w tyłek.

– Damy radę. Widziałaś mnie dziś. Pewnie dam radę wejść tam sam.

Zarzuciwszy sobie moją torbę na plecy, poprowadziła wózek chodnikiem.

– Jaja sobie robisz? – Umilkła, widząc moją twarz i zbliżyła się do drzwi. Wskazała na swoje ciało, które było dwie trzecie mniejsze od mojego. – Spójrz na mnie. – Obróciła się i zapukała pod „A”. – Poproszę o pomoc w razie czego.

– Czekaj, Cassie... – Zacisnąłem palce na kołach, wrząc ze złości.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku z niezbyt czystymi blond lokami okalającymi jej podpuchniętą twarz. Miała na sobie legginsy w cętki i koszulkę z napisem: „Obudź mnie, gdy będzie po wszystkim”.

Amen.

Zmierzyła mnie zaciekawionym wzrokiem. Skinąłem głową na powitanie.

– Cześć, Rita – powiedziała Cassie z szerokim uśmiechem. – To Luke, mój nowy mąż, o którym ci opowiadałam.

Schody pochłonęły całą moją uwagę. Co najmniej dziesięć minut później wciąż byliśmy w połowie drogi, a ja z wysiłku spływałem potem. Wózek został złożony i umieszczony na dole, torba leżała na nim, strzeżona przez ujadającego, zmutowanego psa.

– Raz, dwa, trzy – odliczyły kobiety, dysząc, a ja uniosłem zdrową nogę, jak tylko mogłem najwyżej, gdy mnie ciągnęły, bym postawił ją na kolejnym stopniu z milimetrycznym zapasem wolnej przestrzeni. Poranioną nogę wlokłem za sobą, chociaż bolała przy każdym ruchu.

Jeszcze sześć stopni.

– To był kiepski pomysł – stwierdziłem po raz piąty. – Powinniśmy zadzwonić do szpitala. Powinienem tam wrócić.

W lustrze na sali rehabilitacyjnej obserwowałem siebie, ciągnąc zranioną nogę w ortezie przypominającej robotyczną kończynę, kołysząc biodrami czy nawet rękami. Kończyna nadal była jak pień drzewa, jak coś, co nie należało do mnie. Czasami mogłem ją obciążać, lecz dziś zdawało się, że jeśli nacisnę na nią z siłą dziesięciu kilogramów, ból będzie tak wielki, że zemdleję. A byłem pewien, że to o wiele mniej niż dwadzieścia pięć procent masy mojego ciała.

Cassie i pielęgniarka mieli rację, nienawidziłem ich za to. Nie dam rady.

– Uda nam się – powiedziała Cassie, pot spływał jej po twarzy.

– Jestem za – dodała zdyszana Rita. – To pierwszy raz od dwudziestu lat, gdy jestem tak blisko spoconego faceta, który nie ma jeszcze pięćdziesiątki.

Każdy kolejny krok był trudniejszy od poprzedniego. Pod koniec widziałem, że na twarzy Cassie łyzy mieszają się z potem. Więcej niż raz wylądowałem na niej całym ciężarem ciała.

Usiadłem na szczycie schodów, gdy Cassie i Rita poszły po wózek.

Noga rwała, żołądek bolał, twarz paliła ze wstydu. Nie powinny tego robić. Ja nie powinienem tego robić. A jeśli to zapowiedź tego, jak to będzie wyglądać na co dzień? Będę musiał tkwić w jej mieszkaniu, bo inaczej stanę się stukilowym dzieckiem, które będzie wpadać w szal, ilekroć będzie musiało wyjść z wózka.

Kobiety trzymały stabilnie mój pojazd, gdy podciągnąłem się na rękach, aby w nim usiąść, chwytając się przy tym każdej możliwej powierzchni, jak jakieś zdesperowane, dzikie i skulone stworzenie.

– Na razie – powiedziała Rita, trzymając kostkę lodu przy czole. – Dziękuję za twoją służbę.

Nie zdołałem odpowiedzieć. Kremowa, patykowata goleń, która wystawała spod ortezy sprawiała, że poczułem mdłości.

– Daliśmy radę! – rzuciła Cassie. – Napijesz się wody czy czegoś innego?

Zaschło mi w ustach, ale nie chciałem, żeby mi usługiwała.

– Nie, dzięki.

– Uszy do góry, koleś – odparła. – Napisałam ci mój plan zajęć, więc będziemy mogli wypracować jakiś system.

Kiedy poszła do kuchni, spragniony tabletek podjechałem do torby, którą Cassie zostawiła na podłodze. Palcami chwyciłem za paski, żeby położyć ją sobie na kolanach.

Na niebieskiej kanapie, która, jak zakładałem, będzie moim łóżkiem na nie wiadomo jak długo, dziewczyna położyła złożony koc oraz poduszkę, a na nich umieściła kartkę z napisem „Harmonogram Cassie”.

Z zapisanych odręcznie fraz wyłowiłem: „Dziewięta – pobudka i gra przez dwie godziny. Przepraszam, będę grać w kółko te same piosenki. Dziewiętego wizyta u lekarza. Próby zespołu w każdy wtorek i czwartek”.

Wziąłem tabletkę i zamknąłem oczy. Miałem nadzieję, że zacznie działać, nim Cassie

wyjdzie z mieszkania.

CASSIE

– To zasadniczo jak mieszkanie ze współlokatorem – mówiłam Toby’emu.

Siedziałam po turecku na podłodze, wycelowałam lancetem w opuszkę kciuka i czekałam, aż zapieczę. Powiedziałam Luke’owi, że kiedy się obudzi i będzie czegoś potrzebował ma do mnie napisać, a potem poszłam do Toby’ego, żeby się wykąpać i przypomnieć sobie, dlaczego przez cały dzień nosiłam spoconego Luke’a po mieszkaniu. Kiedy Toby zapytał, co dzisiaj robiłam, nie potrafiłam go okłamać. Zespół. Robiłam to dla The Loyal, a teraz nie tylko był moim chłopakiem, ale również jedynym członkiem naszej grupy, który nie znał mojej sytuacji.

Do tej pory byłam już dobra w przekazywaniu tej historii. Prawie zapomniałam, dlaczego ją opowiadałam. Stała się banalna. Zwyczajna. To historia o ubezpieczeniu zdrowotnym i urzędzie stanu cywilnego w ratuszu. Ale oczywiście to nie była prawda. Musiałam wyjść od Toby’ego i w pewnym momencie objąć innego mężczyznę, choćby tylko na pokaz.

Chodził w kółko po swoim salonie, przeczesując palcami długie, brązowe włosy, a Lorraine dreptała za nim jak cień. Wyrzucił ręce w górę.

– Tak, współlokator, który jest seksownym żołnierzem, ale również twoim, jakby to powiedzieć, partnerem w świetle prawa!

Przytknęłam palec do paska glukometru i czekałam. Osiemdziesiąt. Dobrze. Nawet jeśli robiłam to już od miesięcy, wciąż czekałam na wynik, jakbym miała wygrać na loterii. Ostatnio większość losów wygrywała, obawiałam się jednak momentu, kiedy będzie odwrotnie.

– Nie, nie, nie jest seksowny – zapewniłam Toby’ego, myśląc o tym, jak wyglądał Luke, zanim wyszłam, gdy spał ze zwieszoną na bok głową. Przeprowadziłam ostrożnie wózek pod ścianę, położyłam mu pod głowę jedną ze starych poduszek mamy. Podwiozłabym go do kanapy, ale nie byłam pewna, czy dam radę, aby się na niej położył, nie budząc go przy tym. – W dodatku ledwie się znamy. – Pomyślałam o naszych e-mailach i rozmowach na Skypie, zastanawiając się, czy mówię prawdę. Była również noc, którą spędziliśmy razem przed jego wyjazdem na misję... Ale przecież nie znałam Luke’a, który wrócił, mężczyzny, który gapił się godzinami przez okno, nie odzywał się, warczał, ilekroć podeszłam.

– Więc dlaczego miałabyś mu ufać? Nie rozumiem.

– T, byłam zdesperowana. Widziałeś, co się dzieje, gdy mam za niski poziom cukru. To się może powtórzyć i nie stać mnie na kolejną wizytę na pogotowiu albo... – Uniosłam glukometr. – ...na cokolwiek innego.

Zatrzymał się, wziął Lorraine na rękę i zaczął bębnić palcami na jej grzbiecie.

– Tak – powiedział, patrząc gdzieś przed siebie. – Pamiętam.

– Wydaje mi się, że on również potrzebuje pieniędzy. Chociaż tak naprawdę to nie wiem. Toby się tego uchwycił.

– Co to znaczy, że nie wiesz?

– Pomyślałam, że lepiej będzie nie zadawać zbyt wielu pytań. I powiem tylko tyle... –

Uniosłam palec, bo Toby zaczynał protestować. – ...że to było, zanim dowiedziałam się, że będę musiała z nim mieszkać.

Sporunował mnie wzrokiem, marszcząc brwi.

– Nie planowałaś z nim więc mieszkać?

– Nie! Toby, nie. Jak mówiłam, mieliśmy udawać, aż oficjalnie zostanie zwolniony z czynnej służby. Robię to dla ciebie i Nory tak samo jak i dla siebie – dodałam.

– Ponieważ wolny czas możesz poświęcić na tworzenie albumu? – zapytał.

– No właśnie.

– No nie wiem, Cassie. – Ponownie zaczął chodzić. – To, co nas łączy, jest poważne, tak?

– Tak. I bardzo mi się podoba.

Uśmiechnął się. Wiedziałałam, że jemu również na tym zależy.

Postawił Lorraine na podłodze.

– Szczerze... Powiedz mi coś szczerze.

– Szczerze – odparłam, siadając na kanapie i poświęcając mu pełną uwagę. Przynajmniej tyle byłam w stanie dla niego teraz zrobić. Wydawało mi się, że tego właśnie chciał. To było urocze, niemal dziecięce.

– Zgodziłaś się za niego wyjść – zaczął, unosząc palec. Zaraz wyprostował kolejny. – A teraz ten facet śpi na twojej kanapie, w twoim domu. I oczekujesz, że po prostu uwierzę, że nie leciecie na siebie.

Serce mi się ścisnęło. Lecieliśmy na siebie? Jasne, spałam z nim raz, a teraz oglądaliśmy siebie nawzajem podczas zabiegów medycznych i kłóciliśmy się na pogrzebie przyjaciela. Nie moglibyśmy na siebie lecieć, nawet gdybyśmy się starali.

– Eee, nie, nie, wcale. Jak mam ci to wytłumaczyć?

– Tak, wytłumacz. – Stał przede mną. – Proszę. Zanim zacznę fantazjować o pobiciu tego faceta.

– To nie jest skomplikowane – powiedziałam, chociaż właśnie takie było. Ale nie znałam sposobu, w jaki mogłam mu to wyjaśnić, żeby nie zrozumiał wszystkiego opacznie. Przełknęłam ślinę. – Chcę być z tobą i tyle – wyznałam, wiedząc, jak niejasno to zabrzmiało. Wstałam, aby objąć go za szyję i pocałować na tyle głęboko, by o wszystkim zapomniał.

LUKE

Biegłem przez zielone wzgórza ubitym szlakiem, który tworzył ścieżkę zataczającą krąg. W górę i w dół, w górę i w dół, a w jednej z dolin Jake siedział na kocu z Hailey i JJ-em. Wołali do mnie z daleka: „Tak, biegnij, tak, biegnij”.

Nagle Jake krzyknął i mogłem lepiej go usłyszeć. „Strzelają do nas z północno-zachodniego wzgórza”.

„Które jest północno-zachodnie?!”, odkrzyknąłem.

Obok mojego ucha wystrzeliła broń.

Otworzyłem oczy.

Leżałem na kanapie Cassie.

Wciąż było ciemno. Sięgnąłem za siebie do stolika i wymacałem popielniczki, spinacze, kostki gitarowe, opakowania po cukierkach dla diabetyków, krawędź lampy, więc pociągnąłem za jej sznurek.

Musiałem zająć czymś myśli. Musiałem spowolnić serce.

Na podłodze obok kanapy leżały czasopisma, „SPIN” z dziewczyną z wystającymi zębami i sterczącymi warkoczami, więc go przeczytałem, „Rolling Stone” z września, sierpnia, lipca i czerwca – przeczytałem. Nie chciałem wiedzieć aż tyle o rozwoju kariery Davida Bowiego.

Chwyciłem się poduszek kanapy, by podciągnąć się do pozycji siedzącej, kołysząc zranioną nogą. Byłem tu już niemal od tygodnia i codziennie starałem się samodzielnie dotrzeć do wózka. Przeważnie udawało mi się to zrobić.

Przesunąłem wózek przed siebie i zablokowałem koła. Zobaczyłem swoje blizny. Wyglądały jak wielkie siniaki, które nigdy się nie zagoją, z ciemnymi dziurami w miejscu śrub. Chwyciłem się oparcia wózka i stanąłem na zdrowej nodze. Przez chwilę wydawało mi się, że zdołam zakołysać biodrami i trafić pośladkami na siedzisko.

Jednak odrobinę przekręciłem kostkę na podłodze i dopadł mnie ból. I tak po prostu znów poczułem pociski. Metalowe kolce kłuły niemilosiernie.

Zwijałem się na podłodze. Miałem mokre policzki. Kłuło aż pod podeszwą stopy i po bokach, kości składały się z rozdzierającego bólu. Przy uchu rozbrzmiał wystrzał.

To się nie dzieje.

Kroki.

Cassie uklękła obok mnie, jej włosy dotknęły mojej twarzy, pachniały snem.

– Spadłeś z łóżka?

– Nie – odpowiedziałem i chciałem dokładnie wyjaśnić, co zaszło, ale klucie zdominowało moje myśli. Czerwone kropki na ziemi. Para butów. Pociągnąłem je do siebie.

Nie.

Otwórz oczy.

– Raz, dwa, trzy – szepnęła i siedziałem prosto na podłodze pomiędzy rozsypanymi czasopismami.

Miała lekko przymknięte oczy, koszulkę założoną tył na przód i na lewą stronę, zsuwało się jedno ramiączko.

– Możesz wrócić na kanapę?

– Nie – poinformowałem, nie patrząc jej w oczy.

Złapała mnie pod pachy, jej dekolt znalazł się przed moją twarzą. Obróciłem głowę, gdy napłynęła mi do niej krew.

Położyłem dłonie na skraju kanapy, gotowy się podciągnąć.

– Miałeś koszmar? – zagadnęła.

– Nie.

Jeśli powiem jej, co widziałem, może pomyśleć, że to coś o wiele gorszego. To był tylko zły sen, który przychodził zazwyczaj, gdy drzemałem, choć miewałem go również i na jawie. Często też, gdy mocno spałem.

– Tak – mruknęła. – Akurat. Raz, dwa, trzy.

Kiedy ponownie siedziałem na zatęchłych poduchach, Cassie wyprostowała się i posłała mi słaby uśmiech. Usiadła na podłodze.

– Możesz wracać do łóżka – powiedziałem.

Potarła oczy.

– Nie, nie mogę.

– Dlaczego?

Spojrzała na mnie zdezorientowana, nieco zraniona. To pewnie przez mój ton. *Cholera.* Nie chciałem, żeby to wyszło aż z taką goryczą. Kiedy oxy nie działało, czułem się, jakby ból stanowił filtr dla wszystkiego, co mówiłem – ubarwiał to, doprawiał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie zasnę tak po prostu, gdy mój mózg już zaczął działać. Powinnam być senna po metforminie, ale jakoś nigdy tego nie odczuwam. Boże, mam nadzieję, że to w ogóle działa – dumiała.

Metformina to jeden z leków na cukrzycę. W środę zajrzałem do jej szafki, gdy myłem ręce. Miała w sumie siedem lekarstw. Nawet przy moim ubezpieczeniu zdrowotnym to całkiem sporo. Dużo kasy, dużo łykania.

Chciałem być miłszy.

– Przepraszam, że cię obudziłem.

– Ty... robisz to przez cały tydzień – zaczęła, ale urwała, ostrożnie dobierając słowa. – Luke, przez sen wydajesz sporo dźwięków. Krzyczysz – kontynuowała, a każde jej słowo sprawiało, że stawałem się mniejszy. – Nie sądzisz, że powinniśmy przemyśleć nasz plan? Może załatwimy ci jakąś pomoc?

I tak po prostu życzliwość mnie zawiodła. Czułem się jak w blasku reflektora. Jakim cudem czułem się aż tak nagi, chociaż patrzyła na mnie tylko jedna osoba? Miała zaspane, łagodne oczy, ale jeśli to była jej wersja dobroci, to jej nie chciałem. Za bardzo odczuwałem ją jak litość.

Próbowałem odezwać się stanowczym głosem, ale poległem.

– Przeprosiłem za to, że cię obudziłem. Nie wiem, co mógłbym dodać. Jeśli chcesz wycofać się z planu, decyzja należy do ciebie.

– Hej, wow – rzuciła, wstając. – To tylko sugestia.

– Powiedz tylko, a to zrobię.

– Eee, dobra. – Podniosła poduszkę z podłogi i rzuciła ją koło mnie. – Nie jestem twoją szefową ani matką, ani kim tam chcesz. Chciałam tylko podkreślić, że coś jest nie tak.

Patrzyła wyzywająco. Wszystko, co chciałem powiedzieć, kotłowało się w mojej głowie, wznosiło się i opadało jak wzgórza w moim śnie i nie potrafiłem się na nic zdecydować. Skłaniałem się ku wściekłości, bo była prosta, jednak nie tylko ją czułem. Wszystkie inne uczucia wyłaniały się w moich koszmarach.

Jake z Hailey i JJ-em leżący na kocu. *Dlaczego brat do mnie nie zadzwonił? Co, jeśli Johnno ponownie pojawił się w Budzie? Właśnie dlatego Jake nie dzwonił?*

Bieganie. *Nie, jazda na wózku. Kuśtykanie.*

Wystrzał w moim uchu, który brzmiał prawdziwie. *Buty Frankiego na zbryzganej krwią ziemi.*

– Nie chcę w tej chwili o tym mówić.

– No i zajebicie – zawołała przez ramię. – Idę do siebie nie spać. Dzięki.

– Kurwa – mruknąłem, zakrywając twarz dłońmi. To było najbliższe kolejnym przeprosinom. Chciałem myśleć tylko o jednej rzeczy. Potrzebowałem zamglonej głowy, lecz ból ustąpił. Ścisłe rzecz biorąc, nie musiałem łykać tabletek.

Ale i tak po nie sięgnąłem.

CASSIE

– Okej, jak wtedy, gdy George Harrison był z Pattie Boyd i napisał *Something* i *If Not for You* – mówiłam do Nory, siadając za klawiszami w jej nieumeblowanej piwnicy, wyciągając rękę po jointa. Toby siedział obok mnie na skrzynce po mleku.

Podawała mi skręta, kręcąc głową, wstrzymując dym w płucach.

– Nie, nie – poprawiła. – *If Not for You* napisał Bob Dylan. George ponownie ją nagrał.

– Nora ma rację – przyznał Toby.

– Oczywiście, że mam rację – odparła, nie patrząc na niego.

Zaciągnęłam się, obserwując kołyszące się frędzle w jej kamizelce, gdy sięgnęła po gitarę. To był piątek z Fleetwood, ale zapomnieliśmy o tym z Tobym. Za to Nora prezentowała się w pełnej krasie, podczas gdy ja miałam na sobie bluzę Longhornsów Toby'ego. Nigdy nie zapomniałam przebrać się na piątek z Fleetwood, nawet zanim do zespołu dołączył perkusista.

Zdałam sobie sprawę, że to nie przypadek, że Nora nagle poruszyła temat muzyków, których związki pochłonęły na tyle, że zniszczyły ich sztukę.

To, że raz zapomnieliśmy o piątku z Fleetwood, nie czyniło Yoko z Toby'ego. A poza tym chciałam przypomnieć Norze, że Yoko nie przejmowała się Beatlesami na tyle, żeby chcieć ich rozpadu. Pragnęła jedynie tworzyć sztukę conceptualną o chmurach i wydzierać się do mikrofonów. Z Tobym za dużo energii włożyliśmy w ten zespół, aby pozwolić, by stanął mu na drodze nasz związek.

I, cholera, prawdziwym problemem w moim życiu był teraz Luke. Pamiętałam o wczorajszej kłótni. Obudziłam się, gdy krzyczał i zaczął mówić z wielką wściekłością. Wiedziałam, że nie wszystko dotyczyło tego, co zrobiłam. Ale nie powinnam brać na siebie tego ciężaru. Nie odezwałam się do niego przed wyjściem na próbę. Co wymagało ode mnie determinacji, bo praktycznie go niosłam, gdy próbował skakać na jednej nodze do łazienki.

Toby położył dłoń na moim udzie i ścisnął.

– To była współpraca pomiędzy George'em i Dylanem – zawołałam do niej, kaszłąc. – A tak w ogóle chodzi o kreatywność. Ona pozostała niezmienna.

– Zwłaszcza jeśli partner artysty – Toby odchrząknął – jest w tym samym zespole. Pracują, aby nawzajem się ulepszać, wiesz?

– Pokaż mi kobiety – zaczęła Nora, siadając na wzmacniaczu. – Pokaż mi kobietę-muzyka, która nie została pochłonięta przez związek. Zobacz tylko, co stało się z Joanną

Newsom, gdy spotykała się z tym, jak mu tam. Albo, dobra, wyjdźmy z muzyki, a co z Fridą Kahlo i Diegiem Riverą?

Wpatrując się w plakat Patti Smith na betonowej ścianie, który stanowił jedyną dekorację, na jaką pozwoliliśmy sobie w naszej sali prób, pomyślałam: *To Luke stanowi cholerny problem. Nie Toby. A Luke to moja wina.* Już miałam to na końcu języka, ale zdołałam się powstrzymać.

– Co z Kathleen Hanną i Adamem Horovitzem? – wciął się Toby. – Bikini Kill stało się silniejsze, nawet jeśli Kathleen mieszkała z członkiem zespołu Beastie Boys.

– Niektórzy nawet mogliby powiedzieć, że pomimo tego. – Nora spojrzała pomalowanymi oczami na mojego chłopaka.

– Zagrajmy *Rhiannon* – podrzuciłam, mając nadzieję, że utnę tym dyskusję.

– Dobra, dodam jeszcze tylko jedno – odezwała się Nora, prostując palec pełen obrączek.

– Artyści spotykający się z innymi artystami to przepis na katastrofę, zwłaszcza kiedy kobieta jest bardziej utalentowana niż mężczyzna. On będzie się starał... – Pokazała, jakby ktoś ją dusił.

– Stłamsić ją i zrobić z niej swoją dziewczynę marzeń.

Rosło panujące w pomieszczeniu napięcie.

– Mówisz, że jesteśmy bardziej utalentowane niż Toby? – zapytałam w końcu.

Nora podniosła głos.

– Mówię, że *The Loyal* najpierw było nasze... – urwała. – A teraz, gdy sprawy zaczęły iść w dobrym kierunku, musiałas je skomplikować. – Spojrzała na Toby'ego. – Szkoda, że kiedykolwiek zaprosiłaś ją na randkę.

Mój chłopak spojrział na Norę ze skruszonym uśmiechem na twarzy.

– Nic nie poradzimy, że się lubimy.

– Bez obrazy, Toby – powiedziała, mając na myśli „z całą obrazą” – ale możecie się lubić, ile tylko chcecie, ale jeśli zerwiecie i nie będziemy w stanie zagrać najważniejszego koncertu w naszym życiu, zabiję was oboje.

– Dlaczego wcześniej nie mówiłaś, że masz z tym problem? – dociekał Toby.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Spojrzała na mnie, potem na niego, po czym wróciła wzrokiem do mnie, a jej kucyk kołysał się przy tym na boki. Żadne z nas nie odpowiedziało. – Ponieważ nie sądziłam, że Cassie stworzy z tobą tak poważną relację. Biorąc pod uwagę wszystko, co się stało.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

Czułam, że się czerwienię i ściska mi się żołądek.

– Toby był z nami w stu procentach od chwili przesłuchania, nawet zanim się związałyśmy, ale nieważne. Chcesz go wyrzucić z zespołu, żebyśmy mogli się spotykać?

– W tej chwili też jestem w tym zespole, Nora. Bez względu na to, co stanie się między mną a Cassie – odparł Toby, zerkając na mnie.

– Dobra – powiedziała, poddając się.

Zacisnęła usta i patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, nie mrugając. Nora była przy mnie, gdy odepchnęłam Tylera, kiedy wróciłam do muzyki, kiedy zastanowiłam się nad sobą i nad tym, że chcę z nią stworzyć *The Loyal*. Powiedziałam jej wtedy, że muszę stworzyć własną przestrzeń od podstaw. Związek z perkusistą, zwłaszcza teraz, gdy na mojej kanapie spał fałszywy mąż, nie pomagał w jej tworzeniu.

Nora zaczęła ustawiać instrument.

– I tak dla twojej wiadomości, od samego początku mówiłam Cassie, że mam z tym problem.

– Dlaczego nie mi? – zapytał.

– Ponieważ nie jesteśmy dobrymi przyjaciółmi – odparła. Posłała mu spojrzenie, jakby

chciała go przeprosić, choć wcale nie było jej przykro. Toby uniósł ręce w geście poddania.

Miała paranoję. Powtarzaliśmy, że muzyka jest priorytetem, i mówiliśmy o tym od tak dawna, więc dlaczego miała problem, że coś innego – lub ktoś inny – też był ważny? Na wszystko jest miejsce, prawda?

– Możemy później o tym pogadać, Nor. – Zagrałam pierwsze nuty *Green Heron* i westchnęłam. – I przepraszam, że zapomniałam o piątku z Fleetwood.

Nie patrzyła na nas, skupiała się na podpięciu gitary basowej.

– Okej. Grajmy.

– Zagrajmy *Green Heron*. Toby ćwiczył ze mną trudne przejście po łączniku.

Gniewnie szarpnęła struny basu.

– Nie wątpię.

Toby siedział za perkusją, stukając pałeczkami, śmiejąc się pod nosem.

– No weź, Nor. Nie ma sensu spekulować, co pójdzie nie tak. Bawmy się.

– Zobaczmy, czy tym razem uda ci się dotrzymać tempa – rzuciła. – Tylko żebyście nie zerwali przed występem w Saharze.

Puścił do mnie oko.

– Nie ma mowy – powiedział bezgłośnie.

Żołądek ponownie mi się skurczył. Trochę za mocno rzuciłam zapalniczką w Norę.

LUKE

Minęły dwa tygodnie, siedziałem na wózku obok Rity, odbijając piłeczkę tenisową od ściany. Mieliśmy szukać pracy. Jednak każde ogłoszenie, które przeczytała z laptopa Cassie, wymagało studiów, których nie miałem, albo siły fizycznej przy podnoszeniu i przenoszeniu ciężarów, którą nie dysponowałem.

Johnno nie przestawał wydzwaniać, nawet jeśli odbierałem i informowałem go, że nie dostałem jeszcze odprawy. Wyłączyłem więc telefon. Nauczyłem się oglądać słońce, które przesunęło się po podłodze, a gdy trafiało na matę, znaczyło, że jest koło ósmej.

Po wyłączeniu komórki czułem mniejszy strach, bo jego imię nie pojawiało się na ekranie mojego telefonu. Powtarzałem sobie, że przynajmniej nie ma pojęcia, gdzie mieszka Cassie. Chociaż ta część mojego ciężaru nie spoczywała na jej barkach.

Kilka razy zaryzykowałem i włączyłem telefon, żeby zadzwonić do Jake'a. Raz oddzwonił i zostawił wiadomość na poczcie. Wadą wyłączenia komórki było to, że mogłem przegapić więcej telefonów od niego, ale na szczęście wszystkie emocje i uczucia – wyrzuty sumienia, ból i strach – odchodziły, gdy brałem tabletki. Dziś połknąłem już cztery.

Jeśli słońce było już po drugiej stronie mieszkania, na kanapie, oznaczało, że jest koło piętnastej. W tej chwili promienie znajdowały się blisko ściany, oświetlając kwiatki.

– Rito, mogę ci powiedzieć, że jest dokładnie za dwie dwunasta.

– O. Jest jedenasta pięćdziesiąt dwa. Byłeś blisko.

– Kurde.

Bezrobotna obecnie Rita została zatrudniona za stówę tygodniowo, by mnie „doglądała”. Łatwiej i taniej, niż zatrudnianie pielęgniarki, i oznaczało, że Cassie nie musiała martwić się o to, kto pomoże wstać mi z wózka, gdy musiała do późna pracować lub iść do swojego chłopaka. Robiła to coraz częściej, bo skakałem jej do gardła, ilekroć chciała mi pomagać. Kiedy ból ustępował na tyle, że mogłem mówić jak normalny człowiek, opowiadałem Ricie o Jake'u i JJ-u, żałując, że nie rozmawiam z Cassie, a potem czułem się winny i brałem kolejną tabletkę.

Rozmawialiśmy z Ritą również o jej synu, który był mniej więcej w moim wieku, mieszkał w Luizjanie i chciał być kucharzem. Siedzieliśmy też w ciszy przez kilka godzin, oglądając *Hell's Kitchen*. Rita zamawiała kurczaka w sezamie z dostawą. Nie kazała mi wykonywać żadnych ćwiczeń, co oznaczało, że nie traciłem czasu na pogłębianie bólu, a wydawało się, że tylko do tego się one przyczyniają. Jakimś cudem udało mi się przekonać

samego siebie, że tabletką uczyni wstawanie bardziej znośnym, ale oczywiście nie była to prawda. Obciążając zranioną nogę, wmawiałem sobie, że kolano mi ucieka, a ćwiczenia to potęgowały.

Rita wróciła z kuchni, w której podgrzewała kurczaka.

– Gdzie twój? – zapytałem.

– Mam dość chińszczyzny.

Rozległy się kroki na schodach.

Weszła Cassie, zdjęła trampki i skarpetki, nucąc wraz z melodią, która płynęła w jej słuchawkach, pachnąc świeżym powietrzem. Zastanawiałem się, czy poczułem ekscytację, bo to Cassie, czy że było to najciekawsze, co mi się dzisiaj przytrafiło, nie licząc rano zabicia muchy.

Rozwiązał mi się język, mgła w głowie ustępowała.

– Chcesz trochę kurczaka z sezamem? – zawołałem.

Zatrzymała się w drodze do sypialni i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Co? – Zdjęła słuchawki i po raz milionowy zauważyłem, że wszystko było trudniejsze niż wcześniej. Pomyślałem o naszych e-mailach i żartach. O mówieniu szyfrem, szturchaniu się, o tym, jak przestawaliśmy, gdy bolało.

– Pytałem, czy chcesz lunch. Mogę ci trochę oddać – powiedziałem.

– Nie mogę jeść tego gówna – mruknęła i odeszła. No tak. Zawsze zapomniałem. Ale skąd miałem mieć te informacje? *No nie wiem, kretynie, może byś to sprawdził?*

– Będę się zbierać – stwierdziła Rita. – Zostawię was, dzieci, samych.

– Nie, nie musisz... – zacząłem.

W tym samym czasie Cassie rzuciła:

– Nie, Rito, możesz zostać.

– Nie, muszę wyprowadzić Dantego. – Pokazała znak pokoju. – Na razie, mistrzu.

Kiedy zamknęła drzwi, w mieszkaniu zapadła cisza. Słyszałem muzykę ze słuchawek Cassie. Zawiesiła je na szyi, ale zatrzymała nagranie i bez słowa weszła do kuchni.

Jedząc, słyszałem, że wyjęła coś z lodówki, po czym dobiegły mnie odgłosy siekania czegoś na desce. Odkąd się wprowadziłem, wydawało się, jakby wibrowała.

Albo po prostu ją poznałem. Miarowe kroki, woda na herbatę, nucenie – albo dopiero co grała, albo uprawiała seks z Tobym, o czym nie lubiłem myśleć. Szybkie kroki i rzucanie torebką oznaczało, że była spóźniona i wkurzona albo szukała czegoś, co zgubiła, co często się zdarzało. Przeważnie zapominała telefonu leżącego na szafce nocnej. Powolne kroki świadczyły o tym, że była zmęczona albo usilnie nad czymś rozmyślała, albo zamierzała usiąść, żeby pisać teksty.

Pusty, umazany sosem talerz znajdował się na moich kolanach. Miałem go odłożyć, ale uświadomiłem sobie, że Cassie może pomyśleć, iż oczekuję, aby to ona go umyła. Zazwyczaj zajmowała się tym Rita. *Ale nie dziś*, powiedziała zamglona głowa, która podpowiadała, że powinienem udowodnić, iż nie jestem tylko śpiącym i żrącym nierobem.

Ale jesteś śpiącym, żrącym nierobem, powiedziała trzeźwa głowa. *Nie ocaliłeś Frankiego. Samemu sobie nie zapewniłeś bezpieczeństwa. Dlaczego uważasz, że tego też nie spierdolisz?*

Podpierając się zdrową nogą, przesunąłem wózek do kuchni, trzymając w ręce talerz i widelec. *Śmiało, próbuj i zobacz, co z tego wyjdzie.*

Cassie kroїła pomidory, całą uwagę skupiając na zadaniu.

Kuchnia zdawała się kurczyć. Ciężko było sterować wózkiem, nie używając obu rąk. Zacząłem się pocić z frustracji albo wycieńczenia, nie umiałem tego stwierdzić. Znalazłem się pośrodku podłogi, pół metra od Cassie, a na wysokości wzroku miałem jej tyłek. *Świetnie.*

Albo musiałem poczekać, aż skończy kroić, albo poprosić, by się przesunęła, żebym mógł się dostać do zlewu.

Myślałem powoli. Właśnie na tym polegał problem z jednozadaniowością po oxycontinie. Wydawało się, że przejście od jednego pomysłu do drugiego zajmowało kilka minut.

Przywołałem więcej mgły, starając się zabrzmieć grzecznie.

– Mógłbym się tam dostać?

Obróciła się, spojrzała na talerz i widelec.

– Daj mi to – odparła, wyciągając rękę.

– Nie, nie, to nic – powiedziałem, odsuwając je z dala od niej.

– Luke, nie dostaniesz się do kranu... – zaczęła, ponownie po nie sięgając, przez co wypuściłem talerz z rąk. Upadł i pękł na pół.

– Cholera – powiedzieliśmy jednocześnie.

Podeszła, żeby podnieść stłuczone szczątki.

– Proszę, pozwól mi – powiedziałem, a pomieszczenie wydawało się wrócić do normalnej wielkości, ale za szybko, niemal wyciskając powietrze z moich płuc. Usłyszałem pociski – nic szczególnego mi ich nie przypomniało, a jednak słyszałem je jak trzepot flagi. *Strzelali z północno-zachodniego wzgórza.* Mój głos znowu stał się zniekształcony, drżał, lecz tym razem nie od gniewu. Było to jednak coś, co pochodziło z tego samego miejsca w brzuchu.

Jakby to wyczuwając, Cassie wyprostowała się i odsunęła.

Pochyliłem się w wózku, zginając w pasie do granic możliwości, aby pozbierać kawałki talerza.

Dlaczego takie drobiazgi mieszały mi w głowie? Dlaczego nie mogłem pozwolić, aby życie działało się wokół mnie? I oczywiście, ponieważ nigdy nie wychodziłem z jej mieszkania, Cassie była przy mnie, ilekroć to mi się przytrafiało.

Podjechałem do blatu, zostawiłem pozostałości talerza przy awokado.

– A może chcesz, żebym wrzucił do kosza?

– Nie, możesz tam zostawić, dzięki.

Przeszła obok.

– Chcesz skorzystać z łazienki? Zamierzam wziąć prysznic.

Siedziałem twarzą do ściany, ale czułem, że porusza się po mieszkaniu. *Zajebicie dobra robota, Morrow.* Właśnie na tym polegał problem z trzeźwą głową – była kiepska. Przez cały dzień podrzucała mi czarne myśli. Od tej pory większość interakcji przejmie zamglona, zdecydowałem. *I wiem, co myślisz,* powiedziałem w duchu, tak naprawdę do nikogo. *Uważasz, że postępuję tak, bo lubię oxy. Ale nie, nie o to chodzi.*

– Luke? – zawołała Cassie. – Słyszysz mnie?

– Nie, nie chcę skorzystać – odpowiedziałem. Musiałem pokonać własne myśli. Mogłem być nową wersją dawnego Luke'a. – To znaczy nie, dziękuję – poprawiłem się, sięgając po kolejną tabletkę.

CASSIE

Stałam pod prysznicem dłużej niż zazwyczaj, puszczając tak ciepłą wodę, że aż mnie parzyła. Luke zawsze tu był, cierpiąc w milczeniu, stanowiąc chmurę burzową. Miałam wyrzuty sumienia, zrzucając go Ricie na głowę, ale po dwóch tygodniach w tym samym mieszkaniu, jego kapryśne nastroje zaczęły na mnie wpływać. Zaczęłam pisać smutniejsze piosenki, co mi nie pasowało. Miałam szansę na kontrakt płytowy, na litość boską. Powinnam tworzyć hity, a przynajmniej radosne, poruszające piosenki, otwierające rozległe perspektywy. Zaczęłam się nawet wkurzać na Toby'ego, jakby był kimś, na kim mogę się wyżywać z powodu moich frustracji związanych z Lukiem.

Mama wiedziałaby, co powiedzieć, aby podnieść mnie na duchu, ale wcale mi nie współczuła. Kiedy do niej dzwoniłam, mówiła napiętym, zimnym, choć przyjaznym głosem, jakim mówisz do faceta, który przynosi ci pocztę. Podawała przeróżne wymówki, żeby tylko się rozłączyć, zanim w ogóle zaczynałam mówić o Luke'u. Wiedziała jedynie, że wrócił ranny do domu. Nie powiedziałam jej o tym, jak trudne to było, jak źle mi się z nim mieszkało. Sama wpakowałam się w ten bałagan, niemal słyszałam jej słowa, więc sama musiałam nad nim zapanować.

Od podtrzymywania Luke'a bolały mnie mięśnie ramion i pleców. Do tej pory powinien być w stanie nieco obciążać nogę, a wciąż korzystał z toalety jedynie, gdy pomogłam mu się tam dostać, ponieważ wózek nie mieścił się w wejściu. Tego ranka poślizgnęłam się na mokrej posadzce i moja głowa zaledwie o centymetry minęła się z krawędzią umywalki. Musiałam być ostrożniejsza.

Pomyślałam o rozbitym talerzu. Luke również musiał bardziej uważać. Codziennie dopadały mnie wątpliwości, ale odsuwałam je od siebie. Jeśli tak trudno było dbać o siebie nawzajem, gdy byliśmy sami, jak ciężko byłoby sprawiać wrażenie, że jesteśmy parą w obecności prawdziwej pielęgniarki?

A ja wciąż potrzebowałam ubezpieczenia zdrowotnego i dodatkowego tysiąka miesięcznie.

Pomyślałam, że to dziwne, iż Luke po dwóch tygodniach o nic mnie nie poprosił. Jadł, cokolwiek mu dałam. Nie używał mojego laptopa, gdy wracałam. Nie wymagał przekąsek, ubrań, paczek z Budy.

Może w tym właśnie tkwił problem?

Miał jedynie przestrzeń, którą urządziłam. W mieszkaniu były moje książki, moje nagrania, zakurzone drobiazgi z wakacji, na których byłam z mamą. Mój harmonogram zajęć, moje niezbyt wysportowane ramiona, by go podnosić. *Powinnam kupić mu jakąś roślinę, czy coś*, pomyślałam. *Żeby miał przy sobie coś żywego, innego niż ja czy Rita.*

Wysłałam z łazienki i spojrzałam na niego, gdy siedział pod oknem. Obrócił się do mnie, ale pospiesznie skierował wzrok w inną stronę, zaciskając palce na piłeczce tenisowej. Przebrałam się w sypialni, przygotowując do pracy. Obiecałam, że przyjdę dziś wcześniej, aby zinwentaryzować alkohol, przy okazji wyrabiając nadgodziny.

Wychodząc z pokoju, moją uwagę przykuł dziwny widok na mojej poduszce. Dwie pomarańczowe kropki, których wcześniej nie widziałam. Podeszłam bliżej i wzięłam je do rąk. Były to małe, owalne przedmioty z pianki. Zatyczki do uszu.

Uśmiechnęłam się.

Luke kupił mi zatyczki. A raczej poprosił Ritę, aby mi je kupiła, żebym mogła przespać noc bez pobudki, gdy mamrotał coś za cienką ścianą.

Zniknęła złość, którą do niego czułam. Ból nie był jego winą.

Wysłałam z sypialni i zauważyłam, że głowa mu opadła. Musiał zasnąć.

– Luke? – zapytałam, ale nie dostałam odpowiedzi.

Podeszłam do niego i dotknęłam jego ramienia. Mięśnie przy jego karku były bardzo twarde, spięte od poruszania kołami wózka. Widziałam, że włosy odrastają mu w ciemnym, bursztynowym kolorze.

Powinien już je obciąć. I może mogłabym przez kilka minut pomóc mu z ćwiczeniami uginania nogi.

– Luke – szepnęłam, szturchając go. Ani drgnął.

Zaczął narastać strach, w moim mózgu pojawiło się gdybanie. *Co, jeśli przypadkowo wziął za dużo tabletek przeciwbólowych?* A myśl, która przyszła później, niemal wycisnęła łzy z moich oczu: *co, jeśli zrobił to celowo?*

– Luke – powiedziałam głośniejszym i mocniej nim potrząsnęłam.

Obudził się gwałtownie i przechylił głowę, by na mnie spojrzeć.

– Co? – zapytał, patrząc ostro.

– O, eee... – Odsunęłam się o krok, odczuwając ulgę. *Martwiłam się o ciebie*, chciałam powiedzieć. – Chciałam podziękować za zatyczki do uszu.

– Proszę – odparł, opierając czoło o rękę.

– Przepraszam, że mnie ostatnio nie było.

Spojrzał na mnie zaszpanymi oczami.

– Nie musisz przeproszać.

– Wiem, ale... – Chciałam, żeby wiedział, że jestem w stanie powiedzieć mu, jeśli coś będzie nie tak. Może pragnął pogadać. Rita nie do końca była idealnym rozmówcą. – A jak tam rehabilitacja?

– Dobrze, Cassie, dziękuję – odpowiedział.

Co było z tą dziwną grzecznością? Prawie wolałam, gdy się dąsał. Przynajmniej wtedy był bliższy swojemu prawdziwemu usposobieniu.

Oparłam się pokusie, aby się pochylić i obrócić jego wózek tak, by siedział twarzą do mnie.

– Rita daje radę pomagać ci wstawać, czy lepiej by było, gdybyśmy to robiły obie?

Odbił piłeczkę tenisową.

– Jest dobrze.

– Ćwiczyłeś dziś rano?

Milczał przez chwilę.

– Tak.

– Udało ci się porozmawiać z bratem?

– Kilka razy, ale nie chcę zapraszać go do twojego domu.

– Możesz go zaprosić, jeśli tego chcesz.

Westchnął, jakby był zmęczony rozmową.

– Jasne, dzięki za propozycję.

Moje współczucie znów się wyczerpało. Staralam się, wkładałam w to dużo pracy, a on mnie odpychał.

– Coś się stało? – zagadnęłam.

– Nic. Dziękuję, że pytasz.

Znów ta grzeczność. Była jak oddzielająca nas moskitiera. Spróbowałam raz jeszcze.

– Chodzi o pieniądze?

– Nie – odparł nieco za szybko.

Nie żebyśmy się przyjaźnili, czy coś, ale był zupełnie inny niż Luke, z którym rozmawiałam na Skypie, który opowiadał mi o różnych rzeczach. Różnił się nawet od tego Luke'a, który siedział obok w szpitalnej stołówce i ochoczo mnie słuchał, czy tego, który sprawiał, że czułam, jakby moje pomysły były magiczne.

– Dobra, w takim razie, co się dzieje? – Kiedy nie odpowiedział, podniosłam głos. – Czego potrzebujesz?

Jęknął i szarpnął głową, by na mnie spojrzeć.

– Potrzebuję nigdy nie znaleźć się w tej sytuacji. Może być?

– Cóż, z tym ci nie pomogę. – Wzięłam leżącą na kanapie torebkę i poszłam do drzwi. Musiałam uciec z tej jaskini rozpacz, która niegdyś była moim rajem. Najwyraźniej ja byłam tą jego sytuacją.

– Nie miałem ciebie na myśli.

– Jasne. – Zanim trzasnęłam drzwiami, rzuciłam: – Miłego marnowania czasu.

Kiedy tupiałam po schodach, nie wiedziałam, czy wyrzuty sumienia pojawiły się, ponieważ byłam podła, podlejsza niż jego milczenie, czy może dlatego, że wiedziałam, że bez względu na to, co powiem, bez względu na to, co odpowie w gniewie lub mnie zignoruje, zawsze będę miała przewagę. Zawsze będę tą, która wyjdzie z mieszkania, która będzie próbowała zapomnieć i żyć dalej, która będzie trzaskała drzwiami i tupiała na schodach, która wsiądzie do auta i odjedzie. Ponieważ może to zrobić.

LUKE

Cassie znowu ćwiczyła piosenkę. Zaczynała się na fragmencie, w którym nuty przechodziły z niskich na wysokie, przez co trudno było się skupić na tym, co mówił Yarvis. Siedział na kanapie i trzymał stopy w miejscu, w którym posiadałem się niecałe osiem godzin temu.

– Widziałeś mecz? – zapytał.

Bum bum bum be dun, da bing. Ba DING. Ba ding ding DING.

– Szlag. – Usłyszeliśmy jej przekleństwo.

Nie miałem pojęcia, o którym meczu mówił. Nie było tu telewizora. I kiepsko działał internet. I nawet gdybym był w stanie oglądać sport, wkurzałem się, gdy ludzie biegali i skakali, jakby to było najprostsze na świecie.

– Eee, nie.

Yarvis wpadł sprawdzić, co u mnie, choć miał być już trzy tygodnie temu. Zapowiedział się zaledwie godzinę wcześniej, więc w pośpiechu pozbyliśmy się pościeli z kanapy, schowaliśmy moją przepelnioną torbę i wyrzuciliśmy spodnie dresowe, w które się zsiakałem, bo nie zdążyłem na czas do łazienki. Do tej pory powinienem być w stanie w pewnym stopniu obciążyć nogę, ale nie ćwiczyłem. Zatem nie potrafiłem nawet kuśtykać i upadłem. W takich chwilach nienawidziłem zamglonej głowy. Trzeźwa wiedziała, że wystarczyło krzyknąć, by poprosić Cassie o pomoc. Zamglona powstrzymała mnie przed tym w środku nocy, twierdząc, że wszystko będzie w porządku.

Bum bum be dun dun.

Ale nie było dobrze. Zlałem się na podłogę. To było najtrudniejsze w zamglonej głowie. Była spokojniejsza, może nawet za spokojna.

Ba ding DING ding.

– Cholera.

– Cassie, dołączysz do nas? – zawołałem ostrzej, niż zamierzałem.

– Zaraz – odparła.

Wyszła w tym samym T-shircie z zespołem, w którym chodziła wczoraj, włosy wymknęły się z jej kucyka.

– Dobry – rzuciła, oddychając głęboko, jakby się przygotowywała. – Przepraszam za spóźnienie. Miło pana widzieć.

Yarvis wodził po nas wzrokiem, po czym zmieszany zrobił dla niej miejsce na kanapie.

– Jak się dzisiaj mamy?

Z obowiązku wziąłem ją za rękę. Jej dłoń była wiotka.

– Dobrze – odparłem.

– Świetnie! – rzuciła z ulotnym entuzjazmem.

– Dobrze – powiedział z rozbawieniem Yarvis. – Przyszedłem, żeby sprawdzić postępy Luke’a i – przerwał, by wyciągnąć kolejną teczkę z torby – przyniosłem następny plan rehabilitacji, skoro wygląda na to, że nie zarejestrowaliście się do programu dla weteranów.

Cassie poruszyła się niespokojnie, puściła moją rękę i zaczęła gryźć paznokiec. Nie patrzyłem mu w oczy.

– Znaleźliście pomoc gdzie indziej? – zapytał.

– Tak – poinformowałem go i przełknąłem ślinę, mając nadzieję, że nie będzie dopytywał.

Cassie wsadziła do ust kolejny paznokiec i zmarszczyła brwi.

– Tak, to znaczy, robimy, co w naszej mocy. Trochę się zdziwiliśmy, gdy nie pojawił się pan w pierwszym tygodniu.

Yarvis westchnął, świszcząc.

– Przepraszam was za to. Jest nas tylko dwóch na setki rodzin.

Cassie pochyliła się do przodu.

– Dwóch pracowników socjalnych? Na tak wielki szpital?

Yarvis zdziwił się jej wybuchem, a Cassie się spięła. Opanowała się, po czym ponownie wzięła mnie za rękę.

Mężczyzna ciągnął:

– Nie mamy za wielu pracowników. I, jak już mówiłem, i teraz powtórzę, jestem po waszej stronie. Weterani muszą stać się priorytetem. Zdarzają się poważne psychiczne i fizyczne skutki uboczne dla całych pokoleń, jeśli osoba, która wymaga pomocy, jej nie otrzyma. – Pochylił się dla podkreślenia tego faktu. – Musicie jednak przynajmniej spróbować.

Spojrzałem na Cassie, która zmrużonymi oczami patrzyła na Yarvisa i powiedziała:

– Pracuję za najniższą krajową, osiem razy dziennie muszę sprawdzać poziom cukru we krwi i ani ja, ani Luke nie mamy pieniędzy, żeby kupić, czy choćby wypożyczyć, samochód, którym mógłby przejechać na drugi brzeg rzeki, do, jak pan to nazywa, centrum dla weteranów na South Congress. Więc... – urwała. Zaczerpnęła tchu, próbując się uspokoić, obdarowała go przy tym sztywnym uśmiechem. – Co ma pan na myśli, mówiąc o „próbowaniu”? – Po chwili dodała z sarkazmem: – Sir.

Nieco nauki szacunku z rocznego szkolenia wylało się z moich ust, zanim zdążyłem się zorientować, co mówię:

– Cass, nie.

– Dzięki, szeregowy – warknęła.

Ścisnąłem jej dłoń. Odpowiedziała tym samym. Nie tylko nie okazywała szacunku jedynej osobie, która starała się nam pomóc, ale niszczyła nasz kamuflaż. Nie zachowywaliśmy się jak małżeństwo, tylko się kłóciliśmy. Była bliska silnej frustracji.

– W porządku. – Yarvis spojrzał na Cassie. – Przepraszam. Wiem, że musi być wam ciężko. Nie chciałem was pouczać.

Spojrzenie Cassie nieco złagodniało, choć nadal pospiesznie oddychała.

– Jest ciężko.

Spojrzał na mnie.

– Wykonuje pan przynajmniej podstawowe ćwiczenia w domu?

– Tak – skłamałem.

Czułem, że się we mnie wpatruje, rozważając, czy mnie wsypać. *Nie przeginaj. Proszę. Musimy udawać, żeby mógł stąd odejść.*

– Wciąż muszę przywyknąć – dodałem, nadal na nią spoglądając.

– No tak – wyznała, wyczuwając moje intencje. – Niebawem mu się poprawi.

– Biedne dzieciaki – rzucił Yarvis. – Oboje macie podkrążone oczy. Będzie łatwiej.

– Zaraz wrócę – powiedziała Cassie. Zamachała bezładnie rękami. – Podać wam coś?

Kochanie?

– Nie, dziękuję – odmówił nasz gość.

Pokręciłem głową, choć bardzo chciałem wziąć tabletkę. To mnie przerosło. Ruszyłem ręką w kierunku kieszeni spodni od dresu.

– Hej – rzucił Yarvis, przysuwając się, pstrykając palcami. Spojrzałem w jego wilgotne oczy. – O co chodzi?

– O nic, sir. Jestem zmęczony. – Serce przyspieszyło.

– Ma pan zwężone źrenice – powiedział ostro ochrypłym głosem. – Bierze pan opiaty?

Przełknąłem ślinę, zabrałem rękę z dala od kieszeni i położyłem ją na kolanie.

– Na ból.

Uniósł krzaczaste brwi.

– Zgodnie z zaleceniami?

– Zgodnie z zaleceniami – powtórzyłem. Nagle przypomniałem sobie, co mówił chirurg. „Ból to system alarmowy”. Może upadłem, bo rzepka w kolanie się przesunęła, a ja nawet o tym nie wiedziałem.

– Widziałem młodych ludzi, którzy staczali się, choć byli w znacznie lepszej sytuacji. Niech pan tego nie robi – powiedział, wskazując pomiędzy moje oczy. Prosto między moją zamgloną a trzeźwą głowę. – Jeśli nie wierzy pan w pełne wyzdrowienie, to pan nie wyzdrowieje. Jednak niech pan to zrobi dla niej – dodał, ruchem głowy wskazując na kuchnię.

Zamglona głowa niemal się roześmiała. Jakby Cassie chciała, bym cokolwiek dla niej zrobił, nie mówiąc już o kuśtykaniu po jej mieszkaniu i wykonywaniu ćwiczeń. Byłem pewien, że jedyną rzeczą, jakiej pragnęła, to wehikuł czasu, który przeniósłby ją do dnia, kiedy mnie już tu nie będzie.

Wróciła, popijając wodę. Yarvis siedział z uśmiechem na twarzy.

– Wiecie, czego wam trzeba?

– Gosposi?

– Psa.

Prychnęła. Kiedy Yarvis poszedł do łazienki, wyjąłem tabletkę z kieszeni i ją połknąłem, gdy Cassie nie patrzyła. Już się staczałem. Ale poradzę sobie. Coś wymyślę, gdy się stąd wyrwę.

Dalsza część wywiadu miała być dla wszystkich o wiele przyjemniejsza, bo wróci zamglona głowa. Lepiej po prostu przytakiwać, uśmiechać się. Najlepiej stać się marionetką.

– Ha – rzucił Yarvis, wyglądając przez okno na ulicę. – Ciekawe, co wyczynia ten w bronco.

– Co? – zapytałem niemal szeptem. Chciałem, by oxy działało mocniej, żeby spowolniło serce pompujące krew.

– Silnik miał włączony, gdy przyjechałem, a teraz nadal tam jest – mruknął.

Cassie również podeszła do okna.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Johnno. Dowiedział się, gdzie mieszkam. Nie miałem kasy. Dlaczego nie mógł tego pojąć? Nie miałem jej i zapłacę, gdy ją dostanę. Ale dla Johnno fakty się nie liczyły. Nie widziałem go przez okno, ale mogłem sobie wyobrazić jego twarz w chmurze mentolowego

dymu, gdy był gotowy wysiąść z Kazem i zacząć się wydzierać.

Mógł pojawić się tu w każdej chwili. Mógł skrzywdzić Cassie.

– Odjeżdża – powiedział Yarvis głosem z oddali.

Zacisnąłem palce na kołach, aż nadgarstki zaczęły pulsować. Gdyby wrócił, gdyby tu przyszedł i chciał skrzywdzić mnie czy Cassie, mógłbym tylko patrzeć.

CASSIE

– Mmm... – Toby pocałował mnie w szyję, gdy próbowałam poukładać notatki. – Musisz ćwiczyć? Dosyć już mieliśmy prób.

– Oczywiście, że muszę ćwiczyć – odparłam. – Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Po wyjściu Yarvisa Luke zaczął jeździć po mieszkaniu z telefonem na kolanach, mamrocząc coś pod nosem. Wzdrygał się, ilekroć mnie widział. Pomyślałam, czy nie zadzwonić do mamy, jechać do niej na obiad, czy coś, ale zamiast tego zadzwoniłam do Toby'ego.

– Lubisz swoje klawisze bardziej niż mnie? – zapytał i powiódł ustami do mojego ramienia, a jego włosy połaskotały mnie w skórę. – Żartuję – dodał pomiędzy pocałunkami. Mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, dlaczego więc to powiedział.

– Trudno tam teraz grać.

– Powinnaś mieszkać tutaj! – Wyprostował się.

– Tak, jasne. – Uśmiechnęłam się.

– Mówię poważnie. Jesteśmy razem tylko kilka miesięcy, ale znamy się prawie od dwóch lat. – Posłał mi nikły uśmiech.

Spojrzałam na niego, niezdolna zamaskować zdziwienia.

Wzruszył ramionami, chcąc dodać sobie nonszalancji.

– Moglibyśmy cały czas być razem. Gdybyś tylko chciała. Byłoby świetnie.

Nagle pomieszczenie wydało się mniejsze.

– To świetne miejsce. I bardzo cię lubię. – Kiedy zaczął głaskać mnie po szyi, łagodnie dodałam: – Ale nie mogę z tobą zamieszkać. Wiesz o tym.

Milczał, wciąż mnie masując. Zraniłam go. Zawsze wszystkich raniłam. *Cała ja! Złośliwa, stara Cassie.* Przypomniałam sobie, jak dobry zawsze był dla mnie. Wiedziałam, że starał się mnie wspierać, ale powróciło do mnie spojrzenie Nory, jej bezgłośny przekaz.

Toby zaczął mocniej wbijać palce, przesuwać się w dół na moje ramiona. Wykręciłam się z jego uścisku i wstałam.

– No weź. Jakbym po prostu mogła się tu przenieść.

Uniósł ręce i wyszedł. Odetchnęłam głęboko.

– Przepraszam – zawołałam. – Wiesz, że muszę zachować pozory z Lukiem.

– Oczywiście. Musisz zachować pozory z Lukiem. Twoim mężem. – Coś stuknęło w kuchni. Westchnęłam i poczłapałam w tamtym kierunku. Kiedy mnie zobaczył, jeszcze

bardziej zacisnął usta.

Zatrzymałam się w drzwiach.

– Poświęcam wszystko, co mam, żeby zrobić karierę. To nie jest proste i nie mogę w tej chwili wziąć na siebie jeszcze więcej.

– Jeśli nie chcesz się ze mną związać, w porządku, ale nie udawaj, że dodaję ci stresu – powiedział, wlewając olej na patelnię. – Jestem dla ciebie dobry. Nasza relacja nie jest podobna do beznadziejnej, którą masz z Lukiem. Nasza jest prawdziwa.

Zbliżyłam się do niego.

– Nie mówię, że nie jest nam razem dobrze. Tylko... – Nie byłam zdolna dalej kłamać. Niepokoiłam się o Luke'a. Zmienił się. I to nie powinno mnie martwić, ale martwiło. Nie chciałam tworzyć między nami większego dystansu, niż był w tej chwili. Musieliśmy to z Lukiem przetrwać. Albo przynajmniej się postarać. – Tylko podoba mi się tak, jak jest.

– Nie rozumiem – powiedział i wrzucił czosnek na patelnię. – Powtarzasz, że robisz to dla mnie i The Loyal, ale odmawiasz, kiedy proponuję, by cała sytuacja stała się dla ciebie prostsza.

Przypomniałam sobie, jak w piątek z Fleetwood Nora odegrała scenkę z duszeniem. Zamierzał mnie stłamsić.

– Wołałabym, by nikt mi niczego nie narzucał. Sama za siebie decyduję. Dzięki.

Włączył gaz i wpatrzył się w płomień.

– No to powodzenia.

Miałam dosyć. Luke'a, Yarvisa, zespołu, pracy, zdrowia, mamy, wszystkiego. Poświęcałam uwagę Toby'emu, ale pragnął jej więcej, czego nie mogłam mu zapewnić. Już nic we mnie nie zostało.

– Nie obrażaj moich decyzji.

– Nie... – zaczął, ale już wyszłam. Zapakowałam keyboard do futerału. Musiałam nauczyć się piosenki.

– Muszę iść – zawołałam do niego. Słyszałam skwierczenie oleju. Toby nie pobiegł za mną.

LUKE

Cassie wpadła do mieszkania, rozmawiając przez telefon. Kroczyła pospiesznie, trzasnęła drzwiami i rzuciła trampki, niosąc na plecach futerał z keyboardem. Spojrzała na mnie, jak zawsze świadoma, że znajdowałem się dokładnie w tej samej pozycji, gdy wychodziła.

Potrafiłem jedynie odczuwać. Siedziałem tu, myśląc o zamknięciu oczu Frankiego. O mamie. O tym, że ledwie ją pamiętałem. O wszystkich, których utraciłem.

A teraz wrócił Johnno. To mógł być ktoś inny i, choć nie widziałem bronco w zeszłym tygodniu, miałem jednak przeczucie, że to on. Nie tylko nie rozumiał, na czym polega wypłata odprawy, ale nie potrafił też pojąć faktu, że nie byłem w stanie dać mu żądanej sumy, dopóki nie przejdę procedury do końca. Dla niego czas nie miał znaczenia. Życie innych ludzi się dla niego nie liczyło, no chyba że kręciło się wokół niego. A teraz chciał zniszczyć moje i Cassie.

– Mówię jedynie, że może miałaś rację w sprawie Toby’ego – powiedziała Cassie do telefonu, po czym ściszyła głos, gdy na mnie spojrzała. – Nie wiem tylko, co zrobimy z występem w Saharze. Tym, na którym ma być facet z Wolf Records. To znaczy, mam z tego wszystkiego zrezygnować, bo jestem wściekła?

Ktoś coś wymamrotał w telefonie.

– Jasne – rzuciła, ściągając pasek torebki przez głowę. – Tak. – Rzuciła klucze na stolik. – Dobrze. Kocham cię, Nora. Pa.

Usłyszałem, że rozstawia klawisze w pokoju.

Tabletka zapewniała niezły odlot. To zupełnie nowy poziom zamglonej głowy. A Cassie pokłóciła się z Tobym. Nie wiedziałem, dlaczego mnie to uszczęśliwiło, ale byłem pewny, że tak właśnie było.

– Wszystko w porządku między tobą a Tobym? – zawołałem.

Wystawiła głowę z pokoju.

– Hej, Luke? – rzuciła szorstko. – Mogę mieć chwilę dla siebie? Chciałabym, żeby przez moment nikt nic ode mnie nie chciał.

– Niczego nie chcę – odparłem. – Pomyślałem jedynie, że chciałabyś pogadać.

– O, nagle jesteś wrażliwcem? Daj mi spokój. – Roześmiała się sztucznie.

Poczułem wielki żal, jednak nie potrafiłem zatrzymać słów.

– Też mi się nie podoba moje wcześniejsze zachowanie.

Wyszła z pokoju. Późnopołudniowe promienie zatrzymały się na końcówkach jej

włosów i w jej złotobrzązowych oczach.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Równie dobrze mogę ci powiedzieć – odezwała się dużo ciszej. – Tobi poprosił, bym się do niego wprowadziła.

– I co odpowiedziałas? – Słowa nadal wydawały się dziwne w moich ustach, jakby wypowiadał je ktoś inny. Zamglona głowa zapewniała, że były właściwe.

Spojrzała na mnie, miała zaczerwienione oczy, jakby płakała. Była taka ładna.

– Odmówiłam.

– Nie musiaś robić tego z mojego powodu.

– To jest mój dom.

– Wiem.

Wróciła do sypialni i zaczęła wygrywać grę. *Jej dom.*

Boże, co, jeśli Johnno się włamie? Co, jeśli ją skrzywdzi? Trzeźwa głowa wracała powoli. *Gdyby to zrobił, nic byś na to nie poradził. Jesteś bezużyteczny.*

– Cassie! – zawołałem nieco bełkotliwie. Miałem to gdzieś. – Chodź tu, proszę. Na chwilę, i dam ci spokój.

Zamglona głowa zaczęła ściągać moje myśli w przeciwnym kierunku. Podjechałem na wózku pod jej pokój. Zatrzymałem się.

Co, gdybym nigdy jej nie poznał? Co, gdybym nie podsłuchał, jak oświadcza się Frankiemu? Co, gdybym nigdy nie poznał Frankiego? A gdybym nigdy go nie poznał, Frankie mieszkałby w bazie z kimś innym i z kimś innym byłby w humvee przy pakistańskiej granicy, może z kimś, kto poleciłby wszystkim zostać w wozie, w rezultacie czego Frankie i Rooster by żyli.

Co, gdybym nie zaciągnął się do wojska?

Co, gdybym nigdy nie wytrzeźwiał?

Co, gdybym nie zaczął ćpać?

Co, gdybym nigdy tego nie potrzebował?

Co było przed zamgloną głową?

Zanim nauczyłem się zmieniać bratu pieluchy i pytałem, dlaczego niebo jest niebieskie i czy duchy istnieją naprawdę. Kiedy dzwoniłem do stacji V200 i prosiłem, by zagrali *Spirit in the Sky* dla taty. Kiedy miałem mamę. Kiedy wiedziałem, jak czegoś chcieć i jak kochać. Kiedy wiedziałem, jak robić właściwe rzeczy dla innych, a nie nienawidzić samego siebie za to, że ich nie robię.

Cassie w końcu wyszła, przeczesała włosy palcami. W tej chwili miała je do ramion. Znaliśmy się na tyle długo, żeby zauważyć, jak urosły.

Usiadła, ciepło jej ciała sprawiło, że poczułem się mniej samotny.

– Chcę być lepszy – powiedziałem, próbując nie bełkotać. – Chcę ci tu pomagać.

Patrząc przed siebie, wzięła głęboki oddech. Położyła mi rękę na plecach. Próbowałem siedzieć nieco bardziej prosto. Świat zamazywał mi się jednak przed oczami.

Chociaż Cassie siedziała obok, jej głos płynął z daleka.

– Musisz wziąć się w garść.

Mogłem to zrobić. Mogłem być jej prawdziwym przyjacielem. Mogłem chronić dom. Mogłem pozbyć się Johnno. Mogłem chronić brata i jego rodzinę. Ale nie mogłem wstać. Mogłem jedynie siedzieć, myśleć i pamiętać.

No dalej, powiedziała zamglona głowa. Wstań. Dasz radę. Zamglone głowy też to potrafią. No wstawaj. Miałem już dosyć samego siebie, zamglonej i trzeźwej głowy oraz tego, że je w ogóle tak nazwałem. Ponieważ to tylko myśli.

Raz, dwa, trzy.
Wstań.

CASSIE

Następnego ranka, gdy weszłam do salonu, Luke stał.

Włosy miał wilgotne od potu, spodnie od dresu zjeżdżały mu z tyłka, ale stał, podpierając się kanapy, szurał stopami tam i z powrotem, mamrocząc coś pod nosem niczym żona Makbeta.

Początkowo milczałam.

Właśnie tak woleliśmy, prawda? Nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Przynajmniej tak Luke wołał do wczorajszego wieczoru.

I to nie tak, że robiłam to z dobroci serca. Wciąż myślałam o ubezpieczeniu zdrowotnym, o połowie jego dodatków, więc lepiej było zachować przyzwoitość. Przez uchylone drzwi łazienki podawałam mu więc namydlone, wilgotne ręczniki, by się umył. On odwracał wzrok, gdy wychodziłam spod prysznic. To nadal była część mojej pracy.

Ale czasami jego ból był tak wyraźny, że niemal czułam go we własnych kościach. Czułam to przynajmniej raz dziennie, bo jego cierpienie było tak wielkie, że słyszeć go było w całym pokoju. Kiedy poprawiał poduszkę. Kiedy schylał się, żeby podnieść coś z podłogi. Kiedy budził się z koszmaru z dławiącym krzykiem.

Gdy zobaczyłam, że stoi, nie mogłam się powstrzymać i zaczęłam klaskać.

LUKE

Dyszałem, ale miałem to gdzieś. Kurczowo trzymałem się kanapy, przy każdym kroku. Poruszałem palcami u nogi, czując pod nimi drewnianą podłogę. Mogłem obciążyć kończynę. Była sztywna, kolano nie zginało się za dobrze, ale mogłem napiąć mięśnie.

– Nie wierzę, że wstałeś samodzielnie! – powiedziała Cassie, uśmiech zajmował niemal całą jej twarz. Omiotła mnie wzrokiem z góry na dół, zapewne nieprzyzwyczajona, by widzieć mnie w pozycji stojącej.

Ostrożnie postawiłem kolejny krok. Podłoga pozostała solidna.

Ból stał się raczej szczypiący niż kłujący. Szturchnął w tajemnicy tak, jak my z Jakiem mieliśmy w zwyczaju, gdy w sklepie staliśmy w kolejce i wiedzieliśmy, że nam się oberwie, jeśli zaczniemy się popychać w miejscu publicznym.

– Cholera – powiedziałem, przełykając gulę, która powstała w moim gardle.

Fala wzrastała we mnie, odkąd rankiem promienie słoneczne padły na moje oczy. W gardle miałem sucho. Sięgnąłem po szklankę z wodą, ale przypomniałem sobie, że zostawiłem ją na półce z płytami, po drugiej stronie pokoju. Rzuciłem wiązanką przekleństw, głośniejszą niż zwykle, wściekły na swoje bezużyteczne ciało, bo nie mogłem wziąć pieprzonej szklanki i czułem, że brzuch mi rośnie pod gumką spodni dresowych, które ciągle nosiłem od dwóch tygodni.

Naciskałem tak mocno na stopy, jakbym chciał zapaść się w podłogę. Pojawił się ból, ale kazałem mu zniknąć.

– Spierdalaj – powiedziałem na głos przy drugiej próbie, podtrzymując się ławy, niemal ją przewracając, aż kolana dosięgnęły krawędzi.

Napiąłem mięśnie czworogłowe jak niegdyś, gdy podnosiliśmy ciężary przed grą w futbol, i poczułem, jak drżą. A kiedy sądziłem, że się poddadzą, udało mi się je wyprostować. Wyprostowałem się cały.

Stałem, a Cassie przysunęła się do mnie, wzięła za rękę, jakby podświadomie wiedząc, że chciałem obejść pokój, odsunąć się od kanapy. Jej mieszkanie było dla mnie jak cały kraj.

Stawiała wraz ze mną stabilne, powolne kroki.

Promieniała radością. Klatka piersiowa szeroko mi się otwarła.

– Nie musisz tu być, jeśli nie chcesz – powiedziałem. – Nie musisz nigdzie iść?

– Nie. Chodź – powiedziała, kierując mnie do sprzętu grającego. – Włączymy muzykę.

Czego chciałbyś posłuchać?

Początkowo nie wiedziałem, ale wtedy powróciło wspomnienie woni oleju samochodowego oraz bębnienie palców taty o maskę, gdy wpatrywał się w silnik.

– Chciałbym prosić – zacząłem i postawiłem kolejny krok, gdy Cassie podtrzymała mnie w pasie. – *Spirit in the Sky* Normana Greenbauma.

CASSIE

Było chłodno, aczkolwiek słonecznie, więc otworzyłam okna w mieszkaniu, włączyłam *Rock and Roll Suicide* Davida Bowiego i podkręciłam głośność, jak tylko mogłam. Postanowiłam, że kiedy będę miała podobny grafik do mamy, osobiście przekażę jej wieści o zespole i miałam dobre przeczucie, jeśli chodzi o dziś. Luke stał samodzielnie już kilka dni z rzędu, w tej chwili był na zewnątrz, chodzili z Ritą wokół podwórza.

Od podpisania kontraktu płytowego dzieliło mnie dziewięć dni i półgodzinny występ. Nie mogłam się doczekać, by jej powiedzieć, że jestem muzykiem i mam na to dowód.

Kiedy mama podjechała pod budynek, obserwowałam, jak wysiadła z camry, mając na twarzy okulary przeciwsłoneczne z drogerii i książkę Rosario Ferré pod pachą. Uśmiechnęłam się i ściszyłam muzykę, gdy wchodziła po schodach.

– Kto strzyże wam trawnik? – zapytała, gdy otworzyłam drzwi. – Rośnie tam dżungla.

– Och, Rita powinna się tym zająć – odparłam, przysuwając się, aby pocałować ją w policzek.

– I masz na sobie brudną koszulkę. Te same džinsy od kilku dni. *Estas flaca*.

Zacisnęłam usta, opierając się ripoście, która cisnęła mi się na usta, przypominając sobie, że dziś ma być dobrze. Że naprawimy naszą relację. Mimo to czasami wydawało mi się, że gdybym nawet dostała Nobla, powiedziałyby, żebym dopilnowała, by nie pokazali w gazetach mojego zdjęcia z czasów, gdy byłam gotką.

Ale to się miało zmienić.

– W każdym razie mamoo...

– I gdzie niby mam usiąść? – Patrzyła na kanapę, na której leżały pozwijany koc i poduszka Luke'a, a wszystko najprawdopodobniej śmierdziało jego potem.

Zaczerwieniłam się.

Wzięła koc i zaczęła go składać.

– Przychodzi pielęgniarka?

– Rita wpada. Ta z dołu. Wieczorami, gdy pracuję w barze, lub kiedy jestem na próbie.

Odłożyła poskładany koc i wzięła poduszkę, następnie zaczęła ją trzepać.

– Hm, a jak długo uda ci się to ciągnąć bez konieczności wymyślenia, jak naprawdę jej zapłacić?

Bacznie obserwowałam jej pracę, szukając właściwych słów.

– Miejmy nadzieję, że Luke niebawem dojdzie do siebie. I, mamó, muszę ci o czymś powiedzieć.

– Śmiało – zachęciła. Odrzuciła poduszkę i szeroko się do mnie uśmiechnęła.

Żołądek mi się skurczył, serce przyspieszyło. Będzie ze mnie dumna, prawda?

– Nie wiem, czy to do końca wieści, które chciałabyś usłyszeć, ale są dobre.

Wyjęła kosmyk włosów z moich ust.

– O, a ma to coś wspólnego z twoją grą na pianinie?

Cios w brzuch.

– Grą na pianinie? Mamó, dobijasz mnie, mówiąc w ten sposób. Dobijasz mnie.

– A jak chcesz, bym to nazywała?

– Moją karierą.

– Twoją karierą. – Kiedy na nią spojrzałam, pocierała skronie, jakby od mojego zachowania zaczynała boleć ją głowa. – Wszystko, co ci mówiłam, wszystko, co ci dałam, po prostu wyleciało przez okno.

– Dobra, zapomnij. Zapomnij. – Walcząc ze łzami, poszłam do kuchni. – Zjesz coś? Skończyłam rozmowę.

– Dlaczego?

Zatrzymałam się i pokręciłam głową.

– Bo nie podoba ci się to, co mówię? – ciągnęła.

Obróciłam się do niej twarzą.

– Nie, ponieważ zaprosiłam cię tu, żeby przekazać najlepsze wieści, jakie w życiu otrzymałam, a ciebie to nie obchodzi, bo nie pasuje to do twojego wyobrażenia na temat tego, jak powinno wyglądać moje życie.

Milczała przez chwilę.

– Przypuszczam więc, że nie zamierzasz powiedzieć, że idziesz na studia prawnicze.

Gwałtownie sapnęłam, niemal parszkając śmiechem.

– Nie. Cholera, nie.

– Nie przeklinaj przy mnie.

– Być może uda mi się podpisać kontrakt z wytwórnią. Z Wolf Records. Wiesz, co to oznacza?

Milczałyśmy. Matka westchnęła.

– Zakładam, że to, iż stawiasz muzykę ponad swoim bezpieczeństwem.

Żadnych gratulacji. Oczywiście. Żadnej radości. Nawet nie potrafiła udawać.

– To znaczy, że być może pojedę w trasę, dostanę pieniądze, wszystko – powiedziałam, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

Przez chwilę wyglądała na przerażoną. Zaraz jednak wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze.

– Niech ci Bóg dopomoże. I Luke'owi.

– Mamó? – Zaczęłam zbierać rzeczy z podłogi i wpychać je do torby Luke'a. – Może, no wiesz, mogłabyś pomyśleć o tym, co robię w szerszym kontekście, zamiast widzieć to poprzez schemat, jaki stworzyłaś dla mnie w swoim małym mieszkaniu?

– Karmiłam cię i wychowywałam w tym małym mieszkaniu, abys mogła porzucić edukację i udać się na wycieczkę.

– Wycieczkę! Daj mi, kurwa, spokój. – Sprawiała, że znów czułam się jak nastolatka, jakbym wykrzykiwała odpowiedzi przez zamknięte drzwi pokoju.

– Chcesz zostawić Luke'a samego? Co on o tym myśli?

– Luke... nie ma nic przeciwko. – Nie mogłam mówić o tym, co myślałam o The Loyal, ale

nie o to chodziło. Nawet przez sekundę nie mogła być dumna i się cieszyć, zanim zaczęła mnie krytykować i kwestionować moje decyzje. – To nie jest żadna wycieczka. Nie jestem ulicznym grajkiem siedzącym z kapeluszem na chodniku. Gram przez całe moje życie i o tym wiesz.

– Wiem – przyznała cicho.

– Dlaczego to lekceważysz, nawet jeśli mam dowód na to, że potrafię to robić?! – krzyknęłam na tyle głośno, że dzięki otwartemu oknu siedzące na pobliskim jesionie ptaki poderwały się do lotu.

– Ponieważ się o ciebie boję! – Wskazała na mój brzuch, na moją chorobę. Na tabletki Luke’a stojące na końcu ławy w naszym małym, brudnym mieszkaniu. Nagle zobaczyłam cały ten syf i zaczerwieniłam się z zażenowania. – Nie wiem, jak zamierzasz sprawić, by to trwało.

– Twój strach to twój problem!

– To nie jest tylko mój problem. Co powie wojsko? Co powie Luke?

– Luke dostanie odprawę. Dostanie również wojskowe stypendium, gdy zechce się uczyć. A ja nie czułam się źle od miesiący, mamo. Cały czas pilnuję poziomu cukru we krwi. Gotuję. Dbam o siebie. Na swój własny sposób.

– Mimo to się martwię. Wolno mi się martwić.

– Już nie. – Przemierzyłam pomieszczenie, otworzyłam drzwi.

Westchnęła.

– Nigdy nie przemówię ci do rozsądku, prawda?

Machnęłam dłonią w kierunku drzwi.

– Nie i kropka. No chyba że zaczniesz szanować moje decyzje.

– W takim razie pójdę już.

Starłam się ignorować pieczenie w brzuchu podpowiadające, że nigdy się w taki sposób nie rozstałyśmy. W gniewie, nie odzywając się do siebie później.

Wzięła książkę, włożyła okulary przeciwsłoneczne i przeszła obok mnie ze smętnym uśmiechem na twarzy. Wiedziałam jednak, że wrzała w środku. Chciała mieć rację. Ja pragnęłam być miła. Ale z tym skończyłam. Ona jednak zawsze chciała mieć rację.

Mija, mawiała. *Mi hija*. Nie tylko „córko”, ale „moja córko”. Sądziła, że jestem jej własnością. No cóż, koniec z tym.

LUKE

Zaczął się, jak większość moich aktywności ostatnio, na wózku. Aby wykonać ćwiczenia, o jakich myślałem, wystarczyło, żebym prostował nogę i ją podnosił, jednak w mieszkaniu Cassie nie było wystarczająco dużo miejsca, żebym mógł uginać zdrową nogę i dla równowagi rozkładać ręce na boki. Zatem poprosiłem Ritę, by pomogła mi zejść ze schodów i pilnowała mnie na podwórzu w razie, gdyby ból stał się zbyt intensywny.

Tak wolno, jak tylko byłem w stanie, obniżyłem się na ziemię.

Spociałem się, ale miałem przestrzeń. Byłem trzeźwy. Żadnej zamglonej głowy. *Choć raz, powtarzałem sobie. Choć raz, aby udowodnić, że dasz radę.*

Wyobraziłem sobie, że zraniona noga to drzewo, o jakim myślałem w szpitalu, gdy moje myśli przyćmiewał ból. To był pień ściętego drzewa, a ja wróciłem do Budy i wciąż młody i szczęśliwy pracowałem z bratem w ogrodnictwie. Wyobraziłem go sobie na drugim końcu, gdy podnosił pniak. *Zabierzmy go stąd,* powiedziałem do niego w myślach. *Raz, dwa, trzy.*

Podniósł się o pięć centymetrów, a potem opadł.

Pojawił się ból, ale były to spokojne, opływające mnie fale. Przynosiło ulgę, gdy wyobrażałem sobie ciało przyłączone do rzeczy na tym podwórzu, gdy dookoła mnie roztaczał się spokój.

W myślach stałem w prowizorycznym garażu w bazie, trzymając dłonie na drzwiach humvee, przysłuchując się, jak Clark sprawdza silnik.

W głowie biegałem.

CASSIE

Po wyjściu mamy zaczęłam chodzić po mieszkaniu. To było moje lokum, byłam za nie odpowiedzialna, co mi się podobało. Tak samo jak noszenie tych samych ubrań i trzymanie czasopism porzucanych na podłodze, a także to, że alarm przypominający co kilka godzin o sprawdzeniu poziomu cukru we krwi wygrywał *Sugar*, *Sugar* zespołu Archies.

I tak, to małe, dwupokojowe mieszkanie, które opłacałam dzięki temu, że podawałam koktajle w barze oraz oszukiwałam wojsko, było moje i miałam tu przeróżne stopy swoich rzeczy.

Stos czarnych ciuchów, stos nieczarnych ciuchów, stos ciuchów Luke'a, stos płyt, stos rzeczy Luke'a, których używał albo będzie używał w przyszłości. Jasne, niektóre z nich to śmieci, ale wygodnie mu było, gdy znajdowały się w pobliżu kanapy.

Tak, pomyślałam, *rzeczywiście tu śmierdzi*. Ludzkim potem. I normalnie mi to nie przeszkadzało. Ale nie powinno się gnić w cudzej aurze.

Dobra. Dobra! Zajmę się sobą, by udowodnić, że potrafię. Ale teraz zamierzałam użyć najbardziej toksycznego, profesjonalnego wybielacza i słuchać przy tym prymitywnie krzyczącej na płycie Yoko Ono.

Wrzuciłam do prania nasze ubrania i koce Luke'a. Usunęłam sterty śmieci z salonu i z kuchni, zamiotłam i umyłam podłogi, wyszorowałam umywalkę i wannę. Przetarłam płytki w łazience, wyczyściłam piekarnik, otworzyłam okna, odkurzyłam parapety. Nawet umyłam włosy, ogoliłam nogi, wydepilowałam brwi, przycięłam linię bikini.

Luke otworzył drzwi i posłał mi niewielki uśmiech. Miał na sobie stare spodnie od dresu i koszulkę z logo Buda Bears z wyraźnymi plamami od potu. Wysilek, jaki włożył w dzisiejsze ćwiczenia, unosił się teraz wokół niego w postaci męskiego zapachu. Odkąd zaczął tu mieszkać, nie wzięął porządnej kąpieli.

Cóż, ale teraz weźmie. A przynajmniej wejdzie pod prysznic, gdy wstawimy go do łazienki.

W ten oto sposób próbowałam nie patrzeć na jego nagie ciało, gdy złapał za brzegi wanny i wszedł do parującej wody. Rozważaliśmy prysznic, ale baliśmy się, że się poślizgnie, a żadne z moich krzesel nie chciało się zmieścić pod marną dyszą, która wisiała nad wanną. Problem polegał na tym, że musiałam trzymać go za klatkę piersiową, upewniając się, że zdrowa noga się nie ześlizgnie, a woda nie wyleje się na podłogę lub, co gorsza, zraniona noga nie zakleszczy się

między krawędziami.

– Au, au, au, kurwa.

Moje dłonie ślizgały się na jego piersi.

– Co?

– Wolniej.

– Staram się. – Spojrzałam na wodę, gdy zanurzył uda i miednicę.

Boże, Cassie. Jesteś zbokiem.

Nic nie mogłam na to poradzić.

Podświadomość zaczęła podrzucać wspomnienia, gdy pieprzyliśmy się w motelowej łazience. I ponownie w łóżku. I ponownie na krześle przy łóżku.

STOP!

Pamiętaj, że to facet, który złał się na twoją podłogę.

W końcu siedział.

O. I był podniecony. Nie zauważyłam tego wcześniej, starając się samej nie podniecać.

– Dobrze – powiedziałam, czując, że się rumienię.

– Tak – odparł Luke, zakrywając się dłonią. – Przepraszam. Minęła dłuższa chwila, odkąd, no wiesz, byłem nagi przy kobiecie.

Obróciłam się, szukając myjki.

– To biologia – powiedziałam, a głos miałam piskliwy jak zawsze, gdy nie wiedziałam, co mówić.

Nie patrząc na niego, wrzuciłam myjkę do wody, wstałam i ruszyłam w stronę drzwi. Coś mnie jednak powstrzymywało, ale w moim przypadku nie chodziło o to, że nie byłam naga przy mężczyźnie od dłuższego czasu. Nie miałam wymówki.

– Jest tu żel? – powiedział za moimi plecami.

– Na stojaku przy końcu.

Zaraz krzyknął:

– Au, kurwa! – Westchnął. – Niestety, nie sięgnę.

– Jest zaraz za tobą – powiedziałam do ściany.

– Nie dam rady.

Obróciłam się i uklękłam, widząc, że twarz napięła mu się z bólu, gdy próbował się przesunąć w drugą stronę. Aby to zrobić, musiał docisnąć nogę do skraju wanny.

– Ja to zrobię – zaproponowałam.

Nalałam żelu na myjkę, a Luke oparł głowę o krawędź wanny, oddychając powoli. Był wyczerpany, wciąż przez chwilę się krzywił. Instynktownie nacisnęłam na niego, by się pochylił i zaczęłam myć mu plecy, wnioskując, że będzie trudno mu tam samemu sięgnąć.

– Gdzie jeszcze? – zapytałam.

Otworzył oczy.

– Hm?

– Gdzie jeszcze nie możesz sięgnąć?

– Nie. – Uniósł rękę, by wziąć ode mnie myjkę. – Nie musisz tego robić.

– Pozwól mi. – Wycisnęłam ją i poczułam pulsowanie w podbrzuszu, ale na szczęście nie mógł tego widzieć i dzięki Bogu byliśmy tu tylko my, więc nikt nie mógł zapytać, dlaczego w ogóle przyszło mi to do głowy.

Pozwolił mi się umyć. Zaczęłam od pleców, umyłam mu kark i za uszami. Początkowo to było dziwne, ale po chwili... stało się przyjemne. Miło było widzieć, że nie cierpi i, tak, miło było go dotykać, jak wtedy w nocy, pół roku temu. I może nawet milej, skoro obecnie żadne z nas nie było pijane, złe na siebie ani nie czuło się niezręcznie.

– Dziękuję – powiedział rozanielony, srebrno-niebieskie oczy skryły się pod lekko przymkniętymi powiekami. – To naprawdę... – zaczął i zadrżał, gdy zbliżyłam się do jego ramion. – Pomocne.

– Proszę – odparłam, przenosząc się na uda i łydki.

W mojej kieszeni nagle rozbrzmiało *Sugar, Sugar*. Luke wzdrygnął się i nieco mnie ochlapał wodą. Zaśmiałam się, wstałam, z szafki nad toaletą wyjęłam glukometr, paski, lancety.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli to tu zrobię? – zapytałam, unosząc urządzenie.

– Nie – powiedział Luke, patrząc na mnie. – Szczerze mówiąc, zawsze byłem ciekawy, jak to robisz.

– Cóż – odparłam, myjąc ręce. – To wcale nie jest ekscytujące.

Wzięłam igłę, wbiłam w palec i wycisnęłam nieco krwi. Uniosłam Lukowi przed twarzą. Był zaciekawiony. Uśmiechnęłam się.

– Teraz – powiedziałam – dotykam paska i czekamy.

Milczeliśmy w pomieszczeniu pełnym pary. Przytknęłam wacik do opuszki palca.

– Sześćdziesiąt pięć. Trochę mało. – Wycisnęłam cukierek dla cukrzyków i wsadziłam sobie do ust. – To stosuje się w sytuacjach nieawaryjnych – powiedziałam, wskazując na opakowanie. – A żele w razie nagłego wypadku. – Pokazałam na pudełko.

– Jakie żele?

Zawahałam się, bo nie wiedziałam, jak to ująć i go nie wystraszyć.

– Glukozowe, w razie gdybym odpłynęła i nie mogła przełknąć tych cukierków.

Usłyszałam, że znów się poruszył, bo woda zaczęła chlupotać. Ponownie otworzyłam szafkę, wzięłam notesik oraz długopis i zanotowałam wynik.

– Zapisujesz? – zapytał.

Pokiwałam głową.

– Też to robię. To znaczy, zapisuję czas biegów. – Odchrząknął. – A raczej zapisywałem.

Wiesz co? – zapytał. – Jutro zaczynam rehabilitację, tym razem naprawę. Zamierzam znów biegać, nawet jeśli miałoby mnie to zabić.

Wrzuciłam myjkę do wody i odetchnęłam głęboko.

– Tak?

– Tak.

Spojrzałam na jego nogę. Zraniona skóra była usiana brązowymi plamami, pokryta bliznami. Poniżej prawego kolana znajdowała się ciemniejsza, większa blizna, jakby dziura po kuli.

– Co, nie wierzysz mi? – zapytał, biorąc myjkę, przy czym mnie ochlapał.

Odpowiedziałam chłapinięciem.

– Właściwie to wierzę.

LUKE

Jake nadal się nie pokazał i zaczynałem się martwić. Nie zdziwiłbym się, gdyby odpuścił sobie nasze spotkania. Rozmawialiśmy tydzień temu i nawet miałem włączony telefon w razie czego, ale od tamtej pory się nie odezwał. Johnno również, przez co zastanawiałem się, czy nie zepsuła mi się komórka. Powietrze, poza tym w mieszkaniu Cassie, było chłodne. Trawa sucha, chodnik mokry, bo Rita podlewała kwiatki. Przejeżdżające samochody wzbijały kurz, ptaki śpiewały nad głowami. Było całkiem normalnie, ale po kilku tygodniach koczowania w mieszkaniu, świat zewnętrzny w jakiś sposób stał się lepszy i jaśniejszy.

Od kilku dni wstawałem i chodziłem po mieszkaniu, ale to był pierwszy raz, gdy sam zszedłem ze schodów, podpierając się kulą, w którą wyposażono mnie w szpitalu wojskowym.

Mimo to moje sztywne nogi rwały się do biegu. Zacząłem sobie przypominać ostatni dzień, zanim z Frankiem i Roosterem dowiedzieliśmy się, że mamy się udać na granicę z Pakistanem. Wyruszyłem na bieżnię o świcie, pozostawiając chłopaków śpiących w małym pokoju. Głęboko oddychałem, trzymając się dwóch prawd jednocześnie – że wszystko jest trudne i że wszystko będzie dobrze.

A potem nie było.

W pamięci pojawiły się haki. Gdybyśmy nie wsiedli do humvee, gdybym nie pozwolił Frankiemu wsiąść, gdyby, gdyby, gdyby... Wzrastało pragnienie pojawienia się zamglonej głowy, aby wymazać wszystkie myśli. Odsunąłem je od siebie. *Nie tutaj, nie teraz.* Rano wziąłem tylko jedną tabletkę.

Poprosiłem, by Rita była odpowiedzialna za moje leki i podkreśliłem, by oxy dawała mi jedynie dwa razy dziennie, niezależnie od tego, jak bardzo będę ją prosił o więcej. Zrozumiała.

W tym samym momencie, jakby w nagrodę, zobaczyłem, że Jake skręcił w ulicę, przy której mieszkała Cassie.

– Pomóc ci wsiąść? – zawołał przez otwarte okno.

Pokuśtykałem do niego.

– Nie, dam radę.

– No proszę, proszę – rzucił.

Przez całą drogę do Budy praktycznie nie rozmawialiśmy, słuchaliśmy analizy sportowej przeprowadzanej na lokalnym kanale radiowym podczas konferencji prasowej przed mistrzostwami. Bearsi byli faworytami i przewidywano ich wygraną.

Byliśmy spóźnieni. Oczywiście, kiedy postawiłem kulę na pierwszym stopniu na trybunach, ciągnąc za sobą luźną nogę jak worek ziemniaków, dyrygent orkiestry uniósł pałeczkę i wszyscy wstali, położyli dłonie na piersi i przygotowali się do odśpiewania hymnu.

Skupiłem się na tym, by wejść na kolejny schodek, nie zauważając, że rozmowy ucichły. Moja kula stuknęła.

Wszyscy spojrzeli w moją stronę, gdy usłyszeli ten dźwięk.

– Biedak – szepnął ktoś.

– Syn Morrowa. Weteran.

Dyrygent, który był wielkim patriotą, poczekał, aż obrócę się w kierunku flagi, podskakując jak kurczak.

– Powiedz, czy widzisz... – rozległ się śpiew wokół mnie.

– Przesuń się i zrób mu miejsce, Carl – powiedział ktoś.

Patrzyliśmy z Jakiem przed siebie. Nie chciałem, by ktokolwiek ustępował mi miejsca. Jedyne, czego dokonałem, to dałem się postrzelić, wróciłem do kraju, siedziałem na kanapie nieznamym i wpięprzałem tabletki. Nie zasługiwałem na czyjekolwiek miejsce. Po raz tysięczny tego dnia życzyłem sobie powrotu zamglonej głowy.

Nie.

Mniej więcej w połowie pierwszej kwarty Jake i ja w końcu dotarliśmy do jedynej wolnych miejsc w trzecim rzędzie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, pomagając mi usiąść.

– Tak – zapewniłem. – Tylko nie prosz, bym przyniósł ci coś ze stoiska z żarciem.

Parsknął śmiechem i poczułem niewielką ulgę.

Jeden z obrońców Bearsów właśnie rzucił się po piłkę. Znalazł się poza linią boiska. Rozległ się gwizdek.

– Dobry ruch – skomentowałem.

– Tak, są w tym roku dość zgrani – odparł Jake.

Mecz został wznowiony.

Ledwie pamiętałem o tym, o czym myślałem pewnej nocy, gdy zawołałem Cassie, żeby popatrzyła, jak stoję. Język drętwiał w moich ustach, ale wiedziałem już, czego zapragnąłem. Chciałem być lepszy. Jake nie zamierzał rozpocząć rozmowy. To moja rola i musiałem w nią wejść bez uczucia, że ryzykuję.

– Pamiętasz... – Przełknąłem ślinę. – Trudno uwierzyć, że jesteśmy w tym samym miejscu, do którego zabrałem cię na obóz koszykarski.

– Tak, czasami o tym myślę. Zwłaszcza kiedy chodzę na mecze.

– Też byłeś dobry.

– Byłem przeciętny. Musiałem to rzucić, żeby pracować w warsztacie.

Pokręciłem głową, przypominając sobie dni, kiedy nie byłem na haju. Gdy tata wracał do domu z zaledwie piętnastoletnim bratem, który całe dzinsy miał upaprane olejem silnikowym.

– Za szybko dorosłeś.

– Obaj za szybko dorośliśmy. – Sędzia odgwizdał faul z powodu zachowania zawodnika Bearsów. Jake wyrzucił ręce w górę i ryknął wraz z tłumem. – Ej, no weź!

– Nie, ja nie. Ja byłem naćpanym gówniarzem.

– Tak, ale zanim zacząłeś ćpać. – Brat oderwał spojrzenie od boiska i spojrzał na splecione na kolanach dłonie. – Po śmierci mamy.

– Jak możesz to pamiętać? – Był malutki.

– A jak mogę nie pamiętać? – podniósł głos. – To znaczy, nie pamiętam mamy. Ale kilka lat po jej śmierci pamiętam, że tata kazał ci odprowadzać mnie do przedszkola i przyprowadzać

potem do domu.

Pomagałem mu się ubierać. Głównie w moje stare koszulki. W tę z Batmanem, a byłem zły, że z niej wyrosłem. Zapomniałem o tym, to było naprawdę dawno temu. Wzruszyłem ramionami.

– Przedszkole było tuż za rogiem.

Zawodnik drużyny Mountain Lions spudłował rzut wolny. Kibice wiwatowali. Jake się odchylił i zaczął się uśmiechać.

– Kiedy wracałem z tobą do domu, wspinałeś się na stołek i kradłeś ciastka w kształcie zwierzątek, które znajdowały się na lodówce. Oglądaliśmy *Power Rangers*, dopóki nie wrócił tata.

– A później na podwórku odgrywaliśmy sceny z bajki – dodałem. – A tata smażył te swoje okropne hamburgery.

Jake parsknął śmiechem.

– Mówiłeś, że różowy Ranger był męski. Że róż to najbardziej męski kolor. Pamiętasz?

– Boże. – Śmiałem się razem z nim. – Byliśmy cholernie postępowi.

– Wspomniałem o tym JJ-owi – wyznał Jake, szturchając mnie łokciem. – Powiedziałem, że róż jest spoko. I to, cokolwiek lubi, też jest dobre. Hailey bardzo się to spodobało.

– Nie dziwię się – przyznałem. Trener zarządził naradę. Siedzieliśmy pogrążeni we wspomnieniach.

– Słuchaj, Luke – zaczął Jake, ale przerwały mu dwie osoby, które wstały, mamrocząc coś o cenie coli. – Byłeś jedyną bliską mi osobą, gdy byliśmy mali. To właśnie chciałem powiedzieć. Tata trwał przy nas, ale wydaje mi się, że nigdy tak naprawdę nie chciał być ojcem. Ale miałem ciebie.

Poczułem ucisk w gardle. Spojrzałem pod nogi. Zawodnicy wrócili na boisko.

– A kiedy zaczęłeś się odsuwać, źle się zachowywać, ćpać, czułem się, jakbym stracił kolejnego rodzica.

Cios wywołany jego słowami mało nie zrzucił mnie z krzesła. Miałem dwie możliwości. Albo uciec w jakieś inne uczucie, albo wziąć to na klatę. Pamiętam, jak zapukałem do Johnno po tym, gdy po raz pierwszy wziąłem oxycontin. Niemal odszedłem, nim otworzył. Prawie się wycofałem.

Spojrzałem na brata. W jego oczach widać było mamę.

– Chyba... – urwałem, starając się odpowiednio dobrać słowa. – To żadna wymówka, ale śmierć mamy dotarła do mnie dopiero później. Trafiała mnie nie od razu bezpośrednio, ale później, niespodziewanie.

– Wiem – przyznał Jake, oglądając mecz. Na chwilę położył dłoń na moich plecach.

Ulga była wyrazista.

– Nie zrobię ci tego ponownie – wyznałem drżącym głosem.

– Lepiej, żebyś tego nie zrobił – mruknął brat. – I nawet nie myśl o tym, by po wyleczeniu nogi ponownie wrócić do czynnej służby. – Do końca pierwszej kwarty pozostało dziesięć sekund. Bearsi przegrywali dwoma punktami. – Panie Purpurowe Serce.

Spojrzałem na niego. Najprawdopodobniej przeczytał o tym w gazecie. I tata również. Nie rozmawiałem jeszcze z nikim o medalu. Za każdym razem, gdy myślałem o tym, że mam zostać odznaczony, widziałem pełne krwi buty Frankiego. To nie wydawało się prawdziwe.

– Zobaczmy.

– Dajesz, obrona! – krzyknął Jake. – Do roboty!

Siedem sekund przed końcem rozgrywający przejął podanie i rozpędził się na boisku. Wszyscy wokół nas wstali i zaczęli krzyczeć: „Dawaj! Dawaj! Dawaj!”. Jake również wstał.

Wziąłem kulę i się podniosłem, a w nodze rozgorzał ból. *Nie, nie wróciłbym do czynnej służby*, pomyślałem. Musiałem skupić się na innych rzeczach. Na pozostaniu trzeźwym i zdobyciu wykształcenia.

Kiedy już się wyprostowałem, nie widziałem, co się stało, tylko że rozgrywający podniósł wynik. Z trudem ponownie zająłem miejsce. Zamiast się frustrować, uśmiechnąłem się do brata, który pomógł mi opaść na siedzenie.

– Przydzielili ci pielęgniarkę? – zapytał Jake.

Nadal trzymając kulę, zaciskałem przez chwilę usta.

– Powinni przydzielić.

Jake pokręcił głową.

– Cassie wszystko sama przy tobie robi?

– Pomaga też jej sąsiadka. Wspólnie podjęliśmy tę decyzję.

– Rety... – Ponownie pokręcił głową, tym razem z podziwem.

– Wiem. Tak, jest dobra. – Pomyślałem o jej promienniejszej twarzy, gdy zacząłem chodzić, gdy wzięła mnie za rękę i przemierzała ze mną pokój. Podziękowałem jej za to? – Jest wspaniała – dodałem i poczułem prawdę w tych słowach. Nawet gdy się kłóciliśmy, obejmowała mnie, wciąż wrząc.

– Przypuszczam, że narzeka. Na jej miejscu cały czas bym marudził.

– Nie za wiele – przyznałem. – Przynajmniej ostatnio tego nie robi.

– Jest dobra, Luke – stwierdził Jake, przez chwilę patrząc na mnie. – Świetną kobietę sobie znalazłeś.

Ogłoszono przerwę. Jake wstał i się przeciągnął.

– Chcesz coś?

Nagle na boisku pojawił się mężczyzna w jaskrawopomarańczowej koszulce z bezprzewodowym mikrofonem w dłoni.

– Słuchajcie ludzie! Kto chce wygrać pizzę od Gina?

Kibice ryknęli.

– Co jest? – zapytałem ze śmiechem Jake'a.

Zanim zdołał odpowiedzieć, blondynka w równie jaskrawopomarańczowej koszulce dołączyła do mężczyzny. Trzymała szklaną misę z czerwonymi losami.

– Wszystkie odcinki z waszych biletów trafiły tutaj. Ten, którego numer miejsca wylosuję, będzie mógł wygrać roczny abonament na pizzę, jeśli tylko trafi z połowy boiska!

– Kurde – rzucił Jake i spojrzął na mnie, unosząc brwi. Przewróciłem oczami.

– A szczęściarz siedzi... – przeciągnęła kobieta, wyciągając kupon z kuli. – W rzędzie C na miejscu numer jedenście!

Wszyscy wokół zaczęli się rozglądać, po czym powoli spojrzeli na mnie. Zerknąłem na swoje krzesło. Zajmowałem miejsce jedenaste w rzędzie C. Cholera.

Po raz drugi dzisiejszego dnia wszyscy się na mnie gapili. Były dziewczyny, które przytyły po urodzeniu dzieci, byli nauczyciele wiedzy o społeczeństwie i angielskiego, którzy nie chcieli przepuścić mnie do kolejnych klas, byli trenerzy futbolu, którzy wiele razy mnie skłęli, byli kumple i ich rodzice, którzy widzieli mnie pijanego od wódki skradzionej z ich barków – wszyscy czekali na to, co zrobię.

Uniosłem kulę i pokręciłem głową, odczuwając narastające upokorzenie. Jake próbował grzecznie zbyć ich gestem.

– Dobra, a teraz się odwalcie – syknął przez zęby. – Facet nie chce tego robić.

– Jake – powiedziałem z rosnącym uśmiechem – ty to zrób.

– Co?

– No weź. Wykonywałeś ten rzut setki razy. – Nawet jako dzieciak trafiał do kosza z odległości znacznie przekraczającej linię rzutu za trzy punkty, jeśli wyrzucał piłkę z biodra.

Wskazałem na Jake'a i nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale zacząłem skandować jego imię. Może to istniejący we mnie żołnierz, człowiek, który uwielbiał zsynchronizowany ruch z innymi, który chciał dołączyć do szeregowych, biegać tak samo szybko, oddychać z nimi, wydzierać się z nimi, pomagać im dotrzeć na metę.

– Jacob, Jacob, Jacob! – krzychałem.

Wszyscy inni podchwycili.

– Jacob, Jacob... – wrzeszczeli wszyscy na trybunach.

Brat poczerwieniał. Uniósł ręce.

– Dobra!

Patrzyłem, jak zbiega z trybun po dwa stopnie naraz. Nie złościłem się i nie smuciłem na myśl, że nie dotrzymam mu kroku, gdy będziemy stąd schodzić, bo dopadnie mnie tak wielki ból, że będę pragnął jedynie wrócić do domu, wziąć oxycontin i marzyć, żeby wszystko zniknęło.

Jake złapał piłkę, którą kozłem podałem mu mężczyzna w pomarańczowej koszulce. *Nie zrobię ci tego ponownie*, powiedziałem mu. Miałem jednak świadomość, że ten koszmar może wrócić. Będzie mnie kusił i jeszcze raz pozwoli na to, żeby oxy zapewniło mi odrętwienie. Wiedziałem też jednak, że ból związany z poddaniem się nałogowi będzie o wiele większy.

Jake spojrział na mnie. Nie wstając z miejsca, przybrałem postawę *Power Rangers*. Kozłował do linii środkowej boiska, wychylił się i wyrzucił piłkę.

CASSIE

Luke siedział na miejscu pasażera w subaru, kulę oparł o drzwi. Sięgnęłam między jego nogi, by posprzątać butelki po wodzie i opakowania po batonikach zbożowych, które nagromadziły się na dywaniku. Dobra, przez „posprzątać” miałam na myśli to, że przerzuciłam je do tyłu.

– Przepraszam – powiedziałam, tłumiąc ziewnięcie.

– Spoko – odparł, śmiejąc się nieco, zerkając na leżące na desce rozdzielczej opakowania po płytach Queen, Natalie Cole, Davida Bowiego i Patsy Cline.

Chciał jechać nad rzekę, żeby poćwiczyć w terenie. Oczywiście zgodziłam się go zawieźć i później odebrać, ale z jakiegoś powodu się denerwowałam. Przebywał w mieszkaniu tak długo, chroniony przed chaosem świata, cierpiący i bezbronny. Czułam się, jakbym wypuszczała rannego lwa z powrotem na sawannę.

Kiedy przekręciłam kluczyk w stacyjce, z głośników ryknęła piosenka zespołu Portishead. Sciszyłam, spojrzałam na niego skruszona i wycofałam.

– Przywykłam, że jeżdżę sama.

Czasem woziłam Toby’ego, pod warunkiem że utrzymywałam głośność na poziomie, na którym mógł rozprawić o muzyce, zamiast jej słuchać. Właśnie w ten sposób odkryłam, że głośne koncerty z nim były niezłą zabawą.

Luke opuścił szybę.

– Możesz dać głośniej – powiedział z zadowoleniem na twarzy.

Okej, Cassie, spokojnie. Nie był małym dzieckiem z czułym słuchem. Podgłośniłam i śpiewałam wraz z Beth Gibbons, ponieważ i tak bym to zrobiła, jadąc sama. Luke kiwał głową, zamyślony.

Kiedy dotarliśmy nad rzekę, poprowadził mnie na parking, jakby znał to miejsce.

– Byłeś tu już?

– Tak – przyznał, nie rozwijając myśli. Oparłam się pokusie i nie dociekałam. I tak nie chciałam wiedzieć, po co mi ta wiedza.

– Dzięki, Cassie. – Wyjął zranioną nogę z auta, postawił kulę na chodniku i się podniósł, po czym pomachał mi na pożegnanie.

– Luke, twój telefon! – zawołałam. Zostawił komórkę na siedzeniu.

Wibrowała. Wziął ją, spojrzał na ekran i skrzywił się na moment z niesmakiem.

- Ech. – Westchnął. – Nie potrzebuję jej. Odbierzesz mnie z tego samego miejsca. Dzięki.
- Rzucił telefon na dywanik, jakby nie chciał na niego patrzeć.
- Dobra, pa – zawołałam przez otwarte okno.

Obserwowałam, jak kuśtyka sam wzdłuż niekończącego się rzędu drzew. Nagle sobie przypomniałam: *zapomniałam kupić mu roślinkę.*

LUKE

Przez pięć dni z rzędu Cassie w drodze do pracy podrzucała mnie na ścieżkę przy rzece, a Rita odbierała mnie po ćwiczeniach. Zacząłem od kwadransa rehabilitacji. Jeśli udało mi się w tym czasie piętnaście razy unieść kolano, następnego dnia próbowałem dwadzieścia razy. A jeśli mogłem ćwiczyć przez piętnaście minut, mogłem również wynieść śmieci.

Skoro zdołałem przetrwać dwadzieścia minut oraz dwadzieścia krążeń stopą, to mogłem i dwadzieścia pięć. Dlaczego nie miałbym w takim razie iść do znajdującego się przecznicę dalej sklepu po mleko, jajka i chleb?

Dając radę ćwiczyć przez pół godziny, mogłem też poćwiczyć wchodzenie i wychodzenie z wanny.

Po wczorajszym treningu poprosiłem Cassie, by podrzuciła mnie pod kościół mieszczący się na tej samej ulicy, co jej mieszkanie, bo chciałem uczestniczyć w spotkaniu anonimowych narkomanów. Nie jestem pewien, czy zdaje sobie sprawę, dlaczego tam poszedłem i co tam robiłem. Nie rozmawialiśmy o tym.

Dziś ćwiczyłem przez czterdzieści minut. Nie wymyśliłem jeszcze aktywności, która by się z tym równała. Zdobyłem się przynajmniej na tyle, by napisać do Johnno, że niebawem dostanę odprawę. Odpisał: „Tym razem na pewno masz mieć kasę” i nie groził mi jak zwykle. Chyba mogłem cieszyć się widokiem brzegu rzeki przez pół godziny. Tata przyprawdzał tu mnie i Jake’a, gdy jeździł do Austin do księgowego.

Teraz brat trzymał moją kulę, a ja opierałem się o drzewo, uginając nogę pod kątem większym niż sto sześćdziesiąt stopni. Zadzwoiłem do niego i zapytałem, czy mógłby mi poświęcić trochę czasu w sobotę, żeby pomóc mi ćwiczyć. Zgodził się pod warunkiem, że będzie mógł się na mnie wydzierać niczym musztrujący sierżant.

Jak się przekonałem, w ustach Jake’a polegało to na tym, że na końcu każdego stwierdzenia, które było zachęcające, dodawał słowo „gnido”.

– Dobra robota, gnido! – warknął.

Ponownie uniosłem nogę, osiągając wysokość, na którą całkiem sprawna osoba podniosłaby swoją, aby wejść na stopień wielkości pudełka po butach.

– Jestem jak Rocky Balboa.

Jake przeszedł w górę ścieżki, poszukał czegoś między drzewami i wrócił.

– Zobaczyłeś coś? – zapytałem, podnosząc nogę, jakby stopa ugrzęzła w bagnie. *Nie ma*

mowy, by Johnno tu przyjechał, prawda? Przełknąłem ślinę, choć miałem sucho w ustach.

– Nie, nic – odparł, ukrywając uśmiech.

Kiedy skończyłem, znów odszedł ścieżką. Przemieszczając się wolnym tempem, zacząłem bardziej zauważać otaczający mnie świat. Mech na skałach. Szlaki z białego kamienia wijące się pośród drzew niczym tory kolejowe. Golden retriever zbiegający ze schodów na zwijanej smyczy.

Pies szturchnął nosem moją nogę i podskoczył. Obiegł mnie dookoła i polizał po rękach.

– Spokojnie, mały – powiedziałem. – Cześć.

– To dziewczynka! – zawołał głos na skarpie.

Cassie pojawiła się na kamiennych stopniach i zbiegła z nich, a jej włosy podskakiwały. Za nią pojawiła się jej przyjaciółka Nora. Dziewczyna miała o wiele bladejszą cerę i włosy zaczesane w kucyk.

Przenosiłem spojrzenie z brata na Cassie. Śmiali się i zerkali na mnie wyczekująco.

– Co jest?

Suczka była w siódmym niebie, podbiegała do każdego z nas i z wystawionym językiem spoglądała oczami o barwie cynamonu.

– Przepraszam, chciałam zadzwonić, ale zapomniałam komórki.

– Ty? Zapomniałaś telefonu?

Przewróciła oczami i się uśmiechnęła.

– Luke, to Mittens. Jest twoja.

– Moja? – Położyłem dłoń na jedwabistej głowie psiaka. – Jak może być moja?

– Taki program – odparł Jake. – Psy dla weteranów.

– Też brałeś w tym udział? – Szturchnąłem go w ramię.

– Jake! – rzuciła Cassie. – Miałeś powiedzieć, że znaleźliśmy ją u stóp starożytnej świątyni, rządzącą społecznością podporządkowanych jej psów.

– Nie wygląda na królową – odparł Jake, przechylając głowę. – Jest bardziej błaznem.

Mittens gryzła właśnie patyk, miotając nim na boki, jakby był martwą zwierzyną, i szturchając się nim w żebra.

– A może to wiejski głupek – dodała Nora.

– Właściwie to jej pomysł.

Nora posłała mi sztywny uśmiech.

– Pomyślałam, że dobrze by było, gdybyś się trochę rozluźnił.

– Dziękuję – powiedziałem, patrząc jej w oczy. – Nie masz nic przeciwko? – zapytałem Cassie.

Mieszkanie miało właśnie stać się mniejsze. I bardziej śmierdzące. Nigdy nie przepadałem za zwierzakami. Nie żebym nie lubił psów. Jednak tata nigdy nie pozwolił nam mieć pupila, bo „sami byliśmy jak zwierzęta”. A bezpieczne psy w Afganistanie należały do wszystkich, nie wspominając o tym, że zazwyczaj z ich pysków zwisały martwe szczury. Nie bardzo podobał mi się pomysł, by opiekować się inną żywą istotą, ponieważ opieka nad sobą samym była wystarczająco trudna.

Ale chyba właśnie o to chodziło.

Cassie przysunęła się do mnie.

– O, nie, nie mam – powiedziała, drapiąc psiaka za uszami. – Przyznaj, jest słodka. Spójrz na tę uroczą mordę, na te oczęta, nosek, pyszczek!

Nigdy nie widziałem jej tak rozczulonej. Nigdy i z nikim. Ani kiedy mówiła żonkowanym głosem, ani gdy rozmawiała przez telefon z Tobym, ani nawet gdy rozmawiała z mamą. Mimowolnie się roześmiałem. Mittens wiała się przy moich kolanach, jakby chciała się z tym

zgodzić.

– Co? – zapytała Cassie, patrząc na mnie z zaczerwienionymi policzkami. – Myślę, że zaprzyjaźni się z Dantem.

– Zeżre go na śniadanie.

W piątkę poszliśmy ścieżką, ja przejmując odpowiedzialność za Mittens, a Mittens przejmując odpowiedzialność za patyk.

– Trzymam kciuki – powiedziała Cassie.

CASSIE

Wrócił Yarvis. Przyniósł croissantsy, które postawiłam na ławie przed Lukiem, i usiadł naprzeciwko nas. Tym razem oboje wzięliśmy prysznic. Luke włożył koszulę. Ja – spodnie zamiast spodenek. Mieszkanie przewietrzyliśmy i pachniało cytrynowym płynem do mycia.

– Nie ma to jak świeżo pieczone rogaliki – powiedział Yarvis.

Wymieniliśmy z Lukiem spojrzenia.

– Wygląda na to, że jest pan w lepszej kondycji – zwrócił się do Luke’a. – Pani Cassie, jak się żyje jako muzyk?

– Za pół godziny muszę iść na próbę. – Ćwiczyliśmy piosenkę, którą napisałam dla Frankiego. Występ w Saharze miał się odbyć za trzy dni.

– No to postarajmy się, by się pani nie spóźniła.

– Wyjdzie w połowie zdania – ostrzegł go Luke.

– Więc? Dlaczego tak trudno zrozumieć, że to moja praca? Nikt nie miałby pretensji, gdybym szła do firmy. Ale to naprawdę jest moja praca.

Musiałam się opanować, bo właśnie zdałam sobie sprawę, że mówię do niewidzialnej mamy. Jednak wkurzać zaczął mnie Toby, zachowywał się, jakbym go uraziła czy wręcz zraniła, bo gdy mnie rozpraszał i denerwował Norę na próbie, nie traktowałam go jak swojego chłopaka. Ciągłe myślał, że jestem na niego zła. A potem, ponieważ nieustannie dopytywał, czy jestem na niego zła, rzeczywiście się wściekałam.

Luke wzruszył ramionami.

– Tak tylko mówię, skarbie.

– O. – Interesujące. Chyba Luke nie oceniał, tylko stwierdzał prosty fakt. – Dzięki, kochanie.

Yarvis sprawdził postępy w rehabilitacji Luke’a.

– No i świetnie – powiedział i zakomunikował, że musimy odegrać jakąś scenkę przed jego wyjściem. Kiedy poszedł do łazienki, obróciłam się do Luke’a.

– Co jest z tymi ludźmi i ich ćwiczeniami małżeńskimi?

– No nie? – odparł. – Co się stało ze starymi, dobrymi czasami, gdy mężczyźni wymieniali kobiety za kozy?

Szturchnęłam go łokciem, czując, że mogę żartować jak dawniej, gdy rozmawialiśmy na Skypie. W tej chwili wydawało się, że jesteśmy zawodowcami. Że od dawna jesteśmy

profesjonalnym małżeństwem.

– Dobrze – powiedział Yarvis, gdy usiadł i wziął kolejny rogalik. – Zadanie polega na tym, że udajecie, że jesteście tą drugą osobą i staracie się wyrazić wdzięczność. Zacznie pani?

Mittens leżała u stóp Luke'a, machając ogonem, wpatrzona w croissanta.

– Jestem Luke i jestem wdzięczny za psa – powiedziałam głosem naśladowującym ten Myszki Miki. Uwielbiał, gdy parodiowałam. A mówiąc „uwielbiał”, miałam na myśli, że krzywił się, jakby słyszał skrzypienie metalowych nóg krzesła na podłodze. „Gdybym nie wiedział, że potrafisz tak niesamowicie śpiewać...”, powiedział mi ostatnio.

– Świetnie. Brzmię dokładnie tak samo – rzucił pustym głosem Luke.

– Może pomińmy te odczucia – zasugerował Yarvis. – Dobrze, teraz pan.

Luke odezwał się, udając powagę:

– Jestem Cassie i jestem wdzięczna, że mąż nie zmienił imienia Mittens na Rambo, pomimo jego częstych gróźb.

Przewróciłam oczami.

– Nawet nie reagowałyby na to imię.

– Za boczek na pewno by zareagowała – stwierdził.

– Dobra. Teraz znów pani.

– Jestem Luke i jestem wdzięczny, że żona nie odeszła ode mnie, gdy byłem żaloszny – żartowałam. Spojrzałam na Luke'a, oczekując, że się zaśmieje, ale gapił się w telefon, marszcząc brwi. Często to robił. Wiedziałam, że ma to coś wspólnego z jego rodziną albo sytuacją finansową, jednak nie było to moją sprawą. Zamiast tego szturchnęłam go łokciem.

– Powinien pan słuchać – skarcił go Yarvis.

– Przepraszam. – Odłożył komórkę.

– Jestem Luke – zaczęłam raz jeszcze. – I pozwoliłem, aby moja męskość stłumiła emocje.

W tym przypadku nie żartowałam. Miałam na myśli wszystkie te chwile, gdy odmawiał pomocy, którą mu oferowałam, gdy nie chciał opowiadać o swoich koszmarach. Zdziwiłam się więc, że się uśmiechnął i mnie objął.

– Mógłbym powiedzieć to samo, skarbie.

Oboje parsknęliśmy śmiechem. Był bystrzejszy, niż się zdawało. Kiedy dobrze się czuł, wykazywał się spostrzegawczością i dowcipem jak mało kto.

– Widzicie? – rzucił Yarvis z pełnymi ustami. – Mówiłem, że będzie lepiej.

LUKE

– Złapiesz, Mittens? – Przed nosem psiaka trzymałem jaskraworóżowe frisbee z logo jednostki straży pożarnej z Budy.

– Postaraj się, żeby złapał! – krzyknął uradowany JJ.

– To właśnie chce zrobić wujek – odparła Hailey.

– Mittens to dziewczynka – dodał Jake, kucając obok syna. – Nie chłopiec.

– Hamburgery będą gotowe za dziesięć minut – zawołał tata stojący przy grillu.

– Sałatka będzie gotowa... cóż, w zasadzie już jest – poszła w jego ślady Cassie, przyglądając się sałacie rzymskiej, którą właśnie polala sosem cesar.

Zgromadziliśmy się na podwórku taty na grillu. Jake i Hailey mówili, że to jego pomysł, chociaż miałem przeczucie, że jednak ich.

Dzień był słoneczny i piękny, Mittens cieszyła się frisbee, merdała ogonem tak mocno, że aż zamiatała zadkiem. Rzuciłem dysk w kierunku płotu. Wydawało się, że przeleci nad nią, ale Mittens skoczyła i porwała go w powietrzu.

Wszyscy zaczęli wiwatować.

Ból przeszył nogę od goleni aż po biodro, ale ponieważ zaczęły się odbudowywać mięśnie, jęknąłem tylko, zamiast upaść na ziemię.

– Dobra sunia! – Podrapałem ją za aksamitnymi uszami.

Nie widziałem tego podwórka na trzeźwo od lat. Mittens chodziła przy krzewach, w których chowałem się przed Jakiem po tym, jak narysowałem kutasy w jego komiksach, albo czekałem, by obrzucić go kamieniami, kiedy chciał wejść do domu tylnym wejściem. Sikałem w tych krzakach, gdy wracałem z imprez pijany i naćpany, nie chciałem korzystać z toalety, by nie narobić hałasu. Na ziemi prawdopodobnie wciąż leżały niedopałki z czasów, gdy wymykałem się z domu Johnno, żeby ukraść trochę chleba, mielonki czy czegośkolwiek innego, co udało mi się dorwać.

Ostatnim razem, gdy gościłem w tym domu i odgrzewałem w mikrofalówce mrożone burrito, podszedł do mnie tata. Polecił, bym oddał to, co ukradliśmy z Johnno z warsztatu, albo wezwie policję. To była stówka czy dwie. Zamglona głowa go wyśmiała. Ojciec jednak chwycił za telefon i wybrał numer. Upuściłem burrito i zacząłem uciekać.

Wtedy krzyknął za mną:

– Tak, uciekaj, tchórzu.

Johnno ruszył ulicą. Kiedy tata zobaczył, że próbuję wsiąść do bronco, pobiegł za mną z telefonem bezprzewodowym w dłoni, wrzeszcząc:

– Luke, zawiodłeś mnie! Zawiodłeś matkę! Zawiodłeś Jake’a!

Tak mocno rzucił we mnie telefonem, że rozciął mi skórę na głowie. Wciąż mam bliznę.

To było jakiś rok przed ślubem Hailey i Jake’a. Wtedy po raz ostatni wypowiedział moje imię.

Dziś Cassie nacisnęła dzwonek przy granatowych drzwiach, jakbym przez większość życia nie otwierał ich kopniakiem w stylu karate, po którym ściągałem ubłocone buty i rzucałem się na najbliższy mebel.

Nie zdawałem sobie sprawy, że ręce mi się trzęsą, dopóki Cassie nie położyła dłoni na mojej, którą trzymałem kulę. Rozejrzałem się w poszukiwaniu brata i po to, by zorientować się, czy nikt na nas nie patrzy, ale nikogo nie zauważyłem. Cassie ścisnęła moją dłoń.

Drzwi zostały otwarte. Twarz taty się postarzała i w pewien sposób zmiękła. Nie zauważyłem tego, gdy widziałem go wtedy w szpitalu. Boże, kiedy stał się taki stary?

Podąłem mu wolną rękę.

– Synu – powiedział i ją uściskał.

Próbowałem się z tego nie cieszyć, ale chyba można powiedzieć, że na mojej twarzy zagościł prawdziwy uśmiech.

Kiedy Cassie i tata nakrywali do stołu, oglądaliśmy z Hailey i Jakiem, jak JJ biegnie za suczką po podwórzu, wskakuje na jej grzbiet i próbuje na niej jeździć.

– Ostrożnie, nie zrób pieskowi krzywdy! – zawołała Hailey.

– Widziałem, że rozmawiałeś z tatą o tym, gdzie służyłeś – zauważył Jake.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Tak.

– Super – dodał i poklepał mnie po plecach.

Hailey zerknęła na nas. Uniosła rękę i skomentowała z sarkazmem:

– Wow, hej, wy dwaj. Nie róbcie scen.

Przy hamburgerach rozmawialiśmy o fatalnym sezonie drużyny Rangers, interesach w warsztacie, zbliżającym się koncercie Cassie. Mittens żebrała u wszystkich o jedzenie.

– Widzicie? – powiedział tata po tym, gdy zaczęliśmy się z Jakiem nabijać z tego, że jego burgery bardziej przypominają klopsy. – Mittens nie przejmuje się kształtem. Wie, co dobre.

JJ zaśpiewał alfabet, Cassie opowiedziała o naszym ślubie w ratuszu. Parodiowała urzędnika, wyliczała na palcach i mówiła z przesadnym akcentem.

– Opowiadał o modlitwach jak o kawałkach mięsa! Mieliśmy soczysty psalm dwudziesty trzeci, świeży list do Koryntian, tłusty do Efezjan...

Hailey i Jake wybuchnęli śmiechem. Tata również się śmiał i zapamiętałem, że to szósty raz. Po raz szósty widziałem u ojca wesołość, a wszystko dzięki Cassie. Zanim przemyślałem swoje zachowanie, przysunąłem się i pocałowałem ją w policzek.

Śmiała się, zerknęła na mnie, ale nie przestała odgrywać żony.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, zapytałem tatę, czy mógłbym zabrać Cassie na strych. Pokiwał głową, siedząc w fotelu, oglądając futbol. Miałem do pomocy żonę i kulę, więc wspinaczka po schodach zajęła mi jedynie pięć minut.

– Robię to już dwa razy szybciej – zauważyłem.

– Nie przechwalaj się – zażartowała.

Stary, blaszany kufer taty stał pomiędzy pudełkami z ozdobami świątecznymi i stosem albumów ze zdjęciami. Myślałem o nim od kilku tygodni. Odkąd Jake nas zaprosił, wiedziałem, że muszę tu przyjść i go poszukać. Pochyliłem się, by odgarnąć kurz z wieka.

– Co to jest? – zapytała Cassie.

Odczepiłem zapięcia. Pamiętałem piżamę z Batmanem, gdy Jake wiercił się w ramionach mamy, obaj byliśmy świeżo po kąpieli. Szorstki mundur taty z nazwiskiem na piersi. Pod spodem drewniane pudełko. Purpurowe Serce.

Zaśmiałem się, wyjmując odznaczenie, aby Cassie mogła je zobaczyć. Zmrużyła oczy, siedząc na podłodze po turecku.

– Czy to... Cholera! Nie wiedziałam, że twojego tatę odznaczono Purpurowym Sercem.

Teraz i ja je dostanę. Boże, nie mogłem w to uwierzyć. Kiedyś dzięki niemu miałem ojca za najważniejszego człowieka na świecie.

– Za co je otrzymał?

– Został dwukrotnie postrzelony w delcie Mekongu. – Nie potrafiłem powstrzymać napływu wspomnień. – Pamiętam, gdy unosił koszulę, żeby pokazać mi blizny, po czym dotykałem małych, różowych zgrubień na skórze, myśląc, że tata jest superbohaterem. Nawet nie. Był lepszy niż superbohater, bo był moim tatą. Był jak niezwykły człowiek.

Cassie się zaśmiała.

– Przeżył dwa postrzały, wiesz? Podczas gdy ja byłem chłopcem, który płakał, jak nabił sobie siniaka, tata był jak jeden z kowbojów w telewizji, którzy dostawali kulę i nawet nie mrugnęli. Robili dalej swoją robotę. Też chciałem taki być.

– I jesteś – wyznała, delikatnie dotykając mojej nogi.

– Oczywiście to nie to samo – przyznałem. Nie czułem się niezwykły. Przeważnie czułem się, jakby moją nogę wywrócono na lewą stronę. Dzisiaj był jeden z pierwszych dni od jakiegoś czasu, kiedy mi to nie przeszkadzało.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się z uśmiechem. – Zawsze inaczej, gdy robią to rodzice.

– Kiedy umarła mama, właśnie tak się zachowywaliśmy. Udawaliśmy, że jesteśmy niezwykcy – przyznałem z wahaniem. Nigdy nie opowiadałem Cassie o mamie, ale chciałem, by wiedziała. Pragnąłem jej o wszystkim opowiedzieć. – Robiliśmy to, co trzeba. Nie opłakiwaliśmy jej, nie rozmawialiśmy o niej, ale to nie było dobre.

– Dla ciebie?

– Nie. Dla niej. Pozwoliliśmy jej zniknąć, jakby również nie była najważniejszą osobą na świecie.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Pięć. Rak jajnika. Ledwie ją pamiętam. Jakaś kobieta w kościele powiedziała mi, dlaczego umarła. Kiedy zapytałem o to ojca, powiedział coś w stylu: „Nie przejmuj się tym. Niech spoczywa w pokoju”.

– Kurde. – Poprawiła kołnierzyk munduru ojca i na mnie spojrzała. – O co chodzi między tobą a tatą?

Westchnąłem.

– Długa historia. Robił, co mógł.

– Robi – poprawiła. – Stara się najlepiej, jak umie.

– Masz rację – zgodziłem się, uświadamiając sobie, że choć znałem ją jedynie od kilku miesięcy, a nasz związek był oparty na kłamstwie, to widziała mnie w najgorszym stanie, w jakimkolwiek się znalazłem, a mimo to mnie nie zostawiła. – Dziękuję – powiedziałem pospiesznie, czując taką potrzebę, dopóki jeszcze byliśmy tu na górze, przed powrotem na dół do prawdziwego świata. – Za wszystko w ciągu tych ostatnich miesięcy.

Uśmiechnęła się bez obaw.

– Proszę. Wiesz, gdybyś przez cały czas tyle mówił, nasze życie byłoby trochę łatwiejsze. Może lepiej zdołałabym cię zrozumieć.

– Ha. Nie przyzwyczajaj się.

– Chciałabym – wyznała, po czym wstała nagle, jakby się zawstydziała.

Zająłem się wkładaniem rzeczy do kufra. Nie mieliśmy wiele czasu do momentu, gdy zostanę zwolniony z czynnej służby. Oboje o tym wiedzieliśmy, ale nadal bawiliśmy się w małżeństwo, zaczęliśmy jednak wyczuwać, że nasz związek przechodzi w coś trwałego. To małe uwagi najbliższych, jak na przykład wtedy, gdy Cassie bawiła się z JJ-em, a Hailey zapytała ją, czy niebawem pojawi się na świecie mały Luke albo mała Cassie.

Z łatwością wzięła mnie za rękę przed spotkaniem z moim tatą, zachowałem się podobnie, całując ją w policzek, gdy byłem z niej dumny – mojej zabawnej, kreatywnej żony na niby.

Wiedziałem, że to wszystko iluzja, życie, które wymyśliliśmy sobie z desperacji, ale w tym momencie wydawało się prawdziwe.

CASSIE

Dzień po grillu, na kilka godzin przed ostatnią próbą zespołu The Loyal przed jutrzejszym występem, poszłam do Toby'ego. I miałam misję.

Chodziło o Luke'a, o to, że pocałował mnie w policzek w naturalny sposób, co mi nie przeszkadzało, o to, że przywykłam nawet do tego jego „skarbie”, i o moją deklarację, że chciałabym, by częściej opowiadał o sobie. Chodziło o to, że miałam mętlik w głowie. Byłam pewna, że to tylko płytkie gesty, jednak sytuacja skomplikowała się, gdy zobaczyłam go nago. To w połączeniu z uroczym psem, uroczym dzieckiem biegającym wokół uroczej rodziny, z uroczym ojcem, który piekł urocze hamburgery, sprawiło, że... bum! Pojawiły się uczucia jak z romantycznego filmu.

Postanowiłam jednak, że Toby to realny człowiek, z którym naprawdę mnie coś łączy. Nie twierdzę, że Luke nie jest prawdziwy, ale okoliczności, w jakich zaczęło mi na nim zależeć, już nie bardzo. Wszystko to jest sfabrykowane. Całkowicie. Zatem ujmuje to nieco uczuciom wobec niego, nie?

Jednak to wcale nie powstrzymało we mnie emocji zwróconych w stronę Luke'a, rozwijały się i właściwie mocno to we mnie uderzyło, gdy zrozumiałam, że jestem gotowa na to, by mi na kimś zależało. By podzielić się przestrzenią, którą sobie stworzyłam. I powinnam zrobić to z kimś, kto nie zniknie z mojego życia, pozostawiając po sobie ślad w postaci pudełek po jedzeniu na wynos, psiej sierści i fiolek po lekach.

I tym kimś był Toby. Toby z przerwą między zębami, który posiadał encyklopedyczną wiedzę na temat muzyki, który miał zwinne, rytmiczne palce, wspierające mnie w zespole już od roku.

Kiedy otworzył drzwi, przyciągnęłam jego twarz do siebie.

– Eee, hej – powiedział pomiędzy pocałunkami.

– Niedługo się rozwiode – powiedziałam. – Wiesz o tym, prawda? Kiedy Luke zostanie zwolniony ze służby, weźmiemy rozwód.

– Tak.

– I myślę też... – urwałam. – Myślę, że powinniśmy spróbować razem zamieszkać.

– Czekaj, serio?

– Serio. – Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, nieco marszcząc brwi i uśmiechając się z wdzięcznością. Był uroczy. Złapałam go za ramiona. – To znaczy, to jest

logiczne, wiesz? Znamy się od tak dawna...

– I nie będziesz musiała podpisywać umowy najmu ani nic – dodał.

Zerknął na moje ręce, gdy rozpinalam mu koszulę.

– Nie rozmawiajmy w tej chwili o sprawach technicznych.

Rozpięłam mu dzinsy i opuściłam. Nadszedł czas, by pokazać sobie nawzajem, że nie będziemy jedną z tych nudnych par, które wychodzą na miasto, żeby coś zjeść, puszczając cichacze, oglądając telewizję, po czym spotykają się w sypialni i pieprzą, dopóki nie zasną.

– Będziemy razem mieszkać – powiedziałam, unosząc koszulkę. – I czasami – zdejmowałam spodenki – będę się szykowała do pracy.

Toby wciąż stał ze spodniami przy kolanach i mi się przyglądał.

Przeszłam obok niego, żeby dostać się do łazienki.

– I bardzo będę tego chciała – powiedziałam, wskakując na blat obok umywalki i rozchylając nogi. – Żebyś mnie pieprzył tu i teraz.

– Czekał – rzucił.

Wpatrywałam się w niego. W ciągu dwunastu miesięcy, gdy się przy nim rozbierałam, ani razu nie usłyszałam wahania w jego głosie.

– Czuję, jakby to było coś wyjątkowego – przyznał. Wyszedł z dzinsów i zbliżył się do mnie z miłym uśmiechem na twarzy.

Może być. Nie chciał zasypywać mnie świństwami. Wciąż mi to pasowało. Stał, całując powoli. Zaczął od ucha i przeszedł do mojego ramienia.

Przyciągnęłam do siebie jego biodra i zauważyłam, że mu nie stanął.

– Przepraszam – powiedział i się odsunął. – Możemy przez chwilę porozmawiać?

Próbowałam utrzymać nastrój, zahaczyłam palcem o jego koszulkę i wpatrywałam się w niego wzrokiem zranionej łani.

– Później.

– To dziwne, uprawiać z tobą seks i widzieć się w lustrze. – Wskazał na nie, bo znajdowało się za mną. – Założę się też, że ten blat nie jest za czysty.

– A czy dzięki temu to nie jest seksowne?

Skrzywił się.

– Ech. Nie jestem na tyle pijany, by to zignorować.

– Dobra – powiedziałam i zeskoczyłam.

– Przepraszam – powtórzył, obejmując mnie w talii. – Czy to dziwne, że chcę się tym delectować bez syfu?

– Nie musisz przeproszać – powiedziałam, starając się zamaskować rozczarowanie. – Logiczne.

– Jesteśmy teraz naprawdę razem – przyznał, cmokając mnie w szyję.

– Tak – przyznałam i usiadłam na łóżku.

– O, cholera, Cass – rzucił, przeczesując palcami moje włosy. – Spróbujemy jeszcze seksu w łazience. – Położyliśmy się, Toby mnie objął i przyciągnął bliżej do siebie. – Będziemy mieć mnóstwo czasu – szepnął.

LUKE

Cassie poszła do Toby'ego, a ja zapytałem Ritę, czy mogę pożyczyć od niej samochód, po czym pojechałem do miejsca, w którym kiedyś mieszkał Johnno, licząc na to, że wciąż tam będzie. Zapukałem do drzwi o barwie obrzydliwej zieleni, mając na ramieniu zawieszoną torbę, w której znajdowały się pieniądze. Ze środka dobiegał dźwięk basu, schody zaśmiecały puszki po energetykach i piwie. Pod wizjerem ktoś dopisał: „Widzę cię”.

Tak, to zdecydowanie oznaki, że Johnno tu mieszkał. Zacząłem mocniej się dobijać.

Kaz otworzył drzwi z blantem zwisającym z ust. Zapomniałem już, jak facet był wielki. Sam miałem metr osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, a sięgałem mu zaledwie do piersi.

– Proszę – powiedziałem, podając mu papierową torbę. Oszczędzałem każdego centa, odkąd wyjechałem na misję, i wypłaciłem z banku całe oszczędności, ale w końcu uzbierałem dwa i pół tysiąca dolarów. W jaki sposób znajdę kolejne dwa i pół na ostatnią ratę za miesiąc, to problem na kiedy indziej.

Kaz wziął torbę.

– Powiedz, żeby tu przyszedł i przeliczył – krzyknął ze środka Johnno.

– Jest wyliczone – odparłem. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jeśli nie będzie się zgadzało. –

Pożyczyłem auto od Rity, musiałem wracać, bo miała umówioną wizytę u fryzjera.

Kaz chwycił mnie jednak za ramię i wepchnął do środka.

Trzy minuty później Johnno potwierdził, że suma się zgadza. Leżał na sofie z pistoletem na brzuchu, trzymając stopy na stoliku kawowym tuż obok kupki pieniędzy.

Kiedy wstałem, by odejść, Kaz zablokował mi przejście.

– Nie skończyliśmy.

– Resztę przyniosę za miesiąc, tak jak się umówiliśmy.

– Mamy trochę nowych informacji – wtrącił Johnno, wydłubując brud spod paznokci.

– Co znowu?

Wziął pistolet i wycelował we mnie niczym nauczyciel wskaźnikiem.

– Wytłumacz sytuację z panią Cassandrą Salazar własnymi słowami. Śmiało.

Przełknąłem ślinę. Zacząłem przebierać palcami na kuli.

– To moja żona.

Johnno pomachał bronią.

– Kontynuuj.

Milczałem. Rozejrzałem się po pomieszczeniu w poszukiwaniu odpowiedzi lub czegoś, czym mógłbym się bronić.

– Mamy na ciebie oko, bracie. Chcieliśmy mieć pewność, że nam nie znikniesz. A kiedy pojawiła się seksowna Cassie, zainteresowaliśmy się nią.

Napiąłem mięśnie w zranionej nodze, mając nadzieję, że ból odwróci moją uwagę od wzrastającego strachu.

– Całymi dniami siedzicie w bronco i szpiegujecie ludzi?

Wpatrzony w telefon Kaz mruknął:

– Czasami chodzimy do Buffalo Wild Wings. Moją dobre żarcie.

– Zamknij się, Kaz – polecił Johnno.

Kaz spiorunował go wzrokiem, po czym spojrzał na mnie i kontynuował:

– Dowiedzieliśmy się, gdzie pracuje i gdzie mieszka jej mama.

– Powiedziałem, że masz się zamknąć! – wrzasnął Johnno. Nawet w trakcie wypowiedzania gróźb był dziecinny. – Dowiedzieliśmy się również, że cały czas chodzi do jakiegoś innego koleś.

– Dlaczego pozwalasz jej na takie zagrywki, ziom? – zapytał ze współczuciem Kaz.

Johnno uniósł palec.

– Nie, on wie.

Kaz spojrzał na mnie.

– Wiesz?

– Ożeniłeś się z nią z rozsądku, nie? Zrobiłeś to, by wydoić dodatkową kasę z wojska.

Prawda czy fałsz?

Uderzyłem pięścią w dłoń, aby nie zamachnąć się kulą w stronę jego pryszczatej twarzy. Gdybym to zrobił, Kaz rzuciłby się na mnie jak rozwścieczony byk.

– Nie dałeś mi zbyt dużego wyboru.

– Dobra, oto wybór – powiedział Johnno, siadając nagle, wymachując pistoletem trzymany w kościstych palcach. – Albo zapłacisz pięćdziesiąt tysięcy, albo zgłosimy to żandarmerii.

– Odwaliło ci! – Kaz natychmiast stanął ze mną twarzą w twarz. – Nie zdobędę takich pieniędzy, nawet gdybym chciał.

– Mówisz tak za każdym razem – stwierdził Johnno, wskazując na forszę na stoliku. – A potem jest.

Wskazałem na niego palcem.

– Odpierdol się – rzuciłem, po czym spojrzałem na Kaza i powiedziałem: – Odsuń się, proszę.

Johnno skinął głową, a wielkolud się przesunął.

– Pięćdziesiąt tysiaków, magiku! – krzyknął za mną i się rozkaszał. – Spraw, by się pojawiło!

– Nie dojdzie do tego, koleś! – odkrzyknąłem i trzasnąłem drzwiami.

Dopiero po wyjściu na zewnątrz zacząłem oddychać. Wzrok mi się rozjeżdżał. „Widzę cię”, przeczytałem po raz kolejny. Oparłem się na kuli, mając nadzieję, że nie stracę przytomności.

Mogą zrobić mi krzywdę, ale mnie nie zabiją, bo naprawdę liczą na to, że skombinuję im te pięćdziesiąt tysięcy. Ale byli już pod mieszkaniem Cassie i wątpiłem, aby na tym poprzestali. Johnno wiedział, gdzie mieszka Jake, gdzie tata ma warsztat. Tak czy siak, chciał tej kasy, a ja nie miałem szans na samodzielne zebranie takiej sumy.

CASSIE

Mama przygotowała fasolę i ryż, o czym wiedziałam, bo zadzwoniła, by mnie o tym poinformować.

– Ugotowałam więcej fasolki i ryżu.

– To dlaczego nie włożysz ich do pojemników, żeby mieć na później? – odparłam.

– Przyjedź i zjedz.

Nie rozmawialiśmy od kłótni w moim mieszkaniu. Nie pisała, jak wcześniej, codziennie, wiadomości z nazwiskami aktorów, których rozpoznała, ale nie potrafiła powiedzieć, w czym grali, nie nagrywała mi się na pocztę, opowiadając o roślinach rosnących nieopodal jej mieszkania, nie przysyłała zaproszeń w stylu: „Chcesz pomóc czyścić kible bogaczy?“, czego zaczęło mi brakować. Cisza w telefonie skłaniała mnie niekiedy do tego, by odszukać ją w kontaktach, ale wtedy przypominałam sobie, że ona też nie chce ze mną rozmawiać.

Pragnęła usłyszeć córkę, która studiuje prawo lub córkę, która pracuje w kancelarii, a nie mnie.

Kiedy zadzwoniła, zwlekałam z odpowiedzią do ostatniej sekundy, zanim włączy się poczta, a serce waliło mi jak młotem.

Teraz siedziałyśmy w kuchni w mieszkaniu na Cord Street nad parującymi miseczkami pełnymi fasolki i białego ryżu z szynką, sosem i szafranem. Rozmawialiśmy o upale, książkach, które ostatnio przeczytała, nowych garnkach, które kupiła, oraz o tym, co ciocia MiMi porabia w San Juan. Jednak wszystko było zbyt obce, zbyt sztywne.

Siedziałam na tym samym krześle, na którym niegdyś czesała moje splątane włosy tak, że zaczynałam płakać. Wtedy nalewała na ręce olej kokosowy i masowała mi głowę, aż ucichłam. Cmokała, dopóki nie zasnęłam.

Wystroiłam się. Włożyłam czarny sweter, podkolanówki i baleriny, które zakładałam do pracy w kancelarii. Nie pochwaliła mnie, co było w jej stylu. Nie powinno się nagradzać za trzymanie się rozsądnych standardów dress code’u.

Po kolacji zaczęłam się przygotowywać. Znałam jej taktykę. *Po co psuć dobry posiłek nieprzyjemną rozmową?*

Nalala nam po filiżance herbaty. W końcu się odezwała.

– Czy to, co wtedy mówiłam, nie miało sensu? – Jedyнным dźwiękiem w pomieszczeniu było tykanie zegara w kształcie kaktusa.

Oddechnęłam głęboko, starając się zachować spokój.

- Miało, ale nie dlatego się zdenerwowałam.
- W takim razie dlaczego?

Przestałam głęboko oddychać.

Zauważyła to i wyjaśniła:

- Zdaję sobie sprawę, że robisz, co chcesz, Cassandro. Zawsze byłaś bardzo niezależna. Nie rozumiem więc, dlaczego moje zdanie i rady tak bardzo cię denerwują.

Starłam się odezwać spokojnym tonem.

- Jeśli wiesz, że twoje wypowiedzi niczego nie zmieniają, dlaczego w ogóle się na nie silisz?

Zastanawiała się nad odpowiedzią, wpatrując się w blat za mną.

- Ponieważ mi zależy.

Odstawiłam filiżankę.

- No właśnie. Mnie również. Dlatego tak mnie to wkurza. Zwłaszcza kiedy wmieszałaś do tego Luke'a.
- Ale stwierdziłam tylko fakty – przyznała. – Jesteś odpowiedzialna za Luke'a...
- Wiem, mam. Wiem. Ale czasami nie chcę słuchać o faktach. – Przełknęłam ślinę i, sięgając przez stół, wzięłam ją za rękę. – W tej chwili chciałabym, byś była ze mnie dumna.

Nagle bardzo posmutniała i zmarszczyła brwi.

- Może udać mi się z Lukiem albo i nie, ale liczy się dla mnie wyłącznie twoje wsparcie.

- Wskazałam na nią, później na siebie. – My razem, na zawsze.
- Och, Cassie. – Uśmiechnęła się, ale podbródek zaczął jej drżeć.

Teraz nadeszła moja kolej, aby walczyć ze łzami. Otarłam je.

- Jestem z ciebie bardzo dumna. Tak dumna, że to aż boli. Powinna... słuchać.

Domyśliłaś się już, *mija*? – zapytała, biorąc pustą miszkę.

- Czego?

Wyciągnęła rękę po mój talerz.

- Kim był twój ojciec?

Podaliśmy jej naczynie.

- Nie – przyznałam.
- Był muzykiem – powiedziała, stojąc do mnie plecami przy zlewku. Zamarłam.

Oczywiście. Jasne. No przecież. Parsknęła. – Nie był za dobry. Właściwie, gwarantuję, że jesteś od niego lepsza.

Stłumiłam milion pytań, delektując się jej każdym słowem. Nie dlatego, że przejmowałam się nieuczestniczącym w moim życiu ojcem, ale ponieważ mama mi o nim opowiadała.

- Chciałabym mieć jego zdjęcie, ale wszystkie je spaliłam.

Zaśmiała się.

- To nic – wyznałam.

Obróciła się do mnie.

- Poważnie. Mam to gdzieś. Jesteś wszystkim, czego mi trzeba, *mamita*.

Otworzyła ramiona, więc ją objęłam. Trwałyśmy w uścisku przez dłuższą chwilę.

- Przepraszam, że niewystarczająco często mówię ci, jak bardzo jestem z ciebie dumna – powiedziała.
- Ja też przepraszam. Za wszystko – wymamrotałam w jej ramię.
- Nie będę naciskać na ciebie, byś została prawniczką.
- Przynajmniej przez jakiś czas.

– Tak, przez jakiś czas – poprawiła się.
– Zgadzasz się więc ze mną? – dociekałam, gdy serce mi się ścisnęło. – Że faktycznie mogę tak żyć? Ponieważ trasa koncertowa i wydanie albumu oznaczają pieniądze, mam. A jeśli dobrze mi pójdzie, będę mogła stworzyć kolejny album, w wolnym czasie mogę dawać lekcje gry...

– Zawsze w to wierzyłam.

Przewróciłam oczami.

– Ha!

– Nie tylko martwiłam się o twoją zdolność zadbania o siebie, Cassandro – wyznała, ściskając mnie. – Obawiałam się również, że na zawsze mnie porzucisz.

Pogłaskałam ją po głowie, czując, że łzy ponownie napływają mi do oczu.

– Nigdy cię nie porzucę.

– Jeśli staniesz się sławnym muzykiem, zapomnisz o mnie. Przeprowadzisz się do Los Angeles czy innego miasta. Stwierdzisz, że muszę mieć własne życie, ale chyba powinnam już przywyknąć do tego, że jestem sama. No może mam jeszcze MiMi.

Odsunęłyśmy się od siebie i spojrzałam w jej brązowe oczy, dołeczki w policzkach, zmarszczki, które się przy nich tworzyły, gdy się uśmiechała. Odetchnęłam głęboko.

– Mamo?

Sarkastycznie uniosła brwi.

– Tak, to ja, twoja mama.

Miło wiedzieć, że przynajmniej wróciłyśmy do normalności.

– Przyjdiesz jutro wieczorem na mój występ? Stworzyliśmy piosenkę, którą chciałabym, byś usłyszała.

– Oczywiście, że przyjdę – odparła.

Uśmiechnęłam się szeroko i wzięłyśmy się za mycie naczyń, a napięcie z moich mięśni spłynęło wraz z ciepłą wodą, zapachem lawendowego płynu i dotykiem grubych glinianych misek, które tyle razy myłam już jako dziewczynka.

Czułam się lepiej, niż gdy tu przyszłam, stojąc przy zlewie, opierając się biodrem o blat. Miałam wrażenie, że urosłam nie tylko poprzez wspomnienia, w których byłam mała, stojąc w tym samym miejscu, ale też dlatego, że mama powiedziała, że jest ze mnie dumna, i tym razem mówiła szczerze.

LUKE

Coś brzęczało w ciszy. Podniosłem się gwałtownie na kanapie. Znow usłyszałem ten dźwięk. Coś grzechotało na kuchennym stole. Rozejrzałem się. Mój telefon leżał na podłokietniku tam, gdzie go zostawiłem. Cassie musiała zostawić swoją komórkę, gdy wyszła do Toby'ego. Brzęczenie ustało. Usiadłem, pokuśtykałem do kuchni i wziąłem telefon do ręki.

Pięć nieodebranych połączeń od mamy. Była druga szesnaście w nocy. To nie wyglądało na nic dobrego.

Telefon znów zaczął wibrować, gdy go trzymałem.

Odebrałem.

– Tak?

Kobieta oddychała pospiesznie.

– *Mija?*

– Nie, proszę pani, Luke.

– O. Jest tam Cassie? – zapytała drżącym głosem.

Usiadłem.

– Jest... – *U Toby'ego*, dokończyłem w myślach. – Wyszła. Wszystko w porządku?

– Ktoś włamał się do mojego domu. Wybił okno.

Zacisnąłem palce na telefonie.

– Dzwoniła pani na policję?

– Dwadzieścia minut temu. Jeszcze nie przyjechali. Stoję przed budynkiem i martwię się, że włamywacz nadal może być w mieszkaniu.

– Dobrze – urwałem, gdy serce znacznie mi przyspieszyło. Mama Cassie nie powinna być teraz sama. – Gdzie pani mieszka? Przyjadę tak szybko, jak mi się uda.

Zszedłem na dół tak prędko, jak jeszcze nigdy, ponieważ adrenalina tłumiła ból. Rita nie odezwała się ani słowem, gdy jej o wszystkim powiedziałem, tylko od razu zdjęła kluczyki wiszące na haczyku przy drzwiach.

– Jedź – ponagliła.

Po drodze zadzwoniłem do Toby'ego z komórki Cassie, panikując przed tym, bo zapowiadało się na bardzo niezręczną rozmowę. Zaspany głos Cassie natychmiast stał się wyraźny, gdy zacząłem mówić.

– Zaraz będę – rzuciła i się rozłączyła.

Kiedy kwadrans później dotarłem na Cord Street, mama Cassie kuciała obok camry, klucze zwisały z jej palców.

– Pani Marisol? – Wzdrygnęła się, gdy wypowiedziałem jej imię.

Uniosła palec do ust i wskazała na parter piętrowego budynku różniącego się kolorem od tego, w którym Cassie mieszkała, ten był jasnożółty i otoczony kwiatami, krzewami i karmnikami dla ptaków.

– Cassie poszła sprawdzić mieszkanie – szepnęła.

– O Boże, poszła tam?

– Przed chwilą.

– Cassie – zawołałem nie za głośno.

Wychynęła z boku domu, trzymając pałkę baseballową. Mrużąc oczy, podbiegła do mnie.

– O, dzięki Bogu.

Bez namysłu otworzyłem ramiona. Wpadła w nie, więc ją objąłem. Czułem, że przesunęła palcami po moich plecach i je zacisnęła.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odparła i odetchnęła w moje ramię. Na chwilę wszystko inne przestało istnieć.

Byliśmy sami na ulicy. Dziecięce rowerki leżały obok na trawniku przed blokiem. Na końcu ulicy migła latarnia.

– Wejść tam – powiedziałem.

– Idę z tobą – zaproponowała. W świetle ulicznego oświetlenia wyglądała na bledszą niż normalnie.

– Nie, nie idź. Zostań z mamą. – Spojrzałem na ulicę. – Nie wierzę, że nie ma tu jeszcze radiowozu.

Skrzyżowała ręce na piersi, drżąc.

– To nie jest bogata dzielnica.

Marisol podała mi klucze.

– Mieszkanie na parterze, największy klucz. Górny zamek.

Cassie ścisnęła moją rękę.

– Dziękuję.

Przekręciłem klucz w zamku i przycisnąłem ucho do drzwi, aby przez chwilę nasłuchiwać. Cisza. Przesunąłem się na bok, uniosłem kulę, następnie otworzyłem skrzydło, przygotowując się na spotkanie z napastnikiem, aby uderzyć go w brzuch, jak nauczył mnie tata.

Ale nikogo nie zobaczyłem.

Jedną ręką trzymając kulę, drugą macałem po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła. Noga cholernie bolała, ale nie zwracałem na to uwagi. Całym sobą skupiałem się na zadaniu.

Szkło chrupnęło pod moim butem. Światło z ulicy oświetlało leżące na podłodze fragmenty. Rozbito duże okno od wschodu. Ściany zdobiły obrazy i zdjęcia, nad komodą widać było prostokąt jaśniejszy niż reszta powierzchni. Skradziono telewizor.

Zatrzymałem się na środku pomieszczenia, nasłuchując chrzęstu szkła. Gdyby ktokolwiek chciał wyjść, narobiłby hałasu.

Spojrzałem w lewo. Mniejsze okna również strzaskano, miały pajęczki jakby od kul. Cholera. Włamywacz przyszedł z bronią.

Nagle rozległ się głośny dźwięk. Wysoki. Serce przestało mi bić.

A potem uświadomiłem sobie, że to mój telefon. To tylko głupi telefon.

Spojrzałem na ekran, nadal trzymając w gotowości kulę.

W wiadomości napisano: „Tak się dzieje, jak nie płacisz”.

Johnno.

Ogień pałacy nogę niósł się po całym ciełe niczym białe, żywe płomienie. Nie ujdzie mu to na sucho.

W oddali rozbrzmiały syreny, pospiesznie się zbliżały, aż zatrzymały się przy budynku.

Kiedy wyszedłem, Marisol rozmawiała z policjantem. Od migających kogutów ściany stawały się na przemian niebieskie i czerwone. W oknach bloku pojawiło się kilka twarzy zaciekawionych sąsiadów. Niektórzy mieszkający po drugiej stronie ulicy otworzyli drzwi i stali za moskitierami.

Pokuśtykałem w stronę Cassie.

– Co im tak długo to zajęło?

Założyła krótkie pasemko włosów za ucho. Cień przemknął po jej twarzy.

– Ciesz się, że jesteś biały, inaczej leżałbyś na ziemi z kolanem przyciśniętym do pleców.

Pokiwałem głową, wciąż zdenerwowany.

– Chciałbym zapłacić za okna twojej mamy i za telewizor – powiedziałem Cassie.

Spojrzała na mnie zdeorientowana.

– Nie o to mi chodziło. Nie musisz tego robić.

– Wiem, ale chcę.

Wzruszyła ramionami, ziewnęła i ponownie zadrżała.

– Jestem zbyt zmęczona, by się obrażać z powodu twojej litości.

– Zimno ci? – zapytałem.

Powieki jej ciążyły.

– Tak.

– Zabrać cię do domu? Przyjechałem autem Rity. – Nie wyglądała, jakby mogła prowadzić. Wyglądała na osobę, która natychmiast powinna iść spać.

– Nie trzeba. Chcę zostać z mamą jeszcze przez chwilę – wyznała. Pomachała mi i odeszła. – Na razie.

Zawahałem się, po czym wsiadłem do auta Rity. Patrzyłem na Cassie i jej mamę, gdy jechałem powoli ulicą, a migające światła nieco mnie oślepiały. Patrzyłem, aż stały się jedynie dwoma ciemnymi postaciami, kulącymi się w nocy. Następnie skręciłem i zniknął mi obraz tego, co Johnno – co ja im narobiłem.

CASSIE

Policja odjechała, a my zabiłyśmy okna deskami. Zapytałam mamy, czy chce, bym z nią została, czy woli jechać do mnie, ale zbyła mnie machnięciem ręki.

– Idź spać, *mija*. Nic mi nie jest.

Zaciskałam palce na kierownicy. Opuszki mrowiły. Nie chciałam znów budzić Toby'ego, więc skręciłam do siebie, tłumiąc ziewnięcie. Drogi były opustoszałe, na sygnalizatorach migły żółte światła. Obraz rozmywał mi się przed oczami, całe ciało oblał zimny pot.

Cholera, ależ byłam zmęczona. Było wpół do czwartej, ale chodziło o coś więcej. Jedzenie. Powinnam coś zjeść. Zapomniałam telefonu z mieszkania, co oznaczało, że nie słyszałam alarmów. Na szczęście miałam do domu dziesięć minut jazdy. Nic mi nie będzie. Aby czymś się zająć, ponownie przeanalizowałam listę utworów na jutrzejszy wieczór.

Mieliśmy zacząć od *Merlina*, bo piosenka była cholernie funkowa. *Be Still* zawierała w sobie romantyzm. Prosto z melodii harfy miało nastąpić przejście do głośniejszej piosenki Nory *Bear Creek*.

Nieco zakręciło mi się w głowie, a samochodem zarzuciło na prawo. Potrząsnęłam nią i wysiliłam wzrok, by skupić go na drodze. Dobra, na czym skończyłam?

Dalej miała być *Too Much*, potem nieco wolniejsza *Frankie*, następnie *Vibes*, ulubiona publiczności *Lucy*. Zakończyć mieliśmy *Green Heron*, utworem dla mojej mamy.

Kiedy zaparkowałam przed budynkiem, miałam całkiem zdrętwiałe palce, a czoło mokre od potu. Musiałam wejść do mieszkania, usiąść i zjeść batonika zbożowego, który na wszelki wypadek znajdował się w mojej torebce. Jednak postanowiłam jeszcze chwilę posiedzieć w aucie, opierając się o kierownicę.

Dobra. Odetchnęłam głęboko. *To na górę. Idziemy. Musimy tam wejść.*

Kiedy na drżących nogach udało mi się przejść przez drzwi, od razu zaczęłam szukać batona.

Luke nadal nie spał.

– Dobrze się czujesz?

Usiadłam obok niego na kanapie, wciąż szukając.

– Cholerna torebka – wymamrotałam. – Stanowi zagrożenie dla zdrowia.

Drżałam coraz bardziej. Przed oczami pojawiły się mroczki. *Tak dobrze sobie do tej pory radziłam z utrzymywaniem właściwego poziomu cukru we krwi*, powiedziałam w myślach do

samej siebie.

– Niech to szlag. – Uświadomiłam sobie, że przestałam poruszać palcami, które w tej chwili zimne spoczywały nieruchomo w torebce.

– Cassie?

Głowa zrobiła się za ciężka. Opuściłam ją do przodu. Uniosłam ją. Opadła do tyłu. Ponownie ją uniosłam.

Luke wstał. Słyszałam, że coś robi w łazience.

A potem przestałam słyszeć cokolwiek.

Mrok.

Czułam opakowanie żelu przy ustach.

– Proszę – powiedział Luke. – Masz żel na języku. Poruszaj językiem, Cass. No dalej.

Chłodny żel spłynął mi do gardła. Mimowolnie przełknęłam. Przed oczami pojawił mi się sufit.

– O tak – mówił Luke. – Zostań ze mną.

– Jestem – wychrypiałam i przesunęłam głowę, by było mi wygodniej, co oznaczało, że położyłam ją na ramieniu Luke'a. Mittens ciepłym, lepkiem językiem polizała moją dłoń.

– Ile trzeba czasu, by zaczęło działać?

– Jakieś dwadzieścia minut. Odpocznę tu sobie. Może być?

– Oczywiście. To twoja kanapa.

– O tak – rzuciłam i parsknęłam kiepskim śmiechem. Serce Luke'a biło gwałtownie. – Dobrze się czujesz?

– Tak jakby... odpłynęłaś. Twoja twarz była nieruchoma. Cholernie mnie wystraszyłaś. – Dotknął mojej głowy, przesunął palcami po moich policzkach.

Usiadłam i na niego spojrzałam.

Strach w jego oczach łączył się z czymś innym, z czymś mocniejszym – potrzebą bycia przy kimś, aby ten ktoś nie bał się, że zostanie sam.

Rozpoznałam to. Czułam to, gdy po raz pierwszy wysiadł z mojego auta i odszedł. Czułam te obawy o to, że stracę... Co? Do czego się przywiązałam?

Ponownie położyłam głowę na jego piersi i skierowałam się w stronę tego strachu. W pewnym stopniu już tam byliśmy, bo kiedy dwa razy tej samej nocy przeżywasz bliskie spotkanie ze śmiercią – raz umierałam ze strachu o mamę, a raz bałam się o siebie – nie czujesz, byś miał zbyt wiele do stracenia.

– Byłeś przy śmierci Frankiego?

Luke milczał. Mittens położyła łeb na jego udzie.

– Tak.

Wcześniej mówił, że Frankie został zastrzelony, że byli na tym samym patrolu, ale nie wiedziałam, jak blisko siebie przebywali. Chciałam się dowiedzieć z pierwszej ręki.

Luke ciągnął:

– Chodzi ci o to, czy widziałem jego ciało?

– Tak, o to. Czy to zbyt straszne? Nie musisz o tym mówić. – Nie wiedziałam, dlaczego powstała we mnie ta ciekawość, ale chyba gdzieś w podświadomości nadal temu zaprzeczałam i wydawało mi się, że zobaczę go w tłumie na ulicy. *Czy mieliśmy pewność, że nie uciekł i nie znalazł innej drogi do domu?*

– Było spokojnie. Rozmawialiśmy o pieprzonych kartach z pokemonami – umilkł. – Wow, nigdy wcześniej nie pamiętałam, o czym dyskutowaliśmy.

– Gadaliście o kartach z pokemonami? Serio?

– Tak. Jechaliśmy na rutynowy zwiad nad tamę. Rooster mówił, że Charizard jest

najlepszy, a Frankie się z nim wyklócał. Twierdził, że Lugia to najlepszy pokemon, bo jest strażnikiem morza. I wtedy zaczęli strzelać, ktoś, i nie pamiętam kto, dał znać, żebyśmy wysiedli. Co było głupotą. Nie powinniśmy byli wysiadać.

Kiedy Luke opowiadał, jego głos rozbrzmiewał w jego piersi, tuż pod moim policzkiem. Niemal słyszałam słowa, nim wychodziły z jego ust.

– I co dalej? – dopytywałam.

– Dalej, cóż, stałem z tyłu humvee, a Frankie i Rooster po jego bokach. Dostałem w nogę, a ich zabito.

Poczułam wilgoć we włosach. Luke otarł nos, a ja milczałam.

– Upadłem i zacząłem ciągnąć Frankiego do siebie, by mieć pewność. Sprawdziłem jego puls. Zamknąłem mu oczy.

Cieszyłam się, że po raz ostatni widziałam Frankiego, gdy się śmiał i posyłał buziaczki. Że nie musiałam zapamiętać go w ten sposób.

– Dobrze postąpiłeś.

– Tak, ale wiesz... – Pierś uniosła się, gdy się zaśmiał. – To były jego ostatnie słowa. „Lugia to najlepszy pokemon, bo jest strażnikiem morza”.

Parsknęłam głośnym śmiechem, bo przybyło mi nieco energii.

– To takie do niego podobne. Idealne.

– Tak... Tak. – Odetchnął drżąco. – Żałuję jedynie, że nie powiedziałem im, by nie wysiadać. Ale byłem szeregowym, wiesz? Powinniśmy ufać kapitanowi.

Uniosłam głowę i na niego spojrzałam.

– Zrobiłeś tylko to, co byłeś w stanie.

– Może. – Jego oczy przybrały bardziej srebrzysty odcień, łzy nadal tkwiły na rzęsach. Zastanawiałam się, czy jego tęczęwki zawsze się tak zmieniały, gdy płakał.

Pochylił się. Wiedziałam dlaczego i miałam świadomość wszystkiego, co nie zostało wypowiedziane. Ustami odnalazł moje wargi w powolnym, miękkim pocałunku. Zamknęłam oczy. *Bezpieczna*, pomyślałam. *Czuję się bezpiecznie*.

Wtedy wybuchł głód pożądania, więc złapałam go za ramiona i przyciągnęłam jeszcze bliżej. Nie opierał się, objął mnie w talii, zacisnął palce na materiale mojej koszulki.

Powiodł ustami na moją szyję, obojczyk, dekolt.

Usiadłam na nim okrakiem, gdy przesuwał dłońmi po moich plecach, aż na tyłek, po czym wrócił w górę, wsadzając je pod koszulkę. Dotyk skóry przy skórze zszokował nas oboje. Słyszałam, że Luke gwałtownie wciągnął powietrze i zamarłam.

Pomyślałam o Tobym, który spał w domu, o Lorraine, która mruczała przy jego piersi. Przypomniałam sobie, co mu obiecałam. Nawet już wtedy było to kłamstwo. Z jakiegoś powodu nie mogłam odnaleźć wyrzutów sumienia tam, gdzie powinny być. Moje ciało nie potrafiło zrozumieć tego, co właśnie robiliśmy. Co właśnie zrobiłam ja. Mogłam jedynie myśleć o tym, że pragnę więcej.

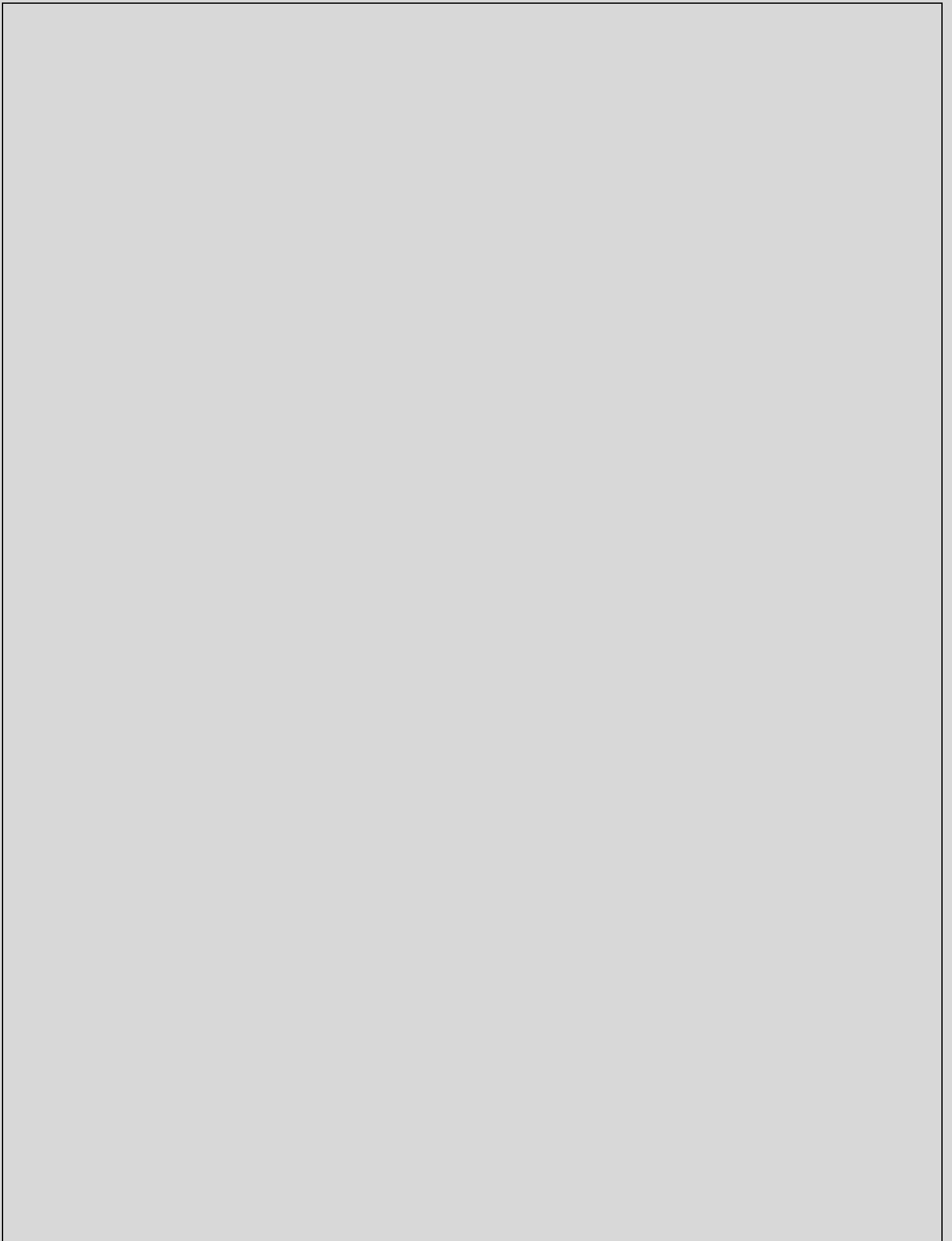
– Hej – powiedział Luke, patrząc mi w twarz.

Zeszłam z niego, usiadłam na kanapie, wciąż pospiesznie oddychając. Grzbietem dłoni otarłam wilgotne usta.

– Hej.

Luke również próbował zapanować nad oddechem. W jego oczach nie dostrzegłam żalu.

Uśmiechnęłam się do niego, nie do końca zaskoczona uczuciem, które się we mnie zrodziło, tym samym, które powstawało, gdy odnajdywałam właściwe nuty. Było nowe, ale i stare, jakbym żywiła się czymś, co już tam się znajdowało, i choć wcale się nie ukrywało, odnalazłam je na nowo.



LUKE

Upewniwszy się, że Cassie śpi, zgasilem światło w salonie i włożyłem buty. Pies poderwał się z miejsca i zaczął merdać ogonem.

– Nie teraz, Mitts. Zaraz wracam – szepnąłem.

Byłem na adrenalinowym haju, co stanowiło przeciwieństwo zamglonej głowy.

Wciąż miałem kluczyki do samochodu Rity. Chciałem to zrobić zaraz po tym, gdy dostałem wiadomość od Johnno, ale lepiej było to zrobić teraz, gdy wiedziałem, że Cassie leży bezpiecznie w łóżku, a on wrócił do siebie.

Wyjechałem na autostradę, lewą stopą wciskałem pedał gazu w volvo Rity, jak tylko mogłem, uważając przy tym na policję. Drogi jednak były opustoszałe.

Przejął. Wykroczył poza tabletki, pieniądze i jakąkolwiek pozycję, którą zbudował sobie na ulicy. I mógł na mnie żerować, dopóki nie wyczyści mi kieszeni, nie wysie mnie do cna, dopóki nie zrujnuje mi życia, żeby było puste jak jego egzystencja. Wstać, nagrzać się, załatwić każdego, kto stanie na drodze.

Ale teraz, gdy niemal się wyrwałem, uświadomiłem sobie, że tylko grał. Pieprzył mi w głowie tylko dlatego, że mógł. I groził wszystkim moim bliskim. Jeśli to, co czułem wobec Cassie, było prawdziwe, oznaczało, że albo nie będzie mogła być dłużej częścią mojego życia, albo on musiał się odczepić. Musiały zniknąć on, jego groźby i moje nieistniejące długi.

Wybrałem Cassie. Oczywiście, że wybrałem ją.

Pomyślałem o tym, jak wyglądała dziś z szeroko otwartymi oczami, dzierząc kij baseballowy, gdy jej mama kulila się za samochodem. Te kobiety nigdy nie powinny znaleźć się w takiej sytuacji. W mojej piersi zbudziła się bestia i nie wiedziałem, skąd się wzięła i dlaczego akurat teraz, ale kiedy pomyślałem o tym, że Cassie śpi, a on może się jej przyglądać, a później zranić, zapragnąłem zetrzeć go z powierzchni ziemi.

Skręciłem w Budzie na ulicę, przy której mieszkał, i wyłączyłem światła. Podjechałem powoli do krawężnika i wjechałem na zaniedbany trawnik.

Drzwi miał zamknięte na klucz. Wyjąłem jedną ze swoich dawno dezaktywowanych kart kredytowych, wsunąłem w szczelinę i kombinowałem, aż zamek puścił. Sztuczki tej nauczyłem się, o ironio, od Johnno.

Przeszedłem korytarzem, kopnąłem w drzwi jego sypialni i włączyłem światło.

Leżał w łóżku w bokserkach, pościel oplotła mu nogi. Na ścianie miał dwa plakaty, na

jednym dwie nagie nastolatki splecione w uścisku na leśnej ściółce, a na drugim reklamę filmu *Big Lebowski*.

– Wstawaj – poleciłem.

Poczekalem, aż podniesie się z materaca, po czym przyłożyłem mu kulę w brzuch. Zgiął się wpół.

Przed oczami stanęła mi nieruchoma twarz Cassie, gdy głowa uciekała jej do tyłu, była taka bezbronna, ponieważ uleciała z niej siła. Siła, która ją cechowała, gdy układała keyboard na stojaku, kiedy zauważała, że nie mogę do czegoś sięgnąć i mi to rzucała, gdy ze spokojem w oczach słuchała, jak opowiadałem o ostatnich chwilach życia Frankiego. Myśl, że działania Johnno wyssały z niej tę moc, choć nie zrobiła nic, aby na to zasłużyć, stłumiła ból w mojej nodze. Czulem chęć zbudowania czegoś dla niej, użycia rąk, aby połamać wszystko, co stanie jej na drodze.

Uderzyłem Johnno w plecy, przez skórę których wystawał kręgosłup i żebra.

Walnąłem go jeszcze dwukrotnie, ponownie leżał na łóżku.

– Po pierwsze, jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mojej rodziny, zabiję cię. Przysięgam.

Kątem oka dostrzegłem, że wsuwał rękę pod łóżko. Kiedy zamknął palce na pistolecie, mocno nastąpiłem na jego dłoń, aż poczułem, że kruszą się kości. Podniosłem broń.

– Po drugie, nie zapłacę ci już ani jednego pierdolonego centa. Koniec z tym.

Odbezpieczyłem broń przy jego żółtawym uchu.

– Zrozumiano?

Johnno nie odpowiadał, tylko ciężko oddychał.

Przycisnąłem lufę do jego kolana.

– Wiesz, że jestem zdolny, by strzelić ci w rzepekę. Pytałem, czy rozumiałeś.

– Tak, kutasie – odparł, a jego głos stłumiła pościel. – A teraz wypierdalaj.

Nie zamierzałem ryzykować, że pistolet wystrzeli i go zabiję, przez co będę miał kolejne wyrzuty sumienia, więc zabezpieczyłem go z powrotem. Kiedy tylko to zrobiłem, Johnno rzucił się do mojej prawej nogi, przez co całe moje ciało przeszył niewyobrażalny ból.

Zanim jednak się pozbierał, uderzyłem go rękojęścią broni w twarz.

– Ach! – Krew popłynęła z jego nosa i rozciętego czoła. Była bardzo czerwona. Uniósł rękę, zwijając się z bólu.

Wyszedłem z jego pokoju, jedną ręką celując w niego z pistoletu, drugą wspierając się na kuli.

Sapałem, gdy wróciłem do auta Rity. Uruchomiłem silnik, wycofałem z piskiem i obserwowałem, jak Buda maleje w lusterku wstecznym, na którym wisiał mały sosnowy odświeżacz powietrza. Wraz z chłodnym powietrzem wpadały do auta pierwsze promienie słońca.

Dostrzegłem znak kierujący na cmentarz, więc zjechałem. W radiu odtwarzali piosenkę Bowiego *Space Oddity*. Podgłośniłem na cały regulator, tak jak słuchała muzyki Cassie, aż dotarłem do bramy.

Ręce mi się trzęsły. Adrenalina zaczęła odpuszczać. Nigdy wcześniej nie pobiłem kogoś tak mocno.

Przeniosłem się z pustego asfaltu na autostradzie do cichej, zielonej oazy. Na grobie przyjaciela znajdowało się pełno kwiatów. Żółte i białe róże, margerytki, goździki, chryzantemy. Pewnie przynosiła je jego mama. Odsunąłem je na bok, by spojrzeć na jego imię.

– Cześć, Frankie. – Stałem w pobliżu płyty. – Brakuje mi ciebie, stary. Jestem jednak pewien, że dobrze się bawisz, gdziekolwiek jesteś. I miałaś rację, Lugia to najlepszy pokemon. – Usiadłem. – Cassie świetnie sobie radzi. Przetrwiała. Nie wiem, co spowodowało, że w nas

uwierzyłeś, ale cieszę się, że tak się stało. Cały czas o tobie myślę. A zwłaszcza ostatnio. Byłeś taki mądry. Pomogłeś tak wielu. – Zobaczyłem, że miałem garści pełne trawy, którą powyrywałem, gdy mówiłem. – Przepraszam – pokajałem się przed wszystkimi duszami i rzuciłem żdźbła na wiatr. – Chyba czuję coś do Cassie – wyznałem, testując te słowa w ustach. *Uczucia do Cassie*. Brzmiało dobrze, jak tytuł piosenki. – Całowaliśmy się – spróbowałem raz jeszcze. Jeszcze lepiej, bo dotyczyło nas obojga. Co ja w ogóle wygadywałem?

Z ciszy wyłaniała się jedynie Cassie. Jej czarne włosy, szczerość, głos, inteligencja, miejsce, w którym stykały się jej uda, miny, które robiła, gdy siedziała przy komputerze. Sens życia, który odczuwałem w jej towarzystwie. Nawet gdybym jedynie miał słuchać jej śpiewu do końca życia, zdecydowałbym się na to.

– Co ja gadam, Frankie? To ty jesteś ekspertem od emocji. – Wstałem i dotknąłem jego płyty nagrobnej. Przypuszczałem, że powinienem porozmawiać w cztery oczy z Cassie.

CASSIE

Obudziłam się, bo Mittens dyszała mi w twarz. Miałam dziwny sen. Późnym rankiem stałam w salonie naprzeciwko kanapy. Słońce wpadało do środka przez wychodzące na podwórze okno. Kwiatki zniknęły z doniczek, zamiast tego łodygi i liście wyrastały spomiędzy szczelin w deskach podłogowych, pnącza wspinały się po ścianach, kwiaty opadały, lądując na moich bosych stopach. W jakiś sposób zasadziłam tu te rośliny, powinny tu być, aby koić mnie ciepłem i spokojem.

Usiadłam na łóżku, usłyszałam płynącą z salonu muzykę oraz głos, który fałszował. Utwór to *Going to California* zespołu Led Zeppelin, a głos należał do Luke'a.

Pogłaskałam psiaka po głowie, włożyłam spodenki i koszulkę na ramiączkach.

Wszystko w salonie było takie, jak we śnie, prócz tego, że kwiatki znów rosły w doniczkach. W jakiś sposób wydawały się bujniejsze. Zamarłam. Słońce świeciło. Luke przebywał w kuchni, kuśtykał przy kuchence. W powietrzu pachniało smażonymi jajkami.

– Dzień dobry! – zawołałam.

Nie słyszał mnie przez muzykę i przez to, że przedrzeźniał Roberta Planta. Starłam się stłumić śmiech, uniosłam rękę, nakazując Mittens leżeć. Luke był odwrócony do mnie plecami, mieszał coś łyżką na patelni.

– Dzień dobry! – powtórzyłam.

Obrócił się do mnie zaskoczony. Był bez koszulki.

– O, dzień dobry! Tak, przygotowuję...

– Jajecznice?

Luke wciąż był anomalią w moich pomieszczeniach, zbyt duży, aby się zmieścić, a zwłaszcza teraz, gdy stał taki wysoki w mojej ciasnej kuchni. I zwłaszcza po wczorajszej nocy. Wróciło wspomnienie. Splecione ciała. Zastanawiałam się, dlaczego nie powstrzymaliśmy się, zanim doszło do tego, do czego doszło. A potem zaczęłam myśleć, dlaczego w ogóle przerwaliśmy. Odchrząknęłam.

Wskazał łyżką na kuchenkę.

– Przygotowuję jajecznice i pracuję, no wiesz, nad wokalem.

– Dobrze. Powinieneś śpiewać covery Led Zeppelin.

Parsknął śmiechem.

– Tak. I nazwać się Flet... Kotlet...

– Nic nie rymuje się z Zeppelin – zapewniłam, nalewając sobie wody do szklanki. – Wierz mi, próbowałam.

Zostawiłam go przy kuchence i uśmiechnęłam się do siebie w lustrze w łazience. Myślałam o jego rosnącym zainteresowaniu muzyką. Dziś nie pierwszy raz puścił którąś z moich płyt. Tak jak mówił, był fanem klasycznego rocka, ale mogłam też włączyć coś nie do końca rockowego i łypałby na mnie z zaciekawieniem.

Wyszliśmy w tym samym czasie: ja z łazienki z umytą twarzą, on z kuchni z dwoma talerzami.

Usiedliśmy. Postawił na stole zwykłą parującą jajecznicę i grzanki z awokado. Kiedy po raz ostatni tu byliśmy, tuliliśmy się. Pomógł mi dojsć do siebie. Płakał w moje włosy. Teraz przypadkowo dotykał mnie łokciem, gdy wkładał grzankę do ust, starając się, aby okruszki spadały na stół, a nie na całą jego ortezę.

– Co będziesz dziś robić? – zapytał z pełnymi ustami.

Parsknęłam śmiechem.

– Będę jadła jajecznicę z awokado.

– Tak? – Ugryzł kolejny kęs. – Brzmi dobrze.

– A ty co będziesz robił?

Przełknął.

– Będę jadł awokado z jajecznicą.

– Ha. Kto by pomyślał?

Przybiegła Mittens z wywieszonym językiem. Przesunęliśmy talerze z dala od jej pyska. Wstałam, wyłączyłam Led Zeppelin i włączyłam *Hair Receding* Xenii Rubinos. Między brwiami Luke'a powstała zmarszczka, uniosły się nieco kąciki jego ust, gdy słuchał.

– Wiedziałam – rzuciłam.

– Co?

– Nazywam tę minę twoją nową twarzą. – Obramowałam ją palcami.

– Moją nową twarzą?

– Twoją nową twarzą. Pojawia się za każdym razem, gdy wychodzisz ze swojej strefy komfortu. To przez piosenkę i chodzi o to. – Wyciągnęłam rękę i dotknęłam zmarszczki pomiędzy jego brwiami. – Miałeś ją również, gdy włączyłam utwory grupy Dirty Projectors. I kiedy jadłeś frytki z batatów.

Również dotknął tego miejsca, wzruszył ramionami i spojrzał na mnie.

– Przypuszczam, że często mam ją przy tobie.

– Hej! – Przysunęłam się do niego o centymetr i klepnęłam go żartobliwie.

Nie odsunął się.

– To nic złego. – Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Nie – potwierdziłam.

Zamilkliśmy na chwilę, jedząc nasze śniadanie.

Nasze. Rośliny w doniczkach kwitły, choć cały swój wolny czas poświęcałam zespołowi. Luke je podlewał. Pomyślałam o moim śnie i poczułam wdzięczność. Zapytał, co będę dziś robić, i zdałam sobie sprawę, że chcę być tutaj albo gdziekolwiek indziej, otoczona spokojem, wiedząc, że Luke jest przy mnie. Wczoraj w nocy próbowałam nie nadawać temu nazwy. Mogłam sobie wmawiać, że jestem nazbyt zmęczona, dezorientowana, rozdarta po naszej rozmowie o Frankiem i chciałam, aby mnie ktoś pocieszył.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, siedząc obok mnie. Pokiwałam głową, niezdolna spojrzeć na niego w tej chwili. Patrzyłam więc na jego rękę.

Ponieważ siedzieliśmy tutaj rozbudzeni, najedzeni, a ja wiedziałam, że nie chciałam

w nocy, by tulił mnie jakikolwiek inny mężczyzna – pragnęłam, by był to konkretnie on.

LUKE

Siedząca obok mnie na kanapie Cassie zwinęła się w kłębek i przyciągnęła kolana do piersi. Widok skóry na plecach, którą odsłoniła podwinięta koszulka, spokojnego oddechu, pofalowanych czarnych włosów luźno opadających na kark budził w mojej piersi pewną tkliwość. Wróciłem z cmentarza, ale nadal nie wymyśliłem, jak poruszyć temat tego, ile dla mnie znaczy, co znaczymy dla siebie nawzajem. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Próbowałem się zdrzemnąć, nim się obudzi, jednak nie zdołałem zasnąć. Wziąłem więc prysznic. Włączyłem cicho muzykę i uświadomiłem sobie, że nauczyłem się na pamięć słów piosenki. Przygotowałem jajecznicę i grzanki z awokado.

A teraz pragnąłem, by wtuliła się w moją nagą pierś i została tak na zawsze. Nie chciałem zbliżyć się do niej, nie będąc pewnym, czy odwzajemnia to uczucie, nie wiedząc, czy to, co się wczoraj wydarzyło, nie było jedynie przypadkowe, ponieważ oboje byliśmy w emocjonalnej rozsypce.

– Mogę cię o coś zapytać?

Przytaknęła, wciąż trzymając podbródek przy kolanach, zapatrzona przed siebie.

– Kiedy wczoraj rozmawialiśmy... – zacząłem.

Nagle się przesunęła, by siedzieć ze mną twarzą w twarz i patrzeć mi w oczy. Nie obróciłem głowy.

Ale teraz, gdy uważnie słuchała... nasłuchiwała czegoś ważnego, miałem sporo do powiedzenia. Jednak nie było mowy, bym czegoś przy tym nie pomieszał. Zacząłem więc powoli.

– Rozmowa o Frankiem wiele dla mnie znaczyła. I nie miałem okazji ci podziękować.

– Dla mnie to również wiele znaczyło – wyznała. – I...

– I... – powtórzyłem natychmiast po niej. Umilkliśmy, czekając, co powie to drugie, po czym parsknęliśmy śmiechem.

– Mów – zachęciła.

– Nie, ty mów – poleciłem.

– Cóż – zaczęła i przełknęła ślinę. – Myślałam o tym, co wyrwało mi się na grillu u twojego taty. To znaczy na jego strychu. Kiedy wyznałam, że gdybyś więcej o sobie opowiadał, nasze życie byłoby trochę łatwiejsze.

Pamiętam, co zrodziło się wtedy we mnie, gdy pokazałem jej odznaczenie taty.

– No tak.
– I ostatnio mówisz coraz więcej.
– Staram się.
– Zauważyłam w tobie zmianę – przyznała, następnie pokręciła głową i uniosła rękę. – Nie żebyś wcześniej był złym człowiekiem – dodała.

– Byłem.
– To znaczy? – zapytała prędko.
Kolejny krok w kierunku prawdy. Uświadomiłem sobie, że przestałem oddychać. Szczerłość była dla mnie nowym doznaniem. Nie nieprzyjemnym, ale wciąż nieco mnie szokowała. To niczym wskoczenie do zimnego basenu. Najprawdopodobniej miałem tę „nową twarz”, o której wcześniej mówiła. Próbowałem rozluźnić mięśnie i ponownie nabrać tchu.

– Wszedłem w tę relację dla pieniędzy, ale teraz to się zmieniło. – Prawda była odświeżająca, wręcz oczyszczająca. Chciałem wziąć Cassie za rękę.

– Tak, tak – powiedziała, siadając prosto. Denerwowała się. – Tak – powtórzyła. – W moim przypadku również się to zmieniło.

Moje serce drgnęło.

Widziałem, że zerknęła na leżący na stoliku kawowym telefon. Prawdopodobnie myślała o Tobym. Działała ostrożnie. Ponownie na mnie zerknęła.

– Teraz, gdy jesteśmy przyjaciółmi – ciągnęła i słowo „przyjaciele” uderzyło we mnie, choć nie powinno. – Zastanawiam się, dlaczego potrzebne były ci te pieniądze. To znaczy, chodzi mi o powód twojego zadłużenia.

– No tak. – Ta część prawdy była twarda jak lód, który musiał pęknąć. Powróciło uczucie kruszących się pod moją stopą kości Johnno. Przed oczami miałem obraz, jak mój były diler zwija się z bólu na łóżku. – Przepraszam, powinienem był ci o tym powiedzieć już dawno temu.

– To nic – przyznała cicho. – Teraz też nie musisz mi mówić. Ale kiedyś...

– Nie. Chcę, żebyś wiedziała – przyznałem i miałem nadzieję, że nie wyglądało, jakbym cierpiał, choć naprawdę to bolało. Oto moje zgniłe wnętrze. Prawda, która była jak wąż w wodzie i nie należała do przyjemnych. Chciałem wyznać jej miłość, a nie nakreślać obraz siebie, przedstawiając się gorszym, niż kiedykolwiek mogła to sobie wyobrazić. Byłem przestępcą. Nawet zanim sfingowaliśmy małżeństwo, byłem ćpunem, złodziejem, a także okropnym synem i beznadziejnym bratem.

– Możesz mi powiedzieć – zachęcała. Wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do góry i położyła ją na kanapie między nami. Wziąłem ją i starałem się nie ścisnąć za mocno.

Jeśli zamierzałem wyznać prawdę o tym, jak musiałem oddać kasę za tabletki, które spuściłem w kiblu, musiałem również wyznać, że byłem wtedy zbyt naćpany, by wiedzieć, co robię. Później powinienem się przyznać, że niecałe dwa dni zanim spuściłem te pigułki w toalecie, Johnno musiał obudzić mnie mocnym kopniakiem, bo skruszyłem oxy, popiłem piwem i wyglądałem „jakbym nie oddychał”. Musiałem również wyjaśnić, że to nic takiego, bo od lat regularnie kruszyłem tabletki na proszek i albo wciągałem je nosem, albo mieszałem z alkoholem.

Jednak wtedy zastanawiałaby się, dlaczego to wszystko się działo, więc musiałbym wyjawić, że sam nie byłem pewien, że wiedziałem tylko, iż lepiej czułem się z zamgloną głową u Johnno niż we własnym domu, ponieważ byłem przekonany, że ojciec mnie nienawidził. Zapytałaby, dlaczego tak sądziłem, na co musiałbym odpowiedzieć, że nie wiem, jednak znacznie lepiej znałem uczucie nienawiści niż miłości. I jestem pewien, że teraz to miłość, więc jeśli mogłaby skupić się tylko na tym ostatnim, byłoby wspaniale.

– Luke? – Ścisnęła moją dłoń, wciąż przyglądając mi się szeroko otwartymi oczami.

– Byłem winny pieniądze kumplowi z mojego rodzinnego miasta – wyznałem. Wzrastały wyrzuty sumienia, bo nie mogłem wypowiedzieć właściwych... prawdziwych słów. Nie chciałem, by zamknęła oczy i zabrała rękę. – Straciłem coś... co było dla niego niebywale cenne. I przez dłuższy czas nie byłem w stanie mu za to zapłacić, więc zaczął naliczać odsetki. W ten oto sposób powstała spora suma.

Przynajmniej nie skłamałem. Zamyślona Cassie pokiwała głową.

– Co takiego straciłeś?

– Pracowałem dla niego, sprzedawałem... środki medyczne. – Odwróciłem wzrok. Cassie nie była głupia. Szczerłość wydawała mi się taka dobra, a teraz od niej odchodziłem. – I to naprawdę żenujące, że straciłem to w taki sposób. Byłem kretyńcem, bo stałem się dłużnikiem. Dlatego nie lubię o tym mówić.

– Rozumiem – powiedziała i położyła rękę na moim kolanie. – Nie mam więcej pytań, wysoki sądzie.

– Ale teraz już wszystko spłaciłem – wyznałem. Nie byłem gotowy, aby wstała i zapomniała o tym, do czego zmierzaliśmy.

Poruszyła się jednak powoli z niewielkim, niemal niewidocznym uśmiechem i wstała. Może pewnego dnia, kiedy minie trochę czasu, kiedy świeża krew z nosa Johnno nie będzie spływać do odpływu w umywalce. Kiedy Cassie nie będzie miała miliona innych spraw na głowie, jak na przykład bezpieczeństwo jej mamy, jak występ w Saharze, do którego przygotowywała się od miesiący, i głupiego pseudochłopaka, który wciąż się przy niej plątał, powiem jej o wszystkim – od początku do końca. Gdyby istniało jakieś „my”.

– Cassie – rzuciłem, opierając się pokusie, żeby poprosić, by ponownie usiadła i dotknęła mojego uda swoim. Nie całowałibyśmy się, ale po prostu byśmy siedzieli i głaskałbym ją po plecach.

Obróciła się, ściągając gumkę z włosów, a ja stchórzyłem.

– Co?

– Świetnie ci pójdzie na jutrzejszym koncercie.

Dostrzegłem coraz szerszy uśmiech na jej twarzy. Miałem jednak problem, aby odpowiedzieć podobnym. Cassie zasługiwała na to, by poznać prawdę, więc prędzej czy później będę musiał znaleźć sposób, by się przed nią wypowiedzieć. Nawet jeśli miało to oznaczać, że ją utracę.

CASSIE

W dniu występu pojechałam z Lukiem nad rzekę. Kiedy ćwiczył nogę, przeszłam z Mittens szlakiem w górę i w dół, pozwalając jej obwąchać każdy liść, korzeń i ślad. Po wczorajszym śniadaniu Luke natychmiast zasnął. Udałam się do Nory, żeby poćwiczyć, po czym Toby poprosił, bym u niego została. Zgodziłam się zbyt szybko, martwiąc się, że wyczuje moje wahanie albo wyrzuty sumienia. Chociaż miałam wielki mętlik w głowie, ochoczo skorzystałam z okazji, by nie wracać do swojego mieszkania. Nie potrafiłam się uporać z uczuciami do Luke'a, gdy był przy mnie, ponieważ przerastały mnie moje własne emocje. Musiałam się od niego odsunąć, by je rozpoznać, zastanowić się, skąd się wzięły i co dalej z nimi począć.

Ale te uczucia podążyły za mną. Były ze mną u Toby'ego, gdy leżałam przy jego boku, nie mogąc zasnąć, a dziś, chodząc po tych ścieżkach, rozmyślałam o dniu, gdy podarowałam Luke'owi psiaka. Przypomniałam sobie, jak zmieniła się, zmiękła jego twarz. Jak mówił czule do suczki, a w moim wnętrzu zrodziło się ciepło. Kiedy próbowałam myśleć o przyszłości, widziałam w niej tylko jego.

Doszłam do końca szlaku i zawróciłyśmy, a kiedy dotarłyśmy do Luke'a, on już na nas czekał. Poczułam, że żołądek fiknął mi koziołka.

– A czyj to taki słodki pyszczek? – Pochylił się i potarł nosem o futro Mittens. – Kto jest uroczym pieskiem? Cześć – powiedział do mnie, szczerząc zęby w uśmiechu, drapiąc pupilkę za uszami.

Odpowiedziałam podobną wesołością i wydusiłam:

– Hej.

Razem przeszliśmy do samochodu i z opuszczonymi szybami pojechaliśmy do domu.

Weszłam za nim powoli po schodach, a kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu, obrócił się do mnie.

– Cassie, możemy porozmawiać?

Serce mocniej mi забиło.

– Tak! Tak. Cieszę się, że ty... Tak, zdecydowanie powinniśmy porozmawiać.

Rzuciłam kluczyki na stół przy drzwiach i poszłam usiąść na kanapie. Zanim jednak się na niej znalazłam, dotknął mojej ręki. Stałam, czekając, cała czerwona.

– Chcę ci o czymś powiedzieć. Od dawna się z tym noszę, ale nie mogłem... – Pokręcił głową i odetchnął głęboko, jakby musiał się przygotować. – Muszę być z tobą całkowicie

szczerzy.

– Dobrze – odparłam i parsknęłam nerwowym śmiechem. – Powinłam się bać?

– Nie. To nic strasznego. Chyba. Ale zrozumieć, jeśli cię to zdenerwuje – wyznał cichym, bardzo poważnym tonem. Skrzyżowałam ręce na piersi. – Powiedziałem ci, że byłem winien pieniądze kumplowi z rodzinnego miasta. I to prawda, ale nie do końca.

Pokiwałam głową i czekałam, aż dokończy. Nie byłam głupia. Wcześniej celowo podałam niejasne wyjaśnienie. Założyłam, że zrobił to dla mojego dobra. Był moim partnerem w interesach, nie powiernikiem. Przynajmniej tak miały się sprawy jeszcze kilka dni temu.

Luke szukał słów, a kiedy nie zdołał ich znaleźć, spojrzał mi prosto w oczy.

– Był moim dilerem.

Popatrzyłam na niego zszokowana.

– Dilerem czego? – zapytałam.

– Oxycontin. I jakichkolwiek innych opiatów, które wpadły mi w ręce. Vicodinu. Ale głównie było to oxy.

Podświadomie wiedziałam, że jego huśtawka nastrojów nie była normalna. Przez cały czas walczył, by pozostać trzeźwy, kuszony prochami, które miały mu pomóc. Pamiętałam, gdy dał mi zatyczki do uszu, po czym głowa opadła mu na ramię.

– Od jak dawna?

Skrzywił się, walcząc ze łzami. Wyciągnęłam rękę i ścisnęłam jego ramię.

– Przepraszam. – Otworzył oczy. – To trudne. Zacząłem brać rekreacyjnie, gdy byłem nastolatkiem. Dwa lata temu uświadomiłem sobie, że jestem uzależniony. Ale nie potrafiłem tego rzucić. Poszedłem więc na odwyk, zaciągnąłem się do wojska... i oto jesteśmy.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu, że jesteś zdrowiejącym nałogowcem? – Szukałam w sobie złości, poczucia zdrady, że nie był ze mną szczerzy. Ale kiedy się w niego wpatrywałam, gdy ścisnął kulę, stojąc na sztywnej nodze i garbił się, aby nie upaść, nie mogłam niczego znaleźć. Widziałam przed sobą jedynie mężczyznę, który przeszedł przez piekło.

– Nie sądziłem, byś chciała być... – Zaznaczył palcami cudzysłów. – ...z osobą, która miała na sumieniu tego typu rzeczy.

– Masz na myśli, czy zostałabym twoją żoną? – Uśmiechnęłam się.

– Tak.

– Cóż. – Powróciło trzepotanie w żołądku. – Chciałabym, byś był ze mną szczerzy...

Odpowiedział uśmiechem, który najpierw był niechętny, ale później stał się prawdziwy.

– Nie jesteś zła?

– Nie cieszy mnie to, ale... – Wzruszyłam ramionami. – Też brałam co nieco na studiach. To mogło przydarzyć się każdemu. Zwłaszcza z opiatami. One... – Westchnęłam. – Nie zazdroszczę ci. – Przełknęłam ślinę. – To co teraz?

– Oddałem mu całą kasę, którą byłem mu winien, i jesteśmy kwita. – Przynął się do mnie.

Z jakiegoś powodu obudził się we mnie niepokój. Może to opóźniona reakcja? A może fakt, że opowiadał o swoim dilerze? Nie znałam całej historii, ale nie byłam pewna, czy już chcę ją poznać.

Zapytałam „co teraz”, mając na myśli jego trzeźwość, jednak w głównej mierze chodziło mi o to, co teraz z nami będzie.

– Kiedyś był moim dilerem. Ale to już przeszłość. Zatem tak, stawiam na trzeźwość. Chcę być trzeźwy jak... – Szukał powiedzonka.

– Trzeźwy jak świnia? – podsunęłam, próbując się uśmiechnąć, otwierając i zamykając dłonie, starając się otrząsnąć z wrażenia, że coś owinęło się ciasno wokół mnie. – Nie dam rady

poświęcić ci za dużo czasu przed koncertem, ale chcę wiedzieć więcej. I pragnę ci pomóc.

– Jasne. Tylko... chciałem ci o tym powiedzieć. W każdym razie... – urwał i pokręcił głową. Z jakiegoś powodu wcześniejsze odczucie jeszcze mocniej się wokół mnie zacisnęło. – Nie będzie już nikogo więcej niepokoił.

Poczułam chęć, aby go przytulić, ale coś mi tu nie pasowało. Sposób, w jaki sformułował ostatnie zdanie, sprawił, że zamarłam.

– Co masz na myśli, mówiąc „nikogo więcej”?

Luke otworzył usta, po czym je zamknął. Zniknęło całe opanowanie, jakie mu towarzyszyło przy poprzednim wyznaniu. Nie chciał nic dodać do tego, co jako ostatnie opuściło jego usta. Zaczął się więc jękać.

– Cóż, no, ciebie i mnie...

– Co? – Czegoś mi nie mówił. I wtedy to do mnie dotarło. Istniał powód, dla którego w jego oczach płonął gniew, gdy dwa dni temu wyszedł z mieszkania mojej mamy. Dla którego zaproponował, że zapłaci za telewizor. Żółć podeszła mi do gardła.

– Nie. Nie. Czeka, serio? Nie.

– Co?

– Chyba zaraz się zrzygam – rzuciłam.

Poczułam, że się przysunął.

– Cassie...

– Nie zbliżaj się do mnie. – Zacisnęłam dłonie w pięści. Oparłam się pokusie, by go nimi uderzyć. – Czy to twój diler narobił tych wszystkich szkód mojej mamie? Czy to ty na nią to wszystko ściągnąłeś? Powiedz prawdę.

Próbował patrzeć mi w oczy, ale nie potrafił. Uniósł ręce do twarzy.

– Tak, to on – odparł pustym głosem.

– To moja matka! – krzyknęłam. Moja piękna mama, moje serce, moja jedyna krewna, a musiała się kulić za samochodem. Na ulicy wybrudziła spodnie od piżamy. Zmieniła język na hiszpański, gdy rozmawiała z policjantami, ponieważ tak była roztrzęsiona, że nad sobą nie panowała.

– Wszystko już załatwiłem – ciągnął, opuszczając ręce. – Wierz mi.

– Jak niby mam ci wierzyć?

– Zająłem się nim, Cassie – wyznał nieco ciszej. – Mówię poważnie. Jesteś bezpieczna. To stanowi dla mnie priorytet, zwłaszcza teraz.

– Mam to gdzieś.

Teraz. Mówił o tym, co stało się wczoraj, dzień wcześniej i na długo przed tym. Moje uczucia do niego stawały się coraz silniejsze, ale dałam się nabrać na każde kłamstwo, które wyszło z jego ust. Byłam ślepa.

– Zdaję sobie sprawę, że nie zmienię tego, co zrobiłem, i biorę za to pełną odpowiedzialność.

Miałam ochotę parsknąć gorzkim śmiechem.

– Nie możesz zaproponować, że zapłacisz za telewizor i oczekiwać, że wszystko będzie w porządku. – Wybito okna w mieszkaniu mojej mamy. Na szkle pocięła bosa stopy.

– Nie wiedziałem, że się do tego posunie. Niemal go wczoraj zabiłem, Cass.

Milczałam.

– I nie podoba mi się to, co mu zrobiłem, ale postąpiłbym tak raz jeszcze. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. – I znów patrzył na mnie zszokowany. Tego również nie zamierzał mówić. Wpatrywał się we mnie, prawie nie mrugając. Słyszałam, jak oddycha. – Jeśli chcesz zapomnieć o tym, co jest między nami, nigdy się już do mnie nie odezwać i być z Tobym, to w porządku.

Ale przynajmniej musisz się dowiedzieć, że coś do ciebie czuję. Właśnie dlatego jestem z tobą szczery. Do wszystkiego się przyznałem. A kiedy się całowaliśmy, pragnąłem tego.

– Przestań – rzuciłam. Byłam na niego tak wściekła, że słowa utknęły mi w gardle. Próbował załagodzić sytuację. Starał się rozproszyc mój gniew. I to akurat dziś. W najważniejszym dniu mojego życia. – Muszę iść na próbę dźwięku.

Skierowałam się do drzwi.

Ale się zatrzymałam. Powiedziałam zimnym tonem, patrząc pod nogi:

– Chcę, byś zniknął, Luke. Nie przychodź na koncert. Nie wracaj tu. Skontaktuję się z tobą w sprawie rozwodu.

– Czekaj – szepnął. To jedna z tych chwil, gdy jego ból był tak wielki, że byłam w stanie wyczuć jego mękę. Trzasnęłam jednak drzwiami i zbiegłam ze schodów, odcinając się od wszystkiego.

LUKE

Nie chciałem tego zaakceptować. Stałem pod jesionem naprzeciwko mieszkania Cassie, niedługo po tym, gdy wyszła z Tobym. Spakowaną torbę wojskową zarzuciłem na plecy, w jednej ręce trzymałem smycz Mittens, drugą podpierałem się na kuli i wiedziałem, że nie tak to powinno się skończyć.

Może Cassie nie żywiła do mnie takich samych uczuć jak ja do niej, może się bała, ale nie tak to miało wyglądać. Do diabła, może po czymś takim nie będziemy się nawet przyjaźnić, ale oboje zbyt mocno walczyliśmy, aby zbudować sobie nowe życie, żeby Johnno tak łatwo je zniszczył.

I miałem świadomość, że nasze życia na zawsze zostaną złączone. Chociaż nie wiedziałem w jaki sposób i kiedy, ale miałem pewność, że nie odetniemy się od siebie tak łatwo.

Zatem tak, może miałem złudzenia.

To jedna z najlepszych rzeczy przy uzależnieniu – jesteśmy świetni w oszukiwaniu samych siebie. Możemy to robić aż do końca.

Na przykład w tej chwili zaczynałem myśleć, że przydałaby mi się zamglona głowa.

Ponieważ właśnie wyrwano mi serce i pozostała po nim ziejąca dziura.

A zamglona głowa była dobra w wypełnianiu dziur.

Jednak pomyślałem o Jake'u. O tym, co mu zrobiłem, gdy po raz pierwszy łyknąłem oxy, kiedy próbowałem uciec od świata.

Dzisiejszy dzień wcale nie był wyjątkowy. To kolejny dzień w piekle, jeśli się nad tym zastanowić. I każdy wyrwał dziurę, może nawet dwie lub trzy. Kiedy o tym myślałem, dochodziłem do przekonania, że reszta mojego życia będzie wyglądała jak ratowanie tonącej łodzi. Kiedy tamowało się jeden przeciek, który wywoływał ból, pojawiał się kolejny.

Ale przynajmniej nie byłem sam.

– Prawda, Mittens? – zapytałem i podrapałem ją po głowie.

Szczeknęła.

– I dokąd powinniśmy iść?

Nie wiedziałem. W tej chwili nie miałem gdzie się podziać. Rozciągała się przed nami ulica. Może jeśli ruszę z miejsca, może jeśli obejdę dzielnicę, Cassie będzie czekała na mój powrót, wezmę ją w ramiona i jakoś się nam ułoży.

Upuściłem torbę przy drzewie i oparłem kulę o jego pień. Zapętlilem smycz wokół

nadgarstka, by Mittens zbyttno się ode mnie nie oddaliła, upewniłem się, że mam zawiązane buty i ruszyłem.

Szedłem szybko, całym ciężarem ciała naciskając na zranioną nogę. W takim samym stopniu obciążałem ją, co drugą kończynę. Każdy krok tworzył wyrwę w mojej świadomości i bolało jak diabli.

Ale zaraz przestało. Zatem przyspieszyłem. Dodałem mojemu poruszaniu się nieco sprężystości. Serce pompowało krew do każdego zakończenia nerwowego i z powrotem. Kości się nie połamały. Wszystko działało dokładnie tak, jak powinno.

Ciało jest cudem, wiedziałaś o tym, Mittens?

Mijałem dom za domem i odczuwałem ból, ale czułem też, że żyję.

Suczka biegła obok mnie z wywieszonym językiem.

W gardle mi zaschło, płuca paliły przez brak kondycji, ale byłem przebudzony... żywy.

Nie musiałem wiązać bólu z czymś innym, z odległymi rzeczami, w których odnajdywałem spokój. Znalazłem go w sobie.

Biegłem.

CASSIE

– Próba pierwsza – powiedziałam w pustym lokalu, gdy promienie późnopołudniowego słońca oświetlały błądy neon i błyszczące ściany. Każdego innego dnia byłby to triumf, gdy wyobrażałam sobie, że moja muzyka trafia do wszystkich, wypełniając całą przestrzeń. Prześladowała mnie jednak zszokowana, zgorzkniała twarz Luke’a. Narkotyki, groźby, wybite okna w mieszkaniu mamy. Luke, na którego kolanach siedziałam. Odrobina śliny spływająca z kącika jego naćpanych ust. Ćwiczenia. To, jak opuścił ręce, gdy wyznawał mi prawdę. Wszystkie okłamane przez niego osoby, o których wiedziałam czy też nie, którzy wszędzie za nim podążali niczym duchy. Wprowadziłam truciznę do własnego domu. Wspomnienie ust Luke’a na moich, gdy przeszedł mnie dreszcz aż do kości, jakby prąd, który wywrócił moje emocje do góry nogami. Podobnie jak w momentach, gdy mam za niski poziom cukru we krwi albo gdy nie byłam w stanie zapłacić czynszu.

Ale w tej chwili był zapłacony, a ja w łazience sprawdzałam poziom cukru.

– Cassie? – zapytała Nora. – Głośniej? Ciszej? Dźwięk ci się podoba?

Moje klawisze były białe, anonimowe. Nacisnęłam jeden i z palców spłynęła moc. W każdej chwili mógł tu wejść. Obawiałam się, że to zrobi, ale bałam się również, że nie przyjdzie. Męski śmiech po drugiej stronie pomieszczenia sprawił, że się wzdrygnęłam. To tylko barman szykował się do pracy. Drzwi za nim zakołysały się i zamknęły. Dlaczego byłam rozczarowana, że to nie Luke? Oczywiście, że to nie był on. Zamknęłam oczy i wyobraziłam go sobie, gdy się śmiał. Wyobraziłam sobie, że leży przede mną na podłodze i się nie rusza. Dobrze. *Zostań tam, gdzie mogę cię widzieć. Żebyś wiedziała, że ponownie mnie nie skrzywdzisz.* Nacisnęłam kolejny klawisz, aby zagłuszyć myśli.

Obróciłam głowę do czekającej za mną Nory.

– Brzmi świetnie.

Godziny płynęły, światła zgasły, neon został włączony. Pojawili się klienci. Siedziałam w kącie, wygrywając akordy na udach, by mieć czym zająć ręce.

Nora zadawała mi pytania. Nie, nie byłam aż tak zdenerwowana. Denerwowałam się, ale nie do przesady. Tak, chciałam zagrać. To tak, jakbym chciała sterować blokiem betonu jak tratwą, którą poślę w przestrzeń. Tak, byłam zadowolona z oświetlenia. Podobało mi się, bo wyglądaliśmy, jakbyśmy znajdowali się w środku gigantycznej czerwonej pomarańczy. Ilu według mnie ich tam było? Oj, nie wiedziałam. Brzmiało, jakby przyszło ich całkiem sporo. Tak,

odezwał się facet z Wolf Records. Wylądował wcześniej na lotnisku. Nie, nie miałam pojęcia, jak wygląda.

O cholera, chyba nic z tego nie powiedziałam na głos?

Stanowiło to dla mnie pobudkę, jak pod wpływem gongu, który poniósł się ponad gwarem, niczym ta melodyjka, którą włączają przed rozpoczęciem filmu w kinie.

– Przepraszam – powiedziałam do Nory, która zaciągnęła mnie do czegoś, co wyglądało jak składzik. – Chyba jestem rozkojarzona.

– Dzięki Bogu, Cassie. Siedziałaś taka cicha – rzuciła. Usta pomalowała na fioletowo, więc jej wargi były zmysłowe i jędrne jak dwie śliwki. – Wyglądasz jak jedna z tych kobiet, które w dziewiętnastym wieku umierały na gruźlicę. Dobrze się czujesz?!

– Tak, ja... – zaczęłam, ale wraz z rosnącym gwarem zaczęły podstępnie powracać emocje. Przygryzłam wargę, by je powstrzymać, aż rozpocznie się koncert.

– Jeśli nie, nie musimy tego robić – przyznała.

– Och, musimy – odparłam. Musieliśmy wystąpić. To nasza szansa, by się wybić. I pieprzyć to. Jeśli rozpad fałszywego małżeństwa miał mnie powstrzymać przed zagranieniem największego koncertu w moim życiu, to naprawdę nie zasługiwałam na kontrakt płytowy. Kontrola była przereklamowana. Grałam, ponieważ to kochałam, i tyle. Gdybym chciała kontrolować swoje życie, nie byłoby mnie tutaj. Niezależnie od tego, co się stało, zbyt ciężko pracowaliśmy, by teraz odpuścić.

Przyciągnęłam ją do siebie za kołnierz długiej, czarnej, obcisłej sukni.

– Jestem gotowa, a ty?

Złapała mnie za policzki i przyłożyła fioletowe wargi do miejsca pomiędzy moimi brwiami. Nie wytarłam się.

Wyszliśmy ze składziku. Spojrzałam na Toby'ego, który puścił do mnie oko, rozgrzewając palce przy perkusji. Jakoś do tej pory udawało mi się go unikać. Nie miałam pojęcia, co mu powiedzieć, ani co czuć. Nie wiedziałam, co się z nami stanie. Ale wszystko to będzie musiało poczekać.

Stojąc za kulisami, spojrzałam na publikę. W kącie z torebką na kolanach, trzymając stopy w granatowych crocsach na podpórcie wysokiego stołka, siedziała mama. Rita odeszła od baru z dwoma kieliszkami białego wina i jeden jej podała.

Nawiązałam z mamą kontakt wzrokowy. Jej uśmiech ukoił moje dreszcze i wątpliwości. To pierwszy występ, przy którym mama nie chciała, abym zesza ze sceny i była kimś innym.

Nora wzięła gitarę, wydobyła z niej trzy głębokie dźwięki.

Stanełam za klawiszami. Muzyka odtwarzana w głośnikach lokalu zamilkła, a publiczność zaczęła wiwatować.

Serce właśnie wyrwano mi z piersi, pozostawiając ziejącą dziurę.

Niekiedy oznaczało to więcej miejsca dla muzyki.

– Panie i panowie, dziękujemy, że tu z nami jesteście – powiedziałam do mikrofonu. Struktura klawiszy pod opuszkami palców była tak znajoma, jak tych w casio, które miałam jako mała dziewczynka. Spojrzałam prosto w wesołe oczy mamy. – Nazywamy się The Loyal.

LUKE

Kiedy skończyłem bieg, cały czerwony na twarzy i podekscytowany, z koktajlem z endorfin i rozdzierającego bólu w żyłach, przeszliśmy z Mittens resztę drogi.

Zbliżywszy się do miejsca startu, zobaczyłem, że pod jesionem, pod którym zostawiłem torbę i kulę, stoją dwie osoby. Dwóch mężczyzn w identycznych mundurach.

Endorfiny wyparowały. Pozostał jedynie ból. Ból i ściśnięty na supeł żołądek.

Gdy znalazłem się kilka metrów od nich, wyższy pokazał odznakę.

Żandarmeria. Rozpoznałem ją. Pamiętałem, że tata miał taką samą. Serce przyspieszyło. Johnno. Naprawdę nas zgłosił. To było raczej nieuniknione.

– Starszy szeregowy Luke Morrow?

Pomyślałem, by zaprzeczyć. Zastanawiałem się, czy ponownie nie sprawdzić wytrzymałości nogi w biegu, aby cieszyć się kilkoma dodatkowymi minutami wolności, zanim mnie aresztują. Stało się. Miałem ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem, chociaż tak naprawdę moja sytuacja wcale nie była wesoła.

– To ja – odparłem zdecydowanie, pilnując, by głos mi nie zadrżał.

– Musi pan iść z nami.

– Dlaczego? – zapytałem, choć znałem powód.

– Jest pan aresztowany.

Nie potrafiłem się powstrzymać i spojrzałem na drugą stronę ulicy, gdzie znajdowało się mieszkanie Cassie. Gdyby tu była, może zdołałaby ich przekonać, pokazać, że nie byliśmy oszustami, za jakich nas mieli. Moglibyśmy razem opowiedzieć im bajkę. Ale nigdzie nie zauważyłem subaru.

Puściłem smycz Mittens i uniosłem rękę.

– A mógłbym podrzucić psa sąsiadce?

Suczka patrzyła na mężczyzn, jakby byli jej nowymi przyjaciółmi.

Wyższy skinął głową.

W kieszeniach poszukałem zapasowego klucza do mieszkania, bo przypomniałem sobie, że Rita była w tej chwili na koncercie Cassie. Tam, gdzie i ja powinienem być. Gdzie chciałem być. Mittens spojrzała na mnie znacząco, gdy zamykałem drzwi, po czym obróciła się i pobiegła w głąb mieszkania. Czuję, że moje mięśnie rozluźniły się do granic możliwości i dopadły mnie skutki zmęczenia. Po raz pierwszy odkąd miałem dziewiętnaście lat, odkąd poznałem Johnno, nie

będę musiał oglądać się za siebie. To koniec. Johnno zrobił najgorsze, co był w stanie mi zrobić. Mittens, Rita i Cassie były bezpieczne, ponieważ znalazłem się z dala od nich. Pozbyły się ciężaru, który przytłoczył jednak mnie. Był okropny, zbyt wielki, ale miałem to gdzieś. Nie chciałem dłużej żyć bez konsekwencji swoich czynów, ponieważ przez to wszystko traciłem. Omijały mnie zarówno złe, jak i dobre rzeczy.

To, gdy wyższy żandarm wziął moją torbę, a niższy położył stanowczą dłoń na moich plecach, wydawało się złe.

Ale w torbie nie znajdowała się fiolka z lekami. Leżała w śmietniku, w mieszkaniu kobiety po drugiej stronie ulicy. Wszystko wokół mnie się rozmywało – chodnik, jesion, pot, który wciąż ze mnie kapał, zimne kajdanki na moich nadgarstkach, dobro, zło...

Dobrowolnie poszedłem z nimi do samochodu.

CASSIE

– Cholera jasna, Cassie – mamrotała w kółko Nora, czepiając się moich pleców, gdy schodziłyśmy ze sceny jako jedna, dziwna, spocona istota. – Cholera jasna, cholera jasna...

Zagraliśmy nawet bis. Nic nie zostało. Daliśmy im po prostu wszystko.

Wciąż słyhać było publikę.

Po koncercie Toby wskoczył w tłum, żeby przywitać się z dobrym znajomym. W tej chwili przedzierał się pomiędzy ludźmi, ponad rozwrzeszczanym tłumem widziałam jego szeroki uśmiech ze szparą między zębami. Kiedy do mnie dotarł, złapał za ramiona i kołysaliśmy się na boki, rechocząc. Jednak nie mogłam znajdować się w jego objęciach zbyt długo, bo zaraz poczułam ucisk w gardle i pomyślałam o Luke’u.

Jego obraz w mojej głowie ciążył mi jak kamień na sercu. *Dupek. Cholerny gnojek. Nie przyszedł.*

– Chcą podpisać z nami kontrakt – powiedział w moje włosy.

Odsunęłam się i spojrzałam na niego.

– Co?

– Co? – powtórzyła Nora. Wpatrywała się intensywnie w Toby’ego.

– Chcą podpisać z nami kontrakt – powiedział tym razem głośniejszym głosem, zataczając koło palcem. – Przyjaciół słyszał, jak facet z wytwórni rozmawiał z właścicielem Sahary. Mogą nawet nas polecić, żebyśmy zagrali jako support ich największych gwiazd.

– Trasa koncertowa! – krzyknęła Nora. – Pojedziemy w trasę!

– Nadal tu jest?

Nora i Toby trzymali się za ręce, skacząc w kółko i pokrzykując.

– Jedziemy w trasę, jedziemy w trasę, jedziemy w trasę...

Musiałam się roześmiać.

– Szybko, wyciągnij telefon! – polecił Toby, ignorując moje pytanie, wpychając mnie do garderoby. – Może zaraz do ciebie zadzwonić.

Kiedy tylko skończył mówić, komórka zaczęła wibrować. Poklepałam Toby’ego i Norę, wskazując na ekran.

Stali objęci, wpatrując się we mnie.

– Halo?

– Cassie?

To nie brzmiało jak nowojorski głos Josha van Rittera. Akcent był teksański, głos zmęczony.

– Tak? – zapytałam, odsuwając się od moich towarzyszy.

– Tu Jacob Morrow. Senior. Ojciec Luke’a.

– Dobry wieczór. – Dech uwiązał mi w gardle.

– Mam kiepskie wieści. Luke został aresztowany.

Pieprzony dupek, pomyślałam i natychmiast wybuchnęłam płaczem.

LUKE

Zostałem oskarżony o oszustwo i wyłudzenie. Zatrzymano mnie na noc w pomieszczeniu wielkości pokoju, w którym mieszkaliśmy z Frankiem i Roosterem w bazie Leatherneck. Za łóżko robiła ławka wyłożona winylem. Obok ze ściany wystawała toaleta. Cela mieściła się przy korytarzu, z którego zerkali na mnie przechodzący żołnierze, spieszący, by gdzieś indziej wykonywać swoje zadania.

Zasnąłem i spałem głębszym snem niż kiedykolwiek wcześniej, tracąc rachubę czasu i to, czy był ranek, czy wieczór.

Kiedy się obudziłem, postanowiłem określić porę w ten sam sposób, w który robiłem to u Cassie. Krępy, łysiejący żołnierz podający mi gumowate coś, twierdząc, że to jajecznicza, oznajmił, że jest dziewiąta. Ciemnoskóry żołnierz w okularach, który przyniósł kanapkę z mielonką oraz nieświeże płatki kukurydziane, mówił, że jest koło południa.

Musieli zapomnieć o obiedzie. Nie przechodził nikt prócz żołnierza z podwójnym podbródkiem, który grał na telefonie i nawet nie zauważył, że siedzę w celi.

Zacząłem wymyślać plan na przyszłość, jak już stąd wyjdę, bez względu na to, kiedy to nastąpi. *Spotkania anonimowych narkomanów dwa razy w tygodniu. Licencjat bez niczyjej pomocy. Przynajmniej jedna książka przeczytana na tydzień.* I na koniec, co miało być najtrudniejsze, o czym z egoistycznych powodów nieustannie myślałem, ale wiedziałem, że nie mogę się złamać: *zostawić Cassie w spokoju.*

W końcu, krótko po tym, gdy krępy łysol przyniósł trzeci posiłek w postaci gumy, powiedzieli, że adwokat wyznaczony przez sąd pojawi się u mnie późnym popołudniem.

Wiedziałem, jak załatwia się sprawy w takim miejscu – mogłem zadać góra trzy pytania, nim stracą cierpliwość albo poczują, że podważam ich autorytet, więc będę musiał się zamknąć i dostosować do ich warunków.

Na początku zapytałem o Cassie. Czy ją również zgarnęli?

– W tej chwili nie mamy na ten temat żadnych danych, szeregowy.

Następnie zapytałem, kiedy odbędzie się rozprawa.

– Damy wam znać, szeregowy.

Wiedziałem, jak powinno brzmieć trzecie pytanie, ale się wahałem, wiedząc, że może to być strata czasu. Wątpiłem, by tata przyjechał do Austin tylko po to, aby zobaczyć, jak ponownie spieprzyłem. Jeśli jednak wkrótce stanę przed sądem wojskowym i nikt nie wpłaci kaucji, mogę

siedzieć za kratami aresztu, dopóki nie trafię do więzienia. Nie wiedziałem, kiedy będę miał szansę z nim porozmawiać. Chciałem mu wyjaśnić. Pragnąłem, by tu był.

CASSIE

Siedzieliśmy na patio w restauracji Mozart's, czekając na ustalenie warunków kontraktu płytowego, który mógł okazać się wyłącznie mitem. Wysłałam po koncercie The Loyal z mętlikiem w głowie, szczegóły tego, co przekazał mi tata Luke'a, zapisałam sobie na ręce znalezionym w garderobie mazakiem. Powiedział, że lepiej, żebym trzymała się z dala aż do rozprawy, na której zostaną mu formalnie postawione zarzuty, chyba że zostanę wezwana. W zależności od tego, do czego przyzna się Luke, mogło być gorzej. Mogli i mnie aresztować. Wczoraj powiedziałam o tym Norze i Toby'emu. Wyznałam, że nie czuję się dobrze i poszłam do domu, zamknęłam za sobą drzwi i leżałam w ciemności, bo nie mogłam zasnąć.

Teraz mieliśmy się spotkać z Joshem Van Ritterem z Wolf Records. Dostałam naraz dwie informacje: dobrą i złą. Los mógł iść w dwie różne strony. Nie tknęłam herbaty.

Zaczęły się kłopoty. Nie miałam pojęcia, co dalej. Nie wiedziałam, z jakimi konsekwencjami przyjdzie mi się mierzyć. Nie miałam świadomości, jak to działało. Nie potrafiłam powiedzieć, czy zostanę wezwana i kiedy to nastąpi. Zostanę świadkiem? A może również oskarżoną? Czy odciągną mnie od przyjaciół, zakują w kajdanki i pozwolą im oglądać, jak zabierają wszystkie moje marzenia?

– Jakieś wieści? – zapytała Nora, sięgając przez stół, by wziąć mnie za rękę, po czym upiła łyk kawy.

– Jeszcze nie – odparłam. Żadnych. Rano napisałam do Jake'a, ale nie odpowiedział.

Luke spakował swój niewielki dobytek do torby i wyszedł. Mittens chodziła po mieszkaniu przez całą noc, węszyła po kątach i go szukała. Za każdym razem, gdy udało mi się przysnąć, budziłam się na dźwięk jej pazurów na podłodze i czekałam na odgłos skrzypiącego drewna pod jego ciężarem lub przyciszonego głosu, jak się do niej odzywa. Nieustannie o nim myślałam. Odszedł. Odszedł, a ja go nienawidziłam, a jednocześnie w pełni mu wybaczyłam. Nienawidziłam go, ponieważ mu wybaczyłam i chciałam przeprosić za tę nienawiść. I na dodatek brakowało mi go. Tęskniłam za nim, nawet jeśli był kłamcą. Jednocześnie nienawidziłam go i za nim tęskniłam.

Toby zarzucił rękę na oparcie mojego krzesła.

Ulicą przejechał radiowóz. Wzdrygnęłam się.

Josh podszedł do naszego stolika z latte w dłoni. Przez jego wielkie okulary widoczne były przyjazne oczy. Miał brodę. Wyglądał, jakby miał kaca.

– Cześć, Cassie! Szukałem cię po koncercie – wyznał, siadając i podając mi rękę. Zbyłam go gestem.

– Przed koncertem dopadło mnie jakieś przeziębienie i się rozchorowałam – skłamałam. – Przepraszam, ale nie chcę, żebyś się zaraził.

– Żaden problem – powiedział i przedstawił się Toby’emu i Norze, którzy, ściskając mu dłoń, uśmiechali się od ucha do ucha. – No dobrze. – Położył ręce na blacie. – Nie mam za wiele czasu, bo muszę jechać na lotnisko, ale pozwólcie, że wyjaśnię to, czego się domyślacie.

– Dziękuję – powiedziałam i wróciło nieco ekscytacji z wczoraj, przez co odrobinę się wyprostowałam.

– Zastanawiamy się, czy zdołacie wykrzesać taką energię, powiedzmy na dwudziestu koncertach zamiast na jednym.

– Oczywiście – odparł Toby.

Również go miałam o tym zapewnić, ale telefon dał znać o nadejściu wiadomości. Wzdrygnęłam się. Nie chciałam być niegrzeczna i sprawdzać jej w tej chwili, ale nawet nie musiałam tego robić, żeby wiedzieć, że pochodziła od Jake’a.

Josh ciągnął:

– Wydaje nam się, że idealnie pasowalibyście z zespołem Dr. Dog. Brzmia jak brytyjski rock z lat sześćdziesiątych, a wy nowocześniejszy i ostrzej. Bardziej minimalistycznie, no i z kobiecą przewagą.

– Bardzo chętnie – przyznał Toby. – Zawsze stanowili dla nas wielką inspirację.

– No tak – zgodziła się Nora. – Prawda, Cass?

– Tak – powiedziałam natychmiast, próbując zapanować nad mieszanymi uczuciami, które wzrastały we mnie, starając się nie dopuścić do tego, by wszystko to, co się teraz działo, mnie przytłoczyło. Odczuwałam ekstazę, ponieważ opłacała się cała nasza ciężka praca, mogliśmy wyruszyć w trasę koncertową, grać dla obcych, a ja miałam talent oraz samodyscyplinę, aby do tego doprowadzić.

A potem pojawiła się rozrywająca to szczęście możliwość, że do cna zniszczyłam nasze nowe życie, zanim zdołało się rozpocząć.

Nora złapała mnie pod stołem za rękę.

Objęłam ją obiema dłońmi i z wdzięcznością mocno ścisnęłam.

– Zatem... – Josh wstał i wskazał na mnie palcem. – Przykro mi, że jesteś chora.

Posłałam mu wymuszony uśmiech.

– Porozmawiamy, kiedy się lepiej poczujesz. Tymczasem – powiedział i otworzył ramiona w naszą stronę – wyczekujcie ode mnie e-maila z umową. I miejcie czas za jakiś tydzień, licząc od teraz, gdy Dr. Dog będą w Galveston, okej?

– Okej! – rzuciła Nora, siląc się na wesołość, gdy ponownie uściskała mu dłoń.

Kiedy odszedł, spojrzałam na wiadomość od Jake’a, która brzmiała: „Luke i tata spotykają się dziś z jego prawnikiem. Dam ci znać, jeśli będzie się miała odbyć rozprawa”.

– Cholera.

Pokazałam to Norze i Toby’emu.

– Cóż, możemy być przynajmniej dobrej myśli – powiedział powoli Toby, nerwowo bębniąc palcami na blacie. – A poza tym, hej! Ten facet, który odchodzi, wyśle nam kontrakt do podpisania!

Nie mogłam odnaleźć w sobie dobrych myśli, o których mówił Toby. Zaczęłam się zastanawiać, co właściwie oznacza więzienie. Co oznaczało dla Luke’a, a co dla mnie. Karę. Samotność. Odcięcie od wszystkich. Ból sięgający daleko, dotykający również mnie. Zaczęłam się trząść nad chłodną herbatą.

– Przyniosę ci trochę ciepłej wody – powiedziała Nora, marszcząc brwi. Wstała i odeszła.
– No weź, Cass. To będzie proces Luke’a, nie twój – stwierdził Toby. – Prawda?

– Jesteśmy małżeństwem. W końcu to będzie również mój proces, T.

Pokręcił głową z pewnym siebie uśmiechem.

– Jego będzie gorszy. Miał dilera, a to przecież szemrane interesy. Prawdopodobnie mogłabyś nawet obrócić to tak, by wyszło, że cię w to wmanipulował.

Zacisnęłam dłonie w pięści.

– Nigdy bym mu czegoś takiego nie zrobiła.

– Przemyśl to. – Przełknął ślinę. Wyciągnął rękę, aby otrzeć moje łzy. – No przecież niebawem wyruszamy w trasę, Cass.

Wskazałam na telefon, na który przyszła wiadomość.

– Może nie być zespołu, który wyruszy w trasę. Skłamałam. Również jestem oszustką.

Szukał właściwych słów, w dezorientacji mrużąc oczy, gdy przysunął się do mnie.

– Chyba nie zamierzasz oddać się w ich ręce?

– Nie, nie zamierzam – warknęłam. – Ale szczerze mówię ci o tym, co się dzieje.

– Dobra, bądźmy zatem szczerzy – powiedział i uderzył ręką w stół. – Bądź, kurwa, szczerą.

Wyrzuciłam rękę w górę.

– Co? Co niby mam ci powiedzieć?

– Kochasz go! – krzyknął, unosząc brwi.

Wróciła Nora z niewielkim dzbankiem. Przygryzła wargę, ostrożnie postawiła naczynie na stoliku.

Toby odetchnął powoli. Jego twarz przybrała łagodniejszy, smutniejszy wyraz. Założył włosy za uszy i odchylił się do tyłu.

– Wariujesz, bo go kochasz. Zawsze wiedziałem, że tak jest – wyznał. – Przez cały czas. Próbowałem to ignorować.

Zaparło mi dech. Nie mogłam przyznać mu racji, ale nie mogłam też zaprzeczyć, a z osobą, która była odpowiedzialna za moje uczucia, nie potrafiłam się skontaktować.

Nagle byłam tak zmęczona, że ledwo utrzymywałam głowę w pionie. Wzięłam dzbanek, dolałam sobie wrzątku do herbaty. Czułam, że Toby cały czas się we mnie wpatruje. Spojrzałam w jego słodkie, smutne oczy.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Wciąż zaciskał zęby.

– Kurwa, nie wierzę – powiedział. – Muszę się napić.

Nora podeszła do nas i położyła dłonie na naszych ramionach.

– Po pierwsze, przyniesiemy Cassie jedzenie. Potem pojedziemy do Handle Bar. Ale bez względu na to, co się stanie, ten zespół to przetrwa. Będziemy się razem smucić i razem świętować.

– Zrobimy obie te rzeczy? – zapytałam, starając się stłumić płacz.

– Obie – zapewniła.

LUKE

Siedziałem w kolejnym pomieszczeniu, mniej więcej o połowę mniejszym od mojej celi, o metalowych ścianach, w którym nie było nic oprócz stołu i trzech krzeseł. Kiedy drzwi się otworzyły, nie spuszczałem wzroku ze swoich skutych rąk. Wyczułem woń oleju silnikowego, soli i nasion słonecznika. Uniosłem głowę.

– Cóż – zaczął tata, powoli siadając naprzeciwko mnie – nie powinieneś mieć gości.

– Nie.

– Ale powiedziałem im, że też byłem wojskowym i prawdopodobnie wpłacę kaucję, więc mnie wpuścili. I tak z fałszywego małżeństwa robią zbyt wielką sprawę. Strata pieniędzy.

Zauważyłem, że podobnie siedzieliśmy. Obaj zostaliśmy zranieni w prawą stronę ciała.

– Nie musisz wpłacać kaucji. Chciałem tylko...

Machnął ręką z surowym wyrazem twarzy.

Umilkłem.

– Dziękuję.

– Jake skontaktował się z Cassie, jak chciałeś.

Na dźwięk jej imienia poczułem, że coś we mnie pęka.

– Czy ona...? – zacząłem.

Uniósł rękę.

– Ale poleciliśmy jej, by się nie pokazywała, no chyba że będzie musiała.

– Tak. Zatem jej nie aresztowali.

– Nie. Przynajmniej jeszcze nie.

– Pierdolony Johnno. – Ugryzłem się w język, aż poczułem krew.

Skrzyżował ręce na piersi i czekał na wyjaśnienia. Historia jednak była za długa. Zawsze za długa... Nic nie było proste czy dobre.

Zmarszczył gęste brwi i zmrużył oczy, patrząc na mnie. Przypuszczałem, że zastanawiał się nad tym, jak mogłem być jego synem. Jakim cudem mogliśmy dzielić geny.

– Czy wiesz, jak to jest odczuwać rozczarowanie, synu?

– Tak. – *Codziennie.*

– Nie, często myślę, że nie wiesz. Nie sądzę, byś kiedykolwiek wiedział. Ponieważ gdybyś wiedział, wierzę, że nie wywoływałbyś tego uczucia u bliskich.

Miał zamiar ponownie wstać i wyjść. Po raz drugi planował się ode mnie odwrócić. Nie

mogłem na to pozwolić.

– Wiem – odparłem. – I jestem rozczarowany sobą. Popeliłem błąd.

– Jeden błąd to nie problem, Luke. Chodzi o to, że zdecydowałeś się wieść życie, w którym takie coś jest akceptowalne. Kiedy twoja egzystencja to seria pomyłek, przestają one nimi być. Stają się po prostu życiem.

– Tato – powiedziałem, zaciskając dłonie w pięści. Potrzebuję cię.

– Myślałem, że się zmieniłeś.

– Zmieniłem się. Rozmawiam z Jakiem. Chodzę na spotkania anonimowych narkomanów. – Pomyślałem o życiu, jakie sobie wybrałem i o konsekwencjach. Nie miałem nic do stracenia. – Śmierć mamy naprawdę źle na mnie wpłynęła, tato. – Odetchnąłem. – I tęskniłem za tobą. Kocham cię.

Odchrząknął, włożył ręce do kieszeni.

– Spodziewam się, że zostaniesz zwolniony dyscyplinarnie z wojska.

– Być może, przynajmniej dopóki nie zrobią nic Cassie.

– Nikt tego nie zagwarantuje.

– Może nie, ale chcę się o to postarać.

Tata milczał przez chwilę.

– Co to znaczy?

W tej samej chwili wszedł prawnik. Mężczyzna w podobnym do mnie wieku, pochodzenia azjatyckiego, z gęstymi czarnymi włosami przyciętymi nad okularami w plastikowych oprawkach. Miał na sobie mundur.

– Nazywam się Henry Tran, jestem adwokatem Armii Stanów Zjednoczonych.

Uścisnął nam dłonie, po czym usiadł obok taty, naprzeciwko mnie.

– Więc – zaczął i przeczytał dokument. – Został pan aresztowany pod zarzutem zawarcia fikcyjnego małżeństwa celem wyłudzenia dodatku mieszkaniowego oraz świadczenia rozłąkowego, co stanowi naruszenie artykułu sto trzydziestego drugiego Wojskowego Kodeksu Karnego.

Milczeliśmy przez chwilę. Tato otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściłem go do głosu.

– Byliśmy małżeństwem. I tyle. To wszystko, co inni muszą o tym wiedzieć.

– Zgadzam się, szeregowy Morrow. Oficjalne stanowisko Departamentu Obrony jest takie, że małżeństwo to indywidualna decyzja małżonków, ale sąd nie rozstrzyga kwestii, powodów, dla których ktoś decyduje się na legalizację związku. – Uniósł ręce, by zaznaczyć cudzysłów. – Problem pojawia się zazwyczaj przy tym, czy jest pan w stanie dostarczyć służbom dokumenty potwierdzające, że jesteście małżeństwem w świetle prawa.

Uśmiechnąłem się. Tato spojrzał na mnie przez stół, marszcząc brwi. Zignorowałem go, prostując po kolei palce, myśląc o Frankiem, jego namawianiu, naleganiu na wypełnienie każdej luki.

– Mamy akt małżeństwa, nagranie z oświadczyn oraz świadków, którzy widzieli nas przed ślubem i po nim jako parę...

Zerknąłem na tatę, który wpatrywał się w prawnika, unosząc brwi. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jak byłem przygotowany.

Zamyślony Henry odezwał się powoli.

– Czy oskarżyciel mógłby zdobyć dowody na to, że państwa małżeństwo zbiegło się w czasie z państwa problemami finansowymi?

Przełknąłem ślinę. Mógłby. Mógł poszukać i zobaczyć, że pieniędzy na moim koncie przybywało i gwałtownie ubywało, gdy płaciłem Johnno. Mógł sprawdzić, że Cassie została

zwolniona z kancelarii. Ale gdybym był w stanie powstrzymać śledztwo... Położyłem dłoń płasko na stole i się pochyliłem.

– Mógłby, ale to nie będzie istotne. Jeśli się na to powoła, zeznam, że ożeniłem się z nią, ponieważ się kochaliśmy i chcieliśmy sobie pomóc. Przed chwilą pan mówił, że sąd nie rozstrzyga kwestii, powodów dla których ktoś decyduje się na legalizację związku.

Tata poruszył się na krześle. Nie miałem pewności, ale wydawało mi się, że lekko skinął mi głową.

– Ponadto może dowodzić zamiaru oszustwa. – Henry odchrząknął. – W telefonicznym zgłoszeniu podano informację o niewierności małżeńskiej pani Salazar. To osłabiłoby twierdzenie o miłości i wsparciu.

Wspomniałem głos Kaza i szydercze spojrzenie Johnno. „Dlaczego pozwalasz jej na takie zagrywki, ziom?”

– Jeśli nie... – wydusiłem. Próbowałem nie krzywić się na myśl, że Cassie obściskiwala się ze swoim perkusistą. – Bez względu na to, co kto widział, jeśli nie uznaję jej zdrady, to mnie nie zdradziła. I to również zeznam. – Czułem na sobie spojrzenie taty. Wpatrywałem się jednak w prawnika i kontynuowałem: – Cassie wspierała mnie, gdy byłem na misji w Afganistanie i opiekowała się mną dniami i nocami, gdy wróciłem ranny, na co mamy dowody. Była żoną, gdy liczyło się to najbardziej, i to wspaniała.

Przez twarz prawnika przemknęło dyskretne zdziwienie, gdy ponownie wziął teczkę do rąk i zaczął przerzucać dokumenty. Po chwili włożył ją sobie pod pachę i skinął głową.

– Szeregowy Morrow, rozprawa najprawdopodobniej odbędzie się za kilka dni. – Uśmiechnął się szerzej. – Doradzam, by trzymał się pan wersji, którą pan właśnie przedstawił. Radzę również podać mi listę świadków, którzy mogą potwierdzić autentyczność państwa związku. I na koniec radzę nie przyznawać się do winy.

Opowiedziałem o Ricie, Jake’u i nagraniach, po czym Henry powiedział nam, że to zależy oczywiście od zaangażowania oskarżyciela, ale najprawdopodobniej nie będziemy musieli się powoływać na te dowody. Wstał. Zanim wyszedł, spojrzał na mnie, następnie na tatę.

– Już wcześniej byłem obrońcą w takich sprawach. Z tego, co widzę, łączy państwa coś prawdziwego.

Poczułem w sobie niewielkie ciepło, okrojona wersja tego, co pojawiło się, gdy dwa dni temu pocałowałem Cassie. Jeszcze nie było po sprawie, ale rzecz nabierała kształtu. Nawet nieznamy stwierdził, że to, co nas łączyło, było prawdziwe.

Tata obrócił się na krześle i spojrzał na drzwi, usłyszeliśmy kroki na korytarzu. Popatrzył na mnie i odezwał się cicho i szybko:

– Dobrze zrobiłeś. Kiedy złożyłeś zeznanie. Nie wmieszałeś jej w to. Nie pozwoliłeś nawet na taką możliwość.

– Tak. Chcę ją trzymać od tego jak najdalej.

Uniósł głowę.

– Zależy ci na niej, co?

– Jasne, że tak – powiedziałem prędko, bo miałem co do tego pewność. Nigdy wcześniej niczego nie byłem tak w życiu pewien.

– Dobrze – skwitował tata i wstał. Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Wyciągnijmy cię stąd.

Istnieje fotografia z dnia, w którym urodził się Jake. Tata trzyma na niej małego, opatulonego kocykiem fioletowego ziemniaka jak piłkę do futbolu. Usta układają mu się w wyraz radości i zachwyty. Ze wzruszeniem w oczach spogląda na mamę, która robiła to zdjęcie.

Kiedyś przysłała mi do głowy dziwna myśl, że tata, choć nie ze swojej winy, nie przeżył

takiego momentu podczas moich narodzin. Właśnie dlatego nieustannie go rozczarowywałem, ponieważ nigdy nie nawiązaliśmy więzi, a ja nie wiedziałem, że widzi we mnie syna.

Ale kiedy patrzyliśmy na siebie, zanim wyszedł z tego pomieszczenia, byłem pewien prawdziwości jednej z dwóch rzeczy: albo przez cały czas się myliłem i mieliśmy taką chwilę, by nawiązać więź ojca z synem, tylko po prostu o tym zapomnieliśmy, albo nigdy nie widziałem takiej miny na jego twarzy – wyrazu zaskoczenia, współczucia, podziwu, spojrzenia, które mówiło, że jestem zdolny do wielkich rzeczy. Dziś się odrodziłem.

CASSIE

Siedziałam na podłodze, otaczały mnie moje porozrzucane rzeczy. Zamarłam, gdy zadzwonił telefon i na ekranie wyświetliło się imię Luke'a. Przestał dzwonić, po czym znów zaczął. Nie mogłam odebrać.

Od chwili otrzymania wczorajszej wiadomości od Jake'a nikt się do mnie w jego sprawie nie odzywał, za to Josh van Ritter spełnił obietnicę i wysłał do nas e-mail. Jutro wyruszaliśmy na nasz pierwszy przystanek na trasie, do Galveston. Obok mnie znajdował się kubek termiczny do kawy, dwie pary majtek, nagrania Bruce'a Springsteena. Wszystko, co odebrałam od Toby'ego. Pił bourbona, ja wodę, gdy posłuchałam rady Nory i w końcu powiedziałam mu, że spałam z Lukiem. Kiedy się rozstawaliśmy, obdarzył mnie jedynie chłodnym uściskiem. W końcu sytuacja między nami się poprawi.

Poprawi się, jeśli oczywiście nie trafię do więzienia. Telefon znów się odezwał i na ekranie ponownie pojawiło się imię Luke'a. Wibracje przenosiły się na podłogę, jakby stukał w nią dzięcioł.

Co, jeśli śledczy grzebali coraz głębiej? Co, jeśli dzwonił, by powiedzieć mi, że policja już po mnie jedzie? Domysły chyba były gorsze niż wiedza. Odebrałam.

– Jestem na dole – powiedział.

Serce podeszło mi do gardła.

– Otwarte – odparłam i chwilę później usłyszałam na schodach jego ciężkie kroki. Musiałam zapanować nad drżeniem.

Jeśli oboje zostaliśmy oskarżeni o oszustwo, mógł poinformować mnie o więzieniu lub o jakiegokolwiek abstrakcyjnej formie uwięzienia, jaką wizualizowałam sobie w głowie od dwóch dni. Tak czy inaczej, przebywałam z ludźmi, którzy chcieli krzywdzić innych, którzy tam tkwią źli i pokonani przez świat. Nie, nie tylko byłabym wśród nich. Stałabym się jedną z nich. The Loyal dostałoby wypowiedzenie od Wolf Records jeszcze przed odegraniem choćby jednej piosenki. Nora i Toby zaprzepaściliby przeze mnie swoją wielką szansę. I wszystko, co stanowi o mojej tożsamości – muzyka, przyjaciele, mama – zostałyby mi odebrane, a biorąc pod uwagę to, jak trudno byłym przestępcom znaleźć pracę, być może nigdy nie zdołałabym tego odzyskać. *Powinnam przejść obok niego w tej chwili i uciec*, pomyślałam.

Otworzyłam drzwi. Na widok jego wyprostowanej sylwetki i ogolonej twarzy poczułam trzępotanie w brzuchu. Stracił sztywność, która w nim była, odkąd go poznałam, oraz zmarszczki

na czole między brwiami i odniosłam wrażenie, że nie chce tu być.

– Cześć – powiedział.

– Hej.

Mówiliśmy cicho, choć nie mieliśmy ku temu powodu.

– Mogę wejść? – zapytał. Wspomnienia przewijały się w nanosekundach. Wróciliśmy do lexusa Frankiego, szydząc z absurdalności ćwiczenia wymagającego kontaktu wzrokowego. Staliśmy naprzeciwko siebie w urzędzie stanu cywilnego, trzymając się za spocone dłonie, gdy urzędnik wygłaszał *Modlitwę o pogodę ducha*. Byliśmy na podwórzu jego taty, śmiejąc się z JJ-a, który wdrapywał się na grzbiet Mittens. Co my sobie zrobiliśmy? Co zrobiliśmy?

– Zależy.

– To znaczy?

– To znaczy, co się dzieje? – wyjąkałam zażenowana. – Co z rozprawą?

Uśmiechnął się.

– Mogę wyjaśnić tutaj albo w środku. Jak chcesz.

– Chodź – powiedziałam i odsunęłam się na bok. Usiedliśmy na kanapie.

– Jak koncert? – zapytał, jakby wpadł na przyjacielską pogawędkę.

To była magia, chciałam powiedzieć, *szkoda, że nie mogłeś przyjść*. Jednak słowa nie chciały wyjść przez ściśnięte strachem gardło.

– Super – wydusiłam. – Luke, co się dzieje?

Obrócił się twarzą do mnie.

– Prawnik powiedział, że wygram. To niemal pewne. Nie przyznałem się do winy.

– Nie przyznałeś się – powtórzyłam. – Czekał, mówisz, że ty, a nie my? Że ja nie...? – zaczęłam. – Dobra, od nowa. Skąd w ogóle wiedzieli, że mają cię aresztować?

Wyraz triumfu zniknął z jego twarzy.

– Od mojego byłego dilerka.

– Ale dlaczego? – rzuciłam ostro. Po czym nieco spokojniej dodałam: – Niczego nie pomijaj.

Luke pokiwał głową, patrząc mi głęboko w oczy.

– Oczywiście.

Zaczął od tego, jak poznał Johnno Lenera. Powiedział, że tak jakby się przyjaźnili do momentu, aż Luke postanowił odmienić swoje życie. Opowiedział o tym, jak spuścił tabletki w ubikacji. Uciekał przed długami i sądził, że nawieje aż do Afganistanu, ale Johnno i tak go znalazł. A wtedy Luke znalazł mnie.

– I na tym właśnie się skupialiśmy w rozmowie z prawnikiem – dokończył. – Wiesz, że małżeństwo nie zależy od tego, jak niektórzy uważają, że powinno wyglądać. Zależy to wyłącznie od małżonków. I nawet jeśli spojrzymy na to, co zgodne z prawem, jak we fragmencie: „w zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i w biedzie”, zrobiliśmy wszystko, jak należy. Było nam razem dobrze. Opiekowaliśmy się sobą nawzajem. – Odwrócił wzrok, jakby cierpiał, po czym odetchnął krótko i dodał: – I to wszystko. Prawnik stwierdził, że mamy szansę na wygraną. Że nasz związek wydaje się prawdziwy.

– I powiedział, byś nie przyznawał się do winy.

– Tak – odparł. – Prawdopodobnie nie będziesz musiała nawet zeznawać. Ale gdyby do tego doszło...

– Historia jest taka, że naprawdę nam na sobie zależy.

Odetchnął głęboko.

– Tak.

Siedzieliśmy w milczeniu. Przeżyliśmy tak wiele chwil w ciszy, ta jednak była inna.

Może pierwsza, której nie musieliśmy przerywać kłamstwami wobec innych i siebie nawzajem. A może wciąż pozostały kłamstwa. Nie wiedziałam. Nie sądziłam, by Luke teraz kłamał, czy wtedy, gdy wyznał, że coś do mnie czuje. Ale przecież nie spodziewałam się też, że kłamał, gdy mówił, że był winien pieniądze „kumplowi ze swojego rodzinnego miasta”. A teraz, jeśli powiem w sądzie, że wszystko, co nas łączy jest prawdziwe, skłamię? Odpowiedziałam na własne pytanie.

– Przyjdę – wyznałam cicho. – Jeśli będę musiała. Również zeznam, że to było prawdziwe. A przynajmniej takim właśnie się stało.

– Twoje zeznanie z pewnością by pomogło – przyznał.

– Dasz mi znać, gdy poznasz datę i godzinę? – Musiałam mieć pewność, że zdążę dojechać z miejsca, w którym akurat będziemy w trasie koncertowej. Przez jakiś czas mieliśmy pozostać w Teksasie.

Przytaknął. Znow zapadła cisza, w której słyszałam jego oddech.

– I co teraz? – zapytałam.

– Cóż, do rozprawy nie możemy się rozwieść – zauważył. – Oczywiście.

– O. – Westchnęłam. Nawet nie pomyślałam o rozwodzie. Przez te kilka minut, gdy tu był, wydawało się, że jest jak dawniej. Jak wtedy, gdy współpracowaliśmy.

– To znaczy, właśnie tego chcesz, prawda? – Przechylił głowę na bok, wróciły zmarszczki na jego czoło.

Czego chciałam? Musiałam być ostrożna. Moje uczucia były wielkie, pokręcone i pędziły niczym rwące potoki. Mogły mnie przytłoczyć, jeśli nie będę postępować powoli. Nie mogłam dopuścić, by mnie powaliły.

– Nie wiem – wyznałam, gapiąc się w podłogę. – A ty czego chcesz?

Przełknął ślinę.

– Nie wiem.

Zanim zdołałam się powstrzymać, powiedziałam:

– Podobało mi się to, co było między nami. Z wyłączeniem kłamstw i sikania w spodnie.

Parsknął cichym śmiechem. Spojrzałam na jego usta.

– I chyba musiałbyś wykluczyć całowanie.

– To chcesz, byśmy byli przyjaciółmi? – zapytał powoli.

Żołądek nieco mi się skurczył.

– Tak, ale...

– Nie możesz mieć ciastka i zjeść ciastka.

– Nie mogę zjeść ciastka, kropka. Mam cukrzycę.

Luke zaśmiał się szczerze. Zachichotałam wraz z nim.

– A co tam słyszeć u ciebie i Toby’ego? – zapytał, siląc się na nonszalancki ton.

– Eee – mruknęłam i omiotłam spojrzeniem leżące na podłodze rzeczy. – Rozstaliśmy się.

– O, przykro mi.

Kiedy na niego spojrzałam, na jego twarzy błąkała się lekka nadzieja i niewielki uśmiech, zanim spowaźniał. Pokręcił głową.

– Jeśli chodzi o nasz związek – zaczął, ale urwał. Zdawało się, że wydusza z siebie słowa.

– Ledwo nad sobą panuję. Najważniejsze, żebyśmy pozostali bezpieczni i zdrowi, więc wydaje mi się, że oznacza to, byś nadal żyła swoim życiem, a ja swoim. – Uśmiechnął się prawdziwie i mimowolnie pomyślałam, że tego nie można zmarnować, chociaż to, co właśnie powiedział, było tragiczne. – Prawdopodobnie lepiej będzie, jeśli nie zdecydujemy się na związek.

– Prawdopodobnie – przyznałam, ale żołądek znow nieco mi się skurczył.

Luke patrzył mi w oczy, niebieskie tęczęwki okalała czerń. Opuścił wzrok do moich ust.

– Będziemy musieli zobaczyć, co nam z tego wyjdzie – powiedział. – Prawda? Po rozprawie.

– Tak.

Wszystkie te jego niejasne truizmy o tym, że mamy być bezpieczni i zdrowi, że powinien żyć własnym życiem, a ja swoim, były bardzo dalekie od tego, co powiedział mi przed dwoma dniami. Może tego żałował. Może był zły, biorąc pod uwagę fakt, że kiedy ostatnim razem się widzieliśmy, wyrzuciłam go na bruk.

A jednak powiedział, że nasze małżeństwo było prawdziwe. Chciałam zatrzymać to w pamięci na zawsze i odtwarzać w nieskończoność, upewniając się, że wciąż czujemy to samo.

Ale co tak naprawdę czuliśmy? Czy byłam w stanie znieść jego kłamstwa, jednocześnie odczuwając to, co odczuwałam? Czy to wywołane adrenaliną skrajności? *Czy powinnam mu powiedzieć, że wybaczam? Poważnie?*

– Wiesz co? – rzucił wesoło, czym wyrwał mnie z zamyślenia.

– Co?

– Rodzina urządza dla mnie niewielką ceremonię z okazji odznaczenia mnie Purpurowym Sercem. Jutro. Wojsko postanowiło mnie uhonorować, nim postawi mi zarzuty. No wiesz... – umilkł. – W razie czego.

– Cudnie. – Uśmiechnęłam się do niego. Odpowiedział tym samym. Zrobiło mi się cieplej na duszy.

– Tak, Yarvis też będzie. Impreza ma być kameralna, ale miła. – Spojrzał wystraszony. – Chcesz przyjść? To znaczy, przyjdź, jeśli chcesz. Chciałbym, byś się pojawiła. – Odchrząknął. – To znaczy, bardzo bym chciał.

Poczułam, że się rumienię, tym razem z niezręczności.

– Jutro jedziemy do Galveston – odparłam. – Ruszamy w trasę koncertową. Wytwórnia chce podpisać z nami kontrakt.

– Nie! – niemal krzyknął, bardziej ożywiony niż zazwyczaj bywał od dłuższego czasu. – Cassie, to wspaniale!

– Tak – przyznałam, pozwalając, by uśmiech przysłonił moje nerwy. – Tak, spoko.

Zadzwoił telefon Luke'a, ten spojrzał na ekran, potem na mnie.

– Jake czeka w samochodzie z JJ-em, więc...

Wstałam.

Luke podniósł się powoli.

– Przepraszam, prawdopodobnie nie dotrę na ceremonię.

– Nie przejmuj się – odparł głębokim, powściągliwym głosem. – Do zobaczenia...

– Na rozprawie?

– Tak.

Ręce mi drżały. Luke zaciskał dłonie w pięści. Szliśmy obok siebie do drzwi, podpierał się na kuli, gdy schodził na dół.

Pośrodku schodów zatrzymał się i spojrzał na mnie. Nie obróciłam głowy.

– Pa, Cass.

– Pa, Luke.

Ponownie odczułam pustkę w moim sercu. Słuchałam miarowego rytmu jego kroków, które stawały się coraz cichsze. Napięcie mięśni uleciało wraz z nadzieją, że odeprzemy zarzuty – wiedzą, że Luke mnie nie nienawidzi – i ze wspomnieniem jego spokojnych słów, którymi przekonywał z determinacją, że możemy naprawić całą sprawę.

– Hej! – Usłyszałam z dołu.

Spanikowałam i wróciłam pędem na schody, a serce mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Patrzył na mnie, stojąc na dole i przytrzymując się drzwi.

– Co? – rzuciłam ze śmiechem. – Wystraszyłeś mnie.

– Przepraszam, ale zapomniałem ci powiedzieć. Udało mi się! – zawołał. Wskazał na zranioną nogę, gdy podpierał się kulą, a ja sapnęłam, wiedząc, o co mu chodzi. Pokiwał głową. – Pobieglem. Biegałem!

Zanim zdążyłam mu pogratulować, zamknął drzwi i zniknął.

LUKE

Wspomnienia jak sznur przytrzymały mnie nadal w pomieszczeniu, w którym wciąż siedziała, ubrana w tą głupią białą koszulę, która w niczym nie przypominała miękkich koszulek, jakie normalnie nosiła, gdy się jąkała i patrzyła na mnie jak nigdy wcześniej. Kiedy usłyszałem, że po wszystkim, co się wydarzyło, jest otwarta na coś nowego, może nie na relację przyjaciół czy męża i żony, ale na to, cokolwiek to będzie, niemal padłem.

Przypomniałem sobie jednak zasady, jakie wymyśliłem tuż po aresztowaniu – *zostawić Cassie w spokoju.*

Nie gniewała się na mnie, bo przyjęła do wiadomości, że możemy odeprzeć zarzuty. Jednak to dopiero jeden dzień, gdy byłem dla niej dobry. Wkrótce przypomni sobie wszystko, co było przedtem, to jak bardzo namieszałem w jej życiu. Cokolwiek teraz czuła, będzie miała czas, by to przemyśleć.

Kiedy promienie słoneczne mnie oświetliły, gdy zmierzałem do samochodu Jake'a stojącego na luzie przy budynku Cassie, usłyszałem płynące przez otwarte okno dźwięki klawiszy i czekałem z otwarciem drzwi do ostatniej chwili. Delektowałem się tym krótkim czasem, gdy Cassie wciąż była tak niedaleko i mnie chciała.

CASSIE

Następnego ranka zatrzymałam subaru przed budynkiem mamy, wysiadłam i przeszłam ulicą, przy której niegdyś mieszkałam. Zapukałam. Kiedy nie otworzyła, weszłam.

– Mamo? – zawołałam. Panował tu półmrok, bo światło, które wpadało przez wschodnie okna, zasłaniały rośliny, niemal barwiąc je na zielono.

Wyszła z salonu, okulary do czytania kołysały się na sznureczku na jej szyi. Milczałam. Zamiast tego objęłam ją i przytuliłam.

– Uczeszesz mnie? – zapytałam w jej ramię. Poczułam ulgę na jej widok i nie byłam nawet zakłopotana z powodu prośby, jaką złożyłam pierwszy raz, odkąd byłam nastolatką. – Zanim pojedę?

– Oczywiście – odparła.

Siedziałam w kuchni, patrząc na zegar w kształcie kaktusa, gdy masowała skórę mojej głowy, przyprawiając mnie tym o dreszcze.

– Zostawiam po sobie bałagan.

– Tak? Masz na myśli w mieszkaniu?

Parsknęłam śmiechem. Ucichłam, czując pierwsze szarpnięcie grzebienia. Łzy natychmiast napłynęły mi do oczu.

– Przepraszam – mruknęła. – Muszę rozczesać ten kłęb.

– To nic – odparłam. – Nie, nie chodzi tylko o mieszkanie. – Ponownie pociągnęła. Łzy płynęły nieskrępowanie po moich policzkach. – Chodzi o małżeństwo.

Opowiedziałam jej o wszystkim, czego dowiedziałam się o Luke’u. Również o tym, że z nim spałam, tuż przed tym, jak zakochałam się w Tobym. O postrzale, śmierci Frankiego, o tym jak trudno było udawać, że się kochamy. Aż przestało.

Pod koniec mojej opowieści zrobiła z moich włosów śliską, wilgotną kurtynę. Za każdym razem, gdy zatrzymywała grzebień, gdy mówiłam, zastanawiałam się, czy go nie wyrzuci i nie uderzy mnie w tył głowy. Nie zrobiła niczego takiego.

– A teraz jestem zdezorientowana, mamo. Wiem, że popełniłam błędy, ale tak wiele się też nauczyłam. Nadal chcę osiągać swoje cele. I nawet nie wiemy z Lukiem, jak to powinno wyglądać, ale łączy nas głęboka więź, i wiesz... Powiesz coś?

Milczała. Obróciłam się na krześle w jej stronę i uniosłam głowę, aby zobaczyć, że uważnie się we mnie wpatruje.

Złapała mnie za podbródek.

– Ay, *mija*. Jeśli prosisz mnie o radę, pierwszy raz nie mam jej dla ciebie.

– Żadnej? – Czułam, że uśmiech mi się poszerza, nawet pomimo ucisku w żołądku. – Ani jednego słowa od sędzi nad sędziami?

– Nie. To zgniłe jajo. – Parsknęłyśmy śmiechem. – I wiesz co? Po naszej kłótni fajnie móc powiedzieć: dobra, Cassie, jesteś już dorosła, sama zajmuj się własnymi zgniłymi jajami.

Miała całkowitą rację. Jeśli chciałam niezależności, musiałam liczyć się z konsekwencjami. Złymi i dobrymi.

– Mogę ci jedynie współczuć – ciągnęła. – Wiem, że według ciebie to małżeństwo jest na niby, wyszłaś za mąż tylko dla pieniędzy i robiłam ci z tego powodu przykrości, ale teraz, gdy usłyszałam, jak o tym opowiadasz, wygląda mi na to, że to coś prawdziwego.

Coś prawdziwego. Nawet dla mamy. Uśmiechnęłam się do niej.

– Poważnie?

– Oczywiście. Opiekowałaś się nim, a on tobą, nawet jeśli mieliście trudniej niż przeciętne pary. Dorośliście.

– Ale następnym razem... – zaczęłam, zastanawiając się, o co mi właściwie chodzi. Następnym razem to spieprzę? Nie chciałam tego tak ujmować. Nie chciałam, by był jakiś następny raz. – Następnym razem, gdy będziemy mieć problemy, najpierw musimy pomóc przede wszystkim samym sobie.

– Podoba mi się ten pomysł.

Wstałam. Ponownie musiałam skontaktować się z Young at Heart, wymyślić, jak w końcu uzyskać to finansowane przez państwo ubezpieczenie zdrowotne, a potem iść na ostatnią próbę, nim wyjedziemy w trasę koncertową.

– Zadzwoń z drogi.

– Kocham cię, mamo.

– *Te amo*, Cass. Połamania klawiszy.

* * *

Godzinę później nadszedł czas na piątek z Fleetwood. Postanowiłyśmy, że to bardzo wyjątkowy piątek, pełen rytuałów na szczęście, srebrnego konfetti i świec. Obłożyłyśmy ściany piwnicy gazą, którą znalazłyśmy w koszu z przecenionymi rzeczami w sklepie charytatywnym na North Lamar. Na rurach powiesiłyśmy sznury koralików. Zanim podpisaliśmy kontrakt, który wydrukowaliśmy i położyliśmy na środku podłogi, zanim wynajęliśmy przyczepę, aby zapakować instrumenty, zanim zaczęliśmy nowe życie jako zawodowi muzycy, graliśmy, co chcieliśmy przez wiele godzin. Graliśmy *Rumours* na okrągło na jakikolwiek dziwny, wypaczony, przesiąknięty szampanem sposób.

Nora przyniosła trzy butelki trunku, po jednej dla każdego. Otworzyliśmy je, łyknęliśmy alkohol i zaczęliśmy się przygotowywać.

– Możemy działać? – zapytała Nora. – Czy potrzebujecie chwili sam na sam?

Spojrzałam na Toby'ego, który przewrócił oczami i uderzył w bęben basowy głośniejszym niż to konieczne.

– Pewnie w którejś chwili będziemy musieli pogadać – stwierdził. – Ale nie teraz.

Nora uniosła brwi, nie potrafiąc ukryć zadowolenia.

– Nic nam nie będzie – powiedział Toby, uderzając w talerze. – Dobra, grajmy.

Odpaliłam jointa i trzymałam go w ustach przez chwilę, grając w stylu Marlona Brando.

Zaczęłam szukać nut, które mówiłyby: *Tak, wszystko będzie z nami dobrze. Wszystko będzie ze mną dobrze.* Oczywiście nie mogłam ich znaleźć. Górę brało inne, silniejsze uczucie. The Loyal sobie poradzi, a ja? A Luke?

Toby uderzył w talerze, rozpoczynając. Nora szarpnęła strunę, co zadziało jak wabik. Zagraliśmy bez słów, które mogłyby zepchnąć nas na kraniec nowego życia – smutek z powodu tego, co za nami, oraz radość na myśl o tym, co przed nami.

LUKE

– Gotowa, Mittens? – Co za głupie pytanie. Trzymałem w ręce jasnoróżowe frisbee z logo straży pożarnej, a ona stała z uniesioną głową, wpatrzona w dysk, merdając ogonem. Jasne, że była gotowa.

– Biegnij! – Wysoko rzuciłem, niemal życząc sobie, by zabawka tym razem przefrunęła ponad płotem.

Mittens złapała ją jednak pod kątem, wyskakując do niej niczym cudowny pies.

Mój cudowny pies. Będzie mi jej brakowało.

Znajdowaliśmy się na podwórzu taty. Hailey i Jake zaraz przyjdą z JJ-em, gdy tylko usuną plamę z ciasta na jego garniturku. Tata w swoim starym mundurze stał obok podpułkownika Yarvisa, splótł ręce przed sobą i obserwował, jak Mittens biega w kółko. Również byłem ubrany w mundur.

Dziwnie było go znów włożyć. Miałem go na sobie na zakończenie unitarki oraz podczas ważnych uroczystości podczas misji w Afganistanie. W koszarach, w domu Frankiego, czy w samolocie wisiał zawsze obok munduru przyjaciela.

Jego rodzina Purpurowe Serce otrzymała pocztą.

– Wróciliśmy! – zawołała Hailey, niosąc JJ-a na plecach. – Tylko nie skop mamie sukienki – poprosiła.

– Okej, będziemy mogli zaczynać.

Okazało się, że żołnierze, przeciwko którym wszczęto dochodzenie, mogli otrzymać Purpurowe Serce, ale nie podczas wymyślnej ceremonii wojskowej. Pasowało mi to. Nie byłem zwolennikiem wielkich, oficjalnych gal.

Chciałbym jedynie, by była tu Cassie.

Zebrałiśmy się pośrodku trawnika. Tata zdjął JJ-a z pleców Hailey.

– Czekajcie – zawołał Jake. – Wezmę aparat.

Staliśmy w ciszy, jedynie JJ wydawał dźwięki. Ulicą przejechał warczący motocykl. Ktoś po drugiej stronie drogi urządził grilla.

Yarvis spojrzał na mnie.

– Zastanawiał się pan, co będzie robił, gdy już upora się z całą sprawą?

– Jeszcze nie wiem – odparłem.

Spojrzałem na tatę, który wpatrywał się gdzieś w dal. Chociaż zgodził się wziąć udział

w ceremonii, a nawet być jej gospodarzem, obawiałem się, że zrobił to jedynie dlatego, że Jake go o to prosił.

Każde słowo, które do mnie wypowiedział, odkąd wyszedłem za kaucją, było sztywne i wiązało się z podejrzeniem, że w każdej chwili mogę coś spieprzyć. *Na popołudniowe przyjęcie, które zorganizował Jake, planujesz jakieś „konflikty”?* Wiesz, jak to jest odczuwać rozczarowanie?

Ale mogłem się tego spodziewać. Bez względu na to, jak mało wiary we mnie pokładał, stać go było na więcej. Jak wszystkich. Nie zamierzałem się poddawać.

Ponownie spojrzałem na Yarvisa.

– Mówił pan, że w szpitalu jest tylko dwóch pracowników socjalnych na setki rodzin, prawda?

Pokiwał głową.

– Niestety.

– A może przydałby się wam jeszcze jeden? – Podsunąłem pomysł, który zrodził się w mojej głowie, gdy siedziałem w celi.

Z uśmiechem poklepał mnie po plecach.

– Fantastyczna myśl – odparł.

– Może mógłbym pracować z weteranami, którzy zmagają się z uzależnieniem?

Yarvis ponownie się zgodził, podał mi kursy i szkoły, które powinienem sprawdzić. Tata nadal patrzył przed siebie, ale wiedziałem, że słucha.

– Dobrze! – powiedział Jake w garniturze, wracając biegiem z auta, trzymając aparat.

Yarvis odchrząknął, wyjął z kieszeni małe pudełko.

– Purpurowe Serce przyznawane jest żołnierzom rannym lub poległym na służbie. To symbol odwagi i poświęcenia. Dziś przyznajemy je starszemu szeregowemu Luke’owi Morrowowi, który jeszcze jest w służbie czynnej w 34. Dywizji Piechoty Red Horse Armii Stanów Zjednoczonych.

Yarvis wyjął odznaczenie z pudełka, które podał zalanej łzami Hailey.

– Bądźmy szczerzy, Luke, poza polem bitwy potrafisz być matołem.

Jake prychnął i zakrył usta.

– Co nie ujmuje odwadze, jaką wykazał się pan na polu walki. Jestem dumny, że mogę panu wręczyć dziś to odznaczenie.

Przypiął je do mojego munduru. Hailey i Jake klaskali a ja mimowolnie się uśmiechnąłem, patrząc na medal. Złote serce na purpurowej wstążce, a w środku popiersie Waszyngtona. Oznacza poświęcenie, dumę. Ciężką pracę. Nawet jeśli życie mi się rozpadło, oto dowód na to, że przez chwilę było dobre. I może pewnego dnia znów się takim stanie.

– Jej! – krzyknął JJ. – Jedźmy ciasto!

– Dobra, dobra, ale najpierw zdjęcia. Mógłby pan?

Jake podał Yarvisowi aparat. Zbliżyliśmy się do siebie – ja, Hailey, Jake i tata, zwróceni w stronę zachodzącego za domem słońca.

– Chcę stać przy dziadku – marudził JJ.

– Dobrze – powiedział tata. – Przed dziadkiem. – JJ się przesunął. – Luke? – zawołał.

Obróciłem głowę. Jego Purpurowe Serce przypięte było do munduru tuż obok naszywki z nazwiskiem, zupełnie jak u mnie. Połyskiwało w słońcu. Tata przesunął się w prawo, robiąc mi miejsce.

– Może podejdiesz i staniesz obok mnie?

CASSIE

Znalazłam. Frankie dawno temu wysłał mi nagranie z urzędu stanu cywilnego, a ja je ściągnęłam, mając w planie, że pewnego dnia, gdy już będzie po wszystkim, zmiksuję przezabawnego urzędnika i stworzę piosenkę. Chciałam wykorzystać tę część, gdy mówił: „Żydowskie, chrześcijańskie, muzułmańskie, pogańskie, mam je wszystkie”.

Usiadłam na łóżku. Po piątku z Fleetwood wszystko zdawało się snem: podpisanie kontraktu, zapakowanie perkusji Toby’ego na przyczepę, którą będziemy ciągnąć moim samochodem, aż stać nas będzie na busa, telefon do wokalisty zespołu Dr. Dog, żeby się przedstawić.

Po wczorajszym spotkaniu z Lukiem ze dwa miliony razy myślałam, aby do niego zadzwonić, ale nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Częściowo nadal się wkurzałam, że przez rozprawę i uczucia, z którymi się zmagalam, zapomniałam być na niego zła. Nie mieliśmy żadnej gwarancji, że mamie nic się nie stanie w przyszłości, prócz jego zapewnień i faktu, że jak dotąd nikt jej nie zaczepiał. Chyba musiałam mu w tej kwestii zaufać.

Nadal miałam przed oczami scenę, gdy siedziałam przed nim, widząc, jak walczy, by nie okazać rozczarowania na wieść o tym, że nie przyjdę na ceremonię wręczenia mu Purpurowego Serca. I nie chodziło jedynie o moje wyrzuty sumienia. Chciałam tam być. Ale kiedy wyznał, że to tylko małe spotkanie w rodzinnym gronie, stwierdziłam, że ja już zapewne się do niej nie zaliczam. To jego uroczy bratanek, zabawny brat, twarda szwagierka oraz nieprzystępny ojciec, który jednak potrafił się otworzyć. Polubiłam ich. Chciałam się z nimi spotkać, przeprosić za kłopoty. Powiedzieć zwłaszcza tacie, że jego syn to dobry człowiek. Odważny mężczyzna.

Ale oczywiście nie mogłam zadzwonić do Luke’a, żeby to wszystko mu wyznać.

W erze mediów społecznościowych ludzie nie dzwonili tak po prostu do innych, by opowiedzieć im o swoich uczuciach. Zamiast tego oglądali ich zdjęcia i filmiki, przekonując samych siebie, co powinni czuć, prawda? Jasne. Nie miałam żadnych zdjęć Luke’a, ale miałam nagranie z naszego ślubu w ratuszu.

Włączyłam je.

Przypomniałam sobie, że na początku Frankie zapomniał wcisnąć guzik. Nie nagrał modlitwy. Musieliśmy zaczynać od nowa.

Urzędnik, patrząc w kamerę, otworzył Biblię, udając przy tym, że robi to po raz pierwszy. „Stajecie na ślubnym kobiercu, więc niech Bóg użyczy wam pogody ducha, abyście

godzili się z tym, czego nie możecie zmienić, odwagi, abyście zmieniali to, co możecie zmienić, i mądrości, abyście odróżniali jedno od drugiego”.

„Nie mogę się nie zgodzić”, powiedziałam.

Pojawiło się ujęcie naszych splecionych dłoni, gdy Luke ścisnął moją, a ja próbowałam się nie śmiać.

Każda scena z ceremonii spletała się z moimi wspomnieniami o tym, co miało nastąpić po niej.

„Czy ty, Cassie, bierzesz sobie Luke’a za męża? Czy przyrzekasz kroczyć u jego boku, kochać, wspierać i zachęcać we wszystkim, co robi?”.

„Cholera, ale to było dobre!”, wykrzyknął Luke, gdy odtworzyłam mu to przez Skype’a, co było jedną z pierwszych oznak entuzjazmu, jakie u niego widziałam. „Wyjdzie w połowie zdania”, powiedział Yarrisowi i myślałam, że się ze mnie nabijał. Ale nie: „Tak tylko mówię, skarbie”. Akceptował mnie. Akceptował to, że praca jest na pierwszym miejscu. Nigdy nie próbował mnie zdominować.

Otworzyłam usta, aby powiedzieć „tak”, ale nie dopuszczono mnie do głosu. Luke się rozejrzał.

„Czy przyrzekasz poświęcać czas na rozmowę z nim, słuchać go i dbać o niego?”.

Przed oczami stanął mi obraz jego pleców, gdy z uniesioną kulą wszedł do mieszkania mamy, gotowy nas bronić. Kiedy przytknął mi żel glukozowy do ust, po czym pozwolił, bym oparła głowę o jego ramię. Kiedy się pochylał w wannie, gdy myłam mu plecy. Zawsze pamiętał, by mi podziękować. Za każdym razem.

„Czy zamierzasz śmiać się z nim i płakać jako partnerem, kochankiem i najlepszym przyjacielem?”.

Przypomniałam sobie, jak jego łzy kapały mi na włosy, gdy siedzieliśmy na kanapie, nim zaczęliśmy się całować. Poczucie bezpieczeństwa. Swobodę uśmiechu, nawet gdy sztywno siedzieliśmy obok siebie i rozmawialiśmy o tym, że możemy trafić za kratki. Za wspólnie popełnione przestępstwo.

„Tak”, powiedziałam.

„Tak”, potwierdził Luke.

„Na mocy prawa stanu Teksas, ogłaszam was mężem i żoną”.

Dłuższa chwila, gdy patrzyliśmy sobie w oczy.

„Pocałuj ją, synu!”.

Pocałowałam go. Wydawało mi się, że spodobały mi się tylko jego usta.

„Au!”, pisnęłam. „Kurwa!”.

Roześmiałam się, siedząc na łóżku, obserwując, jak z wściekłością na twarzy próbuję wyplątać włosy z jego guzików.

„Co się stało?”.

Położył dłoń na mojej głowie.

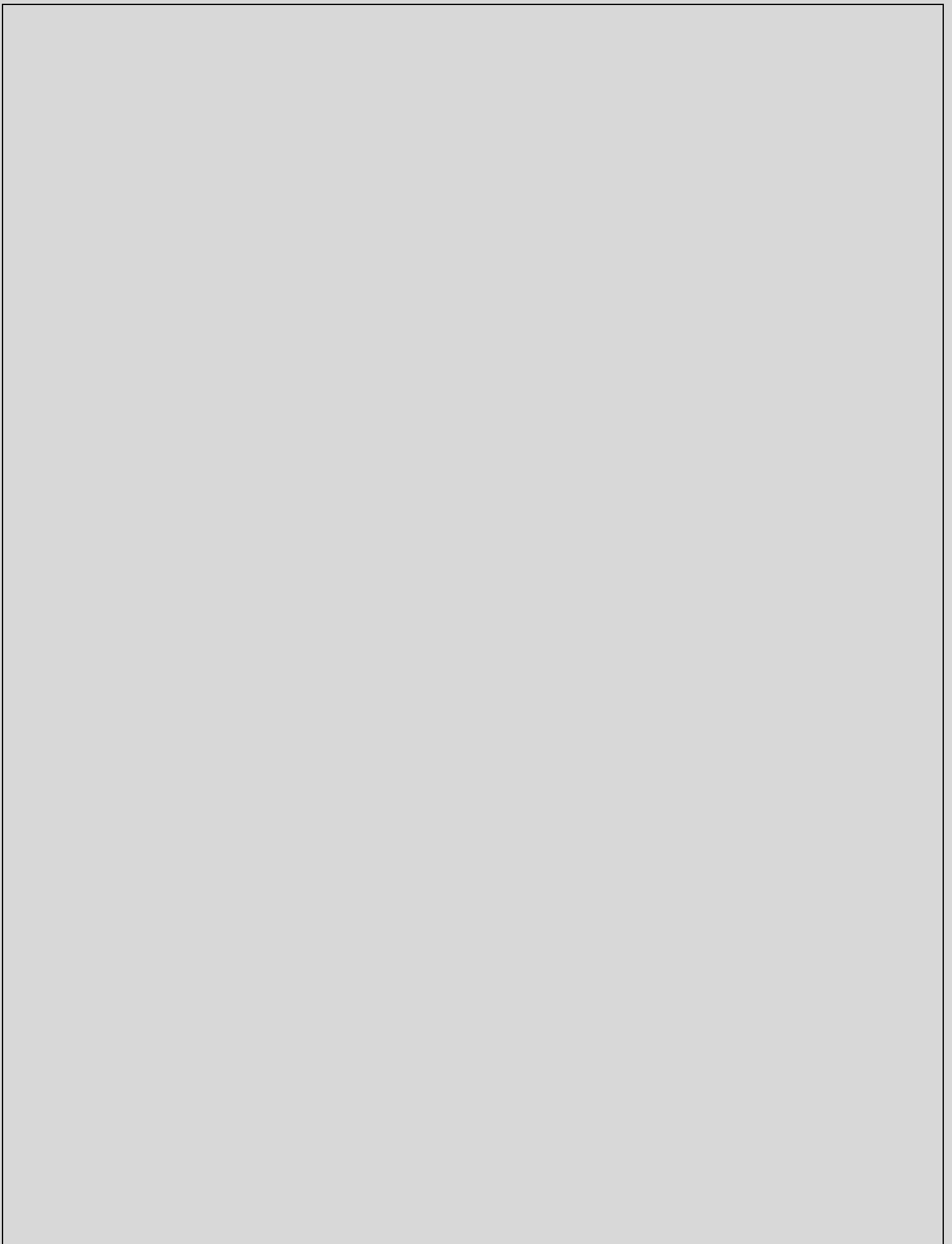
Tak wiele przeszliśmy od tamtej chwili. Tak wiele się wydarzyło. Dało to nam zarówno blizny, jak i siłę.

Przewinęłam nagranie do początku.

„...użyczy wam pogody ducha, abyście godzili się z tym, czego nie możecie zmienić, odwagi, abyście zmieniali to, co możecie zmienić i mądrości, abyście odróżniali jedno od drugiego”.

Odwagi, bym zmieniła to, co mogę zmienić. Wciąż mieliśmy kilka godzin, zanim wyruszymy do Galveston.

Chwyciłam kluczyki.



LUKE

Dziwnie stać na trawniku taty i czuć się zupełnie inaczej niż jeszcze kilka tygodni temu, gdy byłem tu z Cassie. Czuję się, jakby mnie przeżuto i wypluto, ale wzmocniło mnie to. Nie miałem już wrażenia słońca na piersi. Nie ciążyły mi wątpliwości, nawet jeśli chodziło o Cassie. Przychodziły mi do głowy jedynie pytania. Uświadomiłem sobie, że to właśnie tak działało. Na poważne pytania pojawiały się jedynie błahe odpowiedzi. Jeśli w ogóle były, to raczej strzępki informacji i człowiek musiał mieć nadzieję, że pewnego dnia te fragmenty połączą się w coś przydatnego.

Tata i Jake wracali z wycieczki do lodówki turystycznej z piwami w dłoniach.

– I wtedy Luke zaczął skandować – powiedział Jake tacie. – Cały tłum zaczął wołać – wydał z siebie dźwięk, którym chciał zobrazować sytuację – Jacob, Jacob, Jacob.

– No przecież to roczny abonament do Gino – powiedziałem ze śmiechem. – Wielka chwila. Spora stawka.

– Oprócz tego, że pizza u Gino smakuje jak nasączona tłuszczem tektura – skwitował tata. Jake pokręcił głową.

– To, że lubisz niedopieczone ciasto, to już twój problem.

Tata prychnął i pstryknął ziarnem słonecznika przy twarzy Jake'a, aby wyglądało to na przypadek. Jake ze śmiechem uniósł przedramię, by je zablokować.

Umilkliśmy. Obserwowaliśmy, jak JJ piszczy, biega wokół Hailey, która siedziała na trawie i popijała piwo.

Jake wyjął telefon z kieszeni, spojrzał na ekran, po czym zaczął pospiesznie pisać.

Spojrzałem na JJ-a. Choć miałem nadzieję, że zarzuty zostaną wycofane, przygotowywałem się na najgorsze, czyli zaangażowanie Cassie w całą sprawę. Założyłem, że bez względu na to, jak to się skończy, pałanie uczuciem do Cassie na odległość oraz wiedza, że ona mnie nie chce, było najprostsze. Stworzyłem metodę, aby myśleć o tym, co mi się w niej podobało, a następnie zastępować to czymś bardzo konkretnym, namacalnym elementem obecnej chwili.

To, że brakowało mi woni jej samochodu, zastąpiłem zapachem świeżo skoszonej trawy. Przypalającymi się na grillu resztkami klopsów taty. To, że szurała stopami w skarpetach po drewnianej podłodze, nie trudząc się podnoszeniem nóg, bo mówiła, że to tak fajne jak jazda na łyżwach, zastąpiłem dźwiękami, jakie wydawał Jake, mamrocząc coś pod nosem, gdy wpatrywał

się w telefon. Prosta chwila. Ta, którą brałem za pewnik.

To, jak śpiewała, zastąpiłem... Jeszcze nie miałem czym zastąpić.

Jake odchrząknął.

– Hej, Luke?

– Tak? – zapytałem.

– Pewnie zechcesz wyjść przed dom.

Posłałem mu zdezorientowane spojrzenie, ale tylko wzruszył ramionami. Przemierzyłem podwórze i zmrużyłem oczy. Na podjazd wjeżdżał samochód. Poobijane białe subaru, ściśle rzecz biorąc.

CASSIE

Zbliżając się do Budy, napisałam do Jake'a. Teraz już nie mogłam się wycofać. Dwudziestominutową trasę pokonałam w kwadrans i ilekroć myślałam o tym, by zawrócić, mocniej naciskałam na gaz.

Czy zamierzałam wjechać na podwórze jego taty i dać mu hollywoodzkiego całusa?

Patrzemy na ciebie, mała.

Boże, pomyślą, że oszalałam. Miałam potwierdzić każdy stereotyp o uczuciowych kobietach, jaki kiedykolwiek istniał. Zwariowana, nielogiczna, ślepa na zasady społeczne. Reguły takie jak ograniczenia prędkości i to, że stosunkowo obca kobieta nie powinna wpadać na czyjąś posesję i wyznawać miłość.

Byłam jedynie kobietą, która miała coś do powiedzenia.

Chciałam, by wiedział. To wszystko. Później mógł z tym zrobić, cokolwiek zechce. Na miłość boską, pomagałam mu w kąpieli. Przynajmniej mógł mnie wysłuchać.

Zwolniłam, podjeżdżając pod dom, i zaparkowałam na podjeździe. Odetchnęłam głęboko i wysiadłam. Kiedy obchodziłam dom, ręce mi drżały.

– Hej – zawołałam, gdy zobaczyłam podwórze, osłaniając oczy przed słońcem.

Luke stał z otwartymi ustami. Miał na sobie mundur, wyglądał przystojnie, dystyngowanie i niezaprzeczalnie szczęśliwie. Jake zakrył usta, próbując się nie śmiać. Ich tata patrzył na mnie jak na wariatkę.

A pieprzyć ich.

Podeszłam do Luke'a. Wciąż się uśmiechał. To dobry znak. Słyszałam, że Jake i Hailey coś do siebie szepczą.

– Hej – powiedziałałam, wkładając ręce do kieszeni.

– Hej – odparł.

Cóż, to była ta chwila, ta pieprzona chwila. Wskazałam w kąt podwórka. Luke stanął ze mną przy rzędzie krzewów.

– Przepraszam, że nie zdążyłam na ceremonię – zaczęłam. – Jednak po prostu musiałam tu przyjechać, ponieważ wiele przemyślałam po naszej rozmowie.

– Tak, ja też – wyznał.

Nabrałam nieco odwagi.

– Poważnie?

– Poważnie. – Przełknął ślinę. – Ale mów, śmiało.

Ręce wcisnęłam jeszcze głębiej w kieszenie. Musiałam wziąć się natychmiast w garść. Wpatrywałam się w trawę pod stopami.

– Wiem, że po tym wszystkim, co przeszliśmy, nie ma dla ciebie zbyt wielkiego sensu, byśmy byli razem, ale musisz wiedzieć, że... – Kiepsko mówić to do trawnika. Spojrzałam mu w twarz. – Kocham cię.

Uniósł brwi, mrugał zaskoczony, wpatrując się we mnie niebieskoszarymi oczami. Nie odpowiadał. *W porządku. Przynajmniej to powiedziałam.* A jednak...

– I nie mam na myśli płytkiego sposobu, jak ktoś rzuca, że kocha filmy Disneya, albo kiedy mówią to sobie nastolatki, żeby mogli uprawiać seks.

Parsknął śmiechem.

– Chodziło mi bardziej o to, że nie mam wątpliwości, jak starsi ludzie trzymający się za ręce na ulicy. Zależy mi na tobie, zawsze będziesz dla mnie ważny. Kocham cię i poczekam, jeśli będzie trzeba.

– Cassie, ja... – zaczął. Nabrał głęboko powietrza i spojrzał gdzieś ponad mną.

Po prostu coś powiedz. Znow zwiesiłam głowę i popatrzyłam pod nogi. Mój stary kumpel trawnik.

– Też cię kocham.

Natychmiast poderwałam głowę.

Wyciągnął ręce, zawahał się, po czym położył je na moich ramionach.

– Kocham cię.

– Naprawdę? – Serce mi urosło, wypełniło się światłem.

– Naprawdę.

Poruszyliśmy się w tym samym czasie. Chwyciłam go za szyję, przywarłam do oczekujących ust, aby pocałować z pewnością siebie, z ulgą, gdy trzymał dłonie na moich żebrach, palcami sięgając na plecy, przyciskając się do moich piersi, eksplorując moje usta jak nigdy wcześniej.

– Bez względu na wynik rozprawy, zrobimy to? – zapytał, gdy się odsunęłam.

– Bez względu na wynik – odparłam. – I wygramy. Przynajmniej będziemy walczyć, ile sił.

– A pewnie, że tak – potwierdził, ponownie mnie chwytając i tuląc.

Spojrzałam na jego rodzinę i nawet słabo im pomachałam. Jake i Jacob senior odwrócili się, udawali, że robią coś przy grillu. Hailey skryła uśmiech za udawanym kaszlem, a JJ gapił się bezceremonialnie, trzymając w ręce zapomniany samochodzik.

Ponownie popatrzyłam na Luke'a i na zegarek. Była piąta. Wyjeżdżaliśmy o dziewiątej.

– Cholera. – Uśmiechnęłam się do niego. – Muszę zagrać koncert.

– Okej.

Ramię w ramię poszliśmy na podjazd, dla zabawy równając krok. Wziął mnie przy tym za rękę. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Cassie? – zapytał nagle.

– Tak? – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

– Nie wiem, co będziemy robić, ani jak nam się ułożyć, ale cię kocham – przyznał.

Puściłam jego dłoń i wsiałam do auta. Dodał przez otwarte okno:

– Później zaczniemy z tego miejsca.

Pokiwałam głową, bo nie byłam w stanie nic powiedzieć. Kiedy wycofywałam auto z podjazdu, Luke mi pomachał.

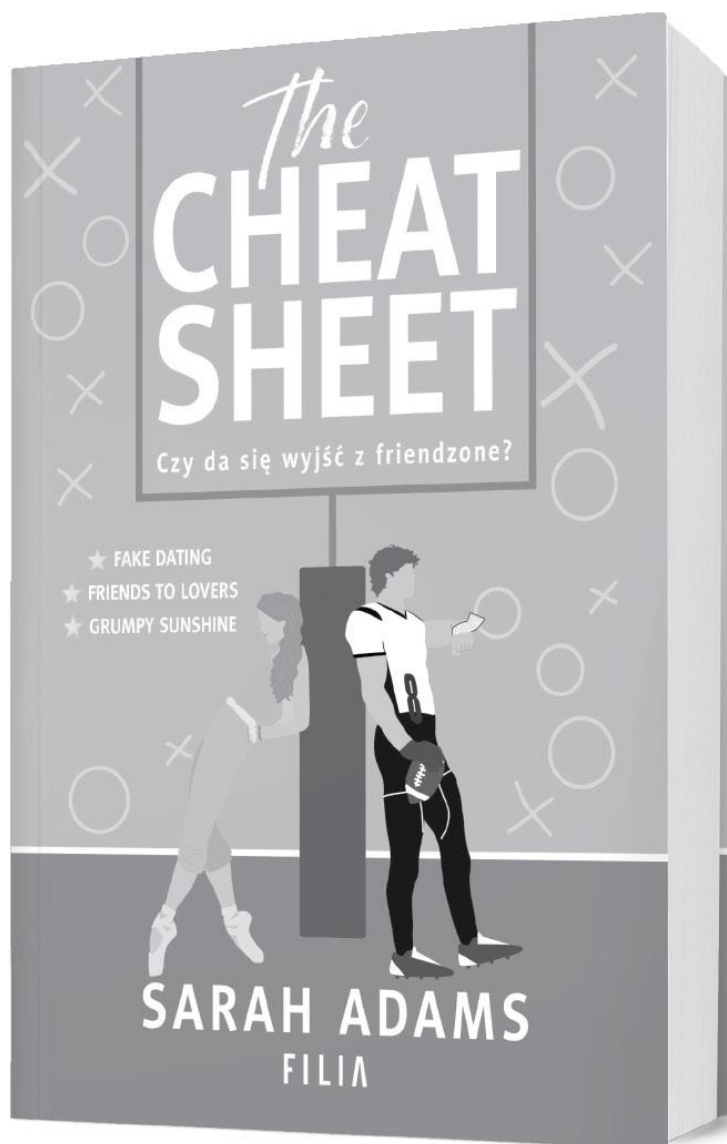
Odmachałam.

Miał rację – nie wiedzieliśmy, co zrobimy. Mieliśmy jednak świadomość, że nie jesteśmy już tacy źli, za jakich mieli nas inni. Nie byliśmy przestępcami, łepunami, kłamcami, zdrajcami, ale nie mieliśmy zielonego pojęcia, co przyniesie los. Ale może nie musieliśmy tego wiedzieć. Przede wszystkim się kochaliśmy. A później zaczniemy z tego miejsca.

PODZIĘKOWANIA

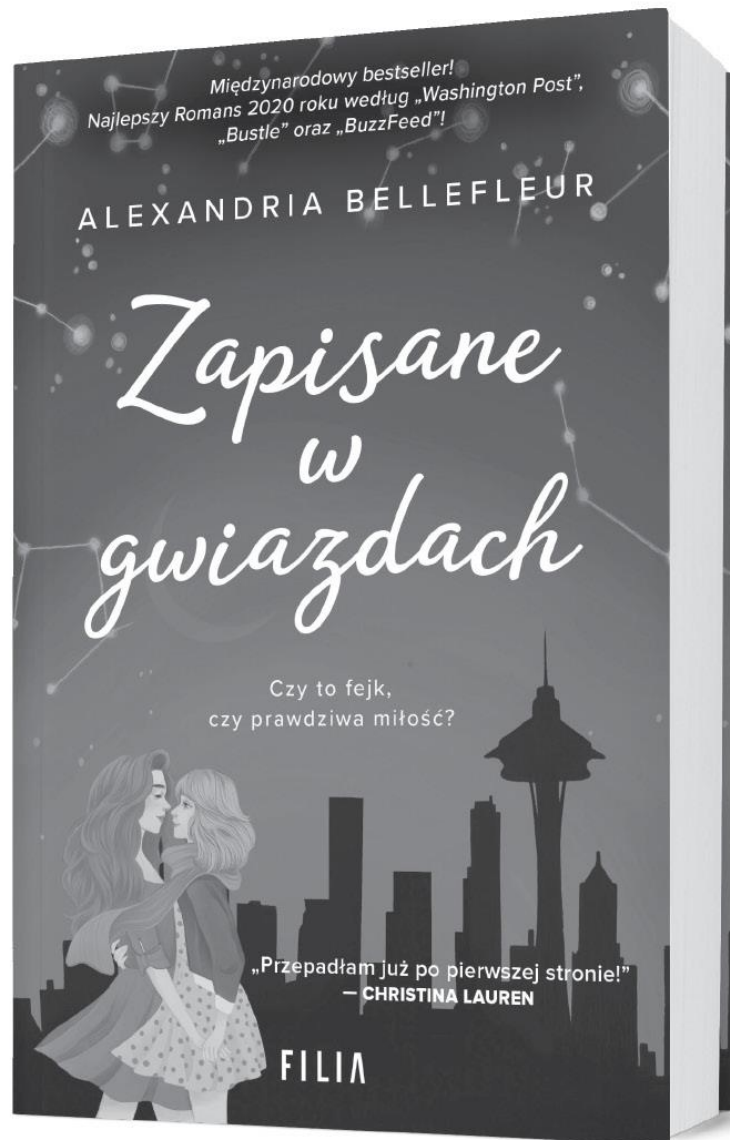
Dziękuję Lanie Davis, Annie Stone i całej załodze Alloy Entertainment. Dziękuję Emmie Colón za jej czas oraz bystre oko. Dziękuję Aimee, Ondreai Stachel i Kim Ross za podzielenie się ze mną wiedzą na temat cukrzycy. I w końcu wielkie dzięki dla Kyle'a Jarrova za inspirację oraz Emily Bestler za puszczenie *Purpurowych Serc* w świat.

Czy da się wyjść z friendzone?



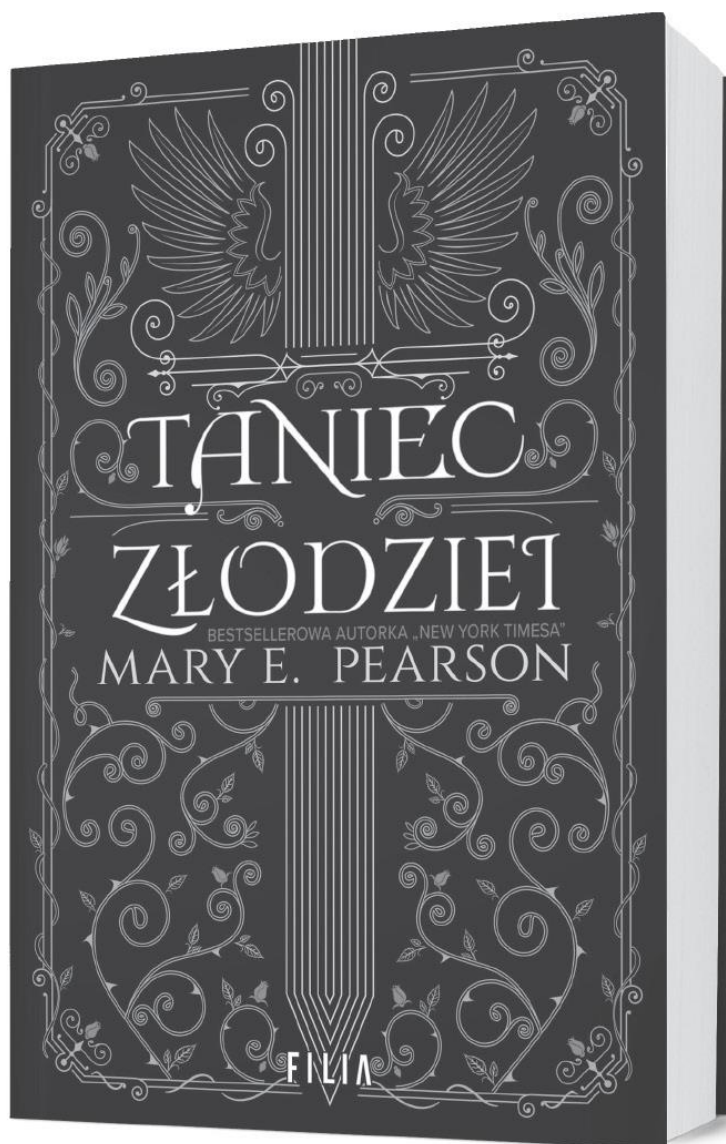
FILIA

Czy to fejk, czy prawdziwa miłość?



FILIA

Historia byłej złodziejki i młodego przywódcy
wyjętej spod prawa dynastii.



FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

LUKE

CASSIE

PODZIĘKOWANIA

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Purple Hearts*

Copyright © 2017 by Alloy Entertainment, LLC

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo FILIA

First Emily Bestler Books/Atria paperback edition April 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Okładka: © Netflix 2022. Used with permission.

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-430-0

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

SERIA: HYPE

